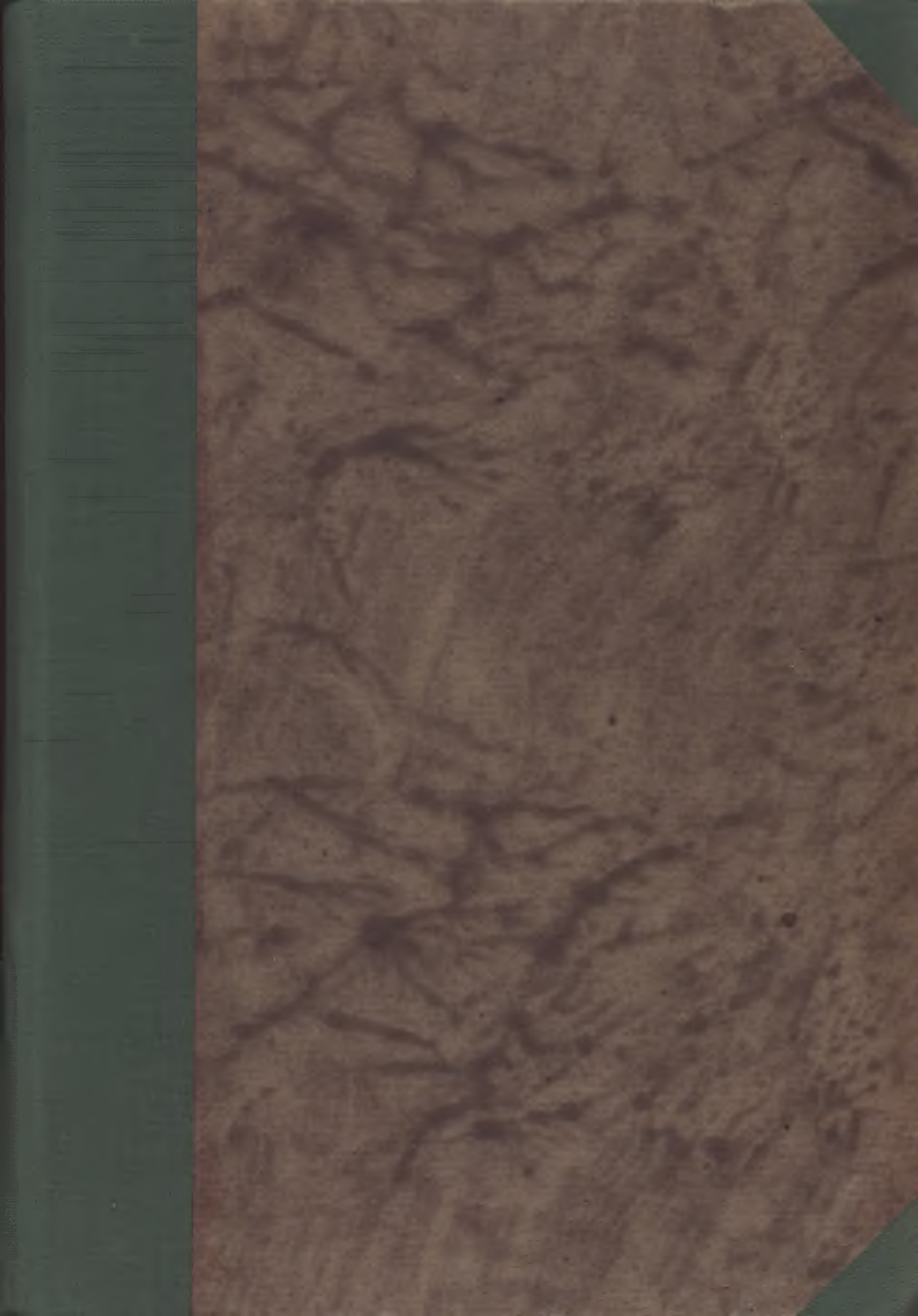
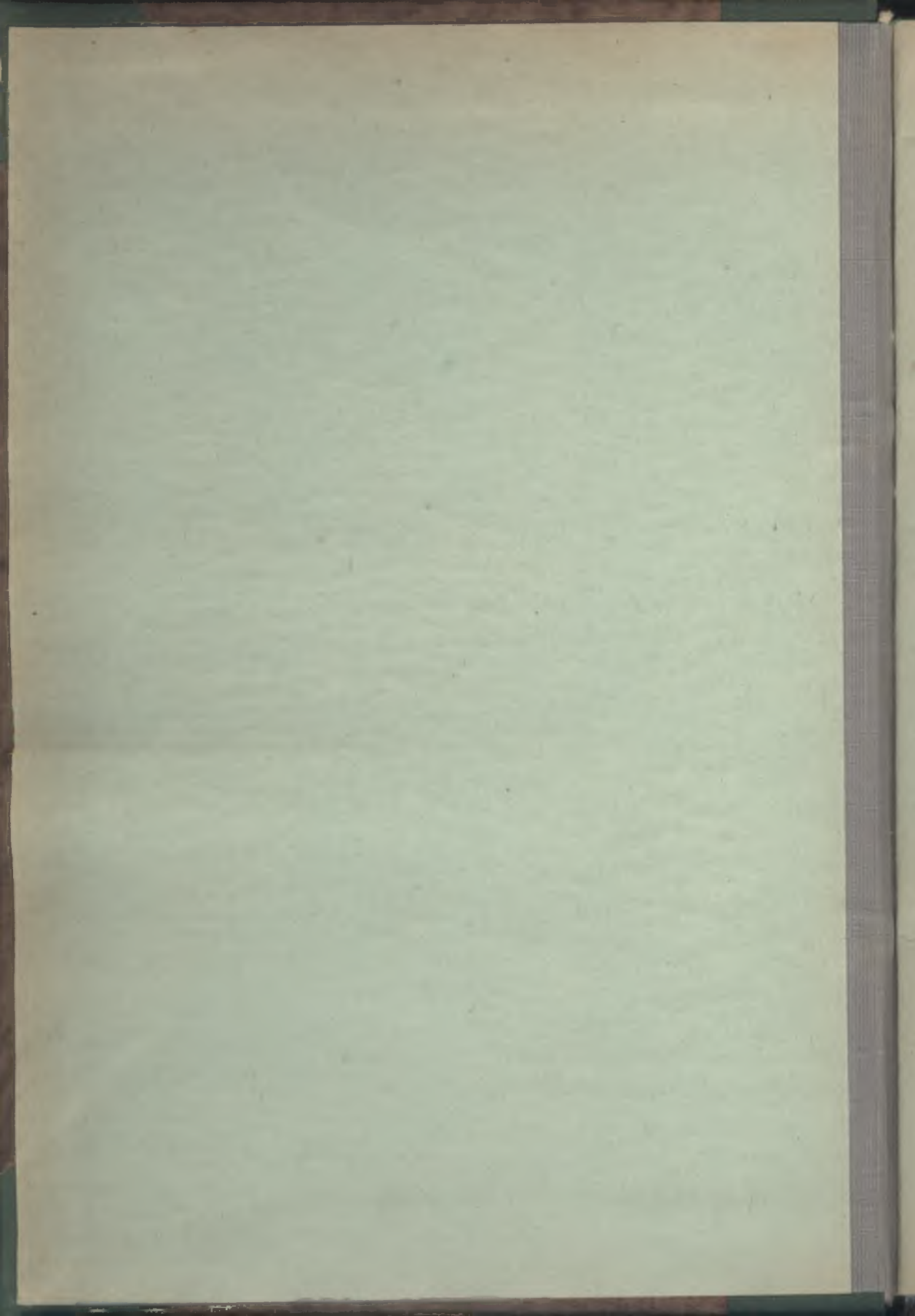
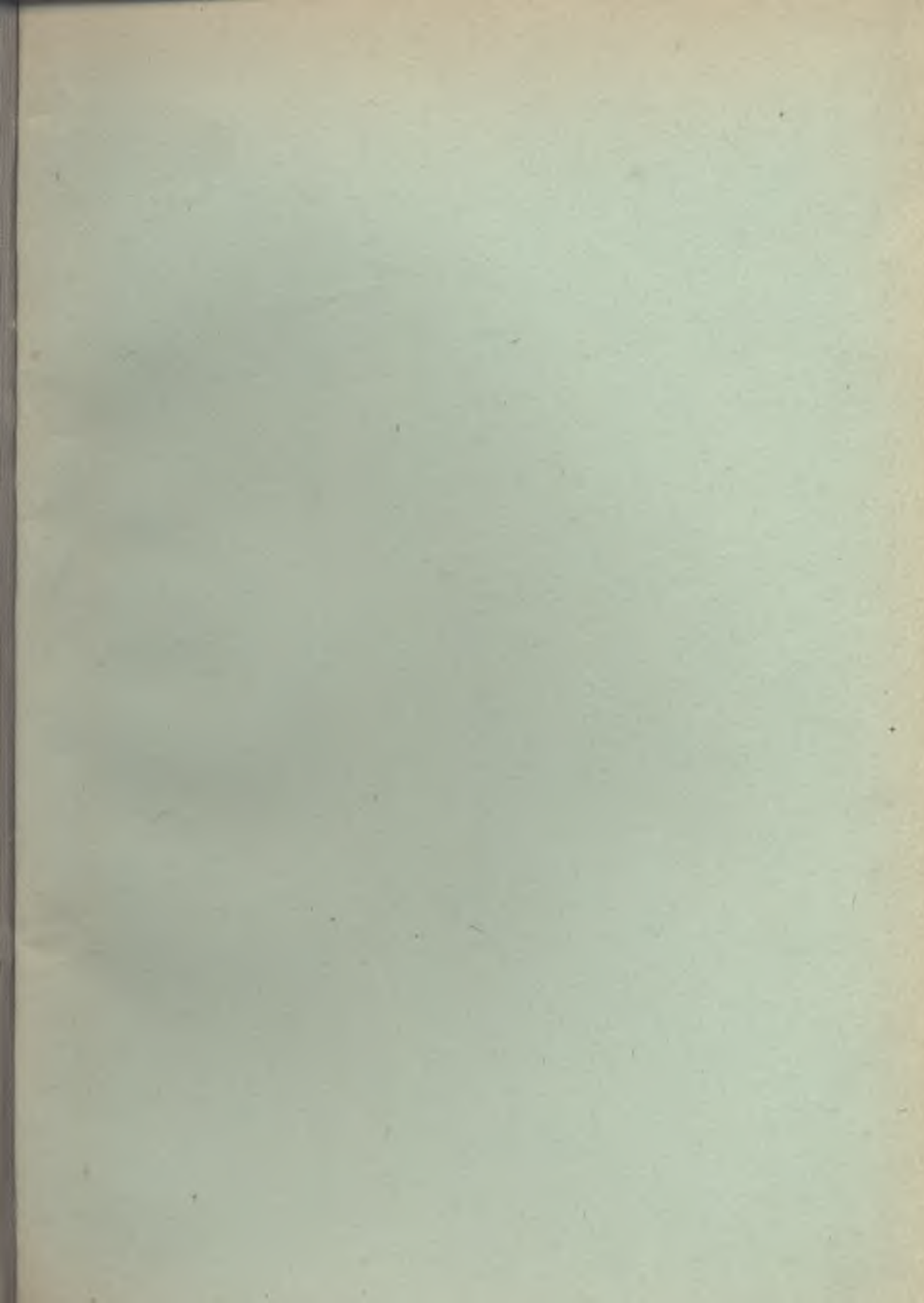








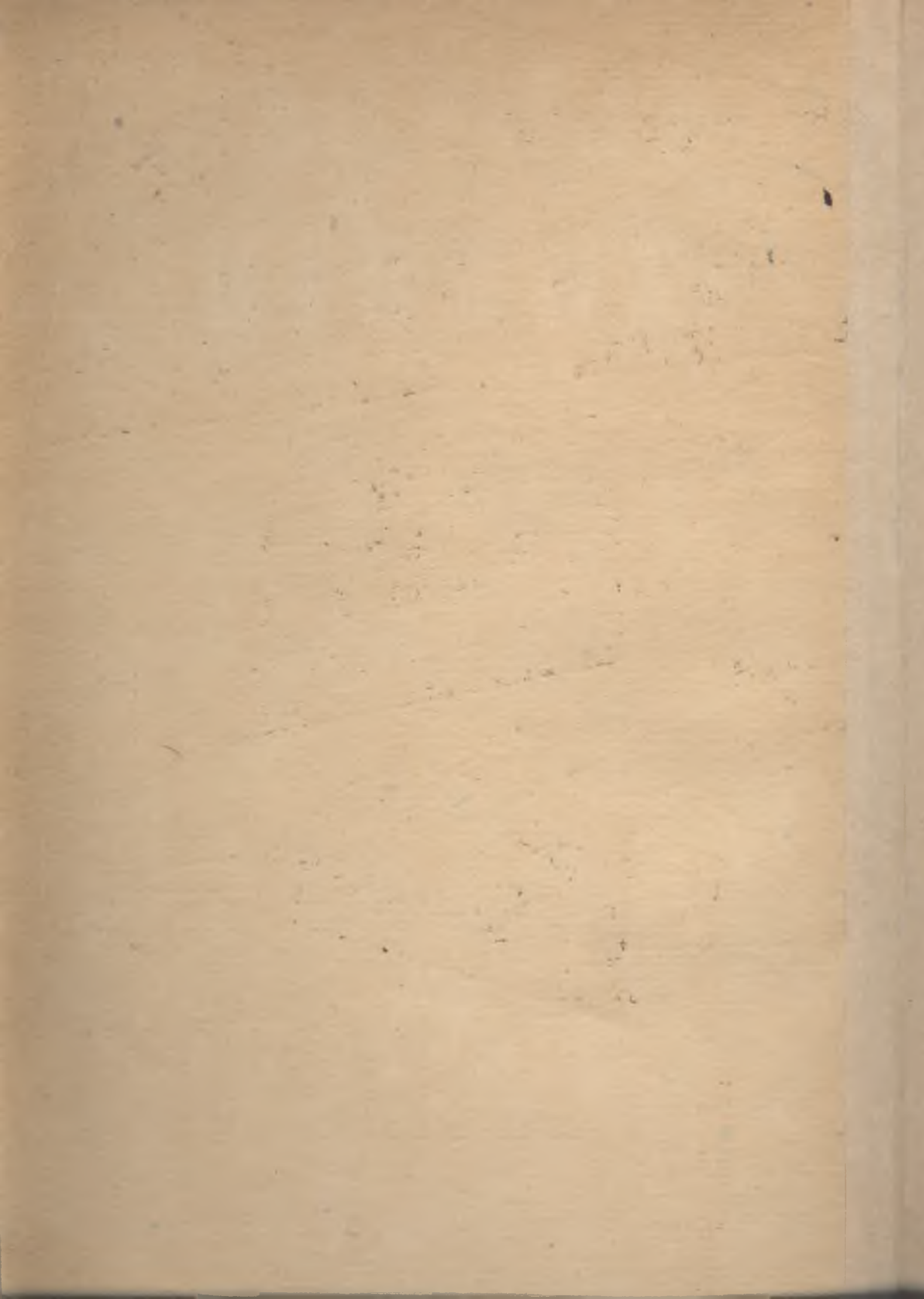


WYDZIAŁ
KRAJOWY



196

KALENDARZ
7wrotu



KALENDARZ »ZWROTU«

NA ROK

1961

ROCZNIK VIII



OKRĘGOWE WYDAWNICTWO W OSTRAWIE



C.00236811

378172

S. 2. 378/94

18 v

Ladwik Brožek
Klerovnik Muzeum



*Przyjaźń i współpraca Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej i Polski Ludowej
jest mocnym ogniwem pokoju. A pokój jest treścią naszych dni.*

1961

Rok 1961 jest rokiem zwyczajnym i liczy 365 dni.

CZTERY PORY ROKU

Pory roku: wiosna astronomiczna rozpoczyna się dnia 20 marca, lato astronomiczne dnia 21 czerwca, jesień astronomiczna 23 września, a zima astronomiczna 21 grudnia.

ZACMIENIA SŁOŃCA I KSIĘŻYCA

Zaćmienia słońca i księżyca w roku 1961: 18 lutego przypada całkowite zaćmienie słońca widoczne w Czechosłowacji przed południem, jako zaćmienie częściowe, 2 marca częściowe zaćmienie księżyca, u nas niewidzialne, 11 sierpnia niewidoczne u nas obrączkowe zaćmienie słońca, a 26 sierpnia częściowe zaćmienie księżyca, u nas widoczne po północy.

DWANAŚCIE ZNAKÓW NIEBIESKICH

Znaki wiosenne	Znaki letnie	Znaki jesienne	Znaki zimowe
 Baran	 Rak	 Waga	 Koziorożec
 Byk	 Lew	 Niedźwiadek	 Wodnik
 Bliźnięta	 Panna	 Strzelec	 Ryby

Podane w kalendarium znaki niebieskie oznaczają tę część Zwierzyńca Niebieskiego, w której znajduje się księżyc w południe greenwichskie, tj. o godz. 13 czasu środkowo-europejskiego danego dnia. Wschody i zachody słońca obliczone ściśle z ważnością dla Śląska Cieszyńskiego podane zostały w kalendarium w czasie środkowo-europejskim.





Śląsk — kraj jak ogród: kominów, świerków i jabłoni.



K A L E N D A R I U M				Znaki nieb.	Notatki
1	N	Nowy Rok, Mieczysława	☾	☾	
2	P	Makarego		☾	
3	W	Genowefy		☾	
4	Ś	Anieli, Eugeniusza		☾	
5	Cz	Szymona		☾	
6	P	Trzech Króli, Andrzeja		☾	
7	S	Juliana, Izydora		☾	
8	N	Seweryna, Bogdana	☾	☾	
9	P	Antoniego, Marcjanny		☾	
10	W	Jana, Pawła		☾	
11	Ś	Honoraty		☾	
12	Cz	Ernesta, Czesława		☾	
13	P	Weroniki, Hilarego		☾	
14	S	Feliksa		☾	
15	N	Dąbrowki	☾	☾	
16	P	Włodzimierza		☾	
17	W	Antoniego		☾	
18	Ś	Piotra		☾	
19	Cz	Henryka, Erwina		☾	
20	P	Fabiana, Sebastjana		☾	
21	S	Zgon W. I. Lenina		☾	
22	N	Wincentego	☾	☾	
23	P	Marii, Janusza		☾	
24	W	Tymoteusza		☾	
25	Ś	Pawła		☾	
26	Cz	Polikarpa		☾	
27	P	Jana		☾	
28	S	Karola		☾	
29	N	Franciszka, Waleriana		☾	
30	P	Martyny		☾	
31	W	Piotra, Ludwika	☾	☾	
 Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 7,44, zachód 15,54. Dnia 15-go: wschód 7,38, zachód 16,11. Dnia przybywa o 1 godz. 6 min.					





Z nowym rokiem po radość, zdrowie i piękno!

15 stycznia — Dzień Czechosłowackiej Artylerii.
17 stycznia 1945 — Warszawa wyzwolona przez Armię Radziecką.
21 stycznia — 37 rocznica śmierci W. I. Lenina.



K A L E N D A R I U M			Znaki nieb.	Notatki
1	S	Ignacego, Brygidy	☾	
2	Cz	Marii	☾	
3	P	Błażeja	☾	
4	S	Andrzeja	☾	
5	N	Agaty	☾	
6	P	Doroty	☾	
7	W	Romualda, Ryszarda	☾	
8	S	Jana	☾	
9	Cz	Apolonii	☾	
10	P	Renaty	☾	
11	S	Eufrozyny	☾	
12	N	Grzegorza, Eulalii	☾	
13	P	Katarzyny	☾	
14	W	Walentego	☾	
15	S	Faustyna — Popielec	☾	
16	Cz	Julianny	☾	
17	P	Konstancji, Zbigniewa	☾	
18	S	Symeona, Zuzanny	☾	
19	N	Konrada	☾	
20	P	Leona	☾	
21	W	Feliksa, Eleonory	☾	
22	S	Małgorzaty	☾	
23	Cz	Macieja, Seweryna	☾	
24	P	Florentego	☾	
25	S	Zwyc. csł. ludu Wiktora	☾	
26	N	Bogusława	☾	
27	P	Anastazji, Gabriela	☾	
28	W	Romana	☾	
			Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 7,20, zachód 16,38. Dnia 15-go: wschód 6, 57, zachód 17,03. Dnia przybywa o 1 godz. 35 min.	





Luty coraz rzadziej bywa ostro kuty...

-
- 2 lutego 1943 — zwycięstwo wojsk radzieckich pod Stalingradem.
18 lutego 1929 — 22 rocznica otwarcia V Zjazdu KPC.
25 lutego 1948 — 13 rocznica zwycięstwa ludu pracującego — pamiętny dzień CSRS



K A L E N D A R I U M			Znaki nieb.	Notatki
1	S	Albina	☾	
2	Cz	Heleny, Ludwika	☾	
3	P	Kunegundy	☾	
4	S	Kazimierza, Eugeniusza	☾	
5	N	Euzebiasza, Fryderyka	☾	
6	P	Mariana	☾	
7	W	Tomasza, Felicji	☾	
8	S	Wincentego	☾	
9	Cz	Franciszki, Aleksandra	☾	
10	P	Cypriana	☾	
11	S	Konstantyna, Rozypy	☾	
12	N	Grzegorza	☾	
13	P	Krystyny, Ernesta	☾	
14	W	Matyldy, Bożeny	☾	
15	Ś	Klemensa	☾	
16	Cz	Cyriaka	☾	
17	P	Kornelii, Patrycego	☾	
18	S	Edwarda, Anzelma	☾	
19	N	Józefa	☾	
20	P	Eufanii, Teodozji	☾	
21	W	Benedykta	☾	
22	Ś	Katarzyny	☾	
23	Cz	Pelagii, Zygmunta	☾	
24	P	Gabriela	☾	
25	S	Marii, Ireneusza	☾	
26	N	Teodora	☾	
27	P	Lidii	☾	
28	W	Amalii	☾	
29	Ś	Eustachego, Wiktoryna	☾	
30	Cz	Anieli	☾	
31	P	Balbiny, Amosa	☾	
			Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 6,30, zachód 17,26. Dnia 15-go: wschód 6,00, zachód 17,49. Dnia przybywa o 1 godz. 53 min.	





Ach, te kury! Obarczone kurzą ślepotą nie widzą spoza podwórka wiosny

-
- 2 marca — 137 rocznica urodzin Bedřicha Smetany.
2 marca 1919 — powstaje w Moskwie Międzynarodówka Komunistyczna.
8 marca — Międzynarodowy Dzień Kobiet.
10 marca 1947 — podpisano umowę o przyjaźni i wzajemnej pomocy między ČSR i Polską.
14 marca 1953 — zmarł prezydent republiki tow. Klement Gottwald.
24 marca 1794 — przysięga Kościuszki na rynku Krakowa.
28 marca — Dzień Nauczyciela.



K A L E N D A R I U M			Znaki nieb.	Notatki
1	S	Hugona, Teodora	☆	
2	N	Wielkanoc, Franciszka	☆	
3	P	Poniedz. Wielkan., Ryszarda	☆	
4	W	Izydora, Ambrożego	☆	
5	Ś	Wincentego, Ireny	☆	
6	Cz	Celestyna, Wilhelma	☆	
7	P	Apolonii	☆	
8	S	Dionizego, Krystyny	☆	
9	N	Marii, Dymitra	☆	
10	P	Ezechiela	☆	
11	W	Leona	☆	
12	Ś	Juliusza	☆	
13	Cz	Justyna	☆	
14	P	Waleriana	☆	
15	S	Anastazji, Olimpii	☆	
16	N	Lamberta	☆	
17	P	Rudolfa	☆	
18	W	Apoloniusza	☆	
19	Ś	Leona, Włodzimierza	☆	
20	Cz	Krzysztofa, Agnieszki	☆	
21	P	Szymona	☆	
22	S	Urodz. W. I. Lenina, Łukasza	☆	
23	N	Wojciecha	☆	
24	P	Jerzego	☆	
25	W	Marka, Jarosława	☆	
26	Ś	Zbigniewa, Otona	☆	
27	Cz	Teofila, Zyty	☆	
28	P	Karola	☆	
29	S	Piotra, Sybilli	☆	
30	N	Katarzyny	☆	
			Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 5,23, zachód 18,16. Dnia 15-go: wschód 4,53, zachód 18,38. Dnia przybywa o 1 godz. 44 min.	





I przedwiośnie ma swój urok w prastarej Pradze

-
- 5 kwietnia — 15 rocznica ogłoszenia Programu Koszyckiego.
15 kwietnia 1890 — wielki strajk w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim.
11 kwietnia — Dzień Międzynarodowej Solidarności Bojowników o Wolność.
22 kwietnia — 91 rocznica urodzin W. I. Lenina.
30 kwietnia 1945 — Armia Radziecka wyzwoliła Ostrawę.



K A L E N D A R I U M			Znak nleb.	Notatki
1	P	Święto Pracy	☾	
2	W	Anastazego, Zygmunta	☾	
3	Ś	Antoniny	☾	
4	Cz	Florianą, Moniki	☾	
5	P	Ireny, Waldemara	☾	
6	S	Jana, Bogumiła	☾	
7	N	Augusta	☾	
8	P	Stanisława	☾	
9	W	Święto państw. CSRS	☾	
10	Ś	Izydora	☾	
11	Cz	Mamerta, Wojciecha	☾	
12	P	Pankracego	☾	
13	S	Serwacego	☾	
14	N	Bonifacego	☾	
15	P	Zofii	☾	
16	W	Jana	☾	
17	Ś	Weroniki, Brunona	☾	
18	Cz	Feliksa, Eryka	☾	
19	P	Celestyna	☾	
20	S	Bernarda	☾	
21	N	Heleny	☾	
22	P	Julii	☾	
23	W	Dezyderiusza, Iwony	☾	
24	Ś	Joanny	☾	
25	Cz	Urbana, Jarosława	☾	
26	P	Filipa, Mieczysława	☾	
27	S	Jana, Lucjana	☾	
28	N	Magdaleny	☾	
29	P	Teodozji	☾	
30	W	Ferdynanda, Hilarego	☾	
31	S	Petroneli, Anieli	☾	



Wschody i zachody słońca:

Dnia 1-go: wschód 4,23, zachód 19,03.

Dnia 15-go: wschód 4,00, zachód 19,23.

Dnia przybywa o 1 godz. 21 min.



Socjalizm jest młodością świata

-
- 1 maja — Święto Pracy.
 - 2 maja 1945 — Armia Radziecka zdobyła Berlin.
 - 9 maja — Święto Państwowe Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej (16 rocznica wyzwolenia przez Armię Radziecką).
 - 14 maja — 40 rocznica założenia KPC.



K A L E N D A R I U M			Znaki nieb.	Notatki
1	Cz	Gracjana, Nikodema	☾	
2	P	Erazma	☾	
3	S	Klotyldy	☾	
4	N	Kwiryna	☾	
5	P	Florencji	☾	
6	W	Norberta, Benigna	☾	
7	Ś	Robert	☾	
8	Cz	Medarda	☾	
9	P	Felicjana	☾	
10	S	Małgorzaty	☾	
11	N	Barnaby, Bazylego	☾	
12	P	Onufrego	☾	
13	W	Antoniego	☾	
14	Ś	Wasyła	☾	
15	Cz	Wita, Johanny	☾	
16	P	Zenona, Aliny	☾	
17	S	Lecha, Adolfa	☾	
18	N	Marka	☾	
19	P	Gerwazego, Protazego	☾	
20	W	Reginy	☾	
21	Ś	Alojzego, Marty	☾	
22	Cz	Pauliny	☾	
23	P	Wandy	☾	
24	S	Jana	☾	
25	N	Prospera	☾	
26	P	Jana i Pawła	☾	
27	W	Władysława	☾	
28	Ś	Ireneusza	☾	
29	Cz	Piotra i Pawła	☾	
30	P	Emilii, Lucyny	☾	
			Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 3,41, zachód 19,44. Dnia 15-go: wschód 3,35, zachód 19,55. Do 21 czerwca przybywa dnia o 20 min., do końca czerwca ubywa dnia o 4 min.	





W Beskidach odżyły tradycje szalaśnictwa

1 czerwca — Międzynarodowy Dzień Dziecka.
10 czerwca — 19 rocznica zagłady Lidic.



K A L E N D A R I U M			Znaki nieb.	Notatki
1	S	Haliny		
2	N	Marii		
3	P	Heliodora, Kornela		
4	W	Prokopa		
5	Ś	Cyryla i Met. Pam. dzień CSRS ☾		
6	Cz	Jana Husa		
7	P	Estery, Lecha		
8	S	Kiliana, Prokopa		
9	N	Weroniki, Anatolii		
10	P	Amalii		
11	W	Pelagii		
12	Ś	Jana ☾		
13	Cz	Małgorzaty		
14	P	Bonewentury, Ziemowita		
15	S	Henryka		
16	N	Marii, Ruty		
17	P	Aleksego		
18	W	Szymona, Karoliny		
19	Ś	Wincentego ☾		
20	Cz	Eliasz		
21	P	Daniela		
22	S	Marii Magdaleny, Bolesława		
23	N	Apolinarego		
24	P	Krystyny, Cyriaka		
25	W	Jakuba, Krzysztofa		
26	Ś	Anny, Grażyny		
27	Cz	Natalii, Marty ☾		
28	P	Innocentego		
29	S	Marty, Olgi		
30	N	Heleny		
31	P	Ignacego		
			Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 3,39, zachód 19,58. Dnia 15-go: wschód 3,51, zachód 19,49. Dnia ubywa o 1 godz. i 1 min.	



Polska Ludowa ma nie tylko okno, lecz szeroką bramę na świat

-
- 3 lipca — Międzynarodowy Dzień Spółdzielczy.
 - 5 lipca — słowiańscy apostołowie Cyryl i Metody — pamiętny dzień CSRS.
 - 6 lipca — spalenie mistrza Jana Husa — pamiętny dzień CSRS.
 - 22 lipca — Święto Państwowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.



K A L E N D A R I U M			Znaki nleb.	Notatki
1	W	Piotra, Wiery	☾	
2	Ś	Alfonsa, Gustawa		
3	Cz	Szczepana, Augusta		
4	P	Dominika		
5	S	Marii, Oswalda		
6	N	Jakuba, Sykstusa	☾	
7	P	Kajetana, Donata		
8	W	Emiliana, Krystyny		
9	Ś	Romana		
10	Cz	Wawrzyńca		
11	P	Zuzanny		
12	S	Klary	☾	
13	N	Hipolita, Kasjana		
14	P	Euzebiusza, Sylwii		
15	W	Marii		
16	Ś	Joachima, Rocha		
17	Cz	Mirona, Anastazego		
18	P	Heleny		
19	S	Benigny, Emanuela	☾	
20	N	Bernarda		
21	P	Joanny, Wiesława		
22	W	Tymoteusza		
23	Ś	Filipa		
24	Cz	Bartłomieja		
25	P	Ludwika		
26	S	Aleksandra, Zefiryna		
27	N	Róży, Mariana	☾	
28	P	Augustyna		
29	W	Słow. powst. Pam. dzień CSRS		
30	Ś	Feliksa		
31	Cz	Rajmunda, Hilarii		



Wschody i zachody słońca:

Dnia 1-go: wschód 4,13, zachód 19,29.

Dnia 15-go: wschód 4,33, zachód 19,05.

Dnia ubywa o 1 godz. 40 min.



Na spółdzielczych polach grają traktory

-
- 15 sierpnia — Święto Państwowe Koreańskiej Republiki Ludowej.
18 sierpnia — Dzień Kolejarzy Czechosłowackich.
23 sierpnia — Święto Państwowe Rumuńskiej Republiki Ludowej.
29 sierpnia — 17 rocznica Słowackiego Powstania Narodowego.



K A L E N D A R I U M			Znak nieb.	Notatki
1	P	Bronisławy, Idziego	☾	
2	S	Stefana, Adeli		
3	N	Eufrazyny, Izabeli	☾	
4	P	Rozalii		
5	W	Urbana, Wawrzyńca		
6	S	Zachariusza, Bolesława		
7	Cz	Reginy		
8	P	Marii		
9	S	Piotra, Sergiusza		
10	N	Mikołaja	☾	
11	P	Prota, Jacka		
12	W	Tobiasza, Gwidona		
13	Ś	Filipa, Eugenii		
14	Cz	Bernarda		
15	P	Nikodema		
16	S	Kornela, Ludmiły		
17	N	Justyny	☾	
18	P	Tomasza, Tytusa		
19	W	Januarego, Konstancji		
20	Ś	Eustachego		
21	Cz	Mateusza		
22	P	Maurycego		
23	S	Tekli		
24	N	Mieczysława, Gerarda	☾	
25	P	Kleofasa		
26	W	Józefata, Cypriana		
27	Ś	Kosmy, Damiana		
28	Cz	Wacława		
29	P	Michała		
30	S	Hieronima		
			Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 4,59, zachód 18,30. Dnia 15-go: wschód 5,20, zachód 18,00. Dnia ubywa o 1 godz. 46 min.	



9 września — święto najbardziej zasłużone: Dzień Górnika

- 1 września — 22 rocznica napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę.
7 września — Dzień Lotnictwa Czechosłowackiego.
8 września — 18 rocznica śmierci J. Fućka.
9 września — Dzień Górnika.
Święto Państwowe Bułgarskiej Republiki Ludowej.
21 września — Dzień Prasy.
30 września — 23 rocznica zdrady monachijskiej.



K A L E N D A R I U M			Znaki nieb.	Notatki
1	N	Remigiusza, Benigna	☾	
2	P	Teofila	☾	
3	W	Terezy, Lukrecji	☾	
4	S	Franciszka	☾	
5	Cz	Arnolda, Flawii	☾	
6	P	Romana, Artura	☾	
7	S	Justyny, Szczęsnego	☾	
8	N	Brygidy, Pelagii	☾	
9	P	Dionizego	☾	
10	W	Franciszka	☾	
11	S	Brunona, Emila	☾	
12	Cz	Maksymiliana	☾	
13	P	Edwarda, Bogumiła	☾	
14	S	Kaliksta	☾	
15	N	Jadwigi	☾	
16	P	Gawła	☾	
17	W	Małgorzaty, Florentego	☾	
18	S	Lukasza	☾	
19	Cz	Urszuli	☾	
20	P	Ireny, Eunicji	☾	
21	S	Korduli	☾	
22	N	Jana	☾	
23	P	Rafała, Seweryna	☾	
24	W	Piotra, Salomei	☾	
25	S	Darii	☾	
26	Cz	Ewarysta	☾	
27	P	Sabiny	☾	
28	S	Dzień Unarodowienia, Tadeusza	☾	
29	N	Narcyza	☾	
30	P	Klaudiusza	☾	
31	W	Lucylli	☾	
 Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 5,47, zachód 17,25. Dnia 15-go: wschód 6,06, zachód 16,55. Dnia ubywa o 1 godz. 48 min.				



Październik — Miesiąc Oświaty, Książki i prasy

-
- 1 października — Święto Państwowe Chińskiej Republiki Ludowej.
6 października — Dzień Armii Czechosłowackiej.
7 października — Święto Państwowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej.
12 października — Dzień Wojska Polskiego.
17 października — 112 rocznica śmierci Fryderyka Chopina.
28 października — Dzień Unarodowienia.

LISTOPAD

K A L E N D A R I U M			Znaki nieb.	Notatki
1	Ś	* Święto Zmarłych	☾	
2	Cz	Bogdana		
3	P	Huberta, Bogumiła		
4	S	Karola, Emeryka		
5	N	Zachariusza, Elżbiety	☾	
6	P	Lidii, Leonarda		
7	W	W. Soc. Rew. Paźdz.		
8	Ś	Wiktorii		
9	Cz	Teodora		
10	P	Andrzeja		
11	S	Marcina		
12	N	Jonasza, Witolda	☾	
13	P	Stanisława		
14	W	Serafina		
15	Ś	Gertrudy, Leopolda		
16	Cz	Edmunda		
17	P	Hugona, Salomei		
18	S	Romana, Aurelii		
19	N	Elżbiety	☾	
20	P	Feliksa		
21	W	Marii, Alberta		
22	Ś	Cecylii		
23	Cz	Klemensa		
24	P	Jana, Emilii		
25	S	Katarzyny		
26	N	Konrada	☾	
27	P	Waleriana		
28	W	Zdzisława		
29	Ś	Waltera		
30	Cz	Andrzeja		

Wschody i zachody słońca:

Dnia 1-go: wschód 6,34, zachód 16,23.

Dnia 15-go: wschód 6,57, zachód 16,02.

Dnia ubywa o 1 godz. 22 min.





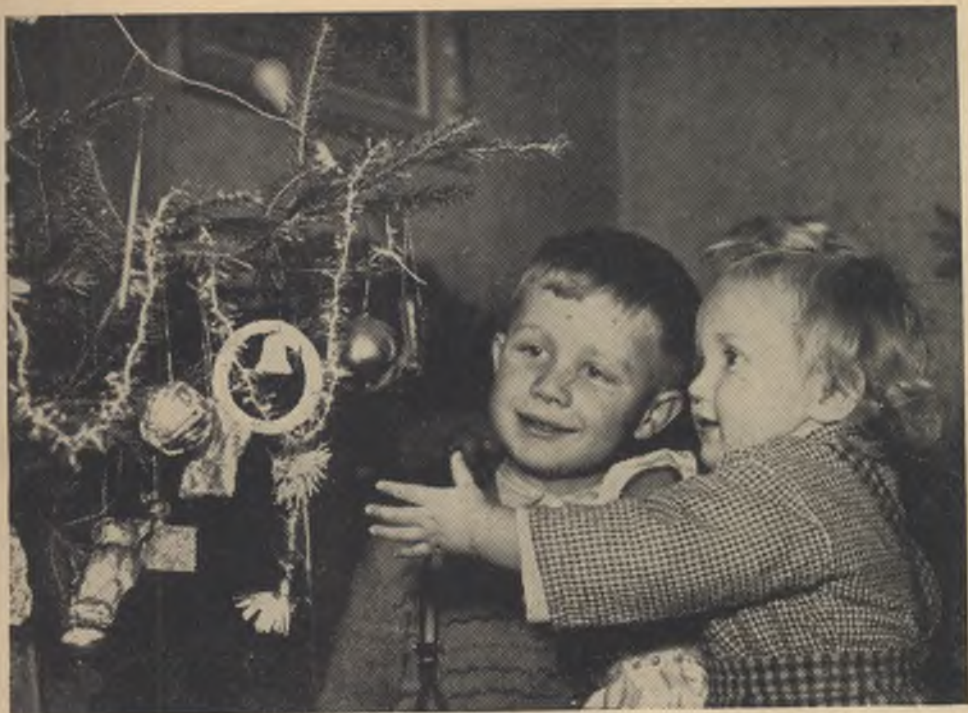
Hawierzów — miasto młodych, rośnie z dnia na dzień

-
- 7 listopada — 44 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.
10 listopada — Międzynarodowy Dzień Młodzieży.
17 listopada — Międzynarodowy Dzień Studentów.



K A L E N D A R I U M			Znaki nleeb.	Notatki
1	P	Eligiusza, Natalii	☿	
2	S	Aurelii		
3	N	Franciszka, Kasjana	☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿	
4	P	Barbary		
5	W	Saby		
6	Ś	Mikołaja		
7	Cz	Ambrożego, Agaty		
8	P	Marli		
9	S	Leokadia, Joachima		
10	N	Judyty	☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿	
11	P	Damazego, Danuty		
12	W	Zenona, Adelajdy		
13	Ś	Łucji, Otylii		
14	Cz	Alfreda		
15	P	Waleriana, Celiny		
16	S	Albina		
17	N	Łazarza	☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿	
18	P	Gracjana, Bogusława		
19	W	Urbana		
20	Ś	Dominika, Juliusza		
21	Cz	Tomasza		
22	P	Aleksego, Beaty		
23	S	Wiktorii		
24	N	Adama i Ewy	☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿ ☿	
25	W	Boże Narodzenie		
26	W	Szczepana		
27	Ś	Jana		
28	Cz	Antoniego		
29	P	Dominika		
30	S	Dawida		
31	N	Sylwestra, Melanii	☿	
 Wschody i zachody słońca: Dnia 1-go: wschód 7,21, zachód 15,47. Dnia 15-go: wschód 7,37, zachód 15,43. Do dnia 24 grudnia ubywa dnia o 22 min., następnie do końca grudnia przybywa o 4 min.				





No powiedz, braciszku, czy nie piękna choinka?!

-
- 10 grudnia — towarzysz Antonin Novotný, I sekretarz KC KPC i prezydent Republiki obchodzi 57 urodziny.
12 grudnia — 18 rocznica zawarcia umowy o sojuszu, przyjaźni i wzajemnej pomocy między CSRS i ZSRR.
24 grudnia 1798 — urodził się Adam Mickiewicz.

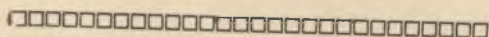


VÍTEZSLAV NEZVAL:

Dla ciebie Prago...

Ze zbioru: Chabry i miasta

Przekład: JÓZEF RASZYK



Ciężko, Prago, z Tobą zegnać się przy-
chodzi,
zegnać Twe Hradczany, Twego Miko-
łaja,
Twoje jaskółeczki ślizgające codzień
wokół wież strzelistych w dni pachnące
majem.
Jak się zrzec widoków, które daje Pe-
trzyn?
Nigdy się nie mogłem pięknem Twym
nasyć.
Jak się zrzec Włtawy, która wody
piętrzy,
błyszczący w łuskach rybek przy słonecz-
nym świetle.
Jakże mam opuścić okien Twych ty-
siące,
za którymi żyją ludzie mi bliźniaczy,
dachy Twoje rdzawe, Twoich dzwonów
koncert —
wszystko to poezja tchnieniem swoim
znaczy.
Ciężko, Prago, ludziom, kiedy się zega-
niają,
ciężko rzec ostatnie, pożegnalne słowo.
Dla Twej kraszy, Prago, perło w naszym
kraju —
chciałbym znów się zrodzić, chciałbym
żyć na nowo!

Konstytucja Socjalistycznej Republiki



My, lud pracujący Czechosłowacji, uroczystie oświadczamy:

Ustrój społeczny, o który walczyły całe pokolenia naszych robotników i innych ludzi pracy i który od chwili zwycięstwa Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej miały przed oczyma jako wzór, nabrał pod przewodnictwem Komunistycznej Partii Czechosłowacji kształtów rzeczywistości również w naszym kraju.

Socjalizm odniósł w naszym kraju całkowite zwycięstwo!

Wkroczyliśmy w nowy okres naszej historii i zdecydowani jesteśmy dążyć dalej, do nowych, jeszcze wyższych celów. Kończymy budownictwo socjalizmu, przechodzimy do budowania rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego i gromadzimy siły do przejścia do komunizmu.

Na drodze tej będziemy kroczyć ramie w ramie z naszym wielkim sojusznikiem, bratnim Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich oraz ze wszystkimi pozostałymi zaprzyjaźnionymi krajami światowego systemu socjalistycznego, którego Republika nasza jest mocnym ogniwem.

Pragniemy żyć w warunkach pokoju i przyjaźni ze wszystkimi narodami świata, przyczyniać się do pokojowego współistnienia i do dobrych stosunków między państwami o różnym ustroju społecznym. Taką polityką oraz wszechstronnym rozkwitem naszego kraju pomożemy przekonać wszystkie narody o wyższości socjalizmu jako jedynej drogi prowadzącej do szczęścia i dobrobytu całej ludzkości.

*

Tak brzmi „Oświadczenie wstępne” projektu nowej Konstytucji Republiki Czechosłowackiej, omówione na posiedzeniu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji w dniach 7 i 8 kwietnia 1960 r. Jak zawsze, kiedy chodzi o poważną sprawę dotyczącą życia naszej republiki, Komunistyczna Partia Czechosłowacji przedstawiła projekt nowej Konstytucji do wypowiedzenia się masom pracującym. Dyskusja ogólnonarodowa nad projektem Konstytucji, która toczyła się we wszystkich zakładach pracy, w miastach i na wsi, na zgromadzeniach publicznych, na zebraniach organizacji masowych, ujawniła raz jeszcze cechę charakterystyczną

demokracji socjalistycznej, dowiodła, że lud bierze udział w zarządzaniu państwem nie tylko za pośrednictwem posłów, ale że uczestniczy również w omawianiu najważniejszych projektów. 84-osobowa komisja, jaka utworzona została dla kierowania dyskusją ogólnonarodową oraz przygotowania ostatecznego projektu Konstytucji, otrzymała tysiące uwag od ludności. Owe demokratyczne warunki powstania nowej Konstytucji zostały podkreślone przez fakt, że dyskusja ogólnonarodowa stała się częścią składową kampanii przed wyborami do rad narodowych wszystkich szczebli, do Słowackiej Rady Narodowej oraz do Zgromadzenia Narodowego. Omówienie i uchwalenie nowej Konstytucji było jednym z pierwszych zadań nowego Zgromadzenia Narodowego, wybranego 12 czerwca 1960 roku.

Przyjęcie nowej Konstytucji jest doniosłym wydarzeniem w życiu naszej ojczyzny, konstytucja bowiem jest dokumentem, w którym zakotwiczone są podstawowe zasady ustroju społecznego i państwowego.

Jak oświadczył w swym referacie o projekcie nowej Konstytucji, wygłoszonym na posiedzeniu KC KPC w dniach 7 i 8 kwietnia 1960 r. pierwszy sekretarz KC KPC i prezydent Republiki Czechosłowackiej Antonín Novotný, we wszystkich dziedzinach naszej gospodarki narodowej, a więc i w rolnictwie, zwyciężyły i ugruntowały się socjalistyczne stosunki produkcji. W związku z tym zmieniła się również struktura klasowa naszego społeczeństwa, z którego klasa wyzyskiwaczy została usunięta. Wzrosła nie tylko liczebność klasy robotniczej, ale i jej uświadomienie socjalistyczne. Ugruntowała się jej kierownicza rola, w społeczeństwie wzrósł jej decydujący wpływ na wszystko, co dzieje się w naszym kraju. Sojusz robotników, chłopów i inteligencji pracującej jeszcze bardziej się umocnił. Jednocześnie stwarzamy warunki najszerszego stosowania zasad demokracji socjalistycznej.

Socjalistyczne stosunki wytwórcze przyczyniły się do rozmachu gospodarki narodowej. Przez pomyślne wykonanie drugiego planu pięcioletniego roz-

woju gospodarki narodowej, już w roku bieżącym budownictwo bazy materialno-wytwórczej socjalizmu będzie w zasadzie zakończone. Stworzyliśmy zatem niezbędne przesłanki dalszego rozwoju produkcji przemysłu i rolnictwa oraz dalszego wzrostu poziomu materialnego i kulturalnego mas pracujących, dalszego rozwoju społeczeństwa socjalistycznego.

W referacie swym towarzysz Novotný podkreślił, że wkracamy obecnie w nowy etap rozwoju naszego społeczeństwa, etap budownictwa rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, na którym równoległe z końcową fazą budownictwa socjalizmu stwarzać będziemy warunki dla późniejszego stopniowego przejścia do budownictwa komunistycznego.

Na obecnym etapie skierujemy nasze wysiłki na wykonanie zadań, których realizacja jest niezbędnym warunkiem osiągnięcia tego celu.

W centrum naszej uwagi stać będzie przede wszystkim sprawa dalszego utrwalenia i rozbudowania socjalistycznych stosunków produkcji, dalszego szybkiego rozwoju sił wytwórczych, dalszego wszechstronnego pogłębienia i usprawnienia planowanego zarządzania gospodarką narodową. Naczelnym zadaniem, jakie stoi przed nami do wykonania obok szerokofrontowego wprowadzania najbardziej postępowej techniki w przemyśle jest usunięcie dysproporcji między przemysłem a rolnictwem, jaka powstała w wyniku nierównomiernego rozwoju tych gałęzi produkcji w okresie kapitalizmu.

Nieodłącznym elementem rozwoju społeczeństwa socjalistycznego będzie w dalszym ciągu konsekwentne wykonywanie zadań w dziedzinie rewolucji kulturalnej. Procesowi urabiania świadomości socjalistycznej towarzyszyć musi jeszcze szybsze niż dotąd rozpowszechnianie wiadomości naukowych i fachowych.

Wszechstronny rozwój gospodarczy i kulturalny naszego kraju będzie nadal związany nierozdzielnie z dalszym pogłębianiem i doskonaleniem demokracji socjalistycznej, z coraz szerszym udziałem ludzi pracy w zarządzaniu państwem i gospodarką narodową.



Tych dwóch mężów stanu łączy nie tylko serdeczna przyjaźń, lecz i wspólna troska o pokój

Tak przedstawia się w głównych rysach stan obecny i perspektywy dalszego rozwoju naszego społeczeństwa, dla którego nowa Konstytucja ma stworzyć mocne podstawy.

W nowej Konstytucji zostały zakotwiczone podstawowe przemiany w dziedzinie władzy państwowej i ekonomiki, jakie dokonały się w naszym kraju w ostatnim okresie — istnienie dyktatury proletariatu, sojusz robotników, chłopów i inteligencji pracującej oraz gospodarka planowa opierająca się na własności socjalistycznej.

Nowa Konstytucja nie ogranicza się jedynie do tradycyjnego stwierdzenia praw i obowiązków obywateli, do zagadnień z zakresu organizacji politycznej państwa czy do zasad działalności ustawodawczej, ale obejmuje całą problematykę związaną z przeobrażeniami i rozwojem naszego społeczeństwa. Konstytucja podkreśla przede wszystkim kierowniczą rolę Komunistycznej Partii

Czechosłowacji. Komunistyczna Partia Czechosłowacji jako awangarda klasy robotniczej jest głosicielką i realizatorką socjalistycznego, a później komunistycznego kierowania rozwojem społeczeństwa, opartym na głębokim zrozumieniu i świadomym wykorzystywaniu obiektywnych praw. Opierając się na naukowych zasadach określa kierunek rozwoju naszego społeczeństwa, organizuje i prowadzi masy pracujące do urzeczywistnienia idei budownictwa socjalizmu i komunizmu.

Nowa Konstytucja stwierdza jasno i wyraźnie, że Czechosłowacja należy do światowego systemu socjalistycznego, że kierujemy się konsekwentnie zasadami internacjonalizmu proletariackiego, że dążymy do przyjaznych stosunków ze wszystkimi narodami, że walczymy o zapewnienie trwałego pokoju na świecie.

Demokratyczny charakter naszego socjalistycznego państwa wyraża się tym,

że władza w państwie należy do ludu pracującego, że lud ten istotnie ją wykonuje lub współdziała w jej wykonywaniu. Charakter ten wyrażony był już w poprzedniej Konstytucji 9 Maja. Ale wobec realizowanych już przemian socjalistycznych w dziedzinie polityki, ekonomiki i kultury, nowa Konstytucja odzwierciedlać musi ową charakterystyczną cechę socjalistycznego ustroju społecznego znacznie mocniej i wyraźniej. Wychodzimy z tego, że rozwój państwowości socjalistycznej zmierza u nas w kierunku przyszłego samorządu komunistycznego.

Nowa Konstytucja podkreśla, że uspołecznienie podstawowych środków produkcji, planowane kierowanie całą gospodarką narodową oraz świadoma współpraca wszystkich obywateli zapewnia szybki rozwój produkcji i nieustanny wzrost poziomu życiowego mas pracujących. Nowa Konstytucja odzwierciedla również główne cechy socjalistycznego systemu ekonomicznego, takie, jak planowy rozwój produkcji, socjalistyczny sposób podziału dóbr materialnych, istnienie dwóch form socjalistycznej własności środków produkcji, istnienie własności osobistej obywateli oraz główne zasady organizacji gospodarki narodowej i jej zarządzenia.

Obok charakterystyki ustroju społeczno-gospodarczego Konstytucja określa również zadania perspektywicznego rozwoju państwa w celu wszechstronnego i pełniejszego wyrażenia istoty i celów wszelkich naszych poczynąń. Państwo polityką swą winno przyczyniać się do zapewnienia pomyślnego rozwoju społeczeństwa socjalistycznego i do stworzenia możliwości stopniowego przejścia do budownictwa komunizmu. Znaczy to, że musi ono zrealizować tak poważne zadania, jak stopniowe zacieranie różnicy między miastem a wsią, między pracą fizyczną a umysłową, jak nieustanne wciąganie coraz szerszych mas ludowych do rządzenia państwem.

Projekt nowej Konstytucji wychodzi z tego, że w organizacji politycznej państwa oraz w całym życiu społeczeństwa ma swoje stałe usprawiedliwienie miejsce Front Narodowy Czechów i Słowaków jako wyraz polityczny sojuszu mas pracujących miast i wsi pod przewod-

nietwem Komunistycznej Partii Czechosłowacji.

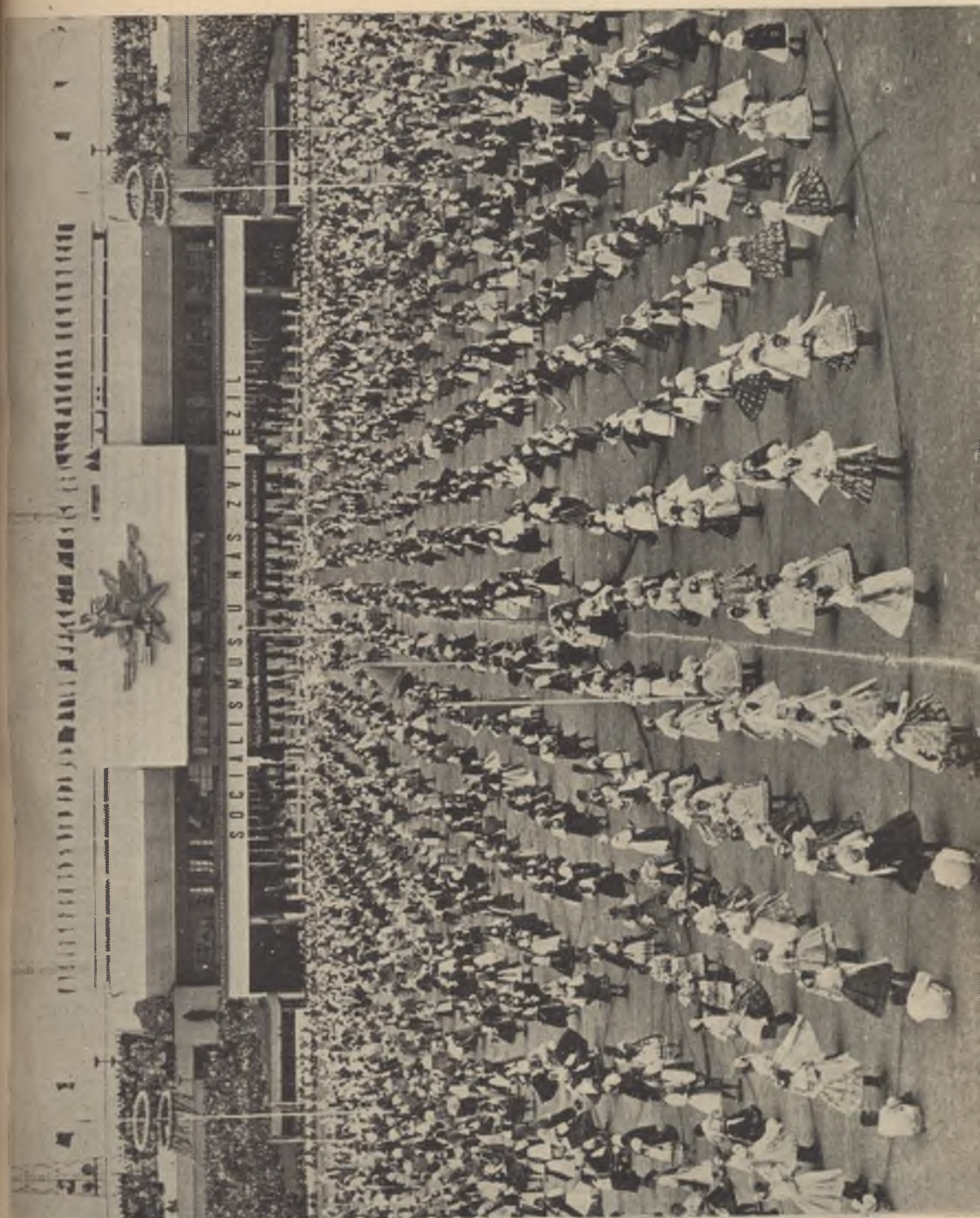
Całą Konstytucję wypełnia myśl nieustannego rozwoju i pogłębiania udziału mas pracujących w wykonywaniu władzy państwowej, w rządzeniu państwem i kierowaniu rozbudową gospodarki i kultury. Rola organów wybieranych przez lud — Zgromadzenia Narodowego, Słowackiej Rady Narodowej oraz rad narodowych wszystkich szczebli będzie stale wzrastać.

Obok rozszerzenia demokracji socjalistycznej w projekcie nowej Konstytucji zakotwiczone zostało konsekwentne wcielanie w życie zasad centralizmu demokratycznego w rządzeniu państwem. Znaczenie leninowskiej zasady szerokiego demokratyzmu przed podjęciem każdej decyzji i pełnego respektowania przyjętych uchwał przez ogół społeczeństwa będzie nieustannie wzrastać.

Odpowiednio do osiągniętego stopnia rozwoju naszego socjalistycznego państwa i socjalistycznej gospodarki, nowa Konstytucja reguluje pozycję i organizację słowackich organów narodowych, a przede wszystkim Słowackiej Rady Narodowej. Do całkowitego równoprawnienia Czechów i Słowaków w dziedzinie politycznej doszło obecnie wyrównanie poziomu ekonomicznego w całym szeregu dziedzin. Usunięto wiekowe zacofanie Słowacji, która pod względem ekonomicznym, politycznym i kulturalnym stanowi obecnie dobrze rozwiniętą część Republiki Czechosłowackiej. W procesie socjalistycznego uprzemysłowienia oraz w wyniku uspołdzielczenia rolnictwa zmieniła się struktura klasowa ludności na Słowacji. Wszystko to przyczyniło się do znacznego zatarcia różnic występujących w dawniejszym okresie między okręgami czeskimi i słowackimi.

Uregulowanie roli i pozycji słowackich organów narodowych, jakie znalazło wyraz w Konstytucji, będzie miało wielki wpływ na wykonanie zadań związanych z dalszym rozwojem Słowacji, który zgodnie z przewidywaniami

*Spartakiada — wielkie święto kultury fizycznej
naszego ludu.* →



mi planów perspektywicznych ma już w roku 1975 doprowadzić do jednakowego stopnia rozwoju sił wytwórczych i do zapewnienia równomiernego wzrostu poziomu materialnego i kulturalnego ludności na terenie całej Republiki Czechosłowackiej. W ten sposób stworzymy nowe przesłanki jeszcze większego zbliżenia obu naszych socjalistycznych narodów.

Nowa Konstytucja poświęca wiele uwagi i miejsca postanowieniom dotyczącym praw i obowiązków obywateli. Znajduje w nich odzwierciedlenie rola, jaka w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego przypada w udziale inicjatywie mas pracujących i każdej jednostce. W społeczeństwie ludzi pracy, wyzwolonych od wyzysku, rozwój i interesy poszczególnych jego członków pokrywają się z rozwojem, dążeniami i interesami ogółu. Prawa, wolności demokratyczne i obowiązki obywateli umożliwiają więc pełny rozwój indywidualny jednostki i jednocześnie służą interesom ogółu, społeczeństwa, rozszerzając się i pogłębiając w miarę jego rozwoju.

Wszyscy obywatele mają równe prawa i równe obowiązki. Realizację tego równouprawnienia w praktyce zapewnia się przez stwarzanie dla wszystkich obywateli jednakowych możliwości we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Uwydatnia się to szczególnie jaszkrawo w życiu młodego pokolenia, które ma wszelkie możliwości odpowiedniego przygotowania się do czekających go zadań.

Każdemu obywatelowi przysługuje prawo do pracy i do sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę, prawo do odpoczynku, do ochrony zdrowia i do pomocy lekarskiej w razie choroby, do zabezpieczenia na starość i w razie utraty zdolności do pracy. Prawo do nauki zapewnione jest w takim zakresie, jaki dla człowieka pracy w kraju kapitalistycznym jest niedosiężnym marzeniem. Prawa te, charakteryzujące w sposób dostatecznie przekonujący sens naszych dążeń do polepszenia bytu człowieka pracy, są prawami rzeczywistymi, zagwarantowanymi przez cały nasz ustrój społeczno-ekonomiczny. Pozostałe prawa przysługujące naszym obywatelom,

tradycyjnych wolności demokratycznych i swobód osobistych nie wyłączając, również znalazły się w Konstytucji. Postanowienia dotyczące praw obywateli dowodzą w sposób nad wyraz przekonujący prawdziwego humanizmu naszego społeczeństwa i jego przewagi nad kapitalistycznym.

Nowa Konstytucja nakłada też na obywateli podstawowe obowiązki, na pierwszym miejscu stawiając pracę dla dobra ogółu oraz obowiązek najszlachetniejszy — obrony socjalistycznej ojczyzny.

Nowa Konstytucja opiera się na dotychczasowych osiągnięciach budownictwa socjalistycznego w naszej ojczyźnie, na doświadczeniach walki o socjalizm i na ich podstawie zabezpiecza dalszy rozwój naszego kraju. Nawiązuje do wszystkich postępowych tradycji naszej przeszłości i wykazuje wszystko, co może nam dziś i w przyszłości służyć do pomyślnego kierowania dalszym rozwojem społeczeństwa socjalistycznego. Nawiązuje do Konstytucji 9 Maja i zachowuje w państwowo-prawnej organizacji społeczeństwa wszystko, co przyczyniało się do jego dotychczasowego rozwoju, co zdało egzamin praktyczny.

Nowa Konstytucja określa jasno rolę Zgromadzenia Narodowego jako najwyższego przedstawiciela władzy państwowej i kładzie większy nacisk na roboczy charakter jego działalności, na działalność kontrolną Zgromadzenia Narodowego i jego organów, podnosi odpowiedzialność organów władzy państwowej przed Zgromadzeniem Narodowym.

Nowa Konstytucja zachowuje urząd prezydenta republiki, gdyż w oczach ludu pracującego urząd ten stał się cechą charakterystyczną państwa czechosłowackiego i posiada swoje głębokie znaczenie również z punktu widzenia polityki międzynarodowej.

Nowa Konstytucja utrwali w ten sposób i dalej rozwinie nowe socjalistyczne tradycje naszego życia państwowego, politycznego i publicznego, wyrastające z naszej pracy i walki na drodze zwycięskiego budownictwa socjalizmu oraz dalszego rozwoju społeczeństwa socjalistycznego w Czechosłowacji.

Ile zarobiłby świat na rozbrojeniu

Rozbrojenie staje w centrum uwagi polityków świata. Fakt, że problem ten ponownie wysunięty został przez przywódcę mocarstwa socjalistycznego — premiera Chruszczowa — bezpośrednio w ONZ, grupującej niemal wszystkie państwa, daje nowy impuls rozmowom na ten doniosły temat. Pozwala to również snuć nadzieje co do możliwości zasadniczego złagodzenia sytuacji międzynarodowej. W określonym przez ZSRR terminie, można by przecież uwolnić narody od grozy straszliwego niebezpieczeństwa wojen współczesnych, od ewentualnego użycia w celach niszczycielskich rakiet i bomb wodorowych. ZSRR proponuje całkowite rozbrojenie. A więc nie traktaty, pakt czy zapewnienia o nieużyciu broni lecz materialny fakt usunąłby wszelkie zagrożenia. Na całym świecie nie byłoby czym wojen prowadzić.

W ciągu ostatnich 45 lat ludzkość wydała na zbrojenia i przygotowania do wojen astronomiczną sumę 12 trylionów rubli. Przełaziło się morze krwi. Te wojny, to 32 miliony mogił,

ruiny fabryk, zburzone wsie i miasta. Nie licząc już krzywdy moralnej i psychicznej, jaką przeżyła ludzkość. Wszak tego na dolary przeżyć się nie da...

A gdyby świat przyjął propozycję premiera Chruszczowa o powszechnym rozbrojeniu, gdyby rozwiązano wszystkie armie?

Zastanówmy się, na co można by obrócić kwoty wydatkowane teraz na zbrojenia.

Według obliczeń pobieżnych, 100 milionów ludzi przesłoby do pokojowej produkcji, nie licząc specjalistów i fachowców, którzy swe usługi oddaliby siłą rzeczy dla potrzeb narodu. 100 miliardów dolarów rocznie można by przeznaczyć na cele pokojowe: rozwój służby zdrowia, szkolnictwa, kultury... Za 100 miliardów dolarów można by w każdym roku wybudować 10

milionów domków jednorodzinnych.

Same Stany Zjednoczone wydają na zbrojenia kilkadziesiąt milionów dolarów rocznie. Za pieniądze te, z materiałów wymienionych na produkcję wojenną, robotnicy i inżynierowie USA mogliby wyprodukować tyle maszyn i fabryk dla zafabrykowanych krajów Afryki i Ameryki Południowej, że wszystkie kraje tych kontynentów za 14 lat zrównałyby się pod względem rozwoju gospodarczego i stopy życiowej z ludnością Stanów Zjednoczonych.

Na całym świecie można by wprowadzić powszechne średnie wykształcenie. Obecnie 135 milionów dzieci w różnych krajach omija progi szkoły. Dla dzieci tych można by zbudować pół miliona szkół kosztem 750 miliardów rubli.

**DROGO ZOSTAŁO OKUPIONE
ZWYCIĘSTWO**



POLSKA 6 000 000
ZABIITYCH



ZSRR 7 000 000
ZABIITYCH



ANGLIA 300 000
ZABIITYCH



USA 270 000
ZABIITYCH

Można by niemal całkowicie zapewnić opiekę lekarską. 776 miliardów rubli wystarczyłoby dla wykształcenia około 8 milionów lekarzy. Wówczas na całej kuli ziemskiej jeden lekarz przypadłby na 300 mieszkańców. Suma 776 miliardów rubli obejmuje koszty budowy nowych szpitali, sanatoriów i innych obiektów leczniczych.

Po zrównaniu poziomu gospodarki krajów zafacanych pod względem ekonomiki z poziomem krajów przodujących i po wprowadzeniu obowiązku powszechnego ukończenia szkoły średniej na całym g'obie ziemskim — nauka i technika mogłyby dokonać cudów, o jakich dziś możemy tylko marzyć.

Pewien inżynier francuski obliczył bowiem, że na to, aby na martwych pustyniach Palestyny zakwitły sady owocowe, aby szlaki karawan pokryła soczysta trawa, należy połączyć Morze Martwe z Morzem Śródziemnym, przegrodzić tamą wody rzeki Jordan i wykorzystać je do nawodnienia pustyni, trzeba by wydatkować sumę, jaką dziś wszystkie kraje przeznaczają na zbrojenia zaledwie w ciągu jednego dnia. Każdego dnia świat zbroi się kosztem 800 milionów.

Albo weźmy inny przykład. Za 70 miliardów rubli (koszt rocznych wydatków na obronę USA i Związku Radzieckiego) można by zbudować w Cieśninie Beringa tamę łączącą Azję z Ameryką. Grenlandia mogłaby się stać zie'oną wyspą. Radykalnej zmianie uległby klimat Syberii, Alaski i północnej Kanady.

Kosztem 30—40 milionów rubli, a więc jednej dziesiątej rocznych zbrojeń ludzkości,

można by całkowicie przekształcić klimat suchych abszarów Afryki środkowej. W tym celu zbudowano by tamy na jednej z największych rzek świata — Kongo i stworzono by dwa olbrzymie sztuczne morza, o łącznej powierzchni 2,100.000 km² (siedem razy większej niż Polska).

Powszechne rozbrojenie pozwoliłoby też urzeczywistnić szereg innych śmiałych planów uczonych i inżynierów. Całkowicie realny stałby się plan niemieckiego inżyniera Hermana Sergela, który zaproponował zmianę klimatu Europy i Afryki Północnej przez opuszczenie o 100 m poziomu Morza Śródziemnego, budując zapory wod-

ne w Cieśninie Gibraltarskiej i w Gardle Dardaneli.

Taka jest wizja świata bez broni, świata bez wojen. Takim mógłby się stać nasz glob jeszcze za życia naszego pokolenia.

Jeśli zaś brzemień zbrojeń nadal będzie ciążyć na narodach, na urzeczywistnienie tej wizji ludzkość będzie musiała czekać jeszcze 200—300 lat.

Nie jest żadną tajemnicą fakt, iż ten palący problem jakim jest zagadnienie wojny czy pokoju w dużej mierze zależy od dwu największych potęg świata: Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. ZSRR złożył już ofertę. Kolej teraz na drugą stronę.

J. STRZĘPKA



Konrad Adenauer, ubrany w płaszcz komtura krzyżackiego patronuje odwetowcom. Bundeswehra uzbraja się w broń atomową, a „ziomkowie” z Sudetów i Śląska marzą o powrocie do krajów, które splamili słowiańską krwią.

AWANŚ

naszego rolnictwa

W. Raban

Dalsza mechanizacja • Użyźnianie gleby • Chemizacja i nowa technologia
• Inicjatywa spółdzielców = Obfity stół w naszych domach

Mamy najtańsze buty na świecie! Jesteśmy w pierwszej dziesiątce najbardziej uprzemysłowionych krajów na świecie. Pod względem produkcji przypadającej na jednego mieszkańca zajmujemy szóste miejsce w świecie. Produkujeśmy więcej stali na jednego mieszkańca niż Anglia, Francja, Szwecja i Austria... tylko — mimo widocznych i poważnych sukcesów — nie jesteśmy jeszcze w pełni zadowoleni z osiągnięć naszego rolnictwa.

Dlaczego?

Należymy co prawda do krajów prowadzących bardzo intensywną gospodarkę rolną, jedną z najintensywniejszych w Europie. Spółdzielnie produkcyjne i państwowe gospodarstwa rolne gospodarują już na 90—95% użytków rolnych. Jest to główna przesłanka decydującego zwrotu w dziedzinie produkcji rolnej i zarazem główny warunek przyspieszenia tempa jej rozwoju, które by pozwoliło utrzymać ją w równowadze z pozostałymi gałęziami gospodarki narodowej. Dotychczasowy przyrost produkcji globalnej rolnictwa, wyrażający się jednym do dwóch procent, był stanowczo za mały, rolnictwo nie mogło zapewnić ani rynkowi wewnętrznemu artykułów żywnościowych, ani przemysłowi przetwórczemu surowców w takich ilościach, jakich wymagałaby rosnąca stopa życia ludności oraz rozwijający się przemysł spożywczy i konsumpcyjny.

Wyrabiamy więcej, ale...

Wyrabiamy więcej, niż przed wojną, ale równocześnie konsumujemy bez porównania więcej niż w okresie międzywojennym. Na pierwszy plan trzeciej pięcioletki wysuwa się zagadnienie masowej produkcji rolnej w socjalistycznych warunkach wytwórczych. Musimy przede wszystkim podnieść wydajność naszej gleby, podnieść realną wydajność z hektara.

Rozdrobnienie ziemi w dzierżawie indywidualnej utrudniało systematyczne i planowane zabiegi o wzrost jej żyzności i wydajności. U zbożowych wydajność z hektara wzrosła w stosunku do lat trzydziestych z 16—18 q zaledwie do 20—22 q, u buraka cukrowego z 250 q do 285 q, u ziemniaków i pasz bardzo nieznacznie przewyższa poziom przedwojenny.

Zbadanie funduszu ziemi, przeprowadzone przez Akademię Nauk Rolniczych wykazało, że blisko dwa z siedmiu milionów hektarów użytków rolnych państwa można użyźnić przez regulację stosunków wodnych (nawodnienie lub odwodnienie). Reszta wymaga celowego łączenia rozmaitych zabiegów i środków, jak np. naukowo uzasadniony płodozmian, agrotechnika i nawożenie, zoranie trwałych porostów łąkowych itd. Nieodłącznym elementem tej troski jest również walka z chwastami.

W latach realizacji trzeciego planu

pięcioletniego na użyźnianie gleby poświęconych zostanie pięć milionów Kčs. Inwestycje glebowe będą wyższe niż kwoty przeznaczone na środki mechanizacyjne oraz na budownictwo obiektów i urządzeń gospodarskich.

Wiecej traktorów i nawozów sztucznych

Przed wojną nasi rolnicy posiadali w całym kraju 3683 traktory. Maszyny skoncentrowane były w majątkach wielkoobszarników. Na jeden traktor przypadało więc 1520 ha ziemi ornej.

W toku realizacji następnej pięciolatki ilość traktorów wzrośnie tak, aby na 36 ha ziemi ornej przypadał jeden traktor. Liczba ta pozwoli na całkowitą mechanizację prac rolnych. Dziesiątki tysięcy innych maszyn przyczyni się do powszechnej, kompleksowej mechanizacji wszystkich prac związanych z pielęgnacją i sprzętem poszczególnych pól rolnych. Wprowadzenie tejże umożliwia realne planowanie wzrostu wydajności pracy o 66%.

Równie poważne zadania przypadają przemysłowi chemicznemu. Nawozów mineralnych, których zużycie waha się w granicach 80—90 kg na 1 ha gleby rolnictwo nasze otrzyma w roku 1965 dwa razy tyle. Podobnie wzrośnie również zużycie preparatów chemicznych

do walki z chwastami oraz środków owadobójczych.

Sznycel czy kielbasa z musztardą?...

Wielkie zmiany przyniesie nowa technologia w hodowli żywca. Zbiorowa stabulacja bydła, trzody chlewnej i pozostałych zwierząt gospodarskich nie była do tej pory niczym innym, jak tylko skoncentrowaniem drobnej produkcji zwierzęcej pod jednym dachem. Zasada indywidualnej pielęgnacji poszczególnych sztuk zwierząt przeniesiona została niemal w całości do masowej hodowli spółdzielczej. Dlatego też ilość potrzebnej pracy ludzkiej nie została zmniejszona w sposób bardziej zasadniczy.

Dzięki wprowadzeniu nowej technologii produkcji zwierzęcej jednostką, która będzie przedmiotem troski hodowcy będzie całe stado.

Na znaczenie stabilizacji wybiegowej, automatycznego karmienia, samoobsługi zwierząt, głębokiej podściółki w oborach i drobiarniach itp. wskazują wyniki uzyskane przez tysiące spółdzielni, w których nowa technologia hodowli zwierząt, częściowo przynajmniej, została wprowadzona. Tak np. na produkcję 1 g mięsa wieprzowego w racjonalnie urządzonej chlewkach trzeba nie więcej, jak 1 godzinę żywej pracy ludzkiej. Jest to w przybliżeniu jedna piąta czasu, jaki na uzyskanie tej samej ilości zużywają najnowocześniejsze tuczarnie w USA.

Są więc szanse na podwojenie porcji sznyceli niedzielnych, a dla malusińskich — na większe parówki na festynach szkolnych...

Chcieć to znaczy móc!...

Planowany w latach 1958—1965 wzrost produkcji roślinnej o 46% i zwierzęcej o 32% jest nie tylko sprawą zapewnienia odpowiedniego zaplecza materialno-technicznego. Równorzędne znaczenie ma stosunek rolnika-spółdzielcy do zadań, jakie stawia przed nim trzecia pięciolatka. Każda spółdzielnia opracowuje na podstawie zadań





wytyczonych w trzecim planie pięcioletnim swoją własną pięciolatkę. Ostatnim celem tych zadań jest uzyskanie samowystarczalności kraju pod względem produkcji podstawowych artykułów rolnych, przy jednoczesnym wydatnym podniesieniu wydajności pracy i intensyfikacji produkcji. Pamiętajmy o tym, że na jednego mieszkańca CSRS przypada tylko 40 arów ziemi i to przy wysokim — w skali światowej — spo-

życiu artykułów żywnościowych. Nowy krok naprzód naszego rolnictwa może skutecznie tylko społeczeństwo socjalistyczne.

Chcieć, to móc! Mamy wszelkie szanse ku temu, aby wyjść z honorem w współzawodnictwie z najbardziej rozwiniętymi państwami Europy o największą intensywność produkcji rolnej, o najlepsze rezultaty.

Wiktor Raban

HENRYK JASICZEK

Lato w Beskidach

*Chmura biała, laciata,
pase się cicho na niebie —
Na łące mokre roztropce
przytulone do siebie.*

*Świerszcz na organkach rzępoli
w czerwonej koniczynie
Motyl o białych żaglach
w pachnącą ciszę płynie.*

*A brzoza na uboczu
lekutko drży na wietrze,
i składa swe listeczki
w zielone srebrne wiersze.*

(Z tomiku „Jaśminowe noce”)



Rys. Br. Firla.

GUSTAW PYSZKO

Brzask

Róża
symfonią woni
budzi nowy dzień
z cichego letargu
nocy.
Dzwonią płatki
kołyszają
iskry rosy.
Na okarynie
gra komar;
Smukła
róża dyryguje
promieniem słońca.

*

WANDA GÓRSKA:

Beethoven

To nie technienie minionych
stuleci owiało mi twarz,
lecz tonów Twych głos przed
oknami mej duszy,
wołał mnie — pójdz o świ-
cie
w złoty deszcz gwiazd, w
tęsknotę, w zapomnienie.

E. WASZCZUK

Cud mózgów przemysłu i pracy

„Wszystko nosi znamię powolności — i przyroda, i ludzie żyją nieruchawie, leniwie. Ale wydaje się, że z lenistwa przebija ogromna, niepokonana siła, która nie uświadomiła sobie jeszcze pragnień i celów.”

*

Tak pisał dawno, dawno o Wołdze, o nadwożańskich ludziach Gorki. Dziś słów tych już nie mógłby napisać. Drzemiąca siła została wyzwolona.

Oto nowa, oto największa na świecie elektrownia wodna pod Kujbyszewem, nosząca od 10. VIII. miano Wożańskiej Elektrowni Wodnej im. W. Lenina.

Żezalem, betonem i ziemią człowiek przegrodził Wołgę, podniósł jej poziom przed tamą o 20 kilka metrów. Przyhamowane w swym biegu wody rozlały się szeroko. Ciągnie się tam największy na świecie sztuczny zbiornik — skład białego węgla — 600 km w górę Wołgi i 300 km w górę Kamy.

Szerokość rozlewiska dochodzi do 40 km, a głębokość do 41 m.

Jechałem niedawno przez Kazań położony o dobre kilkadziesiąt kilometrów na północ od Kujbyszewa. I tam rozlewa się to nowe morze, podchodzi aż pod mury kazańskiego Kremla, wlewa się w baseny nowego wielkiego portu. Po morzu suną trójpokładowe statki pasażerskie i holowniki z barkami. Gdy morze rozhuła się i fale rosną do 3 m, statki kryją się w wybudowanych specjalnie dla nich schroniskach. Nocą wskazują im drogę światła latarni morskich.

Całe to wielkie morze naciera miazdzącą siłą na tamę zagrażającą drogę na południe. Próbę tej siły widziałem w dwóch miejscach.

Oglądałem elektrownię w niedzielę, gdy zapotrzebowanie na prąd jest mniejsze i pracuje ona na wolniejszych obrotach. Część wody wypuszcza się więc „luzem” poza elektrownię przez tamę upustową.

Tama żelbetonowa licząca 981 metrów biegnie od lewego brzegu. To właśnie przez nią, dzięki za-

instalowanym mechanizmom, można odprowadzić nadmiar wody ze zbiornika. Następnie rozpoczyna się 2800 metrów tamy ziemnej, umocnionej betonem. I wreszcie przy prawym brzegu — serce tego całego systemu hydroenergetycznego — elektrownia wodna. Z zewnątrz widzi się jasny 700-metrowej długości wysoki budynek, najeżony na szczycie masztami linii wysokiego napięcia. Jego wielkość ocenia się najlepiej z wewnątrz, gdy znika jako tło wielkie morze i wyniosłe nadwoźzańskie wzgórza. Budynek elektrowni dwukrotnie przewyższa co do objętości znany, olbrzymi wysokościowiec Moskiewskiego Uniwersytetu. W ogromnej hali w dalekiej perspektywie niknie ostatni z 20 generatorów. Jest tu idealnie czysto, maszyny błyszczą jasnym lakierem, obok maszyn rosną kwiaty w wielkich drewnianych skrzyniach, olbrzymie agregaty pracują cicho, niemal bez szumu. I niemal bez obsługi ludzi pracują urządzenia automatyczne. Długi korytarz w dolnej części elektrowni po-

WILHELM PRZECZEK

W czerwcu

Czerwiec pachniał sianem.
I ty nim pachniałaś.
Odszedłem nad ranem...
Spałaś...
Wybacz. Dziś...
Chwilę smutku
postawisz, jak kielich.
Nie licz
Śłońce i biedronek.
Przytuł się do mnie.
Jak wtedy...

Przyszedł do domu zły.
Nie poszło mu w pracy. Najpierw pokłócił się z kolegą z biura technicznego a potem kierownik zakładu uraczył go cierpką uwagą.

Mieszkanie było puste, jakieś chłodne, choć było lato. W kuchni nie pomyte garnki. Z rękami w kieszeni przeszedł przez kuchnię i z niechęcią powrócił do pokoju.

Nie znalazł na śalach eteru interesującej go audycji. Muzyka — jakieś brzdąkanie. Świat widzi człowiek zawsze przez okulary własnego nastroju.

Postanowił rozmówić się z żoną. Tak nie można. Garnki nie pomyte. Dzieci w Świątolicy. A on sam — kto się ma nim zająć. Czyż do gospody ma znaleźć drogę! Nie ma o czym mówić. Dość z tą robotą. I pomyśleć, że jeszcze studiów się jej zachciało. A co ja — mąż! Przecież mam jakieś prawa mężowskie —

Wziął do ręki książkę, ale nie wiele pojmował, co mówiły do niego, sznurki czarnych liter.

GUSTAW PRZECZEK

DROGA małżeńska

Wreszcie usłyszał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Wstał i gotował się do karcącego powitania.

Wanda zarzuciła mu rękę na szyję.

— Wiesz, Jureczku, udało mi się... Taki szczęśliwy dzień...

Stał przed nią jak zbarniały. Został rozbrowiony zanim użył broni.

Wyobraź sobie, że zostałam wytypowana przez Radę Zakładową jako najlepsza

pracownica i... — zdałam dziś egzamin na celującego...

— Jesteś najlepszą pracownicą, jesteś celująca... — a co mieszkanie — mruzczał pod nosem, niepewnie, zbity z tropu.

— Zdjęta trzewiki, wdziała papucie i stanęła na progu kuchni.

Garnki, talerze — wszystko stało na dawnych miejscach, jak je w pośpiechu opuściła wcześniej rano. Nie miał się żaden cud. Wcale jej to nie popsło humoru.

Podeszła do męża.

— Prawda, że mi pomożesz... W mgnieniu oka będzie wszystko zrobione, a potem zrobimy sobie kawę i pogawiedzimy zanim z Świątolicy powrócą dzieci. Do kolacji jeszcze dużo czasu.

Postanowienie jego rozwiał się jak dym. Nie oponował. Wziął ścierkę posłusznie i czekał skoro mu żona poda umyte naczynia.

Przyglądał się żonie z ciekawieniem. W fartuszu przypiętym do bluzki na piersi agrafką było jej bardzo do twarzy.

Nie żyjemy według zegarów

Profesorowie uniwersytetów zajęli się problemem czasu w życiu człowieka. Chodziło o następujące zagadnienia:

Dlaczego często zdaje się nam, że czas „stał”? Dlaczego sądzymy niekiedy, że czas pędzi jak szalony?

Odpowiedź naukowców. Nie żyjemy według zegarów. W rzeczywistości oceniamy czas według zupełnie innych mierników. Poza mechanicznym czasem, który odczytujemy na zegarze, jest jeszcze czas inny, który dyktują nam nasze uczucia.

Są ludzie, którzy posiadają „zegar wewnętrzny” idący w zgodzie z zegarami mechanicznymi. Ale tego rodzaju ludzi jest bardzo mało. Przeważnie zegar wewnętrzny „śpieszy” się lub „spóźnia”. Ludzie, których zegar zewnętrzny się spóźnia, śpieszą się ustawicznie, ponieważ ich życie jest w kolizji z marszem zegara. Spóźniają się na umówione spotkania, pociągi, dają się zbyt łatwo zatrzymać oraz tracą w rozmowie poczucie czasu. Wyróżnia ich z natury nerwowy sposób chodzenia.

Ludzie, których „zegar wewnętrzny śpieszy” się, wykazują skłonności do nerwowych zaburzeń oraz do pewnych kompleksów. Na posiedzenia czy zebrania przychodzą zawsze z awansem, a ważniejszych wydarzeń nie mogą się w ogóle doczekać. Zegary ściennie poruszają się według ich opinii w iście ślimaczym tempie.

dzielony jest na sekcje zaopatrzone w potężne żelazne drzwi. Przypominają one, że znajdujemy się kilkanaście metrów poniżej poziomu wody. Gdyby woda wdarła się do jakiejś sekcji, odcięto by ją właśnie tymi drzwiami. Oczywiście jest to możliwość tylko teoretyczna, ale tego typu budynki wznosi się z wszelkimi zabezpieczeniami.

Zainstalowane urządzenia dają moc 2300 tysięcy kW. W ciągu roku elektrownia ta produkuje ok. 11,3 miliarda kWh energii, czyli w ciągu 2 miesięcy więcej niż w roku 1913 wyprodukowały wszystkie carskie elektrownie.

A jak przepływają przez zaporę statki i tratwy, których pełno na Wołdze? Zbudowano dla nich kilkunastometrowe kanały i 4 potopne śluzy. W ciągu niespełna godziny statki pokonują ponad 20 metrową różnicę poziomu wody z obu stron tamy.

Nieodparcie nasuwa się myśl, że budowa zapory i elektrowni była sprawą bardzo trudną. Wymagała niezwyklego nakładu wysiłku i środków materialnych. Nawet teraz latem rzeka wygląda groźnie. A jak musi szaleć gdy lody ruszają, gdy nabierze siły w wiosennym przyborze. Z jaką potęgą musiała atakować ludzi, którzy powstrzymywali jej bieg. W książce napisanej przez budowniczych elektrowni pełno opisów walki z rzeką, lodem, mrozami.

Oczywiście samo bohaterstwo budowniczych elektrowni nie wystarczyłoby, nie zbudowałiby jej burlacy. Trzeba mieć rozwinięty wielki przemysł, by samodzielnie podejmować takie przedsięwzięcia. Dla wołańskiej elektrowni wodnej pracowały fabryki Uralu, Donbasu, Moskwy, Leningradu.

Wołańska elektrownia wodna jest wielkim osiągnięciem radzieckich budowniczych, uczonych i projektantów — osiągnięciem na skalę światową. Wyprzedza ona co do wielkości największe elektrownie amerykańskie, zbudowano ją też szybciej, niż jakąkolwiek inną elektrownię wodną o zbliżonej mocy.

Od wołańskiej elektrowni wodnej biegnie linia wysokiego napięcia 1000-kilometrową trasą do Moskwy, do centralnego okręgu przemysłowego. W budowie jest druga linia — na Ural. Elektrownia dała już ponad 15 miliardów kWh energii elektrycznej, dzięki temu zaoszczędzono ponad 20 milionów ton węgla podmoskiewskiego.

Produkcja wielkiej ilości bardzo taniej energii elektrycznej — to poważne zwiększenie możliwości żeglugowej dzięki utworzeniu sztucznego morza. Związana jest z tym trzecia sprawa — rozwinięcie rybołówstwa. Obecnie olbrzymi zbiornik zarybia się intensywnie. Z roku na rok będą tu więc rosły połowy ryb wysokiego gatunku. I dalej — przez zaporę prowadzi znakomita asfaltowa droga, a ma

przejsz tędy kolej. Tama spełnia więc dodatkowo rolę wielkiego mostu.

„Leniwa” Wołga pracuje więc już na elektrowni pod Kujbyszewem. Ale porusza także turbiny wcześniej zbudowanych elektrowni w Iwankowie, Uryczu, Rybińsku i Gorkim. W budowie są elektrownie saratowska i stalingradzka. Tak więc Wołga pomaga realizować wielkie plany elektryfikacji Rosji. Już obecnie ZSRR zajmuje w produkcji energii elektrycznej pierwsze miejsce w Europie i drugie na świecie.

W czasie uroczystości uruchamiania wołżańskiej elektrowni 10. VIII. ub. r. N. Chruszczow mówił o konieczności dalszej szybkiej rozbudowy radzieckiej energetyki. Komisja Planowania ma opracować plan pełnej elektryfikacji kraju. Trzeba szybko budować elektrownie, a szybciej buduje się ciepłone. Dlatego w ciągu kilkunastu lat one właśnie będą miały pierwszeństwo.

Nie znaczy to jednak, że budowa elektrowni wodnych w ogóle będzie zaniechana. I tak np. będzie kontynuowana budowa elektrowni stalingradzkiej. Już wkrótce więc nowo uruchomiona elektrownia pod Kujbyszewem zostanie zdetronizowana. Największą elektrownią wodną na świecie będzie bowiem elektrownia pod Stalingradem.

WANDA PRIBULOWA

Na biały papier rzucam cień . . .

*Na biały papier rzucam cień,
bo tylko cieniem są słowa.
Tych w mojej duszy dziwnych drzeń,
wzruszeń, co w sobie wciąż chowam.*

*Czemu, ach, czemu, pióro me,
tak myśli sprostać nie może . . .
Kiedyż me wzloty, moje sny
jak bukiet przed wami położę.*

*Na biały papier rzucam cień
bladą poświatą księżycą —
O czyż nadejdzie taki dzień,
gdy się wyśpiewam do końca?*

Zegar dzieli wszechwładnie nasze życie na drobne części i my musimy starać się o uzgodnienie naszych codziennych zajęć z biegiem jego wskazówek.

Ale większości ludzi przychodzi to z trudem, gdyż jak twierdzą naukowcy, nasze „wewnętrzne zegary” zmieniają stale swe tempo.

Decyduje o tym szereg momentów:

1. Temperatura ciała. Przy podwyższonym ciśnieniu krwi albo podwyższonej temperaturze ciała nasz wewnętrzny zegar idzie automatycznie do przodu. Czas „stoi”, a wszystkie zegary pelzają jak ślimaki. W razie wzburzenia psychicznego 79% wszystkich ludzi traci w ogóle poczucie czasu. Trema przed występem, awantura, nieszczerliwy wypadek sprawiają, że nasz „zegar wewnętrzny” pędzi z szybkością wiatru. Jeśli natomiast temperatura opadnie poniżej normalnego punktu, to czas poczyną szaleć.

2. Optymizm. Nasze życie duchowe wpływa w dużym stopniu na poczucie czasu, 79% ludzi uważa, że gdy są w dobrym nastroju, gdy się pełni zaufania we własne siły, to czas mija szybciej. Trwoga, troska i wątpliwość sprawiają, że czas się wleczce.

3. Wiek. Decyduje on w poważnym stopniu o naszym poczuciu czasu i tempie marsza wewnętrznego zegara. W młodości, do lat około 20-tu, czas posuwa się niesłychanie powoli. Ale z każdym rokiem przybiera na szybkości i gdy poczynamy się starzeć, przybiera wręcz niesamowite tempo.

Dzieci i młodzież żyją o wiele intensywniej, ich myśli i uczucia „skaczą” z jednego obiektu na drugi. Dziecko potrafi w ciągu kwadransa, przeżyć niepomowaną wesołość, ból, cierpienie. Starzejący się człowiek potrzebowałby dla przeżycia podobnej gamy przynajmniej jednego dnia.

O ludziach, którzy ukochali złote łany zbóż

Karol Kajzar, Zuzanna Workowa, Jan Waclawik i wielu innych nazwisk znane są na naszym terenie. Są to ludzie, którzy związali się mocno z rolnictwem. Spółdzielnia produkcyjna w Kojkowicach-Lesznej zawdzięcza swoje sukcesy takim i im podobnym ludziom. Oni to potrafili kierować spółdzielnią i ludźmi, potrafili gospodarować na wielkich łanach.

Kojkowice i obie Leszne — Dolna i Górna — to piękny skrawek śląskiej ziemi. Pagórki pokryte soczystą zielenią traw, lasami, łanami zbóż, na tle kolorowych dymów Huty Trzynieckiej tworzą malowniczy krajobraz.

Trzy wioski złączyła w jedną całość piękna idea — idea spółdzielczej gospo-



W. KRUMNIKŁOWA CHLEB i RÓŻE

darki rolnej. Od marca 1960 powstała JSR Kojkowice-Leszna.

Przedtem?

Kojkowicka JSR znana była daleko, szeroko. Swój rozgłos zawdzięcza oczywiście hodowli rasowych lesznianek, które z zamiłowaniem hodowcy i rolnika prowadził niestrudzony rolnik, a potem spółdzielca Karol Kajzar. Gospodarz to dobry. Toteż nic dziwnego, że po radę przychodzili do niego nie tylko mieszkańcy miejscowi, ale nawet z odległych wiosek. Został przewodniczącym JSR. Mądrze kierował gospodarką spółdzielczą. Wiedział, że w miejscowych warunkach klimatycznych, glebowych, czy z punktu widzenia położenia pól, całą produkcję JSR należy skierować na hodowlę bydła. Słusznymi okazały się

te racje Karola Kajzara. Gospodarka rozwijała się pomyślnie. Lesznianki dawały dużo mleka. Dobrego mleka. Przewodniczący pilnował, żeby bydło otrzymało to, czego mu trzeba — obfitość dobrej paszy. Z roku na rok razem ze spółdzielcami ulepszał jakość pastwisk, zakładał dobre łąki, siał coraz więcej kukurydzy.

To było rentowne. Na targach aukcyjnych oceniano dobrze niektóre sztuki bydła kojkowickiego. Spółdzielcy otrzymywali za swój trud wynagrodzenie. Coraz lepiej powodziło się ludziom w Kojkowicach. Zarabiali nie tylko w Hucie Trzynieckiej, lecz także w JSR. W wiosce rosły jak grzyby po deszczu nowe domki rodzinne.

Raz Karol Kajzar tak mniej więcej naświetlił przyszłość Kojkowic:

„Razem ze wzrostem produkcji rolnej w JSR musi iść w parze wzrost dobrobytu spółdzielców. JSR musi się stać dla spółdzielców tym, czym jest fabryka dla robotników. Spółdzielnia musi spółdzielcy zapewnić to wszystko, co zapewnia fabryka robotnikowi. Na wsi musi być tak jak w mieście — dobre drogi, kultura, normalny czas pracy, stołówka itp. Jedynie gospody nie powinny być, bo to nic dobrego nie przynosi.”

Zyczeniem Karola Kajzara było, aby ludzie na wsi żyli takim samym życiem, jak ludzie w mieście.

Zaiste pięknie to myśli i perspektywy. Drogi w Kojkowicach są dobre. Spółdzielcy w dużej mierze przyczynili się do tego. Pozwolę sobie twierdzić, że gdyby nie choroba, która przykuła Karola Kajzara od początku 1960 r. na długo do łóżka, to z pewnością część jego planów byłoby realizowanych.

*

W Lesznej Dolnej już od 1949 roku przygotowywano podstawy JSR. W tej JSR spółdzielcy nie źle prosperowali, bo doskonale zarabiali na furmankach. Robotnicy potrzebowali przywieźć z miasta na wieś węgiel, cegłę, cement. Pieniądze płynęły. Taka ale forma gospodarowania nie mogła się długo utrzymać. Przecież nie to powinno być treścią spółdzielczości rolnej. W wyniku przedstawienia się JSR na hodowlę bydła wysokość dniówki obrachunkowej z roku na rok obniżała się. Dopiero przyszłość miała przynieść nie tylko efekty gospodarcze, ale również finansowe.

Tymczasem JSR w Lesznej Dolnej połączyła się z Kojkowicami.

*

Trzecią spółdzielnią produkcyjną, która należy do JSR Kojkowice-Leszna to JSR Leszna Górna. I tam spółdzielczość torowała sobie drogę jeszcze w w roku 1949. Lecz zaraz w początkach rozpadła się. Ponownie powstała w 1953 roku. Często zmieniali się przewodniczący. Tam też były gorsze warunki pracy. Ziemia była mniej urodzajna, a co za tym idzie — niska wydajność z hektara. A i ludzie nie przejawiali zbyt wielkiego zainteresowania o gospodarkę spółdzielczą. Ani niska wartość dniów-

ki obrachunkowej nie mogła stanowić przynęty.

*

Oto krótkie charakterystyki spółdzielni produkcyjnych, które obecnie tworzą jedną całość.

Od 30 marca 1960 roku upłynęło kilka miesięcy. Wkrótce spółdzielcy zejdą się na swym dorocznym zebraniu. Ocenią swoją pracę, rozdziela między sobą dochody. Trudno dziś powiedzieć jaki będzie wynik. Należy jednak przypuszczać, że bilans będzie dodatni, bo większość spółdzielców pracowało sumiennie i z poświęceniem.

Na przykład Zuzanna Workowa w planie na rok 1960 zobowiązała się od powierzonych sobie krów wyprodukować 30.000 litrów mleka. W przeliczeniu na 1 dójkę jest to rocznie 3060 litrów. A to jest nie mało!

Anna Bekowa notowała w hodowli jałówek i cieląt po 70 dkg dziennego przyrostu; Emilia Kłodowa miała od jednej kury 162 sztuk jajek w skali



Zuzanna Workowa jest zadowolona ze swoich wyników.



Róże wymagają dużej opieki.

rocznej. Zaś spółdzielca Śmiłowski i Anna Cienciałowa zobowiązali się odchowić od jednej maciory po 16 prosiąt. Również ob. Kubikowa i Kubik zaplanowali od 1 młodej krowy nadać 1800 litrów mleka rocznie.

Oto ludzie i ich praca. Z takimi ludźmi można zdziałać bardzo wiele — można zdobywać księżyc.

Również w roku 1960 przyłączono do JSR ogrodnictwo, w którym „króluje” ob. Jan Jadamus. Ogrodnictwo przyniesie poważne dochody. Za same róże, których są tutaj długie zagony, JSR utarżyła wiele dziesiątek tysięcy koron. Obrót według planów ma wynosić w 1960 roku 156.000 Kęs. Zaś w r. 1961 dochody będą jeszcze z plantacji truskawek, uprawy jarzyn a może i owocu.

Głównym jednak kierunkiem gospodarowania spółdzielców to hodowla bydła. Mleko, mięso, jajka — oto główne produkty, którymi spółdzielcy zaopatrywać będą nasz rynek.

Trzecia pięciolatka w rolnictwie za 4 lata

Oto hasło, które stało się dla naszego rolnictwa programem. Dogonić przemysł! Stać na takiej wysokości jak produkcja w hutach, kopalniach, przemyśle maszynowym!

Rolnictwo ma coraz więcej doskonałych maszyn, ma dobrych fachowców, na usługach rolnictwa są najnowsze zdobycze wiedzy i techniki. Nowa technologia w hodowli bydła, stosowanie nawozów sztucznych i wiele, wiele innych czynników przyczynia się do realizacji wytycznych KPC i rządu.

W JSR Kojkowice-Leszna obroty mają w roku 1960 wynosić jeden i pół miliona koron. To poważna suma. W latach przyszłych obroty będą jeszcze większe.

Skrócenie pięciolatki o jeden rok przyczyni się właśnie do zwiększenia obrotów. Spółdzielcy planują z 1 ha ziemi wyprodukować 20 q pszenicy w roku 1960 a w 1964 r. 22,50 q. Żyta planują w roku 1960 zebrać z 1 ha 19,50 q a w 1964 r. 20,50 q. Ziemniaków będzie 147 q w 1964 r. zamiast 120 q w roku 1960. Siana 65 q zamiast 55 q, kukurydzy na kiszonki 460 q zamiast 380 q.

W produkcji zwierzęcej planują w 1964 roku na 1 krowę wyprodukować 2930 litrów mleka, 160 sztuk jajek od jednej kury. Plan produkcji jajek, jak również prosiąt zamierzają nawet skrócić do trzech lat.

Zarówno z produkcją rosnąć będzie i wysokość dniówki obrachunkowej. Jeśli w roku 1961 planują 20 Kęs, w 1963 r. 23 Kęs to w 1965 roku wysokość dniówki wynosić już będzie 27,60 Kęs.

To są plany. Rzeczywistość może być inna — lepsza. Wszystko jednak zależne jest od spółdzielców samych. Jeśli będą liczyli z ołówkiem w rękę, to mogą zrobić więcej. Do tego pomoże im maksymalne wykorzystanie maszyn, gleby, mechanizacja hodowli bydła itp.

„Ludzi mamy dobrych — mówi obecny przewodniczący JSR tow. Jan Wacławik — i dlatego pozwolę sobie twierdzić, że zadaniom i planom naszym sprostamy. Nie zawiedziemy naszego społeczeństwa ani ludzi, którzy należą do naszej wielkiej rodziny spółdzielczej.”

Skrzydłaci przyjaciele

HENRYK JASICZEK

Wiosenny zapach łąk
nawet przez sen odurza,
w tę ciszę, upojną woń,
z rozkoszą się zanurzam.

Nie jeszcze nie istnieje...
Otwieram oczy, przysmykam,
na białych skrzydłach mgły
przylata ptasia muzyka.

Ach, jak tu nie zazdrościć,
kosom, drozdom i wilgom —
gdy składają swe hymny,
to poeci zamilkną.

Bo w tych pieśniach skrzydlatych
skowronkowo-słowiczych,
gwizdach, świstach, ćwierkaniach,
i trelach tajemniczych,

w tym kukaniu majowym,
i w chichotaniu sójek,
w tym gruchaniu gołębi,
w cichym świrze jaskółek,

słyszysz ptasie rozmowy,
szepty radości i smutku,
dowiesz się ile tęsknoty
w takim ptasim serduszk.

Bo nie wiesz ile nadziei
i ciekawości świata
w takim sercu malutkim,
kiedy z gniazdka wylata.

Nie wiesz, jak trudno śpiewać,
gdy śnieg do gniazda prószy,
kiedy zziębnięte piskłę
więcej się nie poruszy.

Nie wiesz, ile pomieszcza
lęku ptaszęce oczy,
gdy cień skrzydeł jastrzębich
po gnieździe się przetoczy.

O, włóczęgi niebieskie!
przyjaciele skrzydłaci,
tylu was, nie znam was wszystkich,
a wszystkich kocham, jak braci.

O przyjaciele moi,
choć ziemia mi nie zbrzydła,
kiedy marzę i śpiewam,
czuję, jak rosną mi skrzydła. —

Więc zabierzcie mnie z sobą,
o przyjaciele wierni,
złożę gdzieś w gnieździe pustym
serce pokłute od cierni.

Wiele wypisało się już artykułów, wierszy a nawet i książek na temat Beskidów. Ale wciąż jeszcze za mało pisze się o roli i znaczeniu tych gór, tworzących na znacznej przestrzeni granicę polsko-czesko-słowacką, w utrwaleniu więzów przyjaźni między bratnimi narodami. Rolę tę mocno podkreślił w roku 1956 premier Viliam Široky, wyrażając radość z faktu otwarcia granic dla szerokiego ruchu turystycznego między Polską a Czechosłowacją. Stwierdził on

żek — Istebna — Jaworzynka — Zwardoń ciekawym okiem spogląda na „czeską stronę”, która nie wiele różni się od „polskiej strony”. Te same lasy i podobne wzniesienia kształtują w umyśle wędrowca bliźniaczy obraz gór, które są nie tylko symbolem bratniej jedności obu narodów, ale również jednością geograficzną. Podobne chyba skojarzenia powstają u czeskich turystów, wędrujących polsko-czeskimi szlakami granicznymi w Beskidach. Ale są z obu

Beskidy

GÓRY PRZYJAŹNI

WŁ. OSZELDA

wtedy, że przez most graniczny na Olzie a także w innych punktach — dzień w dzień w obydwie strony przewijają się setki turystów. W innym punkcie swego przemówienia, wygłoszonego w czasie pobytu delegacji naszego rządu w Polsce, premier Široky wskazywał na ciągłą potrzebę pogłębiania przyjaźni polsko-czeskiej.

— Prawdziwa przyjaźń — akcentował swe słowa premier — rozkwita tylko wówczas, gdy ludzie w bezpośrednich spotkaniach poznają się nawzajem, wymieniają między sobą najlepsze doświadczenia i ramię w ramię pokonują istniejące trudności i przeszkody. Tak właśnie kształtują się stosunki między Polską i Czechosłowacją i na takim fundamencie rozwija się przyjaźń obu naszych krajów.

Te słowa warto sobie powtarzać i realizować praktycznie ich sens. A istnieją ku temu wciąż jeszcze nie dość wykorzystane możliwości. Każdy turysta polski, wędrujący choćby tylko szlakiem granicznym Tuł—Czantoria—Sto-

stron granicy zjawiska, które choć nie harmonizują z surowością natury muszą stanowić przedmiot turystycznej ciekawości. Są to obiekty przemysłowe, nowoczesne budowle, sanatoria, mosty, sztuczne zbiorniki wody — to wszystko, co stworzył umysł ludzki i co w dzisiejszym świecie postępu i techniki stanowi nie tylko symbol ale przede wszystkim realny kształt nowego życia.

Po polskiej stronie granicy w Wiśle i Ustroniu dokonują się wielkie przemiany wyrażające nowe treści postępu techniczno-urbanizacyjnego. Te spokojne jeszcze do niedawna miejscowości, rozwijające się z dnia na dzień, staną się już w najbliższych latach wielkim centrum uzdrowiskowym w Beskidach Śląskich. Plany przewidują pokrycie obu tych do niedawna wsi siecią nowoczesnych budowli, sanatoriów, hoteli, placówek usługowych różnego typu, lokali gastronomicznych, budową nowoczesnych urządzeń sportowych i turystycznych. Obok więc wyciągów i kolejek linowych przybywający do Wisły

turyści i wczasowicze będą mogli do woli korzystać z sal gimnastycznych, boisk, przeznaczonych do różnych gier, torów łyżwiarskiego i saneczkarskiego, lodowisk, pływalni etc. Trudno zresztą pisać o wszystkim co zakłada planowanie, które niewątpliwie ulegnie jeszcze korekturze. Jest jednak rzeczą oczywistą, że potężnie rozbudowany Ustroń i Wisła stanowiąc będą w tym swoim nowym kształcie interesujący obiekt i dla czeskich turystów i wczasowiczów. Ponieważ i po naszej stronie granicy istnieją warunki dogodnego wypoczynku dla polskich gości chyba nic nie będzie stało na przeszkodzie, aby aktualny problem wymiany wczasowo-turystycznej, określony odpowiednimi ramami rozporządzeń stał się rzeczywistością. Osobnym zagadnieniem jest sprawa masowej wymiany turystycznej w Beskidzie Śląskim i Morawskim. Musi ona bowiem dojrzeć i wykrystalizować się w wyraźny kształt w oparciu o doświadczenia wyniesione z rejonu tatrzańskiego.

Niezorane w obszarze swoim możliwości jest jeszcze pole pracy organizacji turystycznych: polskiej i czechosłowackiej, działających w rejonie pogranicza. Działalność ta ma charakter przypadkowy i nieustabilizowana jest jeszcze na jakichś konkretnych planach. Mimo to obie te organizacje, a więc zarówno Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze jak i Československý Svaz Tělesné Výchovy, świadczą sobie wzajemne usługi. W gronie działaczy obu tych organizacji kluje się już od dawna myśl rozszerzenia konwencji polsko-czechosłowackiej również na rejon beskidzki, ustala się także szlaki graniczne, wyznaczając ich przebieg. Poza tym turyści obu krajów biorą wymienny udział w imprezach turystycznych, organizowanych po obu stronach granicy, zdobywając odpowiednie odznaki i wyróżnienia. Polacy uzyskują na czeskich trasach turystycznych odznaki „100 jarních km”, lub „Turista ČSR”, natomiast Czesi chlubią się posiadaniem odznak „Sportovec III klasy” w dyscyplinie „turystyka” oraz różnej kategorii Górskiej Odznaki Turystycznej (GOT). Dokonuje się również wymiany czasopism, informatorów oraz lektury z zakresu krajoznawstwa.



ČESKOSLOVENSKO-POLSKÁ TURISTICKÁ KONVENCIA

Trudno w rejestrze wydarzeń i postulatów na przyszłość pominąć też tak ważnej dziedziny jak sport, stanowiący osobną gałąź w układzie przygranicznej i nie tylko przygranicznej wymiany polsko-czeskiej. Szczególnie dwie dyscypliny zasługują na uwagę: narciarstwo i kolarstwo. Po obu stronach granicy odbywają się zawody narciarskie, w których biorą udział sportowcy obu krajów. Istnieje naturalna dążność, aby czy to do Wisły czy to Nydku przyjeżdżało więcej sąsiadów z poza między granicznej. Myśli się także o zwiększeniu liczby zawodów. To samo dotyczy kolarstwa, które mogłoby — poza tradycyjnym „wyścigiem przyjaźni” organizować i inne, mniejsze imprezy, jak choćby rejsy turystyczne po szlakach beskidzkich.

Każdy kto myśli o pogłębieniu kon-

taktów turystycznych polsko-czeskich myśli przede wszystkim o młodzieży. Wiele może zdziałać w tym kierunku inicjatywa poszczególnych szkół i organizacji młodzieżowych. Mam przed sobą numer „Trzynieckiego Hutnika”, w którym pisze się o tym, że dyrekcja szkoły zawodowej państwowych rezerw roboczych w Trzyncu otrzymała od uczniów i grona nauczycielskiego zasadniczej szkoły zawodowej w Gliwicach list proponujący szeroką wymianę i to nie tylko turystyczną, ale także w zakresie wychowania młodzieży. W liście przytoczono słowa premiera Cyrankiewicza, wypowiedziane podczas wizyty delegacji rządu polskiego w CSRS — „nic nas nie dzieli a wszystko łączy”. — „Chcemy słowa te realizować dla dobra obu krajów w miarę naszych możliwości” — piszą dzieci i nauczyciele z Gliwic.

List przyjęty został w Trzyncu z entuzjazmem, a komentarz redakcyjny zapowiadał, że myśl przyjaciół z Gliwic znajdzie u towarzyszy trzynieckich zrozumienie i poparcie. Obawiam się jednak, że nie wszystkie tego rodzaju akcje, jako wyraz braterstwa, szczerych uczuć znalazły należyty oddźwięk. I pod tym względem jest jeszcze wiele do zdziałania.

Wreszcie ostatnia myśl, która kojarzy się z potrzebami, związanymi z ruchem turystycznym w Beskidach. Uczmy się patrzeć na góry nie tylko okiem ale i sercem. Uczmy się Beskidów. Można przebiec wiele kilometrów i nic nie widzieć i na odwrót można wędrować nie wiele ale twórczo. Tak, chyba będzie to najstosowniejsze słowo, najlepiej odpowiadające treści pojęcia sztuki zarówno delektowania się pięknem krajobrazu jak i czerpania wiedzy o tym co się widzi. Słynny Kanadyjczyk Slocum opłynął samotnie kulę ziemską. Podobnie uczynił inny Kanadyjczyk J. Voss, który przebył w swej łupince 40.000 mil morskich. Niestety ani jeden ani drugi nie wiele ciekawego potrafili odnotować w swych reportażach i opisach podróży. Dopiero autor słynnej „Kon-Tiki” Heyerdahl odkrył dzięki umiejętności obserwowania przyrody i ludzi szereg szczegółów, dotąd nikomu nieznanych. Wartość więc turystyki, czy to będzie samotna wyprawa przez ocean,

czy też zbiorowa wycieczka w nasze, pocziwe Beskidy, posiada jeden wspólny rys. Tylko wtedy staje się prawdziwą wartością w cechach wychowawczych jeśli turysta, wędrowiec potrafi patrzeć i widzieć. Łączy się ona z głębokością spostrzeżeń, z umiejętnością myślenia i wyciągania wniosków. Poza tym w wędrowkach górskich jest jeszcze jedna wartość, którą zawsze mocno podkreślał Lenin — był on zapalonym jak wiadomo turystą — góry uczą hartu, tak potrzebnego w codziennych zmaganiach, w codziennym pokonywaniu trudności. Cenił on ponad wszystko pieśze wędrowki po mało uczęszczanych szlakach, gdzie myśl doznaje spokoju i umysł odpoczywa należycie. Pociągały go trudne, niedostępne partie górskie, uciekał od miejsc „przeczywilizowanych” gdzie można dojechać... kolejką.

Beskidy posiadają wiele takich ustronnych miejsc, kryją w sobie jeszcze dużo nieodkrytego piękna. Czy nie warto byłoby uczyć się tu od Lenina wiel-



Puszcza Międzyzdrze w Łomnej Górnej nęci miłośników ciszy i piękna.



Z okazji 15lecia CSRS odbyła się w Warszawie akademia z udziałem członków KC PZPR i rządu.



kiej sztuki obcowania z naturą, umiejętności wypoczynku i hartowania ciała i ducha?

Beskidzki świat pełen uroków leży przed nami. Zawsze piękny, zawsze tajemniczy i dostojny w swej krasie w każdej porze roku. Przyjrzyjmy się mu bliżej. Starajmy się też poznać i zrozumieć człowieka gór. Odkryjemy bez reszty te treści, tkwiące w Beskidach, które by jeszcze mocniej, jeszcze trwalej zespoliły oba nasze narody w duchu szczerze i szeroko pojętej przyjaźni.

Władysław Oszelda

František Branislav

Powrót

*Pierwszy raz w Polsce. Dawne czasy —
Wspominam rozłożyste lasy
i łąki dawne w owym lecie.
Jak wiersze czytać je będziecie.*

*Czekaliśmy na zorzę jasną,
Gdy nam ktoś bliski poda hasło,
Byśmy wrócili w nasze strony
W dniu wonią mięty przepojonym.*

*Wracam do mowy śpiewnej dźwięku
i wiernie ściskam czyjąś rękę,
I na rewolucji sztandary
Kwiaty łąkowe kładę zmarłym.*

Przekład: M. Buczkówna

Różne były powody zainteresowania się wybitnych i mniej znanych pisarzy polskich Cieszynem. Przez piękne to miasto nadolziańskie prowadził niegdyś chętnie uczęszczany szlak komunikacyjny, prowadzący z Krakowa do Wiednia. Szereg więc osobistości świata polityki, nauki i sztuki zetknęło się z Cieszynem przygodnie, przejeżdżając przez miasto w czasie podróży do Austrii, Włoch lub innych państw zachodnich. W ten sposób doszło do zetknięcia się z Cieszynem i jego okolicami wielkiego pisarza i działacza politycznego i uczonego przełomu XVIII i XIX wieku — Stanisława Staszica.* W czasie swej podróży w 1790 r. zatrzymał się on w grodzie nadolziańskim. Miasto nie zro-

Również przejazdem tylko w nieco innym charakterze bywał w Cieszynie poprzednik romantyków, wybitny poeta i krytyk literacki, autor „Wiesława” i „O klasyczności i romantyczności” **Kazimierz Brodziński**. W 1813 r. wraz z wojskami księcia Józefa Poniatowskiego wyruszył szlakiem przez Kalwarię, Kęty, Stare Bielsko, Skoczów, Cieszyn, Frydek do Saksonii. Po postoju w Pogórze dnia 14 maja Brodziński dotarł do Cieszyna. „W Ogrodzonach zebrani — pisał poeta w swym pamiętniku — przybyliśmy do Bobrku pod Cieszynem. Gospodarz przyjął nas na kwatery najuprzejmiej. Rzędność, gościnność tego człowieka tak mi się podobały, że chodziłem za nim i przysłuchiwałem się

Pisarze polscy w Cieszynie

biło jednak na autorze „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego” wielkiego wrzenia, gdyż dźwigało się dopiero z groźnego pożaru, który je poważnie zniszczył. W swym „Dzienniku podróży 1789—1805” zanotował więc tylko:

„Dnia 29 kwietnia przyjechaliśmy o godzinie 4 po południu do Cieszyna. Miasto wielkie, ale zupełnie tego roku było zgorzało. Ogień zajął się od żyda. Ksiązę Albert, dziedzic miasta, dał znaczną mieszczanom do budownictwa pomoc. Język czeski z polskim. Od Bielska zaczyna się kraj śląski.”

Udając się w dniu następnym w dalszą podróż minął Toszonowice, Frydek — „miasteczko rozległe, częścią murywane, częścią zabudowane” i Lutrzyków. Po raz wtóry przejeżdżał Staszic przez te okolice w swej drodze powrotnej, robiąc wtedy szereg notatek o charakterze geologicznym, gdyż pracował wtedy nad dziełem „O ziemioródtwie gór dawnej Sarmacji, a później Polski”.

gospodarskim jego rozporządzeniom. Deszcz dzień cały kroił. Spoczawszy, wspomniałem sobie słowa Chateaubrianda:

„Szczęśliwy, kto na własnej osiadłszy zagrodzie

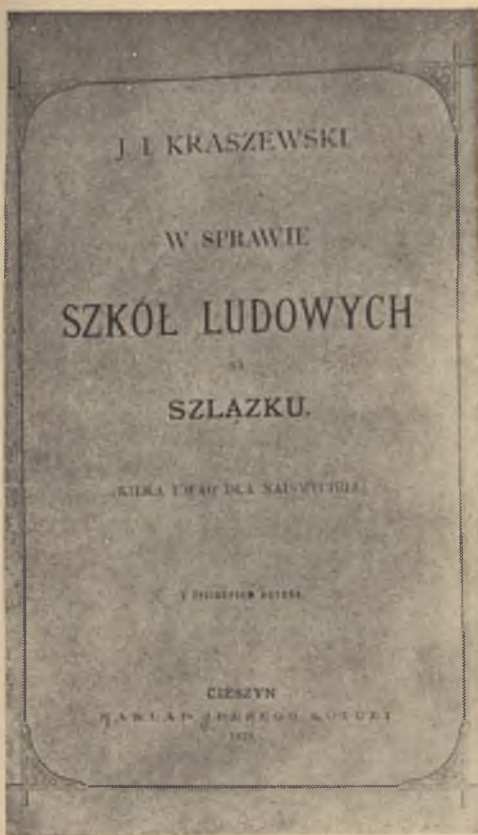
Nie chodzi w świat o swojej i cudzej szkodzie

Ten może obcego posilić w swym domu

Stu zobowiązał, sam nic nie winien nikomu.”

Tak więc pobyt pod Cieszynem i lektura francuskiego pisarza zapłodniły wyobraźnię poety i pozwoliły na powstanie jednego z piękniejszych czterowierszy Brodzińskiego. Samego miasta poeta nie mógł jednak zwiedzić. Przeszkodziły w tym ulewne deszcze. Wspominając więc tylko „bogate domy nadolziańskiego grodu” w dniu następnym zanotował:

„Przez piękne miasto Cieszyn tylkośmy przejechali. Deszcz z wiatrem nie-



Mniej znana publikacja Kraszewskiego.

litościwy nie przestaje nas prześladować.”

Inny charakter miały kontakty z Cieszyńcem J. I. Kraszewskiego, Wł. L. Anczyca, M. Bałuckiego. Z wyjątkiem Anczyca pisarze ci nie byli w Cieszynie. Żywo interesowali się jednak redagowaną przez Stalmacha „Gwiazdką Cieszyńską”.

Początkowo pismo cieszyńskie walczyło z wieloma trudnościami i nie łatwo torowało sobie drogę do czytelnika. Znał te trudności J. I. Kraszewski, gdyż korespondował z wieloma Cieszyńiakami i starał się redakcji przyjść z pomocą. W 1859 r. ogłosił on w „Gazecie Warszawskiej” artykuł propagandowy na rzecz „Gwiazdki”, chętnie wspomagał też redakcję artykułami i drobnymi utworami. Dał jednak także inne jesz-

cze dowody serdecznego stosunku do Cieszyna. Kiedy z inicjatywy Stalmacha powstała Czytelnia Ludowa wielki pisarz jako pierwszy przesłał dla niej dar 69 tomów książek. Nie pozostał też gród cieszyński bez echa w jego bogatej twórczości. Akcję powieści „Biały Księż” częściowo umieścił na zamku cieszyńskim. Za te uczucia przyjaźni Cieszyń odwdzięczał mu się zawsze wielką miłością, czego dowody znaleźć można na łamach „Gwiazdki”, która często pisywała o życiu i dorobku pisarskim autora „Starej baśni”. Te uczucia przywiązania do pisarza dominowały też w czasie uroczystości, organizowanych w Cieszynie z okazji jubileuszu 50-lecia pracy twórczej J. I. Kraszewskiego.

Podobne okoliczności związały też Wł. L. Anczyca z miastem nad Olzą. Również on korespondował m. in. z Kluckim, Śliwką, Świerkiewiczem, wielu Cieszyńiaków poznał też osobiście w czasie swej w tym mieście bytności, żywiąc dla nich szczere uczucia przyjaźni. Takimi uczuciami darzył m. in. redaktora Gwiazdki — Stalmacha, któremu poświęcił długi artykuł w książce zbiorowej „Wisła”. Podobnie jak Kraszewski orędownik także Wł. L. Anczyca za rozpropagowaniem pisma poza granicami Śląska, zdobywał dla niego współpracowników i w ten sposób wpływał na charakter gazety. Wielkie położył też Anczyca zasługi w zaopatrzeniu Czytelni Ludowej w książki. Rozwijał w Warszawie akcję zbiórki książek dla Cieszyna, wypraszał je w wydawnictwach i u osób prywatnych i przekazywał je Stalmachowi. W ten sposób obok Kraszewskiego również Anczyca stał się wielkim przyjacielem Cieszyna.

Nazwisko Michała Bałuckiego nieco inaczej związało się z „Gwiazdką Cieszyńską”. W roczniku 1860 r. ukazało się szeregi jego utworów, jak np. wiersze „Do ojca”, „Niedzielna pieśń pastuchów”, „Góral” a przede wszystkim „Dziewczyna spod lasu”. Były to utwory zupełnie wtedy nieznanego pisarza i w ten sposób drukując je „Gwiazdka” umożliwiła późniejszemu wybitnemu komediopisarzowi jego start literacki. Utwory drukowane w Cieszynie stały się debiutem pisarskim autora „Grubych ryb”.

Z początkiem 20 wieku odwiedzili

Cieszyn: **Kazimierz Przerwa-Tetmajer**, Jan Kasprowicz, Lucjan Rydel, Artur Gruszecki i inni. Bystrość autora „Na skalnym Podhalu” podobnie jak Artura Gruszeckiego (twórca „Kretów”) wiązała się z otwarciem Domu Narodowego w 1901 r. Uroczystość ta o wielkim znaczeniu kulturalnym zgromadziła wybitnych przedstawicieli prasy i pióra z całego kraju. Ozdobą tego towarzystwa był niewątpliwie czołowy liryk młodopolski, tak bardzo wówczas popularny **Kazimierz Przerwa-Tetmajer**, który na cieszyńską uroczystość napisał specjalny wiersz, drukowany w „Gwiazdce” w nr. 4 z 1901 roku.

Trzy lata później w tym samym Domu Narodowym przemawiał drugi czołowy poeta przełomu 19 i 20 w. — **Jan Kasprowicz**. Z inicjatywy dr. Kazimierza Wróblewskiego Polskie Towarzystwo Pedagogiczne zorganizowało pierwszy kurs wakacyjny dla nauczycieli cieszyńskich. Prelekcje o twórczości twórcy „Pana Tadeusza” wygłosił w dniach 19 i 20 sierpnia autor „Hymnów”. Pełen uznania dla działalności cieszyńskich oświatowców wpisał się w księdze gości cieszyńskiej Czytelni Ludowej. Na podobnym kursie rok później, tj. w 1905 roku, był świetny mówca i znakomity poeta, autor „Zaczarowanego koła” **Lucjan Rydel**. Wykłady jego na temat: „Odrodzenie w Polsce — czasy Zygmuntów i Batorego pod względem kulturalno-cywilizacyjnym, społeczno-politycznym, religijnym i filozoficznym” cieszyły się dużą popularnością. Zgromadziły one komplet uczestników kursu. Żaden z wykładowców nie miał tylu słuchaczy.

Związek pisarzy polskich z Cieszynem poprzez odczyty i wieczory autorskie nie ogranicza się jednak wyłącznie do nazwisk J. Kasprowicza i L. Rydla. Prelekcje wygłaszali najczęściej w Domu Narodowym czołowi pisarze okresu dwudziestolecia i czasów współczesnych. Jeszcze przed pierwszą wojną światową w 1909 r. dwa głośnie odczyty o Matejce wygłosił pisarz, dziennikarz i kustosz Domu Matejki — **Maciej Szukewicz**. Wydarzeniem kulturalnym wywołującym wiele sprzecznych sądów, niemniej ożywiającym dość monotonne życie cieszyńskie, stały się prelekcje głośnego w



Portret Kraszewskiego opublikowany w ówczesnej prasie.

dwudziestoleciu pisarza **Kadena Bandrowskiego**, który mówił w Cieszynie na temat twórczości St. Żeromskiego, pisarza serdecznie przywiązanego do Śląska Cieszyńskiego i o roli kobiety we współczesnym świecie. W ślad za tymi twórcami na zaproszenie różnych cieszyńskich towarzystw kulturalnych również chętnie odwiedzają Cieszyn dzisiaj czołowi przedstawiciele literatury polskiej. W ostatnich tylko latach spotkali się ze społeczeństwem cieszyńskim tacy wybitni twórcy współczesnej kultury polskiej jak: L. Kruczkowski, Karol Bunsch, Stefan Otwinowski, W. Zechenter, J. Wł. Grabski, W. Szewczyk, L. Mech i inni. Spotkania te wryły się w pamięć słuchaczy, samo miasto i jego ludzie robią jednak takie miłe wrażenie na pisarzach i nie rzadko stają się pod-

niętą jakiegoś dzieła literackiego. Wyraził to dobrze w jednym z wywiadów J. Wł. Grabski:

„W pięknym starym Cieszynie mówiłem na temat przyjaźni polsko-czeskiej w ciągu całego niemal Tysiąclecia. Muszę powiedzieć, że mimo iż odbywałem i odbywam wiele autorskich podróży, miałem dziesiątki spotkań z czytelnikami, nigdzie chyba nie nawiązałem tak bezpośredniego, tak serdecznego kontaktu ze słuchaczami, nigdy chyba nie miałem tak głęboko wrażliwych i inteligentnych słuchaczy jak właśnie w Cieszynie.”

Słów kilka na zakończenie należy się pisarzom, których los rzucił na dłuższy pobyt do Cieszyna. Do nich w pierwszym rzędzie należy **Julian Przybóś**, wybitny dziś poeta warszawski, który w latach od 1927 do 1938 był profesorem najpierw gimnazjum im. Osuchowskiego a potem im. M. Kopernika. W Cieszynie powstało wiele jego wierszy. Tu ukazały się dwa zbiory poetyckie: „Sponad” (Czeski Cieszyn 1930) i „W głąb lasu” (1932). Szereg też artykułów, drukowanych m. in. w „Zaraniu Śląskim” podejmowało aktualną wówczas problematykę kulturalną na Śląsku.

Również z gimnazjum cieszyńskim związał się powieściopisarz **M. Asanka-Japoń**, który prócz wielu artykułów poświęcił ziemi cieszyńskiej swój tom opowiadań: „Grajek z Jasnowie”.

Jednym z najgorliwszych miłośników Śląska był też **Paweł Hulka-Laskowski**. Żył on w Cieszynie i tutaj tworzył wiele swych dzieł, m. in. głośną i ostatnią swą powieść „Księżyc nad Cieszynem”.

Pobieżny fragmentaryczny ten przegląd związków pisarzy polskich z Cieszynem uświadamia nam, że stary gród nadolziański wzbudzał i wzbudza duże zainteresowanie wśród twórców literatury polskiej. Różne są przyczyny tego zjawiska. Jednych pisarzy złączyła z Cieszynem przelotna przygoda, innych świadomy obowiązek obywatelski i społeczny, jeszcze innych osobiste okoliczności życiowe. Niezależnie jednak od tych przyczyn trzeba stwierdzić, że poprzez te nieraz przygodne kontakty stolica ziemi cieszyńskiej trafiła na łamy wielu dzieł literatury pięknej. Nie tylko więc z racji dumy lokalnej, ale również

z uwagi na oddźwięk w dorobku pisarskim wielu twórców ich pobyt w Cieszynie jest godny uwagi.**

Marian Rozowski

- * Inną nieco drogą przez Białą, Bielsko, Bogumin, Opawę, Olomuniec nieco wcześniej bo w 1770 r. podróżował autor „Filon i Laury” — Franciszek Karpiński.
- ** W artykule niniejszym pominięto związki pisarzy pol. z innymi zakątkami Śląska Cieszyńskiego. Nie ma więc w nim wzmianki o pobycie M. Konopnickiej, B. Hoffa, B. Prusa, Rawity-Gawrońskiego, L. Wasilewskiego w Wiśle, Wł. Orkana, Koniańskiego i innych w Ustroniu, Pola i Parandowskiego w Jaworzu, A. Stroga w Trzyńcu. Na ten temat porównaj artykuł Edmunda Rosnera — „Szlakiem pisarzy polskich po Beskidzie Śląskim” w Kalendarzu „Zwrotu” z 1960 r. M.R.



W książce tej Hulka-Laskowski oskarża faszyzm niemiecki i jego zbrodnie dokonane na ludzkości.



LESZEK MECH

Kocham ojczyznę

Kocham ojczyznę późną wiosną,
kiedy topnieje sadów śnieg,
i wiatry krople dżdżu przynoszą,
a ludzie lato wróżą z rzek.
Kiedy cykady z nut Szopena
o cierpkim smutku grają w zmierzch,
a smuga strugi się przemienia
w niepozłacany giętki miecz.

Dziewczyna w stroju cieszyńskim →





Ojcem chrzestnym BYŁ LAS

J. MAZUREK

W ostatnim okresie niewoli, trwającym od 30 marca do 1 maja 1945 r. wróg występuje na szlakach partyzanckich w dużych masach, porusza się jednak chaotycznie, z miejsca na miejsce, szukając wyjścia z okrażenia.

Po zdobyciu Bielska 9. 2. 1945 przez wojska radzieckie pod dowództwem generała Koniewa i Bańskiej Bystrzycy przez generała Malinowskiego 27 marca 1945 r., pętla na worku z hitlerowcami zaciąga się z dnia na dzień coraz to silniej. Jedyny kierunek ucieczki dla resztek wojsk hitlerowskich to droga i kolej z Cieszyna przez Gnojnik na Frydek.

Okupant hitlerowski wciąż szaleje, jeszcze dnia 15 kwietnia 1945 r. morduje na żydowskim cmentarzu w Jabłonkowie ośmiu górali i cztery góralki z Istebnej, Koniakowa i Jaworzynki, uprowadzając dziesiątki innych do więzienia na Mirów. Również i w Cieszynie na starym cmentarzu żydowskim szaleje terror, rozstrzelują tu dziesiątki naszych najlepszych synów i córek ziemi cieszyńskiej.

W ostatnim dniu niewoli mordują gestapowcy Jana Drozda, profesora muzyki, wybitnego pedagoga i dyrektora Szkoły Muzycznej w Cieszynie.

Hitlerowcy wyrządzają ponadto naszej ludności niezmiernie szkody, uprowadzają część naszej młodzieży w obozy wojskowe; emerytów, inwalidów, starców, kobiety i dzieci wypędzają do kopania rowów, do budowania szańców wzdłuż całej Olzy. Naszym gaździnkom

wykradają z piwnicy ostatnie zapasy ziemniaków, gazdom ostatnią ociepkę siana, ostatnie zaprzęgi i nawet krowy.

W czasie tych niezmiernie ważnych i pełnych napięcia i oczekiwania wydarzeń wojskowych, przeżywa także grupa partyzancka „Nad Olzą” niezmiernie ciężkie chwile. Główny szlak partyzancki tej grupy ciągnął się od Przykrej pod Kozubową, źródła Kopetnej, Suchego Potoku, Potoku Sekułowickiego i Kopetnicy do Kiczery, Ostrego, Kikuli i Łabajki.

Ośrodkiem życia partyzanckiego jest słynny bunkier na Przykrej pod Kozubową. Był to punkt oporu sztabu partyzanckiego i siedziba całej grupy, w tym okresie służący równocześnie za mieszkanie rodziny partyzanckiej — Pawła Rusza, żony Marii i dziesięcioletniego syna Pawełka, bardzo zdolnego łącznika, ulubieńca wszystkich partyzantów.

Dnia 28 marca 1945 r. wywiązuje się w obronie bunkrów walka na śmierć i życie. Walczy cała grupa, stara i młoda gwardia w liczbie 14 dobrze uzbrojonych chłopów w broń automatyczną i granaty.

Są to stara gwardia: Paweł Rusz z Bystrzycy, Jan Sikora „Kurzyszek” z Dolnej Łomnej, Jan Proboszcz z Bystrzycy, Jan Fiedor z Dolnej Łomnej, Paweł Sztetek z Bystrzycy, Jan Heczko „Kikulok” z Koszarzysk oraz Józef Sikora z Bystrzycy.

Młoda gwardia: Paweł Mitrenga, Adolf Szmek, Ludwik Szmek, Józef Si-

kora, wszyscy z Koszarzysk oraz dwaj żołnierze radzieccy: Misza Kowalenko i Iwan Chlebnikow.

Po stronie wroga jest około 10 gestapowców i własowców z kilku wilczurami. Trzech własowców było nawet na małych konikach.

W walce tej partyzanci przepędzają wroga w kierunku na Osadę „Liszcz” pod Kozubową, zadając mu prawdopodobnie, poważne straty.

Grupa wycofuje się po walce na odcinek do „Banatu” niedaleko Suchego Potoku, zabierając z sobą Marię Ruszową, żonę Pawła, jedyną żyjącą jeszcze w ich grupie partyzantkę. Niechętnie opuszczają swój stary bunkier na Przykrej, lecz taktyka partyzancka wymaga tego manewru.

Przeprawa z bunkrów na Przykrej do wyżej położonego kotła górskiego przy źródłach Kopetnej, zwanego „Banatem” jest bardzo uciążliwa. Droga prowadzi gęstwiną leśną, zarośniętą młodymi smrekami z gęstym podszyciem, częściowo jeszcze pokryta głębokim śniegiem.

Maria Ruszowa z dnia na dzień oczekuje urodzin nowego życia. Potrzebowałaby odpoczynku i spokojnego kąta na tak ciężką dla każdej kobiety chwilę.

Po dwugodzinnym marszu, już pod wieczór, szykują jej schronienie w lesie, w ukrytej budce sarenki. Po herbatce i posiłku Maria i jej syn Palo zasypiają głębokim snem..

Następną noc, z dnia 29 na 30 marca, grupa partyzancka spędziła pod starą omszałą jodłą, w głębokim lesie u podnóża Ostrego, nad Potokiem Sekułowiczym. Nawet gościnnej budy sarenki tu nie było.

Tu pod gołym niebem, w romantycznej dolinie Sekułowskiego Potoka, rodzi się najmłodsza partyzantka — Wanda Ruszówna, dnia 30 marca 1945 r. o 7,30 rano. Najgłówniejszą postacią tego wydarzenia jest Maria Ruszowa, matka Wandeczki. Świadcami tego niezwyklego porodu są wszystkie szczyty okolicznej Kozubowej, Ostrego, Kiczery, Kikuli i Łabajki. Nowourodzoną dziecinę wita rodzący się dzień, rodząca się wiosna i rodząca się wolność...

Poród odbył się w najprymitywniej-



Paweł Rusz z Bystrzycy kilka lat spędził w partyzantce beskidzkiej.

szych warunkach, jakie można sobie wyobrazić.

Nie było — rzecz rozumiała — przygotowanych instrumentów ani sterylnej gazy, ani opaski, ani pieluszek, ani poduszek, tylko ostry nóż partyzancki i sznurki od kalesonów... Przytomność umysłu ratowały i uratowały życie matki i córeczki. Ginekologa-lekarza i asystentkę porodniczą zastępuje tu twarda dłoń partyzanta.

Ojciec dziecka zdjął szybko swoją koszulę i zawiąza do niej kwilące i od zimna trzęsące się niemowlę.

Matka po porodzie czuła się dobrze, chociaż straciła dużo krwi.

Wobec braku całej wyprawy porodniczej, która już była przygotowana w bunkrze „Na Przykrej”, i po potyczce z gestapowcami tam pozostała, na pierwszy plan wysunął się problem umieszczenia noworodka.

W normalnych warunkach czeka już gotowa wanienska, ciepły pokój, ręczniki flanelowe, ogrzane pieluszki, gąbka do kąpieli, środki desynfekcyjne, wata, wazelina, mydło, zasypka dla dzieci i inne środki wraz z całym sztabem pomocników: mama, babcia, kilka cioci, akuszerka i lekarz.



Maria Ruszowa tuż po wyzwoleniu z córeczką, która urodziła się w lesie pod Ostrym.

A tu dziecko leży pod szczerym niebem, bez wszystkich środków, tylko stara jodła udziela gościnności.

Najbliższa chata góralska leży pod Ostrym, około 20 minut drogi. Mały Palo, brat małej Wandeczki, okazał się i tu nadzwyczaj dobrym łącznikiem. Popędził co tchu z karteczką od mamy do Ewy Klimkowej pod Ostrym.

Lecz przyjęcie położnicy z dzieckiem okazuje się niemożliwym. Wojsko hitlerowskie mieszka w tej i w innych chatach.

Hitlerowcy, uciekając przed armią radziecką dalej na zachód, nocują nawet w tak odległych chatach góralskich i podgórskich. Lecz z odmowną odpowiedzią przynosi Palo ciepłe pieluszki, ręcznik, koszulkę i flaszkę ze smoczkiem, pełną ciepłego mleka od dobrej gaździnki.

Stara jodła udziela nadal pomocy i pomaga także rozwiązać problem kąpieli. Ze skóry jodły, tzw. łupku partyzanci zrobili wanieńkę. Małeństwo obmyto z szpilek i ubrano w ciepłą bieleznię.

Po kąpieli matka i córka zasypia i odpoczywa aż do rana drugiego dnia.

Inna grupa przychodzi z wywiadu z

dobrą nowiną: stary bunkier na „Przykraj” jest nietknięty. Okazało się, że gestapowcy i własowcy bunkra wcale nie odkryli.

Po wspólnej naradzie postanowiono wrócić „Na Przykrą”. Jest to najrozsądniejsze wyjście z tak trudnej sytuacji. Przecież nie mogą pozostawić w lesie położnicy i niemowlęcia!

Wczesnym rankiem, dnia 1 kwietnia 1945 r. w sam raz na Wielkanoc, wyruszają starym partyzanckim szlakiem w drogę powrotną.

W starym bunkrze nowa gruntowna kąpiel w prawdziwej wanieńce pokrzepia członki noworodka. Pierwszy porządny obiad, mleczko z rumiankiem, smakuje wyśmienicie. Pojawiają się także pierwsze odwiedziny.

Łączniczka Zuzanna Sikorowa z „Grotkowej” przychodzi na „Przykrą”, przynosi wanieńkę, świeże masło, maślanek i nawet warzonkę. Dla małego mleczko, marchewkę, rumianek, tabletki Cebion i Witacalcin. Dla szczęśliwego ojca i małego Pala na Śmigust pięknie malowane jajka.

Życie rodzinne w bunkrze, podobne do życia naszych pradziadów — jaski-



A tak wygląda obecnie córka Wanda.

niowców, ożywione i wzbogacone przez małą Wandeczkę, zaczyna się po kilku dniach już znowu ustalać. Wandeczka otrzymuje własne łóżeczko w „bambeli” na żerdzi pod skórzanym sufitem bunkra. Przykrycie bunkra tworzą trzy krowie skóry, umiejętnie wyprawione. Partyzancka rodzina Pawła Rusza, powiększona o roztomiłą Wandeczkę, mieszkała tak blisko trzy tygodnie. Od 1 do 20 kwietnia 1945 roku. Wandeczka otrzymuje już od szóstego dnia życia „papkę” usmażoną na świeżym masełku; bardzo jej smakuje to danie naszych prababek. Oprócz tego dostaje sok z marchewki posypyany mączką z cukru, tabletki z witaminami, które przysyłał lekarz (dr. Mazurek — przyp. red.) przez łączników.

Straż partyzancka zauważa, że od kilku dni wzmacnia się ruch wojsk hitlerowskich, uciekających na zachód. Z wojskiem ucieka dużo cywilów, uciekinierów, pędząc przed sobą całe tabuny koni, krów, cieląt i kóz, wykradzionych z ziemi żywieckiej i krakowskiej. Niejedną krowę odbili złodziejom partyzanci. Wśród braci partyzanckiej nie odczuwa się teraz żadnego głodu.

Dnia 20 kwietnia przeżywa grupa partyzancka „Na Olzie” oraz bunkier na „Przykrej” drugi najazd hitlerowców. Partyzanci w pełnym uzbrojeniu z automatami i granatami za pasem, oczekują w pełnym pogotowiu nadchodzącego wroga. Najazd składa się tym razem z liczego oddziału „czarnych diabłów” SS i zielonych hitlerowskich żandarmów z psami — wilczurami.

Prawdopodobnie był to ten sam oddział hitlerowców, który dnia 6. 4. 1945 zamordował na Kozubowej trzech partyzantów: Jana Sikorę „Kurzyska” z Dolnej Łomnej, Bolesława Ryłkę i Stanisława Rychtera z Jabłonkowa.

Partyzanci wobec przewagi wroga postanowili wycofać się w bezpieczne miejsce. Widząc nieuchronną klęskę wroga, ratowali życie sobie i maleństwa.

Z dalekiego punktu obserwacyjnego obserwowano, jak hitlerowcy rzucają granaty do opuszczonego bunkra.

Grupa partyzantów spotyka się wieczorem w chacie Adama Szmeka nad Kopetną, ojca dzielnego partyzanta



Mały Palo, łącznik, oddał partyzantom niejedną przysługę.

Ludwika Szmeka, gdzie także znajduje nowy przytułek Wandeczka i Palo z mamusią.

Następną noc z 21. 4. na 22. 4. 1945 spędzają pod Kikulą w chacie góralskiej Marii Ruszowej.

Wreszcie wysoko pod Oстрыm, w zagrodzie gaździnki Janeczkowej, najmniejsza partyzantka i reszta partyzantów, spędza ostatnie dni okupacji od 22. 4. do 2. 5. 1945 r.

Straż partyzancka uważnie śledzi wszystko, co się dookoła dzieje. Mały Palo zajmuje się teraz bardziej pielęgnacją siostrzyczki niż wywiadem. Pomaga prac pieluszki, przygotowuje herbatkę z rumianku, sok z marchewki i okazuje się wcale niezłym piastunem, tym bardziej, że córka gaździnki Janeczkowej, zameżna Szurmanowa, także ma taką małą dziewczynkę, która potrzebuje tej samej opieki.

Najpiękniejsza wiosna nadchodzi i przynosi naszym góralom i partyzantom tak bardzo upragnioną wolność.

Wojska radzieckie generałów Koniewa i Żukowa, i wojska polskie generała Popławskiego zdobywają 25. 4. 1945 Berlin, gniazdo hitlerysty.

A dnia 2 maja 1945 r. wypędza kapitan Krawczenko niedobitki hitlerowców. z Jabłonkowa, Bystrzycy, Koszarzysk i innych wiosek Śląska Cieszyńskiego.

Naszą grupę partyzancką „Na Olzie”, która się także przyczyniła do zwycięstwa, witają owacyjnie obywatele Koszarzysk i Milikowa.

W triumfalnym pochodzie kroczą w pierwszym szeregu towarzysze radziecy: Kowalenko i Chlebnikow, partyzanci Rusz, Proboszcz, Fiedor, Heczko, Szmek, Mitrenga, Szlauer, Sikora, Sztetek, Jeżowicz, Zuczek i wielu innych.

Z ich karabinów wyszła ostatnia salwa — salwa zwycięstwa!

WŁADYSŁAW SIKORA

Na Dolinkach

S tary Hadam z Dolinek żył długo. Od niedawna dźwigał już dziewiąty krzyżyk. Przygięty był jak smreki w zimie, poszarpany przez lata niby dąb na Szanieczkach. O śmierci jednak nie lubił słyszeć. Zżymał się i mamrotał, brał się do sękatego kija i przepędzał każdego, kto by się dziwił jego latom. Znać było, że często myślał o tej zębatej, że uciekał przed jej chłodem, odpędzał jak mógł samo jej pojęcie. Wydawało się, że walka ta oświeża starca. Kiedy szedł, wywijał kijem dla oznaki, że wcale, wcale jeszcze...

Dziwił się nieraz Gumola z Jastrzębskiego Potoka widząc Hadama idącego w dół na Rzekę.

— Bo tu — mawiał — siódmy dziesiątek, wziął człowiek na pleca, a jakosi nie lza. Noziska twarde, słabną oczy, w krzyżach rzeźbie... Już jyny czekać na zębata. A un chłopak rzeźki taki, że do zbójników go brać. A stary Hadam, chociaż z twarzą zmarszczoną jak dwuletni ziemniak, smarował w dół Jastrzębskim Potokiem ledwie nie pogwizdując. Siedział tylko chwilami za załomem lasu, przydługo jakoś fajkę zakręconą ładował i zapalał wydziwiając na nowoczesne zapalniczki, jeżeli ktoś zjawił się nagle spoza gąszcza.

— Kiedysi, to starczyło o nogawicę szkrzyknąć, a buch płomień, że wilki zmiatały, skąd je przyniosło.

Posiedział stary na pniu popekując. Nie lubił jednak ludzi. Bo zrywał się wtedy, wsuwał fajkę za pazuchę i ruszał ze starczym zawadiactwem. Przesiadywał jednak u syna Józefa tylko do wieczora. Kiedy słońce dotykało szczytów w Wyrchłomnej, zabierał kij i bez pożegnania odchodził. „Było trzeba dać psu coś na noc, bo kto tam o niego dba? A przeca to howadko też czuje i odwdziżyć się umie.”

— Dostał pies? — pyta mocno, kiedy zjawiał się wreszcie na Dolinkach.

— Dostał, starku — odpowiedziała Marynka.

— Dostał, dostał... Już wiem, jak to jest...! Gdyby człowiek się nie starał o niego, to zdechnie. A przeca to howadko czuje i odwdziżyć się umie!

I szukał resztek wieczery, pozlewał tam coś i wychodził do Bosego rozmawiając z nim, dopóki ten nie wylizał miski do reszty.

— Gdzie będziemy rzepe sadzić, tato? — pytał nazajutrz Paweł. — Chyba pod lasem, bo w przyszłym roku pszenicę tam będzie trzeba zasiać. — Paweł, który gospodarował po ojcu jako najstarszy, chociaż dochodził do sześćdziesiątki, wolał poradzić się ze starym. Nie raz bowiem Hadam zdolny był wziąć się do pasa, gdy coś zrobiono nie po jego woli. — „Ci młodzi na niczym się nie

znają, nic nie pojmują. A zrobią coś, to na złość tylko."

— Pod lasem, pod lasem — namyślał się gderliwie Hadam. — U lipy będzie trzeba rzepę sadzić. Pod lasem sucho i dużo kamieni. Rok będzie suchy. Ziemniaki chwyć.

— Wyjałowicie doszczętnie kasek — oponował Paweł. — I co tam potem człowiek da?

— Zawsze były ziemniaki ze rzą, albo owies. Naraz rzepę i pszenicę? U lipy będzie trzeba rzepę sadzić.

Paweł częściowo przekonał starego, lecz Hadam nie zmieniał nigdy zdania. Powtórzył raz jeszcze, że u lipy będzie rzeпа i wziął siekiere.

— Niechejcie, tato, Antek narobi drzewa. Siednijcie już przeca raz przy piecu i pokurzujcie fajkę — odezwał się Paweł.

Hadam nie odpowiedział nic. Lecz zbyt długo jakoś dłubał dzisiaj na gnotku. Kiedy zawołano na obiad i kiedy Marynka połała szperkami ciepłą

prażbę, starek siadł ze stukiem kija do ławy, zaczął cedzić powoli, gniewnie po każdej łyżce:

— Juzech jest stary dla was, jak ten koń bez zębów... Robicie, co chcecie. — Lecz wszyscy milczeli. Paweł wbił oczy w prażbę i jadł jakoś powoli, Marynka wpatrywała się płaczliwie w twarz starka, a stara Zuza, pachnąca oborą, z trudem połykała prażbę. Tylko Antek zdawał się nic nie słyszeć.

— Juzech jest stary dla was — mówił dalej Hadam przeżuując pustymi szczękami. — Stary, do niczego... Niepotrzebny... Każecie mi odpoczywać, bo nic już nie poradzę zrobić. Bo zaczynacie żałować tej łyżki prażby... Za długo żyję! Zabieram wam miejsce... Chcielibyście... chcielibyście mnie widzieć na marach!

I Hadam wstał, zachwiał się nagle i siadł na swojej pryczy, wbił sztywne palce w ochłapy włosów i pierwszy chyba raz w życiu — zapłakał.

*



Schronisko na Girowej

Bóle w krzyżach powróciły. Hadam wspierał się na kij opadając ciężko z nogi na nogę.

— To uni wmówili mi tę rehmę — mruzczał z sykiem — ci najbliżsi, umiłowania... I siadł znowu na pryczy nie mogąc wyjść na dwór. A słońce wołało go dzisiaj ze zdwojoną siłą. Lipa za okienkiem zaczęła się lekko zielenić. Samotna mucha tłukła się o szybę.

— Nie próbuj, bo też żeś chyba — stara... E, głupia!

Hadam powłókł się wokół stołu, oparł się o krzesło i podchodząc przyglądał się chwilę upartym wysiłkom maleństwa. Potem starał się złapać bzykający punkcik, lecz mucha wyrwała się spod starczej dłoni i szerokim łukiem trafiła w rozwarte drzwi.

— Mądraś ty przeca... Mądrzejsza ode mnie. Uciekła z łapy. Ja też — ucieknę, nie bójcie się! Muszę! Ha, starzym już!...

Wyciągnął wypaloną fajkę i pełną pacharzynę, wziął zapałki znad pieca i wspierając się o ścianę pociągnął zwolna ku drzwiom. Dobrnął wreszcie do sieni i opadł na próg.

W dolinie trwał wiosenny spokój. Świeże podmuchy poniosły zgryzotę starca. Zapatrzył się. Na czołach polan pomiędzy lasami uwijali się ludzie. Od-dychał jakoś wolniej, zapomniał o bólach. Rozwinął sznurek pacharzyny, rozcierał na dłoni pachnący tytoń i stłoczył go dokładnie w starą fajkę. I zaciągając się z rozkoszą brunatnym dymem rozłożył szeroko skostniałe nogi. Zapadła w dole Łomna ożywiła dawniejsze lata. Szły naprzeciw z szeregiem nie żyjących już twarzy. Ile ich było wszystkich?! Bijali się kiedyś o dzie-wuchy, potem godzili przy pulcie. Pamięta, jak Jędryś z Rzeki pytał przy płocie u Gumole. Wtulił mu wtedy Hadam, wtulił... A potem za rok się żenił — z Hanką. Ile już to? — dwadzieścia lat, co Hanki nie ma. Była to dzie-wucha! Marynka podała się na nią. Och, ile tych ludzi już nie ma! A dobrzy kamraci to byli. Chodziło się do Sałajki, na Mosty, do Milikowa. Nie bał się, bo człowiek nie był cherlokiem.

Fajka dawno się wypaliła, kiedy Hadam ocknął się. W dole czekał pies.

Ktoś szedł od Jastrzębskiego Potoka. Po jakiejś chwili zjawił się Józef.

— Nie robisz dzisiaj? — przywitał go Hadam. — Co tam kaj nowego?

— Wziótech urlop. Chciałbym tu hore jaki zbiyr dostać. Jak wy, tato?

Hadam przypomniał sobie wczorajsze zajście.

— Stary zech jest... Chcieliby mnie na marach widzieć...

Skurczył się jakoś, ścisnął kij i wpa-trywał się uparcie w jego otarty koniec. Józef zapalił papierosa milcząc długo.

— Kaj są — zapytał zwyczajnie — na polu?

— Na polu.

— Tato, wiecie co? — Tela razy wam mówiłem: pójcie do mnie, jużesmy sami, to miejsca jest dość. Pszczoły zech kupi! mielibyście co robić. Ja idę do roboty, to nie ma kto doglądać.

Stary patrzył chwilę na niego, zamyslił się.

— Na dyć tu zech wyrósł. Tu od dziecka żyję... A Bosy by zdech z głodu. Nie, Józefie, ciężko by mi odejść.

*

Paweł wrócił z pola zmordowany. Antek oporządzał konie, Marynka warzyła wieczrę.

— Co będziesz sadził pod lasem? — zapytał nagle Hadam. Paweł jakgdyby zbudził się z zamyślenia.

— Co będę sadził pod lasem? Rzepe będzie trzeba tam dać, bo kasek do cna wyjałowieję.

Stary wstał z pryczy, ujął kij, lecz nie ruszył się. Przypomniały mu się pszczoły. Paweł przyglądał się ojcu.

— Tato, spółdzielnię założyli w Bocconowicach...

— Moje to jest — powiedział cicho Hadam i poszedł do ławki koło pieca.

— Pies dostał?

— Już mu niesę — wyrzuciła szybko Marynka i wyrwała z rąk starka przygotowaną miskę. Stary powrócił do pryczy. Zrzucił z trudem buty, potem ubranie i położył się.

— Nie chcecie jeść? — odezwał się Paweł.

— Nie.

Odwrócił się do ściany zamyślony.

Jutro, jeśli poradzi, pójdzie się popatrzyć na te pszczoły do Józefa. Jest on poradny, rozumny, ale czy choć dobrze je ustawił?

Naraz — zdrzemnął się widocznie — wytrzeszczył oczy. Był na pasiónku, siedział na samotnym pniu, kiedy ją zobaczył. Koło lasu szła wysoka, biała. Śmierć. Kiwnęła do niego, a on, wydawało mu się, słyszał daleki, przestrzenny głos:

— Pójdź, Hadam, już czas...

Porwał go dziki strach. Wstał, wy-

rwał mocny pień i krzycząc rzucił nim w zjawę.

Zbudził się zalany potem. Wszyscy schylili się nad nim. Spojrzał z przestachem w ciemne okno i nakrył się cały pierzyną. Dygotał z dziwnego chłodu. Wtem zobaczył ją znowu — zagładała do niego przez czarną szybę. Krzyknął, chciał się poderwać.

Kiedy ściągnięto z niego pierzynę, leżał zwinięty, niezwykle cichy. Już nie oddychał.

Władysław Sikora

XX



Jak w domkach campingowych. Trzeba przyznać, że cielaki czują się w kojłownikiej spółdzielni jak na wczasach.



OPROWADZANIE DLA WNUKA

Kilka dni temu, w czasie włóczęgi, znalazłem się w jakże dobrze mi znanej okolicy. Przywitały mnie góry porośłe bujnym lasem. Patrzyłem na nie oczyma wspomnień, usiłując przypomnieć sobie, gdzie zaczyna się znajoma, tylekroć przeze mnie wydeptana ścieżka, gdzie jest wielki buk, pod którym piekliśmy barana, gdzie zagubiona wśród gór dolinka — miejsce naszej walki z faszystami. Była to okolica pamiętna z walk partyzanckich, szczególnie zaś wślawiła się tu wieś, która jak olbrzymi kamień ciśnięty do rzeki, leżała zagubiona wśród gór.

Pośrodku wsi, na obszernym placu rosną trzy lipy, jednakie jak trzy krople wody — piękne, urodne, pachnące wonią mojego dzieciństwa, zapachem miodnych kwiatów.

Jednakie są te lipy — siostrzyce, tylko środkową wyróżnia czarna tabliczka z białym napisem:

„Na tym miejscu...

A dalej większymi literami nazwisko: Jakub Ranczok.

Siedzę na ławeczce pod lipami i wspominam mojego towarzysza Jakuba Ranczoka, zwanego pospolicie Jakubikiem. Gdy przymknę powieki nie mogę w żaden sposób przypomnieć sobie twarzy Jakubika. Jest jakaś rozmazana, niewyraźna, nawet gdy przez chwilę zarysuje się ostrzej, natychmiast niknie, rozplywa się w czasie, jaki nas oddalił. Tysiąc wspomnień ciśnie się nagle, przychodzą niewołane, pierzchają i znów przychodzą w jakimś ustawicznym zamęcie. Dopiero kiedy wieczór pochyli się nad lasem, kiedy ustaje szum pszczeli w konarach drzew, a słodka woń miodowych kwiatów zaczyna

upajać, kiedy rzeczywistość nabiera jakichś miększych konturów, jawi się przeszłość z wyraźnym obliczem. Wtedy też dokładnie widzę twarz Jakubika i jego tragiczny kres...

Wasył, komendant naszego oddziału partyzanckiego, wysłał mnie z Jakubikiem po dynamit. Mnie dlatego ponieważ wtedy miałem końskie siły, potrafiłem unieść na plecach jak nic tucznego barana, a Jakubika, gdyż pochodził z tej okolicy, znał każdą ścieżkę, każdą dziurę, no i miejscowych ludzi.

Wykonaliśmy wszystko jak się patrzy i ruszyli w drogę powrotną. Ładunek rozdzieliliśmy po połowie, Jakubik inaczej nie chciał się zgodzić. Jakżeby to było? Przecież nie uważa siebie znów za takiego najlichszego ułomka.

Czołgaliśmy się, wspinali, przedzierali przez las, gęstwinę, wertepy, ledwo widocznymi ścieżkami, któredy zwierz tylko chodził, gdzie ludzka stopa od dawna nie powstała. Jakubik zgięty wpół pod ciężarem, prowadził nieomylnie, jakby widział to czego normalnie oko nie dojrzy, jakby las podszeptował mu kierunek.

Ale po dwóch godzinach zaczął coraz częściej przystawać, siadać na pniach i wykrotach. Milczał zawzięcie, tylko ciężko dyszał i co chwila ścierał pot ze swojej drobnej, starczej twarzy. Ja też nic nie mówiłem. Bałem się, by go nie urazić, jeśli mu zechcę ująć ciężaru. Ale to częste przystawanie zaniepokoiło mnie jednak. Patrzyłem na błędną gwiazdę, które tu i ówdzie przezierają między konarami drzew i usiłowałem odgadnąć, ile nam jeszcze czasu pozostało do świtu. Musieliśmy jeszcze wejść w dolinę, przekraść się przez tor kole-

jowy i wdrapać się na przeciwległe wzgórze, gdzie mieścił się sztab naszego oddziału. Wszystko to należało zrobić po ciemku, by nie być dostrzeżonym przez patrolujących tor kolejowy fałszystów. Wreszcie wyszliśmy z lasu i zaczęliśmy opuszczać się po stromym brzegu łąki w dół, do potoku. W pew-



nej chwili Jakubik pośliznął się na wilgotnej zroszonej trawie, upadł i stoczył się po pochyłości.

Schodziłem szybko za nim. Leżał przy młodej sośnie, trzymając się jej oburącz. Cała jego uwaga skupiona była na tym, aby się utrzymać.

— Uderzyłeś się?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na mnie i uśmiechał się przy tym skruszonym, bezsilnym uśmiechem, jak dziecko, które coś zbroi.

Bez słowa większą część jego ładunku przełożyłem na swoje plecy. Odetchnęliśmy chwilę i ruszyliśmy dalej. Musieliśmy się spieszyć, bo już można było rozpoznać pierwsze oznaki świtu. Kontury w krajobrazie były jeszcze rozmazane, niejasne, ale ciężkie ołowiane światło dnia jesiennego przebijało się

pomału, rozpraszając mrok. Zaśpiewał pierwszy drozd; ten głos wydał mi się ostrzeżeniem. Doszliśmy na wzgórek ponad torem. Linia kolejowa biegła tu między polaną, którąśmy już przeszli, między lasem, po drugiej stronie nasypu, oddalonym od toru o jakie piętnastcie-dwadzieścia metrów. Ukryci w leszczynie próbowaliśmy rozejrzeć się w szarzejącej już z lekka poświacie brzaśku.

Przyciągnąłem rzemienie, automat wziąłem do ręki, gotowy do skoku, by przebiec przestrzeń między naroślami leszczyny a krajem lasu. Wtedy Jakubik niesmiało dotknął mego ramienia.

— Wybacz mi, Iwanczo — szepnął — wybacz... Wiesz, starość nie radość...

Byłem już znecierpliwiony. Zdawało mi się, że słyszę skądś z daleka odgłos motorowej drezyny.

— Nie pleć, Jakubik, głupstwa pleciesz — odpowiedziałem bardziej podrażnionym niż zwykle głosem.

Szarpnąłem się, jakbym chciał wyskoczyć z zarośli, ale Jakubik trzymał mnie teraz mocno za ramię, jak w kleszczach, starczy mi palcami. Pochyliłem się w jego stronę, bo byłem o dwie głowy wyższy niż on i wzruszony słuchałem jego szeptu.

— Iwanczo, proszę, cię, posłuchaj mnie. Jak się szczęśliwie dostaniemy do naszych, ty nie mów nic naszemu Wasylowi, nie wspominaj ani słowem o mojej słabości. Do kuchni gotowi mnie dać, ziemniaki skrobać, mąkę przesiewać, a wierz mi, że nie przeżyłbym takiej sromoty...

Jakubikowi wierzyłem. Był to chłop małowówny, który słowa jednego nie wypuścił z siebie na darmo. Temu, co powiedział, trzeba było wierzyć. Jeden z tych ludzi, których wszystkie czyny, całe życie, były w przykładowej zgodzie ze słowami. Był drwalem i las nauczył go milczeć. Jedno uderzenie siekiery miało większą wartość niż tysiąc zbytecznych słów. W naszym oddziale był jeden z najstarszych partyzantów, a zarazem jednym z jego twórców. „Główny komunista”, jak mawiali o nim we wsi. Jeszcze przed wybuchem powstania przyprowadził Wasylowi ośmiu chłopów jak on — drwali. Podeszły w latach, cieszył się ogólnym szacunkiem,

a dobroć serca malowała się w jego oczach.

Ustaliliśmy z Jakubikiem, że ja przebiegnę pierwszy. Gdy będę przeskakiwał tor, Jakubik ruszy za mną. W ten sposób czatujący faszysty nie będą mogli ustrzelić nas razem i uda się choć część dynamitu dostarczyć do sztabu.

Pochyliłem się i jednym skokiem wybiłem się na skraj zarośli. Wtedy wyraźnie usłyszałem stukot drezyny i warkot benzynowego silnika. Zawrócić nie mogłem. Kilka skoków i znalazłem się na torze.

Spoza zakrętu ukazała się drezyna. W półmroku widziałem progi kolejowe ułożone na przodzie drezyny, stanowiące niechybnie osłonę dla przyczajonego za nimi faszystę z karabinem maszynowym.

Odwrociłem głowę do tyłu.

— Jakubik, nie biegnij!...

Ale już było za późno. Jakubik ruszył z miejsca, za trudem podskakując na starczych nogach. Drezyna zatrzymała się gwałtownie i w tej samej chwili zaszczekał karabin maszynowy.

Pochyliłem się jak najbardziej ku ziemi i biegnę. Jestem dziwnie opanowany, liczę metry, których brak jeszcze do zbawczego lasu, odgadam odległość z matematyczną niemal dokładnością.

Biegnę. Biegnę w nawałnicy ognia, bo to nie był — jak to się mówi — deszcz pocisków, ale nawałnica, coraz ciśnień wokół mnie się zwierająca. Miałem przy tym jakąś cudowną pewność, że dziś nie trafi mnie kulka, że przejdę i dostarczę ładunek potrzebnego dynamitu.

Rzuciłem się poza pierwsze z brzegu drzewo i na chybił trafił puściłem serię z automatu. Potem rozejrzałem się wokół.

Teraz dopiero spostrzegłem, że Niemców było trzech. Jeden został przy karabinie maszynowym, dwaj inni zeszunęli się z nasypu i stamtąd prażyli z automatów. Jakubik znalazł się o kilka kroków przed nimi. Biegnie, wymachuje rękami, a worek z dynamitem podskakuje na jego plecach.

Dwóch napastników zmusiłem do tego, że przypadli do ziemi, ale wobec

karabinu maszynowego byłem bezsilny. I właśnie seria z karabinu maszynowego chwyciła Jakubika na środku łączki. Podskoczył, potem ukląkł na kolano, jakby o coś prosił i zwałił się w trawę.

Teraz cały ogień skoncentrował się na mnie. Nie mogłem głowy wytknąć spoza buka. Wokół gwizdały kulki, dziergając gęsto pnie drzew.

A ci dwaj zaczęli czołgać się w stronę Jakubika. Niepostrzeżenie przeczołgałem się pod drugie drzewo i zacząłem w nich prażyć. Zatrzymali się, leżąc bez ruchu w trawie. Ale obsługujący karabin maszynowy zauważył mój manewr i zasypał mnie nową serią kul. Tamci dwaj znów ruszyli naprzód, a ja czołgając się od drzewa do drzewa, broniłem im przystępu do Jakubika.

Wreszcie wystrzelałem obydwa dyski. Nie miałem naboji. Niemcy podczołgali się do Jakubika. Własnymi oczami patrzałem jak go ciągną po trawie, rzucają na drezinę, na własne uszy słyszałem bolesne jego jęki.

Zgrzytałem zębami w bezsilnej wściekłości, a oczy przystoniła mi jakaś czerwona mgła. Byłbym niechybnie skoczył na nich z gołymi rękami, roztrzaskał im łby automatem, ale naraz jakbym całkiem wyraźnie usłyszał surowy głos Wasyla. „Dlaczegoś nie spełnił rozkazu? Gdzie dynamit?”

Niemcy prawdopodobnie wiedzieli, że ze mną nie trzeba się już liczyć. Byłem pewny, że w duchu drwią sobie z mojej beznadziei.

Drezyna szarpnęła z miejsca. Świtało.

Patrzę na Jakubika, leżącego między dwoma Niemcami. Ma głowę zwróconą w stronę lasu, w stronę miejsca, w którym przypuszcza, że się znajduje. Jakby się żegnał, jakby chciał coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego.

Patrzę za nim. Chociem chłop, co to i tucznego barana uniesie na plecach jak piórko, zacząłem płakać...

Tragiczny koniec Jakubika znam już tylko z opowiadania. Każdy we wsi chętnie wam tę smutną historię opowie. Zawieźli go do tej wsi wśród gór, gdzie wtedy kwaterował pułk SS przeznaczony do specjalnych zadań „karny pułk”, jak go nazywali, który miał likwidować partyzanckie gniazda.

Leżał w karczmie, w kałuży krwi, która sączyła się z przestrzelonej nogi. Leżał tam pół dnia, póki nie przyszedł major, zastępca dowódcy pułku. Wszedł energicznie, położył furazerkę i rękawiczki na stół i zatarł ręce. Potem podszedł do Jakubika i z odrazą trzepnął go laseczką w potargany, brudny kabat.

— Żyjesz, stary? — zapytał po niemiecku.

Jakubik nawet nie drgnął.

Izba zapełniła się SS-owcami, przyszedł i tłumacz, wychudły mężczyzna w okularach, dygocący ze strachu i rozglądający się trwożliwie wokół.

Zaczęło się śledztwo. Jakubika posadzili na stołku i na rozkaz majora jeden z SS-owców trzymał głowę starego, która wskutek utraty krwi ustawicznie opadała na piersi.

Po pierwszym pytaniu otworzył oczy i tępyim wzrokiem rozejrzał się po karczmie. Tłumacz powtórzył pytanie:

— Gdzie są partyzanci?

Jakubik roześmiał się głupkowato, przyłożył palec do ucha, potem do ust i z trudem, jak widział u głuchoniemego pastucha we wsi, wybełkotał:

— Ommm...

— Co powiedział! — zapytał major.

Tłumacz wzruszył ramionami i zalek-niony spojrział na majora.

Nachylił się nad Jakubikiem i jeszcze raz powtórzył pytanie. A Jakubik znowu jak przedtem, pokazał na swoje uszy, na język i z trudem wykrztusił:

— Ommm...



Teraz zrozumiał już i major.

— Ach, so — powiedział — niemy? Stary jest niemy? Willi!

Spod drzwi ruszył się ciężki, zwalisty SS-owiec. Ten, który trzymał Jakubikowi głowę chwycił ją mocno za włosy, a Willi pomału z premedytacją zamachnął się...

Do wieczora trzy razy cucili Jakubika. Willi już był zmęczony. Major ze złością tłukł laseczką o cynkową płytę szynkwaśu. A tłumacz o przerażonych zajęczych oczach po raz setny powtarzał:

— Gdzie są partyzanci?

Jakubik z wybitymi zębami i rozciągniętymi wargami odpowiadał:

— Ommm...

Ciemność spowiła już wieś, a z Jakubikiem nie mogli sobie w żaden sposób poradzić. Major odszedł, wrócił i znów odszedł trzaskając nerwowo laseczką po lśniących cholewach. Już miał na języku słowo: liquidieren, ale Jakubik był mu potrzebny. Był to przecież pierwszy partyzant, którego mieli w ręku. Trzeba więc za wszelką cenę coś z niego wydobyć.

O trzeciej nad ranem zarządził alarm. Po cichu otoczyli wieś. Patrole rozeszły się po drogach, a około czwartej zaczęły walić kolbami karabinów w bramy, drzwi i okna domów. W cichą noc słyszeć było w całej wsi jedno straszliwe słowo, które wypełniało wszystkie kąty:

— Los, los!...

Stara Ranczokowa nie zlekąła się nawet, gdy rozległo się dobijanie do drzwi chałupy. Od kiedy przyszli do wsi fałszyści spodziewała się tego każdej chwili. Do napadów uzbrojonych żołdaków przywykła, była żoną komunisty.

Wstała, przebiegła bosymi stopami po glinianym klepisku i najpierw weszła do komory, gdzie spała będąc w ciąży po raz piąty, jej córka Johanka. Johanka już się obudziła i nasłuchiwała jak z zewnątrz dobijano się do drzwi:

— Zbieraj się, córko moja — powiedziała z westchnieniem stara.

Drzwi od sieni skrzypnęły, w kuchni zbudziły się dzieci. Stara wyszła i odsunęła rygiel.

— Już, — już — mówiła dobrotliwie, jakby na polu czekało niecierpliwe dziecko, a nie sfera morderców.

Wpadli tak gwałtownie, że zatoczyła się aż pod schody, prowadzące na strych. Poleciały szyby z kredensu. Leciąco pierze z poduszek, prutych bagnetami. Stara załaniała dzieci i córkę. Na zewnątrz była spokojna, ale serce ścisnęło strach, żal i złość. Ile mnie to trudu kosztowało, myślała sobie, przez całe życie zbierałam piórko do piórka, a teraz...

— Los, los!

Dzieci skryły się za spodnicę babki, trzymały się jej kurczowo, wrzeszczały, nie chciały puścić. Stara z udanym spokojem chwyciła córkę za rękę i wypro-

widziła, chroniąc swoim ciałem przed ciosami.

— Los, los!...

— Los, los!...

W opuszczonych domach płonęły światła. SS-owcy biegali jak wściekli, spędzali ludzi jak bydło, kłeli i drwili. Ludzie tulili się do siebie, trzymając się za ręce, a sąsiedzi, którzy przez dziesięć lat potrafili się procesować między sobą o polną gruszę, patrzyli teraz na siebie jak rodzeni bracia. Popędzili ich pod kościół, na plac przed karczmą. Staruchy idąc śpiewały pobożne pieśni.

Ranczokowa nie śpiewała. Trzymała córkę za rękę, drugą ręką gładziła jej wzdęty brzuch i teraz, kiedy już nie czuła na sobie wzroku znieawidzonych żołdaków, opanował ją strach.

— Aby ci jeno nie ubliżyli — szepotała — i temu niewinnemu stworzeniu w tobie.

Johanka bała się nie o siebie, tylko o dziecko.

— Przecież to są też ludzie, mamó, jakby mogli... próbowała ją uspokajać.

Ale kiedy na nch patrzyła, dreszcz przeszedł przez jej ciało, więc jeszcze mocniej przytuliła się do matki. Przypomniła sobie męża. Gdyby ten tu był, nie bałaby się niczego. W jej mniemaniu był największym w świecie mocarzem. Ale mąż odszedł już dawno z ojcem do lasu.

Zaświtał dzień, brudny, smutny jak mętna woda. Drzwi od karczmy otwarły się. W progu stanął Willi niewyspany, z opuchniętymi oczami. Ustawieni przed karczmą żołnierze przepuszczali ludzi, którzy przez kordon wchodziłi pojedynczo, jeden za drugim, do karczmy.

W izbie naprzeciw drzwi siedział przywiązany do stołka Jakubik, obmyty z zakrzepłej, czarnej krwi, aby go ludzie łatwiej mogli poznać. W kącie, przy drzwiach kuchennych zasiadł major i obserwował wchodzących. Ludzie przesuwali się przez izbę, wychodząc drzwiami od podwórza. Zatrzymywali się na chwilę, spoglądając na Jakubika, poznawali go lub nie poznawali, tak był zmasakrowany. A Jakubik spozierał oczami krwią zalanymi ponad głowy ludzi, nieporuszony, wpatrzony w jeden punkt nad drzwiami. Raz tylko, gdy weszła żona z córką, twarz mu trochę



Przez czterdzieści lat nauczyła się rozumieć każdy jego ruch. Snadź Jakub postanowił jej nie widzieć, więc i jej poznać go nie wolno.

Ruszyła z miejsca.

W ciemnym kącie przy drzwiach skrzypnął stołek. To major już, już próbował się zerwać, ale usiadł z powrotem. Widocznie ta kobieta też nie poznała starego. Wszyscy wpatrywali się w niego uparcie, ale nikt nie poznawał. O godzinie dziesiątej skończyła się ta dziwna procesja.

Nikt nie poznał Jakubika.

Major wstał, podszedł do starego, obejrzał go ze wszystkich stron, jakby się jeszcze chciał o czymś przekonać. Potem znudzonym głosem rzucił:

— Zlikwidować!

Jakubika przyprowadzono na plac i przywiązano do środkowej lipy. Dokoła stanęła spędzona ciżba ludzka, otoczona murem żołnierzy, a na wprost Jakubika ustawiono pluton egzekucyjny. Komentę objął młody porucznik w okularach. Padł rozkaz. Sześć luf karabinowych gotowych do strzału błysnęło w powietrzu.

Wtedy stara Ranczokowa nie mogła wytrzymać, krzyknęła przeraźliwie i zaszlochała.

Major stojący na ławce i obserwujący tłum z góry daje znak porucznikowi, aby wstrzymał egzekucję.

Kto to był? Kto tak przeraźliwie zaszlochał! Patrzy badawczo po tłumie, ale nie może rozeznaczyć, kto pierwszy zapłakał. Płaczą wszystkie kobiety, a starcy pochylili głowy.

Darmo chce się przekonać, kto zapłakał za swoim bliskim. Płaczą wszyscy jak jedna rodzina.

Major jeszcze raz zwraca się do Jakubika z zapytaniem, a tłumacz raz jeszcze przekłada je staremu:

— Gdzie są partyzanci?

A Jakubik patrzy teraz uparcie w lufy karabinów i nawet nie spojrzy w tę stronę. Skąd pada pytanie. Choć i on też chciałby krzyknąć na całe gardło, o jak chciałby wygarnąć kilka słów prawdy tym nieludzkim zbirom, a tych, co płaczą, prosić, aby nie płakali. Ale nie krzyknie, bo Jakubik nie zwykł był

drgnęła, oczy ześliznęły się, zatrzymały na obu kobietach, ale wszystko to trwało tylko przez n.gnienie oka.

Ranczokowa weszła z opuszczoną głową i podniosła ją dopiero wtedy gdy usłyszała gwałtowne westchnienie Johanki i poczuła jak palce jej córki wpijają się w jej rękę. Podniosła oczy. Stała na wprost swego męża.

Jakubie, Jakubku, a cóż to z tobą zrobili — chciała krzyknąć na cały głos, ale opanowała się. Tylko starcze jej wargi zdrząły. Coś załamało się w niej, jakiś straszliwy ciężar zwałił się na jej piersi, że omal nogi się pod nią nie ugęły.

Jakubie, Jakubie, czterdzieści lat przeżyliśmy razem, czy mnie nie poznajesz? Żyliśmy w złem i dobrem, wychowali dzieci jak umieliśmy i borykali z biedą. Ale z tobą, Jakubku, źle było żyć, choćby najciężej było człowiekowi na świecie, bo z dobrym człowiekiem można góry przenosić.

Czy spojrzysz na mnie, Jakubku?

Ale Jakubik uparcie patrzył ponad drzwi. I Ranczokowa zaczyna pojmować.

psuć rozpoczętej roboty, tak jak zawsze wykonując, żeby nie trzeba było się wstydzić. Nie powie ani słowa. Milczy i uparcie patrzy w lufy wymierzonych karabinów.

Tyle kul na jednego komunistę — pomyślał i lekki uśmiech okraślił jego twarz i zamarł na niej, wyrażając ostatnią jego myśl.

Jest noc. Korony drzew poruszał słaby, południowy wietrzyk i roznosił odurzający zapach lipowego kwiatu po całej wsi, po całej okolicy, po całej naszej ojczyźnie.

Wraz z wonią lip niesie wieść o tobie, o twoim wielkim sercu, Jakubku!

Śpij spokojnie, mój druhu, pójdę do twoich wnuków opowiadać im o tobie.



Poruba koło Ostrawy — siostra Hawierzowa.

U WÓD KARLSBADU

HELENA BYCHOWSKA

Przed Bochovem szosa weszła w las i jęła pięć się powoli w górę. Las — niewysokie świerki pomieszczone z krzepkimi dębczakami — podchodził tuż do drogi i zdawał się czyhać na dogodną chwilę, by zamknąć przejazd powozom, sunącym jego wąskim korytarzem. Stopniowo jednak, rzednąc i malejąc, zostawał pod wzgórzem, z którego rozciągał się widok na rozległe pola, pasiate zagony i zarośla chmielowe, kłębiące się po wysokich żerdziach.

Powóz jechał wolno i krajobraz przesuwiał się obok leniwy i bezludny, pograżony w cichej drzemce upalnego ale już kończącego się lipcowego dnia.

W powozie jechali dwaj panowie. Młodzi jeszcze, równi chyba wiekiem i podobni do siebie w ubioru, różnili się, jak widać, usposobieniem i ciekawością do świata. Jeden, o bujnej, rozwianej czuprynie, skupiony w obliczu, w którym płonęły ciemne oczy pod śmiało wzniesionymi brwiami o mocno zarysowanym podbródku, co na silną wskazywało wolę — patrzył wokół i zdawało się, że pragnie unieść ze sobą i na własność zachować najpiękniejsze ze spotkanych widoków. Widać też było, że myśl nieustannie pracuje nad wyniosłym, rozumnym czołem i że ożywia je i do refleksji pobudza nie tylko piękno krajobrazu i gasnącego letniego dnia.

Drugi — o sympatycznej, pociągłej twarzy okolonej ramką jasnobłond bokobrodów — drzemał spokojnie, oparty o poduszki powozu.

Imię pierwszego miało go wsławić na lata i stulecia, imię drugiego zaś przejęła i przechowała historia jedynie jako okruczeństwo, na które padł blask słoneczny i do życia je pobudził. Pierwszym podróżnym był Adam Mickiewicz, drugim zaś Kalikst Morozewicz, który dziwnym zrządzeniem losu na drodze poety w Dreźnie się znalazł.

Morozewicz drzemał zatem, ukołysany kolebaniem się powozu i wypitym na postoju w Lubeńcu winem. Na wół leżąc na oparciu wtulił głowę w poduszki pozwalając, by lekki, ciepły wietrzyk igrał pasemkiem włosów spadających na blade czoło. Zabrakło więc Adamowi towarzysza do pogawędki. Zresztą nawet rad był milczeniu, gdyż roje myśli, urywki rozmów odbytych z przyjaciółmi w Pradze, dźwięki słów wypowiedzianych w obec mowy, niejasne wspomnienia i skojarzenia kłębiły się w jego głowie, niezupełnie jeszcze uporządkowane i opanowane. Szukał w pamięci brzmienia nowo zasłyszanych nazwisk, usiłował odtworzyć w myśli melodie tej mowy szorstkiej a pieśczołkowej, którą tam w Pradze pragnął mówić i mówił, podobnie jak Šafařík i Čelakovský usiłowali i — mówili jego ojczystym językiem.

Świerki podeszły do drogi wysokie, posępne, gęsto zarosłe od dołu, suchymi, popłatanymi gałęziami zazdrośnie osłaniając tajemnicze głębie lasu bez podszycia, lasu rosnącego na skalnych pokładach, osypanych starym, burym igliwem.

... Mówili bracia Sławianie... — Mickiewicz uśmiechnął się przypominając sobie jak tę właśnie pisownię wyjaśniał zapalony Čelakovský — ... że tu są prastare czeskie ziemie, że tu jak pod warstwą tynku ukryte jest oblicze Czech, pogodne słowiańskie oblicze pod ponurą maską niemieczyzny... Choć język brzmi tam obcy — mówili — wiele znajdziesz tam prawdziwych Czechów, a gdy nazwy geograficzne zbadasz — prาดawna historia czeska, historia słowiańska przemówi do ciebie bliskim, znajomym językiem...

... Mluv český, Adame, lide ti porozuměj... Mluv polský a také se ti ozvou přátelé...

Czy dobrze powtarzam? Czy tak brzmi ta dziwna, śpiewno-łkająca mowa tak bliska, jakby to była mowa Miłkołaja Reja czy też samego Jana z Czarnolasu...

Jak to mówił wczoraj Franciszek?... że moje Ballady „jsou cosi přerokostného... Naděje pro budoucí časy...”. Biedak całą noc nie spał, czytając je, bo tak go „očarovaly a zbavily snu”...

I znowu uśmiech wypływa na wargi poety. Jest w nim radość i pobłażliwość zarazem. Radość, że jednak wyrwane z serca słowa, sercem i uczuciem spójone w nierozzerwalną całość jak jaskółcze gniazda, znalazły drogę do bratnich serc. Pobłażliwość — bo przecież te zachwyty, których w Pradze był przedmiotem, owa „naděje pro budoucí časy” jeszcze troszkę przesadna i kto wie, czy się ziści...

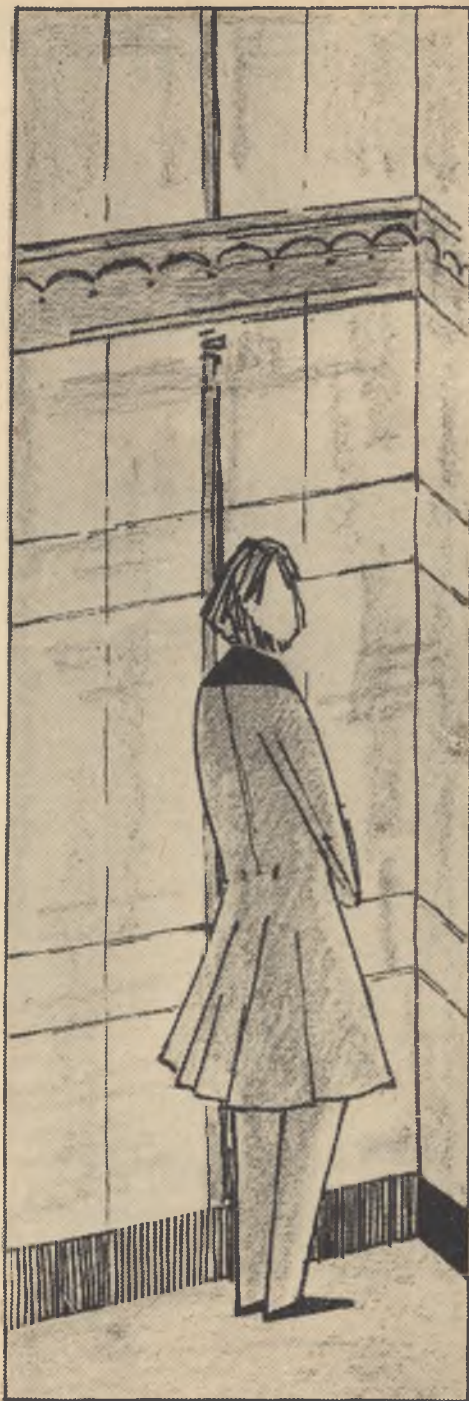
Myśli o czeskich przyjaciółach, z którymi się wczoraj „U modrého hroznů” na Ovocním trhu pożegnał, i o dziełach ich, jakimi się z nim podzielili, powracając znowu niemal z tą samą siłą, z jaką owładnęły go dziś z rana, gdy znalazłszy się w powozie, długą miał przed sobą drogę i czas wolny do rozmyślań.

Oto Franciszek Čelakovský, choć chwiejny w swoich politycznych wyznaniach, najbliższy jest mu swoją twórczością.

...Nie rozumie mnie wprawdzie... nie pojmuję jeszcze tego, co ja nazywam „romantycznością”, przejął ode mnie tylko element ballady romantycznej, a sam raczej o Walter Scotta się opiera i w nim źródła natchnienia i wzoru szuka, ale sam przecie wyznał, że znalazł w moich balladach „vyjadření oněch zasad podle nichž už sám dávno pracoval”... Znalazł w nich „lidovost”. Przecie Trhlá dívka, romantyczna, iście romantyczna ballada Čelakovský’ego, jest siostrą przyrodną mojej Romantyczności, chociaż na innym gruncie wyrosła...

Starając się odtworzyć w myśli słowa ballady o szalonej dziewczynie, Mickiewicz oparł się o poduszki powozu i zapatrzył na krajobraz, który teraz wystąpił przed nim w nowej krasie, rozpraszając poprzedni bieg myśli.

Szosa biegła znów w dół i wokół, jak



okiem sięgnąć, wznosiły się zaoblone, porośłe lasami wzgórza, podobne z dala do wielkich kędzierzawych głów. Słońce stało nad nimi już nisko, złoćąc miodowym światłem tylko ich wierzchołki, podczas gdy przednią ich część podzierzgnął już zielonkawo-fioletowy, jednolity cień.

Powóz wjechał na szczyt wzgórza i furman zatrzymał konie.

— Karlsbad! — powiedział, pokazując ręką na leżące w wąskiej dolinie miasteczko.

— Karlovy Vary! — echem odezwała się w myśli Adama tyle razy powtarzana w Pradze nazwa.

Zatrzymanie się powozu obudziło Morozewicza. Odgarnawszy z czoła potargany kosmyk włosów wyprostował się i spojrzaniem dużych, szarych oczu obiegł okolicę.

— Wsiądźmy na chwilę! — powiedział otwierając drzwiczki powozu. Wsiadli i podeszli kilka kroków naprzód, stając na skraju szosy.

Pod nimi wąską serpentyną wita się droga, ostrymi zakosami spadająca w dół, to ginąc wśród zieleni krzewów i małych domków, to pojawiając się znowu na zakrętach. Wokół zwartym łańcuchem stały kopulaste wzgórza, a u ich stóp, w dolinie, po której płynęła srebrzyście sina rzeczka, leżało miasto, podobne z góry do dużej pstrej jaszczurki, drzemiącej w cichej i jakby zielonym mchem wyłożonej szczelinie.

— Man sagt bei uns: ein Brillant in smaragdener Fassung! — znowu odezwał się furman.

Zniecierpliwiony Mickiewicz machnął ręką, nakazując mu milczenie. Skośne, promienie słońca zza najwyższego wzgórza bladymi smugami padały przez gęstwinę rosnących na nim drzew, pszcząc czerwone dachówki małych, ciasno przywartych do siebie domków, wieżyczkę kościoła i czworokątną basztę strażnicy miejskiej, zakończoną spiczastym dachem. W dolinę z góry powoli opadała leciutka fioletowo-błękitna mgła i w mgle tej barwy matowiały, zieleni gasła, zacierały się kontury budynków. Miasteczko pogrążało się w przeźroczystym zmierzchu i zdawało się, że z chwilą gdy słońce skryje się za górami, zniknie również, rozwieje się

jak mgła, wtopi się w ciemną zieleni drzew, schodzących nad samą rzeczka.

„— Slunce za horami,
Po dalich se stmívá,
Spěchej, koni, za lesikem domek,
Tam draha přebývá...”

wyrecytował Mickiewicz.

— Czyje to?... Zapewne praski na-
bytek? — zapytał śmiejąc się Morozewicz.

— Čelakovský — Jízda k milé — odparł Mickiewicz. — Dziwną mam pamięć do tych rzeczy. Wciąż mi się w myśli odywiają...

— Wollen wir weiter fahren, gnädiger Herr — zwrócił się furman do Mickiewicza. — Es ist schon spät geworden.

— Ano, jedeme dál! — odparł Adam, siłą słowiańskiej mowy łagodząc ostrość niemieckich dźwięków.

Gdy znowu zajęł miejsce w powozie, Morozewicz powiedział:

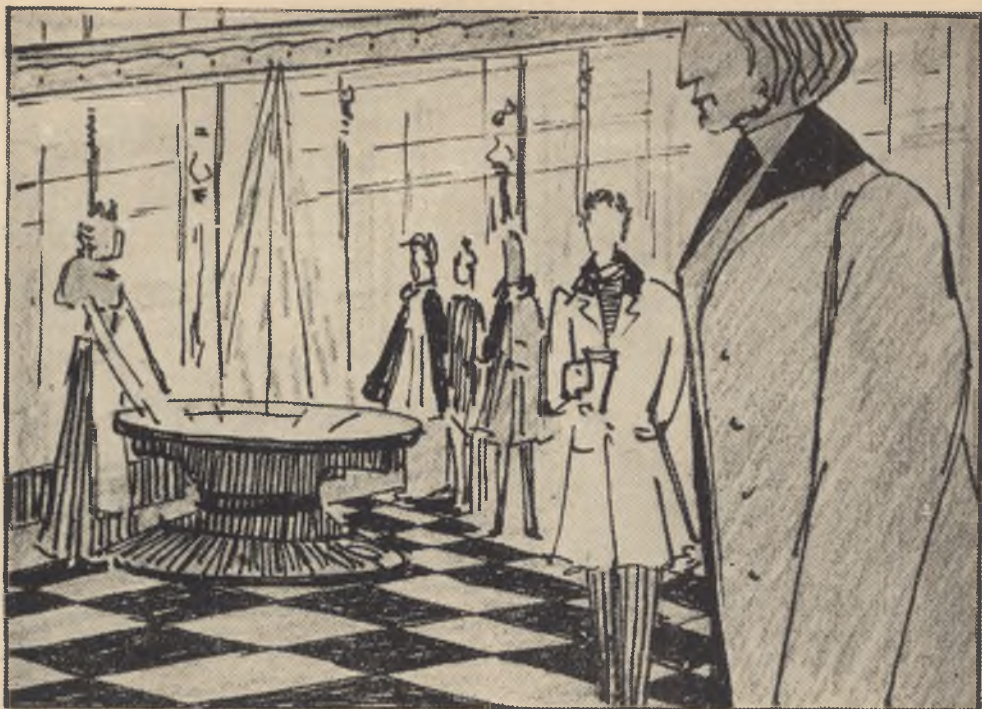
— Ciekaw jestem, kogo też zastaniemy w Karlsbadzie? W Dreźnie i w Pradze słyszałem, iż wielu Polaków już zjechało i jeszcze ma przybyć do wód.

— Nic mi do tamecznych gości — odparł Mickiewicz. — To wiem jedno, że Odyniec przyjedzie niebawem. Póki zaś nie przyjedzie, pragnę nieco spokoju zażyć. Chciałbym myśli pozbierać, odpocząć, może leczyć się będę... Nie chcę nowych znajomości zawierać ani też starych odnawiać... Książki wiozę od Czechów, pragnę rozpatrzyć się w ich dziełach...

Tymczasem powóz zjeżdżał coraz niżej, zwalniając nieco na zakrętach, aż znalazł się przed bramą miejską. Nie była jeszcze zamknięta i tłoczyli się przy niej mieszkańcy i właściciele domów, jedni przez drugich zachwalając nowoprzybyłym swoje mieszkania.

— Pani Szymanowska dom przy Neue Wiese mi polecała — „Zum Weissen Pfeil” — rzekł Mickiewicz. — Tam zajedziemy chyba.

Wąska ulica Kreuzgasse — Křižová zaraz przetłumaczył w myśli jej nazwę Mickiewicz — biegła wzdłuż rzeczki i dwurzędu drewnianych i murowanych domków. Kopyta koni zadudniły po bruku, podczas gdy po drewnianych a miejscami kamiennymi płytami wyłożonych chodnikach sunął pstry i ożywiony



tłum kuracjuszy i mieszkańców. W miasteczku zmrok się już robił i tylko wysoko w górze, nad spiczastą wieżyczką miejską jaśniało błękitnoróżowe niebo, delikatne i jakoś nie po letniemu smutne. Tu i ówdzie zapalano już latarnie, stanowiące nowość w mieście, gdzie od kilku stuleci spotykało się pół Europy i gdzie pieniądź płynął tak samo obficie jak woda ze słynnego Sprudla.

Wtem skądś z góry rozległy się dźwięki fanfary. Króciutka i prosta, lecz tryumfalna melodia powtórzona kilka razy zamilkła, odzywając się nikłym, nieśmiałym echem w zagłębiu doliny. To strażnik miejski — wyjaśnił furman. — Stary zwyczaj w Karlsbadzie. Byłe kogo też nie witają tak z wieży, tylko prawdziwych panów.

Im dalej posuwał się powóz, tym trudniej było utorować dla niego drogę, gdyż na ulicy ruch panował jeszcze duży. Jezdnią sunęły powozy, rozwożące gości od źródeł i z promenad, w lekkich, zgrabnych landach jechały piękne pa-

nie, w jasnych sukniach i szerokich kapeluszach, ozdobionych barwnymi kwiatami i piórami. Towarzyszyli im eleganccy, uprzejmi panowie, w czarnych i popielatych surdutach i wysokich cylindrach, na chodnikach zaś, wśród popołitszego tłumu, widać było modni-siów opierających się na wąziuteńkich laseczkach, ostrożnie wybierających miejsce, by nie poplamić o koła powozów swych niepokalanie białych spodni. Szli też oficerowie, zgodnie z prastarą tradycją uzdrowiska nie noszący broni w tym mieście zdrowia i pokoju, z domów zaś wychodziły ustrojone mieszczki i z dużymi fajansowymi dzbanami śpieszyły do źródeł po ostatnią na ten dzień porcję gorącej wody. Słychać było okrzyki i dowcipy, skądś rozlegał się śpiew, zdawało się, że jest to dzień świąteczny. Przeważał jednak język niemiecki i Mickiewicz znowu gorzko zamyslił się nad upokarzaniem językiem Słowian, którzy tu, gdzie powinien rozbrzmiewać swobodnie i dźwięcznie, od-

zywał się jak dalekie echo, przytłumione i wstydlive.

— Sprudel! — dumnie oznajmił furman pokazując szarawe o tej porze kłęby pary, wydobywającej się na kształt dymnych obłoków zza niewysokich oszklonych budynków, skupionych nad rzeką, przeciętą w tym miejscu mostkiem.

— Jak się nazywa rzeka? — zainteresował się Morozewicz.

— Tepl!

— Ciepła!... roześmiał się Mickiewicz serdecznie uradowany. — Ciepła, słowiańska rzeka. Że też na każdym kroku nie mogę się tu opędzić słowiańszczyźnie!

— Niechybnie wpływ „czeskich budzicieli” — żartobliwie zauważył Morozewicz.

— Nie. Duszę mam, jak widać, tak na wskroś słowiańską, że jak owa gałązka różdżkarza na ukrytą słowiańskość wszędzie reaguje.

— „Zum Weissen Pfeil”! — rzekł furman zatrzymując powóz przed dwupiętrową wąską kamieniczką na Nowej Łące. Z sieni natychmiast wybiegła niewiasta w średnim wieku. W zmierzchu zajaśniała biel jej czepka i prostokąt fartucha. W ślad za nią wypadli młoda dziewczyna i chłopiec, którzy zdjęli z powozu bagaż przybyłych, podczas gdy gospodyni uprzejmie zapraszała ich do środka.

Dostali dwa pokoje z oknami wychodzącymi na rzekę. A w rejestrze przyjezdnym tak oto, ku hańbie historii, wpisano ich nazwiska:

„Kurgast Nr. 1697 — Adam von Mickiewicz, kaiserlich-russischer Beamter aus Petersburg. Zum Vergnügen. Auf einige Tage. In Begleitung eines Herrn von Morozewicz, Gutsbesitzer aus Lublin. Karslb. den 24. Juli 1829.”

*

Jest wczesny ranek. W szybie na oścież otwartego okna przegląda się skrawek bladobłękitnego nieba i zieleni, skąpana w delikatnym, różowym świetle wschodzącego słońca.

Naprzeciw okna, za rzeką, długi rząd wąskich dwupiętrowych kamieniczek.

Są one barwne: niebieskie, seledynowe, lila, kremowe i białe, ozdobione zielonymi i brązowymi okiennicami i gdzieś niedzie czerwonymi płytkami gontów. Stroją je również rzeźby, godła i napisy tak samo barwne jak one: Schöne Königin, Grüne Papagei, Drei Mohren, Weisser Hase... A za nimi wspina się w górę łaś. Czerwień dachów odcina się jaskrawo od szmaragdowego tła grabów i świerków, słońce zaś dodaje im blasku, złoci je, barwi na różowo. Tam wysoko na skale stoi altana wsparta na smukłych białych kolumnkach, a nieco na uboczu, na tle nieba rozpina swoje ramiona duży żelazny krzyż. A nad tym wszystkim zawiesza się kopuła niepokalanego błękitu.

— Niebo czyste... Jak morze widzące... myśli stojący przy oknie Mickiewicz. Pod oknem szeroki parapet, zwisający nad ulicą na kształt niedużego daszku. Skaczą po nim wróble, zaglądając zuchwale w okno. Widocznie czekają na okrucy, do których przyzwyczaili je jego poprzednicy w tym pokoju.

Pokrzepiony snem i odpoczynkiem poeta trochę pogodniej niż wczoraj patrzy na świat, choć w głębi serca drzemie wąż melancholii. Drzemie już od lat i zawsze przypomina o sobie. Ot i teraz — widok jasnego nieba, schludnych domków i czystość pogodnego poranka powinny go usnąć zupełnie, a tu mimo woli przypominają się słowa listu, tak niedawno jeszcze skreślonego do drogiej przyjaciółki, z którą przy pośpiesznym wyjeździe z Petersburga Adam nawet nie miał czasu się pożegnać...

...„zachwyca mnie widok zieloności, zapach wiosny, śpiewy ptaków... ale przecież smutno podróżować z myślą, że gdziekolwiek przyjdę, nikt mnie nie powita, nikt się z mojego przyjazdu nie ucieszy... wyrzekłem się zieloności i słowików, i wież gotyckich...”

Ach nie, nie! Tamta melancholia, melancholia pierwszych dni rozłąki z najbliższymi sercu istotami i z krajem, do którego kto wie, czy powróci, ustąpiła na czas jakiś przed zalewem nieoczekiwanych przeżyć, przed wspnianiami krajobrazami Gór Olbrzymich, przed rozmowami w podróży, przed praskimi rozmowami wreszcie, przed tym cie-

plem, jakim powiało na niego od przyjaciół Czechów; tak serdecznie podejmujących go w Pradze... Przecież śpiewka, którą Kamaryt ułożył i którą budziciele" tchnęła weń rzeźkość, ba, nawet radość życia.

Bratře, zpívej, dívky líbej, vino pívej
Jsi li Čech, nebo Lech!

Ale zaraz przypomina się ostatnia zwrotka piosenki, która inne myśli wprowadza do głowy:

Nic si stejskat, mečem blejskat, bratře náš!

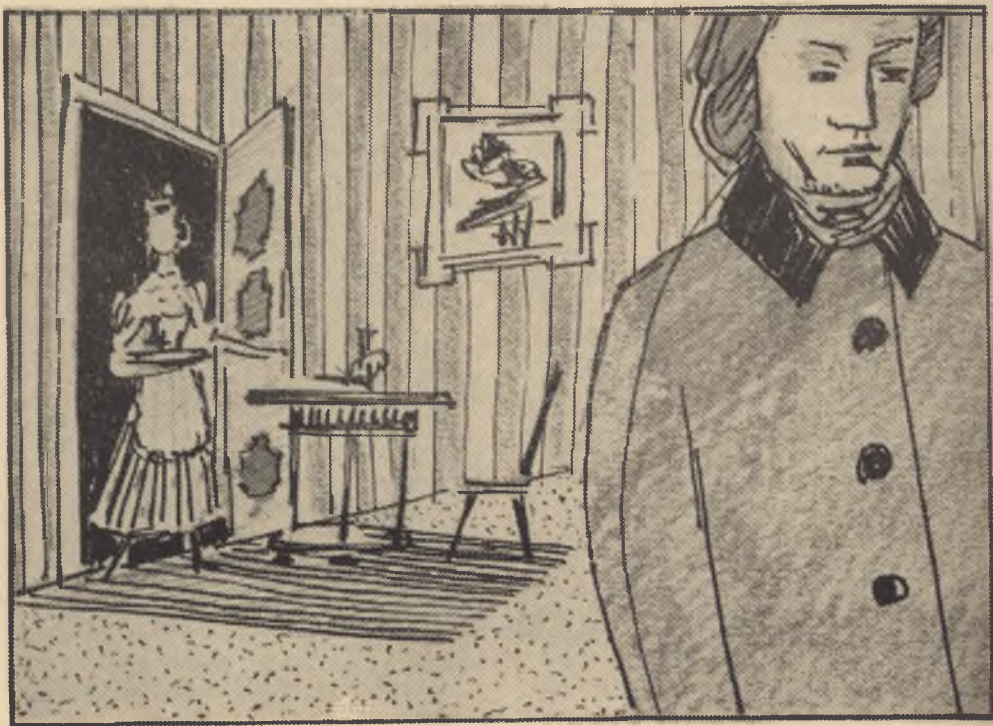
Mieczem błyskać, bracie nasz!... Mieczem. Czy jednak sam tylko miecz powinien rozstrzygać o tym, co powoli dojrzewa w Czechach, w Polsce a nawet w samym źródle zła — w Rosji? A cóż siła ducha? Kto siłą ducha natchnie tych, co za miecz pochwyca? Który poeta wielki i odważny potrafi znaleźć dla słów swoich drogę do ludzkich serc i umysłów? Kto naród zagrzeje do czynu? Jak?

Żywym jeszcze echem odzywają się w pamięci praskie rozmowy, w których i o tym była mowa. Mickiewicz słyszy spokojny, niski głos Hanki, który rozważa ideę Konrada Wallenroda, chwalać śmiałość pomysłu i jego celowość. Pamięta też grawiurę, którą bibliotekarz praski położył przed nim na stole. Widnieje na niej szlachetna, piękna głowa Jana Žižki siwym otoczona włosom. Patrzy z płomienną mocą i wiarą tragicznie samotne oko starca, który umiował lud i wolność.

— Napisz poemat o Žižce, Adamie! — mówi Hanka. — Stwórz dzieło wielkie, słowiańskie dzieło, takie jak twój, jakże polski, Wallenrod. Opiewaj czyny bohaterów, pobudź ludzi do czynu, o czynach wielkich ludzi im mówiąc!

Jak?... Jak!

Ubrać Žižkę w szaty nowego czesko-polskiego Wallenroda? Grunwald... Wspólna to przecie bywa sprawa, gdy oddziały czeskie obok polskich na wspólnego szły wroga. Można napisać



o tym wspaniałą epopeję, poemat, dramat nawet. Można co powiedzieliby Czesi, gdyby ich Žižka wystąpił w innej postaci, w odmiennych, niż oni by to chcieli, kolejach losu? Ukryty pod płaszczem czesko-polskim służyłby wspólnie, słowiańskiej sprawie, ale czy ci, którzy mu dzisiaj Jana Žižkę na bohatera podsuwają, czy oni pierwsi nie poczuliby doń żalu za to, że prawdę historii zmienił, fakty odwrócił, że nie otwarcie, lecz mgliście o nim mówił i z ich, przede wszystkim ich bohatera uczynił bohaterem innych również Słowian?

Nie, Czesi sami powinni sławę Jana Žižki głosić. Wszak piszą tak wiele, wydają dzieła ogromne... Wśród narodów słowiańskich bezsprzecznie trzecie zajmują miejsce i warci są, by stać się narodem niepodległym, by utrwalać swój byt na ziemi, wcielać myśl czeską, która, niestety... unosi się jeszcze w krainie marzeń politycznych... Gdyby się znalazł taki poeta, który by odważnym piórem wszystkie dzieje Žižki skreślić zechciał — uczyniłby rzecz wiekopomną, rzecz niezmiernie cenną i kto wie, czy nie przyspieszyłby nawet biegu czeskiej historii... Tak, tylko Czesi pisać o nim mogą, z nich on wyrósł, dla nich, dla husyckich chłopów i mieszczan walczył.

A poza tym, on Mickiewicz, dalekie jeszcze i mgliste zamysły w sercu nosi i im dalej jest od ojczyzny, od Litwy, tym mocniej myśl ta do serca kołaczę... Czy się oblecze w formy, a jeżeli oblecze, to w jakie?

Pukanie do drzwi przerywa bieg myśli poety. Z dzbankiem gorącej wody wchodzi do pokoju dziewczyna, która wczoraj pomogła przenieść na górę rzeczy nowoprzybyłych gości. Malutki czepczek z białej koronki kokieteryjnie jak motyl przysiadł na jasnobłond wło-

sach, szeroka niebieska spódniczka i biały fartuszek falują przy każdym ruchu gibkiego ciała. Ciasno upięty stanik uwydatnia kształtną pierś i barwą harmonizuje z niezabudkami dziewczęcych oczu.

— Gut Morgen, gnädiger Herr! Haben Sie gut geschlafen?

— Dobry den! — odpowiada Mickiewicz, który bezwiednie uparł się mówić po czesku.

— O, milostpán mluví česky? — radośnie zdziwiła się dziewczyna. — Nejste vy náhodou Čech?

— Nie, jestem Polak. A ty — Czeska?

— Maminka je Češka — odpowiada dziewczyna, rumieniąc się lekko. — A ten druhý pán — také Polák?

— Ano.

Dziewczyna postawiła dzbanek z wodą na umywalnię i skierowała się ku drzwiom, odprowadzana życzliwym uśmiechem Mickiewicza. Wtem zatrzymała się nagle i oblawszy się pąsem szeptnęła, zdobywając się na odwagę:

— Milostpane, já bych se ráda naučila nějakou polskou písničku... Jistěže znáte polské písničky?... Já ráda zpívám.

Uśmiech miała szczery, na zaokrąglonych policzkach tworzyły się przy nim małe dołeczki.

— Alež nauczę cię, nauczę! — roześmiał się Mickiewicz. — Będę tu przecież kilkanaście dni. A jak ci na imię?

— Mariechen — z przyzwyczajenia odparła dziewczyna, ale poprawiła natychmiast: — Ale maminka mne volá Maruška!

— A po polsku — Maryla — powiedział Mickiewicz i wolno odwrócił się do okna.



Salwa do górników

Jedną może z największych zbrodni jaką popełnili kapitaliści na robotnikach w zagłębiu ostrawsko-karwińskim było strzelanie do bezbronných górników na szybie „Trójcy” w Ostrawie dnia 9 maja 1894 r. Data ta krwawo zapisała się w historii ruchu robotniczego w naszym kraju. Co było powodem tego zajścia? Odpowiedź krótka. Biedny robotnik, wykorzystywany do ostatnich granic, poniewierany na każdym kroku poszedł manifestować za ośmiogodzinny czas pracy i za większy kawałek chleba. Zamiast chleba częstuje go austriacki żandarm ołowiem. Giną przede wszystkim ludzie młodzi, którzy swoim potem i krwią pomnażali milionowe majątki swoich chlebobawców.

Warto sobie te zbrodnie przypomnieć, aby młode pokolenia nie zapomniały jak ciężko ich ojcowie musieli dawniej walczyć o swoje prawa.

Przeglądając stare gazety, często znajdziemy wzmianki o podobnych zajściach. Gazety burżuazyjne starały się wszelkimi sposobami zważyć winę na robotników posadzając ich o nieposłuszeństwo i o domaganie się niemożliwych rzeczy. Znowu gazety robotnicze jasno przedstawiały całą sprawę i domagały się sprawiedliwości. Sądy austriackie stały po stronie możnowładców i zaciekle broniły ich interesów. Całą winę zwalono na robotników i osadzano ich w więzieniach. Lecz na tym nie koniec. Po zajściu na szybie „Trójcy” w Ostrawie 140 rodzin górniczych wyrzucono nie tylko z pracy ale i z mieszkań. Stra-

szny był los takich rodzin ponieważ ojciec miał w książce robotniczej wpisane słowo „rebelant”, tzn., że nikt więcej nie przyjął go do pracy — czyli że cała rodzina była skazana na głodowanie.

Aby odświeżyć wspomnienie na te czasy, przytoczymy tutaj kilka wyjątków z gazety, której sprawy robotnicze raczej nie bardzo leżały na sercu, a której redakcja w tych czasach znajdowała się w Cieszynie. Była to Gwiazdka Cieszyńska, gdzie w numerze 19 z dnia 12 maja 1894 r. czytamy co następuje:

Gw. Ciesz. Nr. 19, z dnia 12 maja 1894.

BEZROBOCIE W POLSKIEJ I MORAWSKIEJ OSTRAWIE przybiera zastraszające rozmiary. Obecnie strejkuje już 15.000 górników, i kto wie, co jeszcze z tego będzie, bo oburzenie i rozgoryczenie wśród górników ma być bardzo wielkie. W środę d. 9 bm. o godz. 6 rano usiłowali strejkujący robotnicy zmusić gwałtem do strejku górników szachty „św. Trójcy” w Polskiej Ostrawie, którzy jeszcze pracowali. Żandarmi w liczbie 9 oparli się 1500 górnikom, a ponieważ upomnienia nic nie pomagały, a górnicy coraz bardziej się zbliżali, więc żandarmi strzelili pięć razy. Na miejscu padło trupem 9 górników, 20 zostało ciężko rannych i kilkunastu lekko rannych. Z ciężko rannych zmarło już czterech. Wojsko z Opawy i Cieszyna patroluje obecnie w całej okolicy. Górnicy żądają 8-godzinnej szychty i niepociągania przywódców do odpowiedzialności.

Gw. Ciesz. Nr. 20, z dnia 19 maja 1894.

BEZROBOCIE W POLSKIEJ I MORAWSKIEJ OSTRAWIE. Przelew krwi w Polskiej Ostrawie sprawił w całej Europie wielkie wrażenie. Widownią krwawego starcia pomiędzy żandarmerią a strejkującymi robotnikami d. 9 bm. była droga cesarska prowadząca z Cieszyna do Ostrawy. Na granicy Polskiej Ostrawy znajduje się szyb św. Trójca, należący do hr. Wilczka. Około 1/4 rano zbliżył się ku szybowi wielki tłum strejkujących górników w uporządkowanych szeregach. Tłum składał się mniej więcej z tysiąca ludzi, którzy zamierzali wtargnąć do szybu zmusić pracujących do zaprzestania pracy. Wachmistrz żandarmerii Mark, który

wraz z ośmiu żandarmami utrzymywał porządek w Polskiej Ostrawie wyszedł naprzeciw górników, i wezwał ich, aby się rozeszli. Napomnienie to jednak nie skutkowało, owszem robotnicy ciągle postępowali naprzód. Wtedy wachmistrz Mark kazał strzelać i żandarmi dali naprzód jedną salwę — padło kilku zabitych i rannych. Pomimo to górnicy pchali się naprzód. Więc żandarmi drugi raz strzelili, a potem jeszcze raz. Po drugiej salwie górnicy już wśród krzyków i jęków uciekali. Ogółem padło 23 wystrzałów. Dwóch księży udzieliło konającym i tym, których śmierć była niewątpliwą ostatnich sakramentów. Zabici i ranni są to po większej części młodzi chłopcy od 16 do 24 lat. Dwóch jest żonatych, z których jeden ma pięcioro dzieci. Przywódca napadu na szyb św. Trójcy górnik Kolář, jest zupełnie nieknięty. Zaraz po tem zajściu telegrafowano po wojsko do Opawy, Cieszyna i Krakowa, które też po upływie kilku godzin przybyły. Strejk jednakowoż przybierał coraz to większe rozmiary, tak że w sobotę d. 12 bm. świętkowało około 20.000 górników w Polskiej Ostrawie, w Karwinie, Dąbrowie, Pietwałdzie, Łazach i Porembie. Do prowadzenia śledztwa przybyła bezzwłocz-

nie komisya sądowa z Cieszyna złożona z prokuratora Jarosza i sędziego śledczego p. Eisenberga. Pogrzeb dziesięciu ofiar starcia przy szybie św. Trójcy odbył się w nocy pomiędzy pierwszą a drugą godziną. Wojsko silnie obsadziło cmentarz, leżący naprzeciwko szpitala. Uroczystość pogrzebowa nie miała wcale uczestników, ponieważ godzinę pogrzebową utrzymywano w zupełnej tajemnicy, ażeby uniknąć zbiegowisk i zaburzeń. Dziewięciu zabitych pochodziło z obcych stron, mianowicie z Galicyi i nie miało wcale nikogo z krewnych, jeden z nich nie został nawet poznany. Trumny nieśli żołnierze, poza nimi postępowali starosta Dobrowsky i oficerowie. W sobotę po południu odbyła się wypłata za miesiąc kwiecień, co może być przyczyną, że strejk potrwa o kilka dni dłużej, bo niejedyn górnik otrzymał przy wypłacie od 30 do 50 złr. Święta przeszły spokojnie. Zarządy kopalń ogłosiły, że za wydalonych uważani będą ci wszyscy robotnicy, którzy po świętach do pracy nie powrócą. Oświadczenie to nie odniosło wielkiego skutku. Do Polskiej Ostrawy przybyło kilku posłów celem zbadania sprawy na miejscu i wyrobienia sobie zdania o wymaganiach strejkujących górników.



Szyb „Głęboki“ w Karwinie przed stu laty

— Według nowszych wiadomości robotnicy już prawie wszędzie powrócili do pracy. Najdłużej robotnicy strejkowali w szybach należących do hr. Wilczka. Żądania górników: 8 godzinna szychta i podwyższenie płacy, nie zostały uwzględnione.

Gw. Ciesz. Nr. 21, z dnia 26 maja 1894.

ARESztOWANI GÓRNICY PODCZAS STREJKU W POLSKIEJ OSTRAWIE stanęli d. 22 bm. przed sądem w Cieszynie. Przewodnictwo senatu objął radca dworu p. Satzke, jako oskarżyciel występował prokurator Jarosch, sędziami byli pp. Zastlera, Konwalinka i Lisec. Oskarżonych bronili adwokaci pp. dr. Izidor Kohn i dr. Gross. Żandarmi przyprowadzili z kryminału 21 oskarżonych do sali około godz. 9. Nazwiska ich są następujące: Jan Kolář z Szonowa, Paweł Kop z Górnej Lesznej, Wojciech Pardedel z Sierc przy Wieliczce, Antoni Pawlik z Polomu przy Oprawie, Jakób Kachel z Pitrowa przy Szobiszowicach, Józef Kożuszniak i Antoni Radda z Górnych Datyń, Józef i Jan Kachlowie z Pitrowa przy Szobiszowicach, Franciszek Mikolaś z Dolnych Lhot przy Frydku, Wawrzyniec Baran z Zakluczyna przy Wieliczce, Piotr Kasprzyk ze Stryszowej, Wojciech Łukaszczyk z Zakluczyna, Antoni Botur z Radwanic, Antoni Pasternak z Węclowic, Karol Janša z Dobrej, Józef Sliwa z Dolnych Będowic, Andrzej Stamura z Radwanic, Józef Toman z Dolnych Datyń i Jan Serafin z Koziniec Wielkich przy Wieliczce. Między oskarżonymi była też Marya Kachłowa, żona Józefa Kachla, która rzuciła cegłą na żandarmów i rzuciła się na nich z kosiskiem. Oskarżenie zarzuca wszystkim, że dopuścili się niebezpiecznej groźby i zamierzali wtargnąć do cudzej własności, chcąc opanować szyb i przeszkodzić górnikom w pracy. Świadców powołano tylko trzech, a mianowicie starszego inżyniera szybu św. Trójcy Ciżka i żandarmów Marka i Grigara z Polskiej Ostrawy. Podczas całej rozprawy był w sali obecny redaktor socjalistycznych „Odbornych listów” Cingr, wychodzących w Mor. Ostrawie, który niedawno temu był delegatem w Berlinie na kongresie, gdzie przemawiał w imieniu 27.000 górników. Oskarżenia nie byli wcale przygnębieni — przy przesłuchaniach wymawiali się jak mogli. — Prokurator Jarosch w przemówieniu swoim wystąpił w obronie żandarmerii i za krwawe zajścia czynił odpowie-

dzialnymi tylko robotników. Obrońcy obracali się w granicach wywodów prawnych wykazując brak istoty czynu zarzuconych oskarżonym zbrodni. Wyrok zapadł następujący. Uwolniono zupełnie: Józefa i Jana Kachlów, Wojciecha Łukaszczyka i Jana Serafina. Paweł Krop skazany na 13 miesięcy więzienia, Jan Kolář na 9 miesięcy, Jakób Kachel i Antoni Botur na 3 miesiące, reszta oskarżonych jako też Marya Kachłowa na 2 miesiące.

BEZROBOCIE W POLSKIEJ I MORAWSKIEJ OSTRAWIE zupełnie ukończone zostało. Tylko smutne następstwa coraz to dotkliwiej dają się górnikom we znaki. Około 140 górników, głównie przywódców, nikt do pracy przyjąć nie chce, i wydano ich z dotychczasowych mieszkań. Postępowanie to wywołuje groźby ze strony górników, że znowu rozpoczną bezrobocie. W szpitalu polsko-ostrowskim leży 23 rannych, z których kilku trudno będzie utrzymać przy życiu. Oprócz tych leczy się w prywatnych domach jeszcze 11 górników. Jednemu odjęto nogę.

Gw. Ciesz. Nr. 22, z dnia 2 czerwca 1894.

STATYSTYKA ROZRUCHÓW W POLSKIEJ OSTRAWIE. Na miejsce rozruchów w Polskiej Ostrawie pośpieszyli — jak wiadomo — baron Mundy z Wiednia i dr. Bogdanik z Białej, powaga pod względem praktycznej znajomości działania broni Mannlicherowej. Oba tym badaczom służył wyjaśnieniami dr. Swoboda, który rannych ma w swojej opiece. Niestety nie wielkie korzyści naukowe odniesiono. Raz, że strzały padły z broni Mannlichera i Fruwirtha, powtóre, że zmarłych pochowano bez sekcji zwłok. Strzałów padło z odległości 12 do 15 kroków 26, tj. Ostatnie pociski są z ołowiu, pierwsze zaś cieniutkie mają osłonkę stalową. Rannych było ogółem 44, a pomiędzy nimi niektórzy mieli po 2 uszkodzenia, a zatem jedna kula kilku przeszła. Z liczby tych poległo na placu 5, podczas transportu do bardzo bliskiego szpitala 3 i 4 umarło dotąd w szpitalu, a kilku jeszcze umrze. Sekcyi zwłok nie wykonano, sprawdzono tylko, że jeden miał ranę postrzałową głowy, jeden brzucha, a jeden przedarcie tętnicy udowej, reszta zaś zginęła z ran postrzałowych klatki piersiowej. Między rannymi jest jeden z przestrzeloną na wylot piersią, inni mają zranione kończyny. Jednemu z przestrzelono-

nym kolanem dotąd amputowano udo, a kilka amputacji prawdopodobnie jeszcze wypadnie dokonać. Dodać należy, iż wszystkie rany dosyć obficie ropieją. Dr. Bogdanik wobec tych wyników ob staje przy swem zdaniu, wypowiedzianem jeszcze w r. 1890, iż zmiżdżenie kości i od kuli całej dość często się przydarzać może i że w tych razach nie uniknie amputacji. Przeważna ilość zranionych w brzuch lub piersi umrze na pobojuwisku lub w drodze do szpitala, ludzką bronią przeto broni tej nazwać nie można. Dr. Józef Bogdanik z Białej wydał w roku 1890 broszurę zatytułowaną „Broń palna Mannlicherowska a przyszła wojna“, w której dowodzi, jak wielkie spustoszenia czyni nowa broń. Dr. Bogdanik miał sposobność po krwawych zajściach w r. 1890 w Białej dokładnie zbadać skutki strzałów z nowej broni.

Gw. Ciesz. Nr. 23, z dnia 9 czerwca 1894.

BEZROBOCIE W POLSKIEJ OSTRAWIE. Sąd cieszyński zasądził znowu kilku górników, którzy d. 9 maja zamierzali wtargnąć

do szybu św. Trójcy. Marek Kalyta z Bielczyc w Galicyi skazany został na 6 tygodni, Jan Pluta z Tomaszkowic w Galicyi na dwa miesiące, i Józef Waszek z Szonowa na sześć tygodni aresztu, — Stanisław Dobrzański z Wieliczki i Piotr Bartosz z Łęg uznani zostali za niewinnych.

Gw. Ciesz. Nr. 16, z dnia 21 kwietnia 1894.

MAJĄTEK DOMU ROTHSCCHILDÓW obliczają obecnie na 10 miliardów franków, podczas gdy jeszcze w r. 1875 wynosił on dopiero połowę sumy dzisiejszej, bo 5 miliardów franków. Z tych 5 miliardów jeden miliard należał do Rothschildów paryskich, Słynny ekonomista niemiecki dr. Rudolf Meyer obliczył, że owa fortuna kolosalna podwaja się co lat 15, a zatem w r. 1965 będzie wynosiła 300 miliardów franków, tj. będzie dawała dochód, z którego mogłoby się utrzymywać 37,120.000 ludzi. W r. 1800 zaś stary Rothschild, założyciel całej dynastii, nie posiadał jeszcze prawie żadnego majątku. Na nogi postawiły go dopiero manewry giełdowe po bitwie pod Waterloo.



Salwa do górników w roku 1894 nie była ostatnią. Jeszcze niejedną raz płynęła krew robotnicza po orłowskim bruku. Na zdjęciu manifestacja robotników po krwawej masakrze w r. 1925

Jeśli oceniać z punktu widzenia zajmowanej powierzchni (128.000 km²) i liczby ludności (13,5 mln) jesteśmy krajem stosunkowo niewielkim. Ale nasz potencjał ekonomiczny w gospodarce światowej jest wielokrotnie większy. Mimo że liczba ludności CSRS stanowi zaledwie pół procenta ludności świata, jej udział w ogólnoswiatowej produkcji przemysłowej wynosi aż 2%. Byliśmy rozwiniętym krajem przemysłowym już przed drugą wojną światową. Wówczas jednak przewagę miał przemysł lekki, przede wszystkim włókienniczy, obuwniczy, szklarski i odzieżowy. W latach trzydziestych w gałęziach tych pracowało 38% ogólnej liczby robotników zatrudnionych w przemyśle, w hutnictwie

czonej gospodarki narodowej i podniesienie produkcji (w roku 1945 produkcja przemysłowa sięgała zaledwie ok. 50% wartości przedwojennej), ale przede wszystkim zmiana struktury przemysłu, tj. zbudowanie przemysłu ciężkiego i równocześnie uprzemysłowienia obszarów dawniej pod tym względem zaniedbywanych. Zadania te stanowią podstawową treść planów gospodarczych: pięcioletki pierwszej (1949 do 1953) i drugiej (1955 do 1960) i znajdując wyraźne odbicie również w trzeciej pięcioletce na lata 1961 do 1965..

Na to, w jaki sposób udawało się nam dotychczas zadania te wykonywać wskazuje kilka konkretnych liczb. Obecna produkcja przemysłowa CSRS jest

Zmieniamy oblicze naszej republiki

zaś oraz w zakładach budowy maszyn zaledwie 24%. Cechą charakterystyczną przemysłu było również jego nierównomierne rozmieszczenie terytorialne. Podczas kiedy na ziemiach czeskich (Czechy i Morawy) skupiona była większość zakładów przemysłowych, to wschodnie obszary kraju (Słowacja) niemal w ogóle pozbawione były przemysłu. Ale nawet na ziemiach czeskich nie brak było okręgów (np. południowe Czechy lub Wierchowina Czesko-Morawska) o znikomej liczbie zakładów przemysłowych. Jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, że słabe uprzemysłowienie tych rejonów znajdowało swoje odbicie w stosunkowo niskim poziomie życiowym mieszkańców południowych Czech, Wierchowiny Czesko-Morawskiej, a na-
de wszystko Słowacji.

Toteż głównym zadaniem, jakie stanęło przed nami po drugiej wojnie światowej była nie tylko odbudowa znisz-

niemal czterokrotnie wyższa w porównaniu z przedwojenną. Poziom produkcji przemysłowej ilustruje np. porównanie produkcji podstawowych wyrobów w CSRS i w NRF w przeliczeniu na jednego mieszkańca (dane z roku 1958):

	Węgiel w przeliczeniu na wartość węgla kam. (kg)	Energia elektryczna (kWh)	Stal surowa (kg)	Cement (kg)
CSRS	4.449	1.456	409	305
NRF	3.143	1.845	446	389

Jeśli idzie o zadanie doprowadzenia do równomiernego rozmieszczenia zakładów przemysłowych na terytorium

całego państwa, wyniki są nie mniej pomyślne. W latach 1948—1958 na budownictwo inwestycyjne poświęcono 222.617 milionów koron. Największą część tej sumy przeznaczono właśnie na rozbudowę przemysłu i to przede wszystkim w rejonach przemysłowo zacofanych.

Wśród nowo zbudowanych fabryk nie brak olbrzymich zakładów przemysłowych i kombinatów zatrudniających po parę tysięcy pracowników. Jednym z nich są np. „Žďarské strojířny” — zakłady przemysłu budowy maszyn w miejscowości Žďár na Wierchowinie Czesko-Morawskiej. Kiedyś dawno temu, w XIV wieku dobywano tu rudę żelazną, a na rzece Sazawie stało kilka młotowni. Prace ówczesnych płatnerzy i kowali znane były aż w Norymberdze. Z czasem jednak młotownie i kopalnie zanikły a nowy przemysł był bardzo słaby. Liche użytki rolne nie mogły mieszkańcom zapewnić wyżywienia. Tyśiące ludzi opuściło powiat, udając się w poszukiwaniu chleba za granicę, nierzadko aż do krajów zamorskich.

W roku 1948 rząd postanowił zbudować w pobliżu Žďaru przemysłowy ośrodek Wierchowiny Czesko-Morawskiej — „Žďarské strojířny”. Dziś stoja tu olbrzymie zakłady z wielkimi budynkami mieszczącymi odlewnie, warsztaty maszynowe, elektrownie oraz inne obiekty. Dały one chleb i pracę mieszkańcom całej okolicy. Dawni chłopci są dziś giserami, ślusarzami, elektrotechnikami, majstrami, technikami. Produkowane przez nich wyroby, jak na przykład wielkie prasy i urządzenia walcownicze znajdują obecnie zbyt nawet na rynkach zagranicznych. W przemyśle, komunikacji i budownictwie powiatu žďarskiego zatrudnionych jest około siedmiu tysięcy osób. Rozbudowa i istnienie „Žďaru” — jak nazywane są w skrócie zakłady — wywołały konieczność zbudowania szeregu dalszych urządzeń i przedsiębiorstw usługowych, co stworzyło z kolei wiele innych możliwości pracy dla okolicznych mieszkańców.

W mieście Žďar wyrosło imponujące osiedle, w którym znajduje się 1200 mieszkań. Jeszcze w roku 1948 Žďar miał 3500 mieszkańców — dziś ma ich

10.000. W mieście zbudowano nową jedenastolatkę, dwa przedszkola, ośrodek zdrowia, pocztę, internat dla uczniów szkoły przysposobienia zawodowego itd. W roku 1953 obroty handlu detalicznego powiatu wynosiły 3500 Kčs na jednego mieszkańca, w roku 1957 (mimo siedmiokrotnej obniżki cen) wzrosły do 5480 Kčs. Wkłady oszczędnościowe ludności wzrosły w tymże okresie w przybliżeniu dwukrotnie.

W ciągu następnych 5—6 lat miasto i zakłady dalej się rozrosną. „Žďarské strojířny” podniosą trzykrotnie swą produkcję, a liczba mieszkańców miasta wzrośnie do 17.000. Žďar otrzyma nowy dworzec kolejowy, nową szkołę, żłóbkę, przedszkole, dom towarowy, linie komunikacyjne itd.

Następnym rejonem Czech, którego oblicze zmieniło się w ostatnich latach nie do poznania jest ich obszar południowy. Nie ma tu chyba ani jednego miasta czy miasteczka, w którym by nie stanęła nowa fabryka lub w którym by nie zmodernizowano i nie rozszerzono istniejących już zakładów przemysłowych.

Spśród nowych zakładów warto by wymienić chociażby wielką fabrykę włókienniczą „Jitex” w Písku, fabrykę urządzeń pneumatycznych w Milewsku wielką całkowicie zautomatyzowaną piekarnię w Czeskich Budziejowicach, zaopatrującą w chleb i białe pieczywo nie tylko miasto okręgowe, ale i cały powiat, i wreszcie podziemną elektrownię wodną pod Lipnem. Spśród obiektów przemysłowych znajdujących się jeszcze w toku budowy zasługują na wzmiankę choćby dwa najciekawsze: największa w Czechosłowacji elektrownia wodna pod Orlikiem na Wełławie, w której pracować będą cztery turbiny śmigłowe na najwyższy spad na świecie (71,5 m) oraz ultranowoczesna fabryka ceramiki sanitarnej w Bechyni. Ponadto rozbudowano wydatnie Czeskie Zakłady Motocyklowe w Strakonicach (tu właśnie rodzą się słynne motocykle Jawa ČZ) oraz „Kovosvit” w Sezimowym Ústí (produkowane tu obrabiarki eksportowane są na cały świat).

Najjaskrawszym jednak przykładem szeroko zakrojonej industrializacji jest



Ostrawa — centrum naszego okręgu

Słowacja. Słowacja, która w okresie przedwojennym stanowiła właściwie coś w rodzaju dodatku rolniczego do wysoko uprzemysłowionych ziem czeskich jest dziś krainą posiadającą rozwinięty, nowoczesny przemysł. W latach 1948—1958 — zbudowano na Słowacji 202 nowe zakłady przemysłowe, a 132 zakłady wydatnie rozszerzono i unowocześniono. Globalna produkcja przemysłowa Słowacji wzrosła w przybliżeniu siedmiokrotnie w stosunku do stanu przedwojennego, a jej udział w ogólnopństwowej produkcji przemysłowej wzrósł z 8% w roku 1937 do niemal 18% w roku bieżącym. Liczba osób zatrudnionych w sektorze socjalistycznym gospodarki narodowej wzrosła z 480.000 w roku 1948 do przeszło miliona w roku 1958. Średnia płaca robotnicza wzrosła z 692 Kčs w roku 1948 do 1265 Kčs w roku 1958.

Jak bardzo nowe zakłady przemysłowe zmieniają cały charakter krainy i podnoszą poziom życiowy ludności, wi-

dzimy na przykładzie miasteczka Ziar nad Hronem, w centralnej Słowacji. Leży ono w ciasnej dolinie rzeki, u podnóża Niskich Tatr. Przed wojną była to wieś (nazywała się Starý Križ nad Hronem) licząca niewiele ponad 1400 mieszkańców. Większość z nich pracowała na gruntach biskupich, ci zaś, którzy nie mogli tu znaleźć pracy, wyjeżdżali, szukając jej przeważnie w kopalniach francuskich i belgijskich. W latach 1929—1933 wyemigrowało stąd do Francji i Belgii około 20% mieszkańców.

Dziś Ziar nad Hronem jest nowoczesnym miastem posiadającym przeszło 14 tysięcy mieszkańców. Na dawnych gruntach biskupich stoją potężne Zakłady Słowackiego Powstania Narodowego — duma całego Pohronia. Jest to olbrzymia fabryka aluminium, jedyna tego rodzaju w kraju, zatrudniająca dziś kilka tysięcy pracowników. Zakłady stale się rozbudowują. Surowiec wyjściowy do wyrobu aluminium — boksyt — sprowadza się z Węgier, ale już w najbliższym czasie fabryka oprze swą produkcję na surowcu krajowym z południowej i zachodniej części okręgu Bańskiej Bystrzycy. Energii elektrycznej dostarcza Zakładom Słowackiego Powstania Narodowego nowa elektrownia w pobliskich Zemianských Kostolanach, będąca zarazem największą elektrownią na Słowacji.

Samo miasto również nieustannie się rozrasta. W ciągu ostatniego piętnastolecia zbudowano tu 2000 nowoczesnych mieszkań, rok rocznie przekazuje się do użytku dziesiątki dalszych. Przed wojną do szkoły chodziło zaledwie kilkadziesiąt žiarskich dzieci, dziś natomiast do szkół wszystkich stopni uczęszcza przeszło 1600 dzieci hutników i rolników — członków spółdzielni produkcyjnych. Szkoły ośmioletnia i jedenastoletnia w Žiarze mieszczą się w nowoczesnych budynkach szkolnych. Jest tu także nowe przedszkole, żłóbkę, urząd pocztowy, dom kultury oraz inne gmachy użyteczności publicznej. W dawnym zamku biskupim mieści się biblioteka powszechna, miejskowa placówka oświatowa oraz szkoła muzyczna. W toku budowy znajduje się wielki szpital, który zostanie otwarty już w nadchodzącym roku.



Dojrzewająca trawa przypomina kłosa zbóż

Nowe fabryki mają jednak największe znaczenie dla wschodniej Słowacji. W Koszycach, Preszowie, Hencovcach, w Sninie, Humennem, Bardiowie, Lubeniku, Medzilaborcach, w Strażskem, Svidniku i gdzie indziej pracują już nowe zakłady przemysłu maszynowego, chemicznego, skórzanego, drzewnego i in.

Jeszcze przed 20 laty nie było tu właściwie żadnego przemysłu. Na przykład w Okręgu Preszowskim w roku 1937 zatrudnionych było w przemyśle zaledwie 0,5 % mieszkańców, w Okręgu Koszyckim zaś w przemyśle pracowało 3,7% ludności. Poziom kultury mieszkaniowej był tu bardzo niski, bołączką tych okolic był analfabetyzm i wysoki odsetek zachorowań. Wskutek bezrobocia tysiące ludzi rok rocznie emigrowało za granicę. Przeważnie szukali oni pracy w amerykańskich kopalniach i stalowniach, w kanadyjskich lasach oraz w francuskich i belgijskich kopalniach.

Budownictwo nowoczesnych zakładów przemysłowych po drugiej wojnie światowej zmieniło od podstaw charak-

ter całej krainy i życie jej mieszkańców. W przestronnych halach licznych zakładów przemysłowych dziesiątki tysięcy ludzi znalazło długo poszukiwaną pracę. Wokół fabryk wyrosły nowoczesne osiedla z komfortowo wyposażonymi mieszkaniami. Trudno dziś porównywać którąkolwiek wieś z dawną zapadłą wiościzną. Miejsce dawnych drewnianych chat pokrytych słomą lub gontem zajęły śliczne, nowoczesne domki rodzinne.

Jednym z nowych, wielkich zakładów przemysłowych wschodniej Słowacji jest kombinat chemiczny w Humennem, nastawiony na produkcję włókien poliamidowych. Jak przewrotne zmiany spowodowało istnienie tego kombinatu nie tylko w samym miasteczku, ale i w całym powiecie?

Za czasów republiki przedmonachijskiej powiat Humenne niemal całkowicie pozbawiony był przemysłu. Ludzie szukali pracy w rolnictwie, na nielicznych budowach lub w lesie. W samym Humennem codziennie wystawało na

rynku około 100 bezrobotnych. W miesiącach zimowych, gdy pola leżały pod śniegiem, aż 90% robotników było bez pracy. Przeszło 11% ludności powiatu nie umiało czytać, ani pisać. Był tu tylko jeden lekarz. Miasteczko liczące 4000 mieszkańców łączyła z dzisiejszym miastem okręgowym Preszowem, jedna jedyna linia autobusowa. Wsie pozbawione były prądu elektrycznego i telefonu, a życia kulturalnego nie było tu niemal zupełnie.

Humenne liczy dziś dwa razy tyle mieszkańców co przed wojną. Bezrobotnych dawno już nie ma, analfabetyzm został wypieniony. Wszystkie wsie na terenie całego powiatu są zelektryfikowane i mają połączenie telefoniczne. Do wszystkich wsi, z wyjątkiem dwóch małych wiosek górskich dojeżdża regularnie autobus. W powiecie pracuje 58 lekarzy.

Ośrodkiem przemysłowym powiatu jest fabryka włókien poliamidowych w Humennem. Nowy kombinat, zatrudniający kilka tysięcy pracowników z całej okolicy, ożywił to śpiące do niedawna, prowincjonalne miasteczko. Szerokimi chodnikami, obramowanymi pasami zieleni płynie prąd młodych ludzi, przeważnie kobiet, spieszących do nowoczesnych hal fabrycznych, w których powstaje włókno sztuczne.

Produkcja jest całkowicie zautomatyzowana. Fabryka ma własny żłóbek, przedszkole, przemysłową szkołę chemiczną, ośrodek przysposobienia zawodowego oraz nowoczesnie wyposażony zakład leczenia masowego.

Równocześnie z budową fabryki rozbudowywało się szeroko samo miasto. Zbudowano niemal 1000 nowych mieszkań, 90 domków rodzinnych, nowe szkoły, przedszkola i żłóbki, urządzenia służby zdrowia, sklepy itp. Do r. 1965 zbudowanych zostanie dalszych 1040 mieszkań, stadion sportowy, amfiteatr pod gołym niebem na 10.000 miejsc oraz wiele innych urządzeń socjalnych, kulturalnych i handlowych.

Podobnie rozrastają się też i inne

miasteczka wschodniej Słowacji i zmienia się życie ich mieszkańców.

Największe zmiany w życiu wschodniej Słowacji przyniesie potężny kombinat hutniczy pod Koszycami, którego budowa podjęta została w roku ubiegłym. Będzie to największy kombinat hutniczy w Czechosłowacji i jeden z największych na świecie.

W roku bieżącym, na równinie ciągnącej się na południe od Koszyc rozpoczęto budowę głównych obiektów. Staną tu wielkie piece, koksownia, stalownia, walcownia, odlewnia szarej stali i stali, ciepłownia oraz inne urządzenia. Pierwsza walcarka rozpocznie pracę jesienią roku 1964.

Dzięki uruchomieniu kombinatu „Východoslovenské železární” będziemy mogli w roku 1965 podnieść swą produkcję stali do 10,5 miliona ton, co w przeliczeniu na jednego mieszkańca stanowić będzie około 739 kg. Podstawowy surowiec, ruda żelazna, sprowadzana będzie do kombinatu ze Związku Radzieckiego.

Uruchomienie kombinatu „Východoslovenské železární” pociągnie za sobą siłą rzeczy powstanie szeregu innych zakładów przemysłowych w Okręgu Koszyckim. Na przykład nadwyżki gazu kokсового stanowiąc będą bazę surowcową dla nowego ośrodka przemysłu chemicznego, którego budowa pochłonie pięć razy więcej środków inwestycyjnych niż budownictwo fabryki włókien poliamidowych w Humennem. Liczba mieszkańców Koszyc wzrośnie do roku 1965 dwukrotnie, co pociągnie za sobą konieczność zbudowania mieszkań dla 32.000 rodzin.

Wschodnia Słowacja stanie się w najbliższych latach nowym rejonem przemysłowym państwa. Produkcja globalna przemysłu na Słowacji będzie w r. 1965 niemal siedemnastokrotnie wyższa w porównaniu z okresem przedwojennym i równać się będzie w przybliżeniu ogólnopństwowej produkcji przemysłowej Czechosłowacji z roku 1948! W ten sposób Słowacja dźwignie się do poziomu krajów wysoko uprzemysłowionych.



Historia powstania

»Domu Robotniczego«

W TRZYŃCU

Początki ruchu robotniczego na terenie Huty Trzynieckiej, dzisiaj zasłane mgłą i mocno przyprószone zapomnieniem, były bardzo ciężkie. Obecnie tylko z trudem, zwłaszcza młodzież, może zrozumieć te czasy, w jakich nasi pionierzy i szerzyciele nowych prądów ideologicznych — socjalizmu naukowego byli zmuszeni pracować, z jakimi nieraz olbrzymimi trudnościami musieli się borykać i ile hartu, poświęcenia i ofiarności złożyli w walce o lepszy byt, o lepsze jutro.

Przecież na usługach niczym nie ograniczonej burżuazji znajdował się cały ówczesny aparat państwowy, cała władza gospodarcza znajdowała się wyłącznie w rękach burżuazji, robotnicy nie byli jeszcze klasowo uświadomieni, nie posiadali jeszcze żadnej organizacji ani politycznej ani zawodowej, która by ich prowadziła do zwycięstwa. Nowy, naukowy pogląd na świat sformułowany przez Marksa i Engelsa — zdobywał dopiero pierwszych zwolenników. Tak więc sytuacja dla robotników była bardzo ciężka i walka z wszechmocnym kapitałem wymagała bezwzględного poświęcenia, niezłomnego hartu i dużej odwagi, by dojść do zwycięstwa.

Jedną z poważnych przeszkód, utrudniających w znacznym stopniu pracę organizacyjną robotników trzynieckich, był zupełny brak odpowiednich lokali na ten cel w całym Trzyńcu. Robotnicy byli zmuszeni udawać się na swe zgromadzenia i różne inne akcje daleko poza Trzyniec. Bowiem w gospodach „werekowych”, które znajdowały się pod zarządem Huty (Mahlenbrei, Gröger,

Schancer) nie wolno było robotnikom, ze zrozumiałych powodów, zajmować się pracą organizacyjną. Służyły tylko dla tego, by robotnicy utracili w nich swe ciężko zarobione pieniądze. Tak więc zebrania i zgromadzenia, względnie zabawy odbywają się najczęściej w gospodzie gminnej w Łyżbicach, w Wędryni „na Czornowskim” i Dolnej Lesznej, wycieczki zaś urządzano „na Kamionce” w Łyżbicach. Te podróże dawały się we znaki robotnikom trzynieckim, zwłaszcza przy ówczesnym 11—12 godzinnym dniu roboczym; pewną część robotników to zniechęcało i ruch robotniczy znacznym na tym cierpiał.

Postanowiono więc wszelkimi sposobami dążyć do wybudowania własnego domu i schronienia dla rozrastającego się ruchu robotniczego w Trzyńcu i umożliwić w ten sposób robotnikom działalność polityczną, kulturalną i oświatową we własnym lokalu w Trzyńcu.

W tym celu kilkanaście odważnych chałupników, robotników i rzemieślników z Trzyńca i okolicy, przejętych nowymi ideami socjalistycznymi, powzięło myśl założenia „Stowarzyszenia Domu Robotniczego” w Trzyńcu. Konstytuujące zebranie odbyło się w dniu 19 maja 1901 roku w gospodzie ob. Michała Sikory w Dolnej Lesznej. Zebraniu przewodniczył jeden z najwybitniejszych pracowników polityczno-społecznych na naszym terenie — tow. Palla Józef. Mówcy, jak Adam Myrdacz, Jan Słowik i Jan Jaworski podkreślali konieczność wybudowania Domu Robotniczego, przedstawiając zadania, stojące przed Stowarzyszeniem. Pierwszym



Dom Robotniczy w Trzyciu po odnowieniu

przewodniczącym wybrano tow. Jana **Stańka**, skarbnikiem Ad. **Myrdacza**, sekretarzem Jana **Romańczyka** oraz jako członków zarządu: J. Pallę, J. Raszkę, J. Kasina, J. Golca, J. Koczygo, J. Troszoka. Miesięczną składkę członkowską uchwalono w wysokości 20 halerzy.

21. V. 1901 wniesiono do władz statut, który opracował tow. Ulrich, sekretarz PPSD (Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej) w Bielsku. Statut został zatwierdzony przez władze krajowe w Opawie 8. VI. 1901 r., a tym samym zatwierdzono prawne istnienie „Stow. Domu Robotniczego” w Trzyciu. Stowarzyszenie to znajdowało się pod wpływem partii soc. dem. PPSD z siedzibą w Krakowie i miało charakter sekcji tej partii.

Końcem roku 1903 założono w Trzyciu dalsze stowarzyszenie, które sobie kładło za cel — wybudowanie własnego lokalu. Było to „Stowarzyszenie Kształcące „Braterstwo”. Pierwszym prezesem tego Stowarzyszenia był Fr. Kruczyński, majster krawiecki z Trzycia. Stowarzy-

szenie to było wspierane finansowo przez Stow. D. R. i pracowało razem z nim.

Pierwszą stałą siedzibą stow. robotniczych w Trzyciu był lokal u ob. Blumenfelda w Trzyciu, w roku 1904 przeniesiono się do lokalu ob. Rotha, gdzie lokal był większy, dogodniejszy i wynajęty na korzystnych warunkach. Tutaj pozostano aż do wybudowania Domu Robotniczego w r. 1908. W lokalu tym odbywały się zgromadzenia, zabawy, odczyty, dalej znajdowały się tu biblioteka i czytelnia, bilard i inne gry towarzyskie.

Fundusze na budowę Domu Robotniczego zbierano różnymi sposobami. Członkowie płacili składki członkowskie, robotnicy przy wypłatach i zaliczkach składali drobne datki z ciężko zarobionego grosza, również sąsiednie wsie wspierały to przedsięwzięcie przez urządzenie zabaw, wieczorków, festynów i balów, a czysty zysk z tych imprez przeznaczano na Dom Robotniczy. By mieć lepszy kontakt z bracią robot-

niczą wybrano w poszczególnych oddziałach Huty tzw. mężów zaufania w liczbie 27, którzy mieli za zadanie przekonywać robotników o potrzebie Domu Robotniczego i zbierać składki dobrowolne na ten cel. Lecz mimo tych wszystkich ofiar i zabiegów fundusze rosły opornie i powoli, co rzecz jasna przysparzało wiele kłopotów i zmartwień kierownictwu Stowarzyszenia. Lecz nie opuszczano rąk.

W roku 1906 zakupiono parcelę pod przyszłą budowę od ob. Heczki za 4600 koron. Równocześnie zwrócono się do różnych budowniczych, by podali oferty na budowę. Koszta budowy podług podanych ofert wahały się od 85.000 K do 100.000 K.

Końcem stycznia 1908 roku gotówka Stowarzyszenia wynosiła 4150 K, przy czym tylko za ostatnich 8 miesięcy robotnicy trzynieccy złożyli przeszło 3000 koron. Na Walnym Zebraniu Stowarzyszenia w dniu 8. II. 1908 uchwalono pożyczki we formie udziałów po 10 K. W kwietniu 1908 r. na posiedzeniu zarządu zdecydowano ostatecznie, by budowę Domu Robotniczego oddać budowniczemu K. Frydrychowi z Cieszyna, który zobowiązał się wybudować go za 84.500 K. Zaciągnięto pożyczkę, za którą pierwszymi rękocielami byli dr. Kunicki, Kubik, Szurman, Kajzar i Bacza.

26 kwietnia 1908 roku odbyła się na placu budowy imponująca demonstracja, gdzie blisko 3000 hutników trzynieckich domagało się wolnego, równego i tajnego prawa wyborczego do gminy i parlamentu. Równocześnie odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod budowę Domu Robotniczego.

Z wielkim zapałem i ofiarnością przystąpiono do budowy. Robotnicy swój wolny czas spędzali przy budowie, zaciągano odpowiednie pożyczki i prac szła rażno naprzód. Dzięki tym wspólnym wysiłkom organizatorów i hutników, było można dokonać uroczystego otwarcia Domu Robotniczego dnia 15 listopada 1908 roku.

Uroczystość otwarcia oznaczała dla Trzyńca i okolicy wielkie święto proletariackie. Przeszło 8000 osób z bliższa i dalsza pośpieszyło, by wziąć udział w

tym święcie proletariackim. „Robotnik Śląski” — jedyne czasopismo robotnicze, poświęcające się również sprawom trzynieckich hutników, umieścił na swych łamach barwny opis tej uroczystości, z którego przytaczamy fragmenty.

„Pochody z Nydku, Bystrzycy, Wędryni, Łyżbic, Dolnej Lesznej, Końskiej i Oldrzychowic o godz. 1,30 spotkały się na gościńcu, poczym z rozwiniętymi sztandarami i własnymi orkiestrami, pod przewodem udekorowanych szarfami komitetowców, ustawiły się szpalami na olbrzymiej przestrzeni od dworca wzdłuż drogi wiodącej ku Domu Robotniczemu, by czekać na przybycie pociągu bogumińskiego... Gdy nareszcie po długim oczekiwaniu dano znać, że pociąg się zbliża, uniosły się liczne sztandary, zagrzmiał „Marsz socjalistów” i wnet potym przy niemilkających okrzykach powitania i śpiewie chorów robotniczych, wśród szpalerów przechodzić poczęły po kilka set osób liczące delegacje rozmaitych organizacji partyjnych. A więc z Cieszyna polscy i niemieccy towarzysze z chórem robotniczym „Typografia”, bardzo liczny pochód z Karwiny, dalej z Suchej, ze Stonawy, z Łąk, Dąbrowy i wielu innych miejscowości.”

W uroczystości tej brało udział wielu wybitnych osobistości tak ze Śląska Cieszyńskiego, jak i z Polski, między innymi znany historyk polski, weteran polskiego socjalizmu — Bol. Limanowski, ówczesny poseł na sejm austriacki, omawiając znaczenie i zadania Domu Robotniczego, powiedział między innymi te słowa:

„Niechże ten Dom Robotniczy stanie się ogniskiem, skąd promieniować będą hasła skutecznej walki z reakcyjnymi zakusami wrogów ludu pracującego, niech będzie miejscem, gdzie szerzyć się będzie oświata i myśl socjalistyczna, gdzie radzić się będzie nad wyzwoleniem proletariatu.”

Po oficjalnej, uroczystej części, nastąpiła zabawa, która się przeciągnęła do późnej nocy. Zaś na scenie Domu Robotniczego miejscowe Kółko amatorskie przy Związku Metalowców wystawiło sztukę Hauptmanna „Tkacze” w reży-

serii Bujaka, którą oglądało blisko 2000 osób.

Myśl oraz realizacja budowy Domu Robotniczego znalazły dużo przeciwników, którzy początkowo drwili z usiłowań hutników, uważając je tylko za puste gładzenie, lecz kiedy tę myśl zaczęto realizować, starali się nie dopuścić do budowy, przeszkadzać, względnie opóźniać pracę. Lecz nie na wiele im się to zdało. Najbardziej nie na rękę to było, nie mówiąc już o politycznym znaczeniu tego przedsięwzięcia, zarządcom hutniczych gospód, którzy zresztą nie bez racji obawiali się, że po wybudowaniu Domu Robotniczego robotnicy przestaną utracać swe grosze w ich putykach.

W nowo wybudowanym Domie Robotniczym znajdował się sklep Spółki Spożywczej wraz z magazynami, lokal restauracyjny, czytelnia, sala bilardowa,

kancelarie, pomieszkanie dla gospodarza, mała i duża sala na zgromadzenia, zabawy i przedstawienia teatralne.

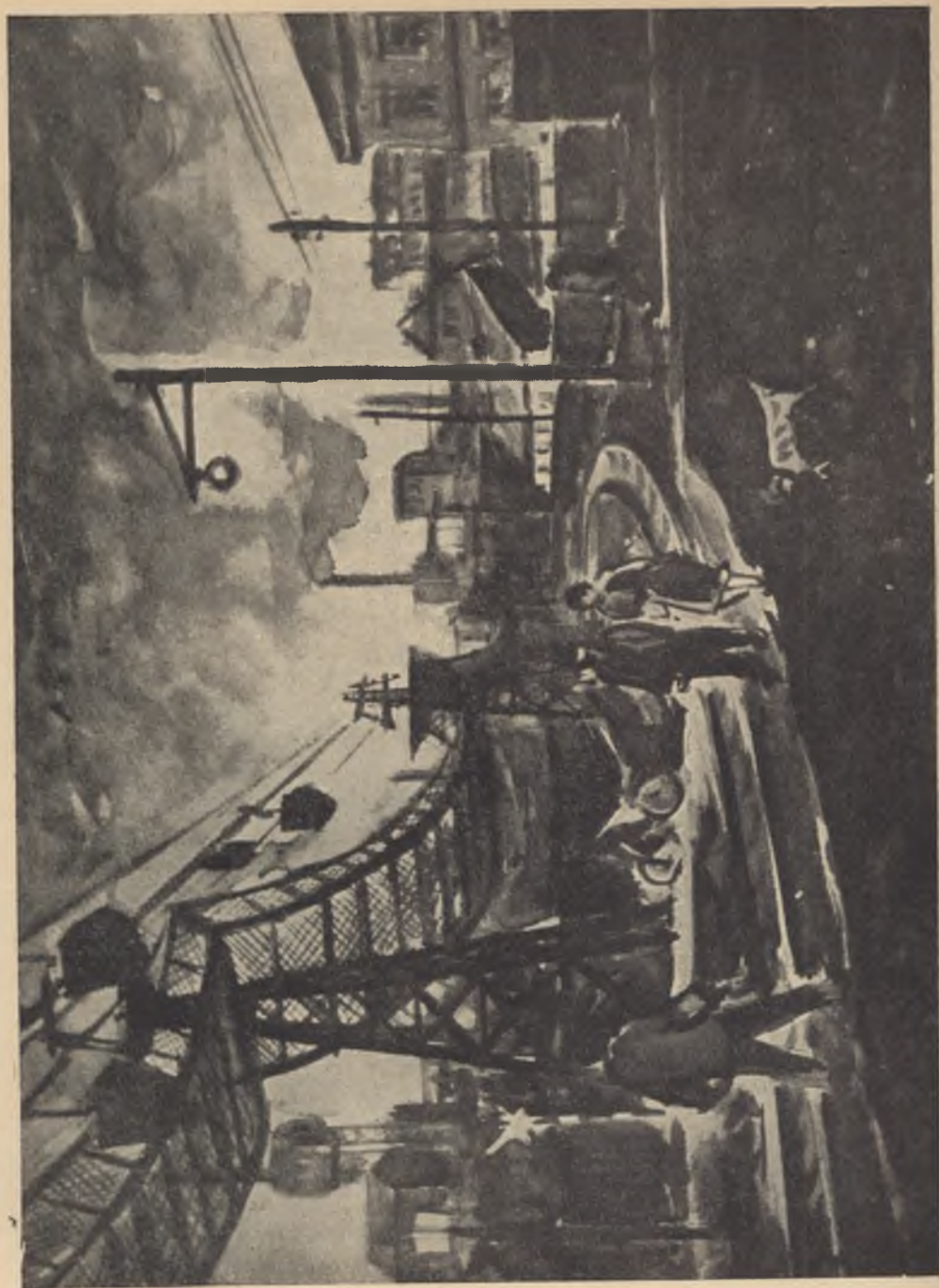
W niedzielę, 16 lipca 1911 roku nastąpiło uroczyste otwarcie ogrodu przy Domie Robotniczym i równocześnie odsłonięcie sztandaru z olbrzymim udziałem robotników trzynieckich jak i licznych gości.

Stowarzyszenie Domu Robotniczego po wybudowaniu Domu Robotniczego znacznie się rozrosło i umocniło, zarówno pod względem finansowym jak też ideowym i liczebnym. W okresie swego istnienia przechodziło różne okresy zaburzeń i wichur dziejowych.

Dokładnie po 50-ciu latach doczekał się trzyniecki Dom Robotniczy generalnego remontu, by służyć dalej, już w warunkach zwycięstwa socjalizmu hutnikom trzynieckim.



Pieniny — uroczy zakątek na polsko-czechosłowackim pograniczu



F. Duša: Ostrawski pejzaž

„Zabawy narodowe“

na Śląsku Cieszyńskim

w latach 1867—1871

Śląsk Cieszyński, podobnie jak i inne kraje, stał się w wieku XIX widownią ożywionych ruchów społecznych i narodowych. Początek tym ruchom dała „wiosna ludów” pamiętnego roku 1848, a choć bezpośrednio po niej reakcyjne siły starały się stłumić „powiew wolności”, myśl raz rzucona przyjęła się i historii nie dało się już odwrócić. Hasła wolnościowe, szerzone wszędzie przez postępowe żywioły społeczne, przyjęły się również w naszym kraju i odtąd już przez długie lata trwać będzie i u nas uporczywa walka o prawa dla uciśnionych.

Ucisk i niesprawiedliwość, dwa nieodłączne znamiona panującego w tych czasach ustroju, mimo zniesienia pańszczyzny i ogłoszenia praw konstytucyjnych w roku 1848 znaczyły się we wszystkich prawie dziedzinach życia społecznego. Do ucisku ekonomicznego, zrozumiałego w warunkach rozwijającego się

szybko kapitalizmu, dołączył się ucisk narodowy, zmierzający do wynarodowienia zamieszkujących monarchię austriacką Słowian. Na Śląsku walka z niesprawiedliwością społeczną i uciskiem obejmuje z biegiem czasu kilka frontów, ale wcześniej i najgoręcej rozwinie się w bojach o zagrożone prawa narodowe, o język w szkołach i urzędach. O prawa językowe walczą tu Polacy i Czesi, słusznie widząc w nich podstawę dla zagrożonego bytu narodowego.

Walki z uciskiem narodowym przybierały na Śląsku różne formy. Organizowano się w związki narodowe, szukano kontaktów z większymi ośrodkami myśli narodowej, nawoływano do oświaty w języku macierzystym, roztaczano propagandę około zachowania i poszanowania mowy ojczystej, wysyłano do władz i rządu deputacje i petycje w sprawach języka w szkołach i urzędach itd. Jedną z form tej walki stały się na Śląsku Cieszyńskim około roku 1870 tak zw. „zabawy narodowe”, będące swego rodzaju manifestacjami narodowymi, z których wyłoniły się w latach późniejszych *wiece*. Podczas gdy u nas patriotyczne te manifestacje kryły się jeszcze w tym czasie pod niewinną nazwą „zabaw narodowych”, w Czechach i na Morawach spotykamy się już z imponującymi wiecami ludności, zwoływanymi w ważnych sprawach narodowych i politycznych.

Wydany niedawno „Přehled československých dějin“ (maketa, díl II, svn. I, 1848—1900, Praha 1960, str. 378 i nast.) z uwagi na doniosłość i znaczenie tych wieców wyodrębnia je w osobny okres, nazwany okresem wieców (období táborů), obejmujący lata 1868—1871. Nie zapomniano też oczywiście w nim o skrom-

nych „zabawach narodowych“ na Śląsku, będących spóźnionym, regionalnym odpowiednikiem wieców w krajach czeskich. Wymieniono wiec w Sibicy pod Cieszynem w r. 1869, na którym licznie zebrani Polacy i Czesi wysłuchali przemówień rolnika Cieńciały z Mistrzowic i notariusza Kotuli z Cieszyna. Mówcy ci domagali się federalizacji Austrii, popierali polityczne dążności Czech i Moraw i protestowali przeciwko postępującej germanizacji kraju. Drugi wiec śląski w tym roku odbył się w Chabiczowie na Ostrej Hürce. Zgromadził 10—15 tysięcy uczestników i miał bez porównania większe znaczenie, przyczyniając się do wzrostu świadomości narodowej i politycznej wśród Czechów a także Polaków na Śląsku.

Wiece śląskie nie zyskały takiego znaczenia jak manifestacje w Czechach i na Morawach, ale myśli o ich zwoływaniu nie zaniechano. W roku 1871 urządzono „zabawę narodową“ w Ropicy pod Cieszynem, a w przemówieniach, wygłoszonych na niej domagano się praw dla języka polskiego w szkołach szkół średnich z nauką języka polskiego i równouprawnienia językowego w urzędach. Żądania te dotyczyły głównie ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim, ale podkreślano takie same prawa ludności czeskiej w okolicach Frydku.

Zaciekawieni wzmiankami o wiecach na Śląsku Cieszyńskim w latach 1868—1871, szukamy obszerniejszych danych o nich w prasie ówczesnej. Jedynym dostępnym dla nas źródłem o ich organizacji i przebiegu są artykuły sprawozdawcze na ten temat, ogłoszone w „Gwiazdce Cieszyńskiej“, która jak się okazuje, była organizatorką tych manifestacji, nazywanych nie wiecami, lecz tylko „zabawami narodowymi“.

Pod taką niewinną nazwą kryły się tu bez porównania skromniejsze od wieców czeskich manifestacje narodowe, wyraźnie choć spóźnione echa walki, jakie toczył naród czeski o swoje prawa do jawnego życia narodowego.

Pierwsza „zabawa narodowa“ odbyła się w Górnej Suchej dnia 1 września 1867 r. Zorganizowała ją młodzież z gimnazjum cieszyńskiego, czująca po polsku, i ona też wystąpiła tam z przemówieniami w obronie praw narodowych. Jeden z referatów, o tzw. „wasserpolakach“, wygłosił tam Jerzy Badura, rozprawiając się z kłamliwymi i krzywdzącymi ludność polską na Śląsku poglądami niemieckimi.

W rok później, 6 września 1868 r., odbyła się „zabawa narodowa“ w Ropicy „na Woleństwie“. W czasie tej „trzeciej z kolei, a wtórej na tym miejscu zabawie narodowej“ wyróżniało się przemówienie Jerzego Cieńciały z Mistrzowic, uznane przez Niemców cieszyńskich za antypaństwowe i nawołujące jakoby do zdrady interesów monarchii. Cieńciała, nazwany później w sejmie śląskim „królem polskim“, daleki był od jakiegś zdrady. Oto parę myśli z jego przemówienia:

Na cóż się wszystkie te hałasy o wolności zdadzą, jak my jej nie czujemy? Na cóż wszystka ta wolność, gdy chłop polski u nas musi ciągle niemieckim zasadom hołdować, niemieckie protokoły podpisywać, niemieckie wezwania odbierać i w czysto niemieckich szkołach swoje polskie dzieci kształcić? Na cóż wszystka ta wolność dla nas się przyda, gdy jesteśmy na każdym kroku, za to, że jesteśmy Polakami, upośledzonymi? Na nic się nie przyda wszystka wolność, jak nie będzie na podstawie narodowej ugruntowana. Ta podstawa narodowa, to jest



Jerzy Cieńciała z Mistrzowic

zupełna wolność dla nas. Jest to postęp, przez który można oświecić między ludem, tak na polu materialnym, jak też osobliwie moralno-duchowym, osiągnąć. Musi to być zupełna wolność języka i kształcenia się w tym języku w szkołach, kościołach i urzędach... Mimo tego nie wynika jeszcze, żeby język niemiecki w naszych stosunkach całkiem porzucić; nie tylko po niemiecku, ale i po francusku, angielsku ćwiczyć się trzeba, gdyż tego wszystkiego w świecie potrzeba, skoro tylko środki na to pozwalają...

Już od pamiętnego roku 1848, w którym poddaństwo fizyczne upadło, dążyliśmy do tego, żeby i poddaństwo duchowo-narodowe upadło, tj. żeby pomiędzy narodami, z których się Austria składa, nie było żadnego panującego narodu, lecz żeby były wszystkie na równi postawione i żeby im dane były środki do rozwinięcia bytu swojego i swojej literatury. Poddaństwo duchowo-narodowe, w którym nas nasi prze-

ciwnicy trzymać usiłują, jest daleko cięższe od poddaństwa fizycznego a to dlatego, że ducha naszego niewolnikiem innych uczynić zamyślają.

W tym kierunku pracując, do roku 1866 dało się cokolwiek pomimo centralistycznych rządów osiągnąć. Od wymienionego roku poczyną się nowa era dla narodów austriackich. Po nieszczęśliwej bitwie na polach Sadawy i Königgrätzu, gdzie tylu synów naszych słowiańskiego pochodzenia poległo za niemiecką sprawę, została Austria ze związku niemieckiego wykluczona. Za to kraje dostały nową wolniejszą konstytucję, która znów pomimo swych wad, że daje przewagę Niemcom, chociaż ich o 4 miliony jest mniej jak nas Słowian, porodziła nam art. 19, który uznaje „równouprawnienie wszystkich języków w szkole i urzędzie.“

A to jest, czego dotąd tak gorąco pragnęliśmy, to jest co narody austriackie na drodze legalnej osiągnęły. Teraz dopiero są prawem nasze żądania. Mamy prawo żądać szkół naszych... Mamy nareszcie prawo żądać od naszych urzędów, że nie tylko winny przyjmować podania w języku polskim, lecz obowiązane są, żeby do nas w naszym ojczystym języku pisały i protokoły w nim prowadziły... Zarzucić mi może niejeden: czemuż tak nie jest w rzeczywistości! Na to odpowiadam, że jesteśmy temu sami winni, i to jest jedynie naszą winą, że się tego usilnie nie domagamy, bo jesteśmy przyzwyczajeni nieść, jak woły jarzmo na nie włożone.“

Przemówienie Cieńciały wykazywało, że stosunki narodowe na Śląsku, mimo artykułu 19 ustawy zasadniczej z r. 1867, w niczym się nie zmieniły; główny nacisk mówca położył na to, że — według słów

namiestka krajowego — o wykonanie tej ustawy „sami przede wszystkim starać się powinniśmy, a jeżeli nie chcemy, by i nadal martwą tylko literą została“.

Pierwsza na większą miarę „zabawa narodowa“ odbyła się 22 sierpnia 1869 r. w Sibicy w gospodzie Andrzeja Tomanka. Na program jej złożyły się przemówienia a) wyjaśniające potrzebę oświaty ludowej, b) o stosunku Ślązaków do współrodaków Polaków i innych Słowian, c) o potrzebach ludu śląskiego względem jego narodowości i d) czysto zabawowa część złożona z deklamacji, śpiewów i tańców.

Przebieg zabawy — według ówczesnych opisów — przeszedł wszelkie oczekiwania. Pierwszy raz po wielowiekowym rozłączeniu przybyli na ziemię śląską serdecznie witani reprezentanci prawie wszystkich dzielnic Polski, składając tym jawnie dowód poczucia braterskiego; zjechali także liczni bratni Morawianie, jako reprezentanci dzielnego narodu czeskiego, z którym wspólnie przez kilka wieków znosiliśmy i dotąd znosimy różne losy; a z wszystkich okolic księstwa Cieszyńskiego, zebrała się mimo nieprzyjemnej pogody wielka ilość ludu, tak iż zgromadzenie miało przedstawicieli Śląska, Galicji, Poznńskiego, Prus Zachodnich, Kongresówki, jako też i pobratymczych Czechów. Między gośćmi były wszystkie stany, od włościanina i wyrobnika do arystokracji reprezentowane; byli wieśniacy, mieszczanie, profesorowie, adwokaci, księża, nauczyciele, artyści, kupcy, przemysłowcy itd.

Już w sobotę wieczór i następnie w niedzielę rano wystrzały młodzieżowe w Sibicy oznajmiały dzień uroczysty, a mimo deszczu przygotowania na miejscu zabawy

rażno postępowały. O wpół do pierwszej przybył osobny pociąg z z gośćmi z Krakowa i innych okolic Galicji w ilości 150 osób. Około godziny drugiej przybyli znów liczni goście z Morawy, a mianowicie śpiewacy ze sztandarem swoim z Mistka i Ostrawy, których deputacja powitała i na miejsce zabawy odprowadziła. Zgromadzenie ożywiło się, gdy Morawianie z przyjemnym śpiewem chórowym weszli do ogrodu, a niosącego rozwinięty sztandar trzymali pod ręce włościanie galicyjscy, co sprawiło ogólne zachwycenie i rozrzewnienie.“

Gdy wreszcie po godz. 4-ej rozpoczęto program, a Jerzy Cieńciała, prezes komitetu, odczytał zezwolenie starostwa na odbycie zabawy, liczba zgromadzonych dochodziła półtora tysiąca. Między innymi obecni byli: ks. Jerzy Czartoryski, właściciel dóbr w Toszonowicach, poseł do rady państwa dr Zyblikiewicz, poseł sejmowy Trzeciecki, prof. uniw. Suchecki, dyrektor muzeum techniczno-przemysłowego dr Baraniecki, dr Gumpłowicz, ks. Tupy, pp. Bylicki, prezes komitetu Sybiraków, Eminowicz, naczelnik ochotniczej straży ogniowej, Armulowicz, obywatel Krakowa, T. Gajdzicz, Welczowski, fotograf Rzewulski, kilku redaktorów „Kraju“ i redaktor pisma humorystycznego „Diabeł“. Osobliwą radość sprawili dość liczni włościanie galicyjscy. Z Morawy przybyli członkowie Bessedy misteckiej, towarzystwa śpiewaków w Ostrawie i Mistku i inni. Przed rozpoczęciem przemówień chór śpiewaków morawskich odśpiewał pieśń.

Jako pierwszy przemawiał notariusz cieszyński Andrzej Kotuła. Powitawszy zgromadzenie, głównie przybyłych gości, w dłuższym przemówieniu wykazywał potrzebę o-



Cieszyński rynek w dniach 1150-lecia miasta

światy ludowej, wzywając do szerzenia jej jako dźwigni samodzielności narodowej. Po nim przemawiał Wiktor Bylicki z Krakowa, wypowiadając w krótkich ale serdecznych słowach pozdrowienia od Krakowian. Następnie przemawiali: akademik Hilary Filasiewicz o stosunkach polsko-czeskich, Stonawski z Lesznej, Kajzar z Mistrzowic oraz Jerzy Cieńciała, który w dłuższej mowie raz jeszcze podniósł potrzeby narodowe ludności śląskiej i we wzniosłych słowach wyraził życzenie zbliżenia się Polaków i Czechów na ziemi śląskiej. Jako ostatni przemówił w oficjalnej części poseł dr Zybklikiewicz. W gorących i do serca przypadających słowach dodawał otuchy do dalszej pracy narodowej, przypominając, że Ślązacy w usiło-

waniach swych nie stoją odosobnieni, że popiera ich cały naród, którego oni częstkę stanowią.

Odczytano też listy i telegramy, które przez dzień cały aż do późnej nocy nadchodziły. Gwiazdka przytacza teksty depeesz z życzeniami z Frensztatu, Rożnowa, Przerowa, Frydku i Ostrawy. Szczególnym entuzjazmem powitano listy od Wincentego Pola i Franciszka Smolki. Do głosu zgłaszali się jeszcze goście, m. in. pisarz ludowy Maciej Szarek, F. Trzeciecki i A. Szczepański. Znany pisarz Wł. L. Anczyc odczytał adres miasta Krakowa, wyśtosowany do Pawła Stalmacha w dowód uznania jego długoletniej, wytrwałej pracy i zasług, położonych około oświaty i rozbudzenia życia narodowego na Śląsku.

Wieczorem zagrała muzyka i wśród tańców, śpiewów i deklamacji bawiono się do późnych godzin nocnych. Nadobne krakowianki, pannie śląskie obok kobiet w strojach ludowych, Morawianie w strojach ludowych, wieśniacy z Galicji obok chłopów śląskich, wszystko to składało się na obraz pełen uroku i malowniczości. Nic nie zdołało zakłócić porządku, a mimo to w gazetach wiedeńskich pisano później, że „wojsko w Cieszynie było konsygnowane”. W podziękowaniu, jakie komitet organizacyjny ogłosił w „Gwiazdce Cieszyńskiej” czytamy m. in.: „Dzięki wam wszystkim... serca nasze od pamiętnego dnia sibickiego silniej biją, bo czujemy, że sieroctwo nasze skończyło się, że walcząc na kresach, jesteśmy przednią strażą wielkiej sprawy wolności narodowej... Przyciskamy was w duchu do piersi naszych i wołamy: Bracia, do zobaczenia!”

Do nowego spotkania doszło na „zabawie narodowej” zwołanej do Ropicy pod Cieszynem na dzień 30 lipca 1871 r. „Zabawa” ta napotkała na wielkie przeszkody ze strony władz administracyjnych. Uczestnicy manifestacji ropickiej mieli się spotkać w Cieszynie, skąd po uroczystym powitaniu „z muzyką i chorągwiami”, i przyjęciu, udać się miano w towarzystwie przybyłych do miasta wiejskich banderii konnych na miejsce zgromadzenia do Ropicy. Starostwo udzieliło zezwolenia na taką uroczystość, jednak wydział gminny miasta Cieszyna, głównie za staraniem dra Demla, zabronił zebrań w mieście i uroczystych pochodów. Starostwo uznało, że przybywającym na zgromadzenie gościom z dalszych okolic i ludności okolicznej nie można zabronić wejścia do miasta i wyjścia z niego, odbyć się to jednak musiało wobec

sprzeciwu miasta w sposób cichy i skromny.

W cichości więc postępował zgromadzony lud przez rynek do ulicy Głębokiej. Dopiero po wyjściu z miasta zagrała muzyka. Na Saskiej Kępie, gdzie dawniej były trzy rogatki, czekały banderie, i tu dopiero rozwinął się pochód. Na przedzie szła „muzyka”, a za nią banderie, potem jabłonkowanie ze swoją chorągwią, dalej śpiewacy misteccy z chorągwią i drugą „muzyką”, następnie morawcy, krakowiaci i galicyjscy goście; za nimi chorągiew Ślązaków i orkiestra, kółko śpiewaków cieszyńskich i wreszcie lud śląski.

Koło godz. 4 pochód zdążył na miejsce, gdzie już mnóstwo ludu czekało. W „zabawie” ropickiej wzięło udział ogółem około 10 tysięcy uczestników. Zagaił ją znany nam już Jerzy Cieñciała z Mistrzowic, witając wszystkich bardzo uroczyście. „Witajcie reprezentanci naszego narodu, bracia z krwi i kości. Przybyliście na nasze zaproszenie, by czynny wziąć udział w sprawie braci swych rodnych, by światu i wrogom naszym pokazać, że to nie jesteśmy odosobnieni. Witajcie i wy, dzielni sąsiedzi, wierni bojownicy praw historycznych korony św. Wacława, z którymi nas los politycznie przed pięciuset laty złączył. Na zdar! wołamy wam! Na zdar wspólnej naszej sprawie politycznej! I wy przybyliście, patriotycznym zapalem kierowani, żeby wspólnie w rodzinnym gronie nad sprawami nas dręczącymi pomówić, wspólnie się pobawić i wspólnie się rozpoznać, wzajemnie pokochać, lepszym pocieszając się jutrem.”

Wszystkie przemówienia, wygłoszone na „zabawie” ropickiej ogłoszone zostały drukiem w „Gwiazdce Cieszyńskiej” (1871, nr 29, 31 do



„Národní Divadlo“ ośrodek z którego promieniowało czeskie odrodzenie narodowe

34). Przemawiali kolejno ks. Dominik Oreł z Górnej Suchej, Jan Glajcar z Sibicy, Jan Kajzar z Mistrzowic, Jerzy Cieñciała z Mistrzowic, Józef Górnioszek, kowal z W. Kończyc, Adam Poloczek z Jabłonkowa, Jan Stonawski z D. Lesznej, Antoni Paduch z Jabłonkowa. Telegramy i pisma z życzeniami nadesłało wiele towarzystw polskich z Wiednia, Krakowa, Lwowa, Tarnowa i innych miejscowości. Nie brakło też depesz z życzeniami z Opawy, Mistka, Ostrawy, Prościejowa i Klimkowic.

W uchwalonych na „zabawie“ rezolucjach m in. czytamy: „Zgromadzenie żąda: a) aby pierwsza nauka w szkołach ludowych odbywała się w języku macierzyńskim, bez przymusu uczenia się języka niemieckiego, który dopiero w wyższych klasach tychże szkół wykładanym być może; w szkołach zaś wyższych ma być język polski w tej mierze pielęgnowany jak niemiecki, b) aby

urzędnicy w Księstwie Cieszyńskim zobowiązani byli władać językiem polskim jak niemieckim i aby wszelkie akta pisemne z urzędów wydawane były stronom polskim w języku polskim; c) co się w ogóle żąda na korzyść języka polskiego w Księstwie Cieszyńskim, ma być przyznane także dla języka czeskiego ludności nad granicą morawską, mianowicie w okolicy Frydku. — Zgromadzenie ludowe protestuje przeciwko temu, żeby niemieckie opawskie towarzystwo rolnicze miało rościć sobie prawo nad polską częścią Śląska i rozporządzać środkami, które dla niej skarb państwa wyznacza w celu podniesienia rolnictwa i wspierania szkół rolniczych. Środki te niech będą powierzone tutejszemu towarzystwu, składającemu się z tutejszych mieszkańców. — Zgromadzenie wyraża życzenie, aby się utworzyło „narodowe towarzystwo polityczne“, które-



W Cieszynie była siedziba „Gwiazdki Cieszyńskiej”

by wskazywało ludowi, jak się ma zachować wobec politycznych pytań przy wyborach — i zgromadzenie poleca komitetowi, który to zgromadzenie urządził, aby się zajął utworzeniem takiego politycznego towarzystwa.“

„Zabawy narodowe“ na Śląsku Cieszyńskim na przełomie lat 60-tych i 70-tych nie odegrały tej roli, co manifestacyjne wiece w krajach czeskich, będące niewątpliwie wzorem dla tej formy życia narodowego u nas. Jako skromne, spóźnione i odosobnione akcje lokalne, nie zyskały tego znaczenia, o jakim mówią dzieje ruchu społeczno-narodowego w Czechach, nie tworzą też jakiegoś odrębnego okresu w dziejach Śląska, ale znaczenie swoje w rozwoju życia narodowego posiadają. Przyczyniły się te „zabawy narodowe“ do wzrostu świadomości społecznej i narodowej, umożliwiły Ślązakom zetknięcie się z sąsiadami zza Białki i Ostrawicy i rozszerzyły pogląd na potrzeby życia narodowego, na zna-

czenie języka narodowego i jego prawa, zagwarantowane konstytucją. Skromne mimo wszystko żądania, jakie wypowiedziane zostały w Sibicy czy Ropicy, nie doczekały się realizacji ze strony rządu, który urzeczywistniał tylko swoje plany germanizacyjne, stale, a szczególnie po r. 1870, nasilenie ich zwiększając.

„Zabawy“ świadczą o tym, że Ślązacy mieli pewne zaufanie do władz, skoro pod ich adresem kierowali swoje słuszne żądania. Nasilenie germanizacyjne po r. 1870 rozwiązało te złudzenia i przyczyniło się do tego, że w ramach życia konstytucyjnego ludność słowiańska na Śląsku zaczyna wierzyć tylko swoim własnym siłom i ofiarności na cele narodowo-społeczne. Wśród Polaków śląskich wyraził się to powołaniem do życia narodowych towarzystw gospodarczych, kulturalnych i oświatowych. T-wo Rolnicze, T-wo Oszczędności i Zaliczek, T-wo Naukowej Pomocy, T-wo Domu Naro-

dowego, Dziedzictwo, T-wo Ewang. Oświaty Ludowej — oto nowe formy samoobrony narodowej. Dojdzie do tego, że towarzystwa te, najpierw czeskie, a za nimi polskie, wezmą na siebie ciężar zakładania i utrzymywania szkół narodowych, dzięki czemu życie narodowe i spo-

łeczne wejdzie na nowe tory. Ze szkół założonych w ten sposób wyjdzie z czasem rodzima inteligencja śląska, polska i czeska, która dzieło odrodzenia narodowego na Śląsku doprowadzi do celu, przyświecającego zapomnianym już dzisiaj „zabawom narodowym“.

JÓZEF KRZYWON

Wiosna i jesień

Wschodzący księżyc twoich warg
Gwiazdy żrenic dźwigają,
W łonie jesiennych szarug
Pachną jaśminy majów.
Nad geometrię mgły
Zakwitną kształty zbóż,
W bukiet rosistych róż
Przemienią moje łązy.
Ponad skrzywiony półcień
Wybiegnie czerwień maków,
Na uśmiechu trójkacie
Usiądą rzesze ptaków.



WIELKIE WYDARZENIE

OLDRICH ŠULER

Wiadomość nadeszła tak jakoś nieoczekiwanie: w pewnej chwili, po prostu, zatrzymały się maszyny w hali i z maszynowni przybiegł Matalik z nowością, że wojna się skończyła.

— Zdechła, bestia, wreszcie wyzionęła ducha — śmiał się do rozpuku Franta-Apacz i z radości złamał na kolanie jakąś deskę.

— Mam was gdzieś, panowie Austriacy, teraz urządzimy sobie własne państwo według naszej woli — dodał, zrywając chustkę z głowy i rzucając nią gdzieś poza siebie. To rzekłszy skierował swe kroki w stronę bramy.

Zaraz dołączył się do niego Kuba a następnie i Placzek z Janiczkiem. Rad był temu, że akurat w tym tygodniu pracował na pierwszej, dziennej zmianie. W ostatnim czasie bowiem trzeba było robić i w nocy, ponieważ odczuwano ostry brak rąk do pracy — a źle odżywiany chłopak słaby był jak mucha. Staruszek Szkrabaneczek nie godził się już na jego wyjazd do Zlina, lecz Janiczek dowiedział się w tartaku, że lada dzień „coś się stanie” i dlatego osobiście chciał uczestniczyć w tym „coś”, chociaż, prawdę mówiąc, nie potrafił sobie wyobrazić co to będzie.

Przed bramą stali już prawie wszyscy pracownicy zatrudnieni w tartaku. Jakiś czetnik żandarmerii polowej, jedyny z tych, którzy pilnować mieli bramy, siedział na ławeczce, bez karabinu i bez orzelka, którego mu ktoś z czapki zerwał, pojednawczo i przyglupawo się uśmiechając. Ludzie nie dokuczali mu, tylko śmiali się, wiedząc o tym, że dzień dzisiejszy jest zbyt uroczysty, żeby przekomarzać się z bylejakim strażnikiem.

W grupach wyruszyli z zakładu, formując się przed bramą w pochód. Był to przedziwny pochód ludzi wynędzniałych, niedożywionych, lecz wesołych, ludzi, którzy jeszcze przed chwilą obsługiwali swe maszyny.

Szli do miasta w dziarskim, wesołym nastroju. Skandowali patriotyczne hasła.

— Niech żyje wolność! Śmierć cesarstwu! — krzyczał pan Toufarek z kancelarii. Ludzie go nie lubili, nie wiedzieli właściwie kim jest, czyjego słucha głos, lecz nie mieli serca przepędzić go z pochodu.

— Mamy własne państwo, mamy swoją republikę! — ośmielił się zauważyć i Kuba. Pan Toufarek zaś szybko dodał:

— Trzysta lat dręczono nas w niewoli. Niech żyje wolność! Nazdar!

Kiedy pochód zbliżył się do rynku było tam już pełno ludzi; na stopniu stał jakiś jegomość i przemawiał:

— Utworzymy sobie demokratyczną republikę, skupiając wszystkich uczciwych patriotów, Czechów i Słowaków, robotników i przedsiębiorców kupców i urzędników, właścicieli dóbr i rolników, działających we wspólnocie i solidarności, ręka w rękę, jak prawdziwi sojusznicy i bracia, po przyjacielsku i z poszanowaniem!

Mówcą był fabrykant Baťa.

Pan Toufarek dał się w dalszym ciągu „Nazdar!”

Baťa kontynuował swe przemówienie. Mówił o tym, że dopiero teraz rozwijać się będzie nasz przemysł, pracujący dla całego narodu. Morawski Słowak z krwi i kości — on Baťa — lubił pracować, więc lubił i tak przemawiać.

— Nasi ludzie — to lud pracowity, wataśkich słowaków życie nie głaskało; prawdą jest, że było trudne i wyczer-

pujące. Ale nie ugniemy się. Ani przed Austriakami, ani przed ciężarem życia! Zbudujemy sobie wielki zakład. Tym razem nie będzie to już jeden ubogi budynek z nędznym kominkiem. Postawimy pięć, dziesięć, pięćdziesiąt fabryk obuwia! Cały świat będzie chodził w naszych butach! Co sobie raz Wałasi i Słowacy postanowią, nawet diabeł nie złamie. Tacy już jesteśmy, że wszystko potrafimy przeprowadzić!

Długo jeszcze przemawiał a ludzie jak pijani darli się i klaskali. Po wiecu długo jeszcze śpiewali i spacerowali bez celu po Zlinie.

Janiczкови strasznie się to podobało. Z przyjemnością przypatrywał się, jak jacyś dwaj faceci stali na gzymsie ogromnego budynku i zrzucali wielkiego dwugłowego orła, herb austriacko-węgierskiej mocarstwowości, jak ludzie tańczyli na rynku i śpiewali. Mowa pana Ba'ty także mu się bardzo podobała.

Tylko Franta-Apacz psuł mu radość z tego przepięknego październikowego dnia. Jak początkowo był wesół i rozpromieniony, tak teraz nagle ostrygł i stale tylko mruczał. Wcale nie podobało mu się przemówienie Ba'ty, mówił, iż pan fabrykant dobrze sobie to wymyślił; wie, że ludzie z tartaku cenić sobie będą pracę i zarobek i dlatego już dzisiaj na to liczy. Doszło nawet do jakiejś sprzeczki między Apaczem a pewnym panem, który miał wpiętą w klapę marynarki trójkolorową czerwono-niebiesko-białą wstążkę. Całe szczęście, że ów pan wykazał wiele wyrozumienia i raczej odszedł.

— Oj, jeśli nie będziemy pilnować tej naszej swobody, znowu będzie po staremu — wydychał nieszczęśliwie Franta Apacz.

Ale ludzie wyśmiali go a najbardziej kpił z niego pan Toufarek. Także Janiczek zanosił się śmiechem.

— Nie wygłupiaj się, smaruj do domu, a szybko, do Wartowni daleko, żeby się twój starzy o ciebie nie obawiali — krzyczał na niego zachmurzony Franta Apacz.

Chcąc nie chcąc Janiczek musiał usłuchać. I zrobił dobrze. Przecież i tak nim doszedł do Szkrabenczków, gwiazdy świeciły mu już na drodze.

Wydawało się, że malkontent Franta-Apacz stawiał zbyt czarne horoskopy.

W Zlinie zaczął się ruch budowlany. Rosły obiekty fabryczne. Ba'ta budował coraz nowe hale fabryczne, chytrze i rozmyślnie planując wzniesienie olbrzymich zakładów obuwia.

Coraz więcej narodu garnęło się z gór, które nie były w stanie wyżywić tyle ludzi. Zgłaszali się do pracy w Zlinie. Ba'ta witał ich z uśmiechem:

— Wszystkich was zatrudnię, wszystkim dam chleb.

Niektórzy kręcili nieufnie głowami:

— To musiałyby być olbrzymi bochen!

A Ba'ta stał przed nimi wielki i mocny, w rozpiętej koszuli wbrew dokuczliwemu chładowi, patrzył w niebo i uśmiechał się zarozumiale.

— Stokrotnie, tysiąckrotnie więcej nakarmię!

Nawiązał kontakty ze światem. Wyjeżdżał za granicę i przekonywał, udowadniał i zawierał coraz to nowe kontrakty dla swego rodzącego się zakładu-mamuta.

Mistrz Hejcz natrząsał się z Apacza:

— No więc, co powiesz, rozkręciliśmy się, czy nie?



Franta Apacz nie klócił się już, unikał raczej takich rozmów.

Ale mistrz Hejcz pokpiwał sobie z niego:

— Czemu się chmurzysz, Franciszku? Myślałeś może, że po przewrocie nie będziesz musiał już pracować, czy co?

— Pracy się nie boję — dał się Franta jednak sprowokować do odpowiedzi.

— Więc dlaczego tak uwziąłeś się na Ba'tę? Dlaczego go nie znosisz? Takich ludzi jak Ba'ta republika potrzebuje — z szerokim spojrzeniem, przedsiębiorczych, z inicjatywą, światowych! A widzisz — realizuje co obiecał.

— Zrealizuje wam tak, jak Janicz-kowi zrealizował!

Janiczka mierziło, iż Franta Apacz wyraża się w ten sposób, że nie lubi Ba'tę, w którym widział wielkiego człowieka i filantropa. A to, że o nim zapomniał? Prawda to, że zapomniał. Ale kto na jego miejscu przypominałby sobie o jakimś tam Janku spod Wartowni, mając pełną głowę innych, większych zmartwień? Z tym Janiczek już dawno się pogodził.

Pewnego dnia obiegła tartak wieść, iż Ba'ta miał wypadek i o mały włos nie zabił się. Wczesnym rankiem wyjechał samochodem do Wiednia za jakimiś handlowymi sprawami. Była gęsta mgła i Ba'ta, który folgował sobie za nadto za kierownicą, najechał na jakąś chłopską furmankę. Dyszel wozu przebił szybę i skaleczył go w głowę.

Ba'ta leczył się w Zlinie. Opiekował się nim jego fabryczny lekarz dr. Grebeniczek. Był to jędrny, impulsywny jegomość z morawskiego Słowacka. Przypadł Ba'ti bardzo do gustu. Dzięki temu dr. Grebeniczek nie był tylko osobistym lekarzem fabrykanta, ale zarazem jego doradcą i przyjacielem. Ba'ta zasięgał jego rady w sprawach handlowych i właśnie on, Grebeniczek, który znał wszystkich ludzi wkoło, polecał mu kogo należy przyjąć i jakie powierzyć mu stanowisko. Czasami wywierał na Ba'tę większy wpływ, niż sam fabrykant myślał.

Mijały dni, splotały się w tygodnie a o Ba'ti ani słychu, ani dychu. Mówiono tylko, iż wyrwał się śmierci z pa-



zurów, czuje się już lepiej i nie długo znowu zasiądzie za szefowskim biurkiem.

— Chwała Bogu — westchnął z ulgą pokorny człeczyna Placzek. Szkoda by go było — jest to człowiek sprawiedliwy!

Kuba zesnurował wargi.

— Ja również chciałbym być takim sprawiedliwym jak on, tylko musiałoby mi na to starczyć.

Mówiąc te słowa, uderzył się kilka razy w tylną kieszeń spodni.

— Właśnie, on jest sprawiedliwy tylko dla własnej kieszeni — wtrącił Franta Apacz.

Jakimś trafem świadkiem rozmowy był i mistrz Hejcz.

— Czego znowu gderacie i ubliżacie dobremu człowiekowi — powiedział srodo tym razem zagniewany (być może dlatego, iż wyrażali się brzydko o kimś, którego życie jeszcze niedawno wisiało na włosku).

— Może nie jest sprawiedliwy, co? Popatrzcie tylko co zrobił z Husarka!

Sprawa Husarka była wszystkim znana. Husarek był wychudłym młodzianem o odstających uszach, podobnie jak wielu innych w jego wieku i gdyby został na wsi mógł równie dobrze wyuczyć się szewstwa czy krawiectwa. Lecz poszedł do pracy do Baťy. Zatrudniono go w charakterze gońca biurowego. Pewnego razu zachorował i nie przyszedł do pracy. Powstała z tego powodu większa awantura, niż zasługiwała na to wąła sylwetka zwyczajnego posłańca. A wszystko poszło o to, że nie doręczył jakiegoś ważnego spisu. Trzeba było włamać się do jego biurka. Sam Baťa przypatrywał się temu, do głębi poruszony gniewem. Kiedy udało się otworzyć szufladę i odnaleziono potrzebne spisy, wszyscy zauważyli, w jakim porządku Husarek utrzymuje swoje rzeczy. Ów nienaganny porządek rzucał się od razu w oczy i stwarzał przejrzysty obraz nawet dla człowieka nieobeznajomionego w tych sprawach. Baťowi bardzo się to spodobało. Awansował więc Husarka, przenosząc go do wydziału organizacyjnego. Lecz i tam ów niepozor-

ny człowieczyna dał się poznać jako wyjątkowo dobry pracownik i wprost w zawrotnym tempie awansował na kierownika.

— Każdy, kto ma zdolności może liczyć na Baťę. A wy suchej nitki na nim nie zostawiliście!

— Wszak on dobrze wie, jaki ma z tego profit — wyśmiewał się Kuba i palcami pokazywał, jak zgarnia się pieniądze, całe kupy pieniędzy!

— A nawiasem mówiąc z tego Husarka zrobił się dobry pies — zakończył Franta Apacz. — Goni ludzi do pracy jak pański pacholek.

Do takich kłótni dochodziło często. Powstawały zazwyczaj wtedy, kiedy mistrz Hejcz przychodził na tartak. Całe szczęście zresztą, że to był Hejcz, inny mistrz dawno by już wyrzucił na zbity pysk Apacza i Kubę.

Sporom tym przysłuchiwał się często Janiczek i martwił się tym.

(Fragment powieści pt. „O Janičkovi Malerečkovi”, przełożył Władysław Czaja.)



Panorama Ostrawy

wieś cieszyńska KARCZMA

J. CHŁEBOWCZYK

Szeroki był wachlarz różnorodnych metod i sposobów, przy których pomocy feudalna zwierchność wyzyskiwała poddaną ludność. Panujący u schyłku feudalizmu, w XVIII i w I połowie XIX w. na wsi cieszyńskiej ucisk społeczny uderzał nie tylko w chłopą jako wiejskiego producenta, lecz dawał się również dotkliwie we znaki mieszkańcom wsi i miast w ich charakterze konsumentów. Dwór nie ograniczał się bowiem jedynie do zabierania poddanym większości owoców ich pracy, obojętnie czy to w naturze, czy też w postaci pieniężnej, oraz do egzekwowania pańszczyzny, lecz zmuszał również chłopą do kupna określonych ilości płodów rolnych i innych artykułów wiejskiego gospodarstwa zwierchności. Wśród tych ostatnich nader ważną rolę odgrywały produkowane przez browary i gorzelnie napoje wysokokowe.

Mamy tu do czynienia z charakterystycznym dla ubiegłych stuleci zjawiskiem przywłaszczania sobie przez panów feudalnych tak zwanego prawa propinacji — to znaczy wyłączności produkcji i sprzedaży wszelkich napojów alkoholowych. Płynące z tego tytułu dochody należały do najpoważniejszych źródeł wpływów pieniężnych dworu. Wystarczy przytoczyć, że na przełomie XVII—XVIII wieku prawo propinacji

dostarczało w dobrach Komory Cieszyńskiej ok. $\frac{1}{5}$ łącznej sumy pieniężnych przychodów tego największego majątku ziemskiego, obejmującego podówczas przeszło $\frac{1}{3}$ całego Śląska Cieszyńskiego. Uzyskane rocznie z produkcji i sprzedaży piwa oraz wódki kwoty równały się prawie dochodom płynącym z folwarków Komory. Gdzie indziej nie było inaczej. W państwie bogumińskim np. przemysł fermentacyjny zwierchności dostarcza w latach 70-ych XVIII wieku prawie że taki sam odsetek łącznej sumy wpływów pieniężnych.

II

Nic więc też dziwnego, że dyrekcja majątków kameralnych nie szczędzi starań idących w kierunku nie tylko utrzymania, lecz dalszego zwiększenia produkcji gorzelnianej i browarnianej oraz dalszej intensyfikacji jej zbytu. Zmierzając do podniesienia dochodowości dóbr zwraca swą szczególną uwagę właśnie w tę stronę. I tak w r. 1722 pojawia się specjalny patent, zaostreżający i rozszerzający obowiązujące do tej pory w tej materii piastowskie jeszcze przepisy z r. 1640, stojące na straży książęcego monopolu produkcji i obrotu wódką. Ciekawe są poszczególne punkty owego zarządzenia, świadczące wymow-

nie jak wielką wagę przypisywano wówczas prawu propinacji. Patent karze wszelką próbę przemytu i wyszynku obcej wódki w miastach Komory rujnującą najzamoźniejszego przemysłnika grzywną w wysokości 300 fl. (równowartość ok. 50 krów według ówczesnych cen). Każdy udowodniony zakup ze strony jakiegokolwiek osoby, dowolnej ilości obcej gorzałki a nawet jej nadmierna konsumpcja w miejscu do tego nieprzeznaczonym, pociąga odtąd za sobą kary więzienia oraz grzywnę 6 fl. Za przemyt zagraniczej okowitej z Rzeczypospolitej, Węgier i Moraw zarządzenie przewiduje prócz konfiskaty kontrabandy, podwójną grzywnę, tj. 600 fl. Patent idzie wreszcie tak daleko, że wprowadza dla wszystkich mieszkańców miast i przedmieść kameralnych zakaz udawania się pod karą grzywny 6 fl. i więzienia za miasto czy na odległość nieraz o kilkaset metrów, przedmieście z zamiarem picia wódki. Patent upoważnia wreszcie hajduków zamkowych do przeprowadzenia w podejrzanych domach rewizji oraz zobowiązuje ich do kontroli przy bramie miasta oraz na jego przedmieściach wszystkich przejeżdżających wozów i karet „bez względu na osobę podróżującego”.

Zarząd dóbr kameralnych nie poprzestaje rzecz jasna li tylko na wydaniu powyższych tak rygorystycznych norm prawnych. Z nie mniejszą energią zabiera się również do zwalczania wszelkich prób łamania wprowadzonych zarządzeń. Kontynuuje w tym względzie zresztą jedynie dotychczasową politykę zwierzchności z tym tylko, że czyni to w sposób znacznie bardziej bezwzględny i skuteczny. Realizacja postanowień powyższego patentu, mającego w myśl intencji jego autorów, doprowadzić do całkowitego zlikwidowania intensywnego przemytu obcej, ziemiańskiej wódki na teren posiadłości Komory, nie przedstawiała się jednakowoż bynajmniej prosto. Warto na przykład przypomnieć, że nielegalnym wyszynkiem wódki w samym Cieszynie trudnił się między innymi nie kto inny jak najwyższy dygnitarz państwowy w całym Księstwie, starosta ziemski hr. Wratisław. Z powodzeniem bronili się prze-

ciw zarządzeniu Komory okoliczni ziemianie. W październiku 1722 sąd ziemski anuluje passus sierpniowego patentu, domagający się od właścicieli sąsiadujących z Cieszynem dóbr Boguszowic, Kalembicy, Ligoty, Błogocic i Bobrku, przedłożenia uprawnień do korzystania z prawa propinacji. Również i inne próby kwestionowania przez Komorę prawa palenia i sprzedaży wódki w pobliskich, obcych folwarkach nie przynoszą wyników. Jeden z tego rodzaju sporów między dyrekturą Komory a właścicielem folwarku w Bobrku toczył się przez lat 20. Komora apelowała po kolei od niekorzystnych dla niej orzeczeń władz państwowych do coraz to wyższych instancji. Sprawa oparła się w końcu o kancelarię nadworną we Wiedniu; ta rozstrzygnęła ostatecznie spór na rzecz właściciela folwarku, przyznając mu prawo propinacji.

Administracja majątków książęcych nie szczędziła jednakże wysiłków zmierzających do zapewnienia sobie faktycznego monopolu propinacyjnego. W roku 1726 zwraca się ponownie o ukaranie mieszczan cieszyńskich, korzystających z obcych karczm podmiejskich Bobrku i Boguszowic. I tu spotyka się jednakże z oporem magistratu miasta, grożącego odwołaniem się do księcia. Sypią się kary na handlujących pokątnie wódką mieszczan. Celem materialnego zainteresowania urzędników w zwalczaniu przemytu i pokątnego handlu napojami alkoholowymi, wyraża właściciel Komory cesarz Franciszek w r. 1741 zgodę na przyznanie personelowi administracji majątków części nakładanych przez nich grzywien. Nie pozostaje to bez rezultatów. Gorliwość urzędników książęcych w ściganiu rzeczystw czy rzekomych przestępców idzie w poszczególnych wypadkach tak daleko, że cesarz widzi się zmuszony tu i tam do hamowania nadmiernego zapału gorliwych podwładnych. Paradoksalnie wprost zakazy picia wódki poza granicami dóbr kameralnych musiały być w praktyce mało skuteczne, skoro Komora raz po raz występuje z żądaniem zakazu wyszynku wódki w dwu karczmach na Bobrku koło Cieszyna.

III

Możliwości intensyfikacji zbytu wódki w samych tylko ośrodkach miejskich Księstwa były jednakże ograniczone na skutek nikłej liczebności mieszkańców, niskiego stopnia ich zamożności oraz ich sytuacji prawnej. Ten ostatni moment odnosił się przede wszystkim do mieszczan cieszyńskich. Stąd też punkt ciężkości zbytu napojów alkoholowych spoczywał na wsi, gdzie zwierzchność dysponowała nie tylko monopolem wódczanym, ale i piwnym. Poszczególne miasta, jak np. Cieszyn, posiadały bowiem przywileje warzenia piwa i handlu winem. W przeciwieństwie do miast, w których luźny stosunek zależności poddańczej ich ludności utrudniał zwierzchności stosowanie polityki maksymalnej intensyfikacji dochodów z tytułu prawa propinacji — na wsi sprawa była prosta. Stosowanie przymusu pozaekonomicznego nie natrafiało tu na żadne przeszkody natury publiczno-prawnej. Dwór korzystał na wsi z pełnej swobody działania, nie krępowały go tu żadne przepisy władzy państwowej. W tych okolicznościach monopol zbytu napojów alkoholowych przeradza się na wsi kameralnej w miarę przechodzenia w I połowie XVIII w. do nowych form gospodarowania, w przymus kupna określonych ilości wódki i piwa. W warunkach braku rozwiniętego rynku wewnętrznego na wsi cieszyńskiej w owym czasie była to zresztą jedyna efektywna możliwość zbytu produkcji gorzelnianej i browarniczej, przy pomocy której dwór zabierał chłopu resztki mizernych ilości gotówki, pozostajej po uiszczeniu podatków państwowych, dziesięciny na rzecz proboszcza oraz różnego rodzaju czynszów i opłat pieniężnych zwierzchności i jej oficjalistom. Z stosowaniem przymusu kupna artykułów dworskich spotykamy się podówczas na Śląsku Cieszyńskim, zresztą również i w odniesieniu do innych produktów gospodarki folwarcznej, jak np. ryb.

Obowiązek zakupu określonych kontyngentów wódki zostaje wprowadzony do spisów powinności kameralnych poddanych (tzw. urbarzy) po raz pierwszy w r. 1755, chociaż obowiązywał już na

ogół w praktyce przedtem. Wprowadzenie owego nowego ciężaru feudalnego do urbarza, będące niejako jego zalegalizowaniem, nadaniem mu mocy prawnej — było widowym przejawem nowych metod i kierunków gospodarczej polityki Komory, przy których pomocy dyrekcja cieszyńskich majątków książęcych zmierza w XVIII w. do podniesienia dotychczasowych dochodów z latyfundiów. Nie inaczej było w okolicznych dobrach ziemskich. Wprowadzony w tym czasie urbarz w polsko-ostrowskim dominium hr. Wilczka przewidywał dodatkowo określone kontyngenty piwa oraz wprowadzał przymus zakupu 1 beczki piwa oraz 10 kwart wódki na uroczystości weselne.

Nic więc dziwnego, że tego rodzaju praktyka zwierzchności spotyka się z oporem poddanych. Nie przynosi on jednakże — zrazu przynajmniej — większych wyników. W 1769 r. 29 kameralnych wsi cieszyńskich wnosi skargę do urzędującej w terenie komisji urbarialnej, rozpatrującej różne zażalenia ludności, przeciw zmuszaniu przez dwór do nabywania alkoholu. Skarżące się gminy wskazują między innymi na fakt, że chodzi często o wódkę zepsutą wzgl. uboczny produkt destylacji, którego nie zdołano wyszynkować w karczmach. Odpowiadając na interpelację komisji, kancelaria nadworna we Wiedniu ostatecznie zadecydowała, że nie można Komorze odbierać praw, przysługujących jej na mocy zwyczaju, chyba, że sama z nich zrezygnuje i poleciła jedynie zarządowi Komory poczynić starania, by wódka dostarczana wsiom była zdatna do konsumcji i nie droższa niż w karczmach.

IV

W taki to oto sposób jedna z pierwszych prób aktywizacji gospodarki wielkiej własności ziemskiej u schyłku feudalizmu prowadzi do rozpowszechnienia się wśród cieszyńskiego chłopstwa plagi

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Rzeźba Henryka Nitry: *Taniec Ondraszka* →

Foto: A. Pustka

alkoholizmu, podłamującej jego energię i siłę życiową. Stopniowo rozszerza się dobrowolna konsumpcja wódki tak dalece, że wydawane później przez władze państwowe zakazy zmuszania poddanych do nabywania napojów alkoholowych mijają się już całkowicie z celem. Konsekwencje tego systematycznie forsowanego przez dwór ze względów fiskalnych, z dziesięciolecia na dziesięciolecie wzmagającego się rozpijania odbić się miały fatalnie zarówno na tężyznie fizycznej szerokich mas ludności wiejskiej jak i na jej strukturze psychicznej. Przekazy źródłowe z późniejszych

okresów dostarczają sporo na ten temat wzmianek.

„Świadectwa wieku starodawnego wychwalaia lud polskiego ięzyka, okolicy Państwa Cieszyńskiego mieszkający względem nie iedney zdolności” czytamy w relacji pochodzącej z lat 40-ych ub. w. „Lecz, niestetyż, od niektorego czasu ten lud, na duszy i ciełe tak pożegnany, oczywiście z części upadować zaczyna. Sił cielesnych ubywa, zdolności tępieją, duch mężny się traci, o-beszłość w niepowściągliwości ginie, ro-la utracą zacność swą... w domostwach powstawają niecoty i zbrodnie... Ja-



wno, ten lud się rozchorował, choroba tak zaraźliwą i tak pośpieszną, że najwyższy czas, aby o uleczenie się obstarać, przynajmniej przyczynę choroby mu opowiedzieć — albowiem niektórzy w takim upadku się nachodzą, żeby trudno było w nich poznać Ślązaka Cieszyńskiego lub podgorzaka starodawnego. Przez wiele lat miałem to na pieczy, badać się tego upadku przyczyny, a znaszędem ją rzetelnie w **Piaństwie**, które jest mężom zgubą, niewiastom sromotą”.

Autor pochodzącego z I połowy ub. wieku szczegółowego opisu Śląska Cieszyńskiego skarży się na panujący wśród miejscowej ludności powszechny pociąg do nadmiernej konsumpcji wódki i w nader jaskrawych słowach przedstawia wynikające stąd konsekwencje. „Płóciennictwo, blichy, handel masłem i smalcem aż do Wiednia, zakłady Hutnicze w Baszce i Frydku, kopalnie węgla kamiennego w Polskiej Ostrawie, Karwinie i Dąbrowej; szeroko rozbudowana sieć gorzelni w dobrach książęcej Komory oraz hr. Larischa zapewnniają — pisze — mieszkańcom tego okręgu (mowa o obszarze między Olzą i Ostrawicą — J. Ch.) dostatek możliwości utrzymania, uczyniłyby ich zamożnymi — gdyby nie alkoholizm”. W Jabłonkowie żyje mnóstwo tkaczy lnu — kontynuuje dalej — „przy każdym prawie oknie dostrzec można warsztat tkacki, położone w pobliżu łąki oraz górskie potoki i krysztalową czystą wodą umożliwiając zakładanie licznych blichów przędzy i płótna, sąsiedztwo Węgier zabezpiecza wydatny zbyt produktów — mimo to należy owo miasto do najuboższych w okolicy, ponieważ cała ludność pracuje tu jedynie na wódkę. Odżywiają się jedynie ziemniakami; mężczyźni i kobiety kładą się do łóżek pijani, dlatego też przespiają poranki a warsztaty tkackie pozostają przez większość dnia nieczynne”.

Okazji do picia nie brak. W Frydku, czytamy dalej w powyższym opisie, „w dniach pielgrzymek miejscowy kościół miłosierdzia otoczony jest miejscami wyszynku. Ci, którzy nie zmieścili się wewnątrz, obozują wokół kościoła; tu w każdym zakątku duchowni spowia-

dają i komunikują wiernych a kilka kroków dalej pijący gromadzą się tłumnie wokół miejsc wyszynku, wśród biorących udział w nabożeństwie pełno zataczających się pijanych”.

Szerokie kręgi zatacza plaga pijaństwa również i w samym Cieszynie. I tak np. w r. 1772 starosta ziemski wprowadza zakaz urządzania w mieście dorocznych przyjęć, organizowanych przez cieszyńskie cechy z racji wyboru w święto Trzech Króli władz cechowych, gdy — jak pisze jeden z historyków regionu — „nieraz z tego powodu rzemieślnicy pili przez 8 dni”. W innym piśmie, skierowanym do cieszyńskiego magistratu, wskazuje starosta ziemski na niedotrzymywanie nakazu zamykania karczm o północy, stwierdzając, że „szynki otwarte są przez całą noc, powstają hałasy i bitki”.

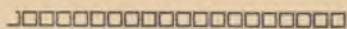
V.

W miarę rozszerzania się zgubnych skutków alkoholizmu zaczynają pojawiać się pierwsze głosy nawołujące do walki z nadmierną konsumpcją wódki, wskazujące na fatalne konsekwencje potęgującego się nałogu. Upłynę jednakże długie dziesięciolecia, zanim sporadyczne te głosy doprowadzą do jakichś konkretnych, pozytywnych wyników. Górę brał bowiem ekonomiczny interes feudalnego dworu. Wraz z rozwojem sprzedaży napojów wysokowych, a zwłaszcza wódki, wzrastał pływający z tego tytułu utarg pieniężny, należący do głównych źródeł dochodów zwierzchności. W obrębie majątności Komory Cieszyńskiej wpływy z sprzedaży samej wódki podnoszą się na przestrzeni drugiego i trzeciego ćwierćwiecza XVIII w. (1721—1770) prawie trzykrotnie. A były to zaledwie początki rozkwitu, jakie przeżywa gorzelnictwo w następnych dziesięcioleciach. W wydany w r. 1841 w Budapeszcie opisie dóbr karwińskiego ordynata hr. Larischa podkreśla autor z naciskiem „gorzelnie kwitną w tym zakątku austriackiego cesarstwa (mowa o obwodzie cieszyńskim) w większym niż gdzie indziej stopniu”. A w odniesieniu do sa-



A black and white line drawing of a woman's face and upper torso. She has long, dark hair and is looking slightly to the left. The drawing is simple, using bold black lines on a light background.

115



Michaił Szołochow

*pisarz
naszej
epoki*

„Każdy z nas pisze tak, jak mu każe serce, a serca nasze należą do partii i narodu, którym służymy swą sztuką.” Te słowa wypowiedziane przez Michaiła Szołochowa na II Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy Radzieckich, bardzo trafnie określają twórczość samego Szołochowa, bowiem wszystko, co stworzył on poczynając od „Noweli dońskich”, które ukazały się w druku, gdy pisarz nie miał jeszcze dwudziestu lat i kończąc na nowych rozdziałach drugiej księgi „Zoranego ugoru” — wszystko to nacechowane jest wzniosłymi uczuciami gorącego patriotyzmu, bezgranicznej miłości do narodu i Ojczyzny, patosem namiętnej afirmacji tego co nowe, szlachetnymi ideałami humanizmu socjalistycznego.

Michaił Szołochow, jeden z najulubieńszych pisarzy ludowych, wybitny mistrz literatury realizmu socjalistycznego, urodził się 56 lat temu, 24 maja 1905 roku nad Donem, w stancyi kozackiej. Będąc jeszcze młodzieńcem wstąpił do wielkiej literatury radzieckiej, przychodząc jak wielu pisarzy jego pokolenia, tacy, jak Furmanow, Fadiejew, Wiszniewski, Tichonow, bezpośrednio z frontu wojny domowej. Ci młodzi bojownicy rewolucji, uczestnicy wielkich historycznych wydarzeń w artystycznych obrazach przedstawiali historyczną rolę mas rewolucyjnych, wielkie bohaterstwo w imię zwycięstwa komunizmu, gigantyczną pracę Partii Komunistycznej, która zespoliła narody w walce o wyzwolenie ludu pracującego.



Przed przeszło rokiem pochowany został w Cieszynie (Polskim) człowiek nazwiskiem — Brunon Konczakowski. Pozostał on po sobie niezwykle ciekawe muzeum, które trudno inaczej nazwać jak — muzeum osobliwości. Z chwilą, gdy piszę ten artykuł trwa nieoficjalny przetarg o zbiory Konczakowskiego, które najprawdopodobniej powędrują do Muzeum Narodowego w Krakowie. Ale nie chcę uprzedzać faktów. W każdym razie nim nastąpi translokacja zbiorów cieszyńskich do grodu podwawelskiego, warto je sobie jeszcze raz obejrzeć. Na zbiory te, które dziwnym trafem przetrwały w stanie nieuszkodzonym po dziś dzień, ostrzyli sobie apetyty nie tylko

WŁADYSŁAW MOST

Cieszyńskie muzeum osobliwości

zbieracze różnych kolekcji z całej Polski a także poszczególne muzea, ale również przedstawiciele zagranicznych instytucji, jak choćby wytworny pan w meloniku, który przed wojną przyjechał do Cieszyna aż z Nowego Jorku. Płacił „każdą cenę”. Okazało się jednak, że skarby Konczakowskiego były, bez przerośni, bezcenne, bo dy-

rektor nowojorskiego „Metropolitan” wrócił za ocean z pustymi rękami.

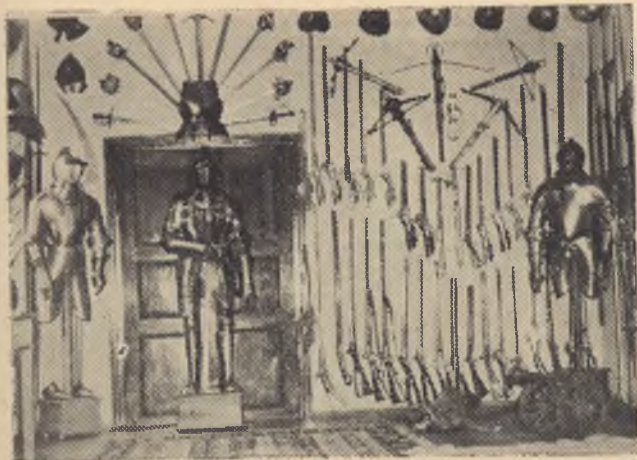
Gdy skończyła się druga wojna światowa, zbiory Konczakowskiego znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie. Koniec wojny nie oznaczał bowiem bynajmniej nastanie pokoju. Szczególnym trafem zdobył on od komendanta radzieckiego odpo-

Już pierwsze utwory Michaiła Szołochowa świadczyły, że w literaturze Kraju Rad ukazał się nowy potężny, samorodny talent. A gdy w 1928 roku opublikowane zostały pierwsze części powieści „Cichy Don”, młody pisarz trwale wszedł w szeregi najwybitniejszych radzieckich mistrzów słowa. Już wtedy uwidoczniły się główne cechy jego talentu: realizm, głęboka ludowość, wierność prawdzie życiowej, dążenie do przedstawienia życia w całym jego bogactwie, ze wszystkimi jego realnymi konfliktami i sprzecznościami, bez upiększania surowej prawdy i pozbawiania rewolucyjnej walki bohaterskiej romantyki. A wraz z tym — niezwykle mistrzostwo pióra, łączące rozmach eposu z subtelnym oddaniem „dialektyki duszy” wysokie mistrzostwo pejzażu i portretu, serdeczny, mądry dowcip, zdumiewające poczucie słowa poetyckiego, głębokie zrozumienie piękna żywego języka ludowego.

Epos „Cichy Don”, nad którą pisarz pracował przeszło 15 lat, jest jednym z najwybitniejszych utworów w całej literaturze powszechnej naszego stulecia. W skomplikowanym losie Grigorija Mielechowa pisarz dobitnie wykazał, że człowiek skazany jest na samotność i zagładę, jeśli droga jego mija się z drogą narodu, jeśli stara się on wystąpić przeciwko narodowi tworzącemu nowe życie. Powieść „Cichy Don” nacechowana jest świetlanym optymistycznym światopoglądem radzieckiego mistrza słowa, ideami triumfu prawdy i humanizmu



Michaił Szołochow



Komplet broni w muzeum Konczakowskiego

wiedni paperek i... wartę, która uchroniła go od niepożądanych wizyt, ze strony amatorów łatwych zdobyczy.

W jednym z pokoiów cieszyńskiego zbieracza zgromadzone zostały tak zwane militaria. Mogłyby one stanowić muzeum samo w sobie. Czegoż tu bowiem nie ma? Jest zbroja z XVI w. znaczone delikatnym grawerunkiem burbońskich lilii, są żelazne półkoszulki, z których każda składa się z 25 tysięcy ogniwek, jest szabla-kordelas z łufą przemysłnie przykutą do klingi. Jest tej broni wszelakiego kalibru tak wiele, że zabrakłoby miejsca, aby wymienić wszystkie jej gatunki. Karabele, szpady, haki, halabardy, mizeri-kordie, miecze średniowieczne,

socjalistycznego, myślą o niechybnym zwycięstwie tych, którzy niosą ludowi nowy los, światło, wolność i szczęście.

Ta sama ostra, bezlitosna walka klas, walka starego z nowym, triumf nowego, lecz już w innej sytuacji historycznej, na nowym etapie historycznego rozwoju radzieckiej ojczyzny przedstawioną w powieści „Zorany ugor”. Pokazując skomplikowany historyczny proces kolektywizacji w burzliwych latach „wielkiego przełomu”, tworząc postacie zwycięskich rzeźników nowego, bezlitośnie demaskując wrogów, odzwierciedlając olbrzymie zmiany w świadomości ludzi w latach władzy radzieckiej, pisarz pozostaje wierny prawdzie życiowej, zasadom ideowości i partyjności sztuki. „Zorany ugor” zasłużenie uznany został za najlepszą w literaturze radzieckiej powieść o kolektywizacji wsi. Postać jednego z głównych bohaterów powieści — komunisty Dawydowa posłanego przez partię kierować przebudową życia wsi na nowych podstawach, stała się zaiste klasyczną postacią w literaturze radzieckiej, żywym i dobitnym przykładem męznego, uczciwego, nieugiętego bolszewika. Obecnie postać ta jest wzorem dla tysięcy patriotów, którzy na zew partii podążają na wieś, aby walczyć o dalszy rozwój rolnictwa.

W surowych latach Wielkiej Wojny Narodowej ze szczególną siłą przejawiała się jeszcze jedna cecha talentu Szołochowa jako publicysty. Wzorem wysokiej prawdziwie artystycznej publicystyki, do-

□□□



Fragment jednej z sal z eksponatami

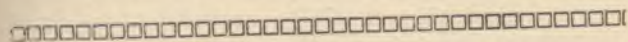
cierającej do głębi serca człowieka radzieckiego, wznagającej w nim miłość do Ojczyzny socjalistycznej, rozpalającej nienawiść do wroga jest nowela „Nauka nienawiści”.

„Cichy Don” i „Zorany ugór”, rozdziały powieści „Oni walczyli za Ojczyznę” a ostatnio „Los człowieka” oraz artykuły publicystyczne z okresu wojny — to ucieleśnione w artystycznych obrazach roczniki życia narodu radzieckiego w epoce rewolucji i wojny domowej, w okresie kolektywizacji, w latach Wielkiej Wojny Narodowej.

Przepiękne książki Michaiła Szołochowa zyskały popularność i miłość nie tylko w Kraju Rad, lecz także w całym świecie. Komunistyczna ideowość, patriotyzm radziecki i ludowość, głęboki humanitaryzm, doskonały artyzm — oto co czyni je wielkimi, przekształca je w skuteczny środek wychowania nowego człowieka, zdolnego do przezwyciężania wszelkich trudności, oddanego sprawie narodu i partii, oto co zjednywa dla nich serca czytelników.

W przyszłości — zakończenie tej wspaniałej książki, dalszego ciągu rozpoczętej w latach Wielkiej Wojny Narodowej powieści „Oni walczyli za Ojczyznę” oraz Niezorany ugór nowych, nieporuszanych jeszcze tematów.

Dużo czeka naród radziecki od swego ukochanego pisarza, dużo spodziewają się od niego czytelnicy za granicą.



rowany pancerz, hełm, szpada czy szabla — to dzieje epoki, to żywa, krwią znaczone historia. Cóż bowiem ponad podziw mogą budzić u przeciętnego człowieka potężne, ciężkie miecze o sfalowanym ostrzu? W rękę piechura miały one jednak swoje przeznaczenie. Miały gruchotać pęciny rycerskich wierzchowców, które w nawale walki waliły się na ziemię, przygniatając ciężarem swoich panów.

Za rok, może wcześniej, opustoszeją mury cieszyńskiego muzeum osobliwości. Jego zbiory wzbogacą owe komplety unikalne, pomnażając ogólny dorobek wiedzy o czasach, które minęły.



Ta prymulka to dla mamusi

JÓZEF MRÓZEK

0 problemach wychowania

Szkoła, to środowisko pełne życia, problemów i zagadnień, spośród których wyłania się uśmiechnięta twarzyczka dziecka — obiekt serdecznego zainteresowania nauczycieli, rodziców i społeczeństwa. Sprawie tej poświęcamy najwięcej uwagi i troski, ponieważ wychowanie młodzieży jest jednym z najważniejszych zadań, którego żaden naród, żadne państwo nie może traktować obojętnie i lekceważąco. Czy tak w rzeczywistości jest? Spróbujemy się nad tym zagadnieniem zastanowić.

Zasadniczy cel wychowania młodzieży można ująć w kilka głównych punktach:

a) szkoła powinna wzbudzić w sercu dziecka miłość do narodu i ojczyzny, dumę z osiągnięć ludu i jego postępowych tradycji,

b) nauczyć poszanowania dla innych narodów w myśl ogólnoludzkich zasad humanizmu,

c) wszczepić w młode serca szlachetne zasady moralności świeckiej,

d) dać młodzieży gruntowne wiadomości z zakresu nauk ogólnokształcących.

Jak widzimy, zasady słuszne, jasne i proste. Nie ulega wątpliwości, że realizacja powyższych zasad wychowania i nauczania we wszystkich szkołach świata przyczyniłaby się ogromnie do usunięcia antagonizmów i nienawiści między narodami, stworzyłaby podstawy wzajemnego zrozumienia i szczerzej

Kat JAN BRODA

cieszyński

przyjaźni, niezależnie od ustroju w danym kraju istniejącego. Myśl więc szlachetna, nawiązująca do walki o pokój światowy i współzycie narodów, pokrywająca się z dążeniami, których inicjatorem jest Związek Radziecki i cały obóz socjalizmu. Szkolnictwo państw obozu socjalistycznego realizuje bez reszty powyższe zasady wychowania stając się — bez przesady — najlepszym na świecie. Jest to oczywiście wynik konsekwentnej i celowej polityki, wynik opieki i troski władz o szkołę i wychowanie młodzieży.

A jak jest po przeciwnej stronie, za osławioną „żelazną kurtyną” istniejącą w imaginacji niektórych tamtejszych warstw społecznych i prowodyrów zimnej wojny? Zarejestrujmy kilka przykładów „wychowania” w niektórych krajach Zachodu, aby przekonać się, jakim ideałom hołdują ludzie, którzy decydują o linii politycznej swego kraju.

Histeria wojenna, sztucznie hodowana, dociera i do szkoły, zatruwając serca najmłodszych jadłem nienawiści do domniemanego napastnika. Małeństwa dygoczą ze strachu, kiedy za oknami ozwie się syrena oznajmniająca próbny alarm atomowy. To jeden fakt.

W rękach dzieci różne „camiksy” pełne niesamowitych historii, morderstw i zbrodni. Za ową „literaturą” nie pozostają

Sądownictwo na wsi cieszyńskiej w czasach najdawniejszych sprawowali wójtowie dziedziczni zwani też sędziami dziedzicznymi (Erbrichter) wraz z zaprzysiężonymi chłopami. Było to tzw. prawo. Załatwiano najczęściej spory między poddanymi, sprawy podziału gruntów i ich dziedziczenie, sprawy obyczajowe itp.

Podobnie miała się rzecz i w mieście. Władzę sądowniczą w Cieszynie sprawował magistrat i powołani ławnicy. Ci ostatni pełnili nadto służbę policji miejskiej i czuwali nad należytym wyszynkiem wina i piwa. Od chwili zaprowadzenia sądów (1480) sądzono na podstawie prawa zwyczajowego, póki książę Wacław Adam nie wydał urzędowego Prawa Ziemskiego (1573), uzupełnionego przez Katarzynę Sydonię (1592).

Sądownictwo cieszyńskie, któremu podlegało całe Księstwo Cieszyńskie, dzieliło się na 3 kategorie, miejskie dla mieszczan, patrymonialne dla poddanych w Księstwie, i ziemskie dla właścicieli ziemskich. — Sądy patrymonialne odbywały się zazwyczaj w dobrach panów dziedzicznych, tylko ważniejsze sprawy (zbiegostwo, zabójstwo, ubliżenie szlachcie na czci...) omawiano i sądzono na zamku cieszyńskim w obecności marszałka krajowego czy jego zastępcy. — Sądy ziemskie, którym przewodniczył sam książę, marszałek krajowy, szlachta i jej sędziowie, prócz spraw administracyjnych szlachty oraz mieszczam i wolnych chłopów, rozpatrywały też sprawy karne, odnośnie pożarów, rozboju, gwałtów, mordów czy zdrady. Te bowiem były karane zazwyczaj dożywotnie, ścięciem czy przez powieszenie. Terminy rozpraw sądowych (roków) odbywały się wiosną przed Zielonymi Świątami i jesienią przed Katarzyną.

Miał też Cieszyn własnego kata, który wykonywał wyroki na górze przykoszarowej tzw. górze szubienic (Galgenberg). A sporo miewał pracy

w niektórych latach. Zachowany w bibliotece Tschamera wyciąg podaje, że za rządów marszałka Jana Fryderyka Larysza (1667—1683) w okresie dziesięciolecia 1667—1677 osądzono w Cieszynie na śmierć 32 osoby, z czego najwięcej w r. 1674 (7) i 1676 (10).

Ogólny wyrok sądowy głosił: „My, Wójt i Prawo książęcego miasta Cieszyna wiadomo czynimy każdemu, zwłaszcza że konieczność nas zmusza że niżej wymienieni złoczyńcy, którzy w naszym Księstwie Cieszyńskim i ziemiach sąsiednich ludzi wyższego i niższego stanu w ich mieszkaniach nocną porą napadali, nieludzko męczyli, rabowali, niektórych też mordowali, czarami niszczyli ludzi i bydło, wznicali pożary...” osądzeni zostali na śmierć następujący złoczyńcy:

w r. 1677, 8 czerwca Andrzej KAŁUŻA, który w poprzednich latach zbiegł z Księstwa, jakiś czas przebywał na Morawie, wrócił niepostrzeżenie i prowadził nadal swe nieczne rzemiosło zbrodnicze aż został przyłapany,

19 sierpnia Jerzy KOSCH, obcy wałach i przeskolony rabuś,

w r. 1668, 6 lipca Jerzy KĘDZIERZYŃSKI z Królestwa Polskiego, wielki złoczyńca, na gorącym uczynku przyłapany,

w r. 1669, 30 stycznia Paweł BEHAUNEK z Zabłocia,

23 lutego Jan KOTMANIK z Królestwa Polskiego,

6 grudnia Jan SZKANDERA, Jerzy WICHNOR i Jerzy LAGRASS — łupieżcy drogowi,

w r. 1670, 18 lipca Jerzy BRODKA z Węgier,

w r. 1671, 4 marca Jerzy SMELIK z Dębowca,

20 listopada Jerzy DRYCH z Świerczynowca,

w r. 1672, 5 maja Błażej WOLNY z Piasku,

w r. 1673, 12 maja Urban KOSTUR też z Piasku,

w r. 1674, Paweł SKOWRONEK z Wielopola,

w r. 1675, 7 czerwca Tomasz KOZIOŁEK z Węgier,

27 czerwca Jerzy KOLIK z Węclawic, Adam BUBA z Zamarsk,

2 sierpnia Jerzy DURAJ, Jan DURAJ i Szymon BESTWINA, wszyscy z Jaworzynki,

27 września Jerzy KISSLY z Brennej,

w r. 1676, 28 lutego Adam POLAK z Bukowca,

20 marca Jerzy RUSEK z Wierzbicy, Paweł i Jan KOLIK (ojciec i syn) z Rychwału,

11 kwietnia Albrecht WRÓBEL z Polski,

8 maja Maciej SKOWRONEK z Ustronia,

29 maja Marta KOKOCIK z Próchniej,

19 czerwca Dorota KUBIEŃ z Czaczy (ta przez kilka lat przebywała wśród rabusiów w przebraniu

w tyle film, telewizja, radio. Fakt drugi.

Dyskryminacja rasowa — fakt trzeci. Tak jest w Stanach Zjednoczonych. A wynik? Trzynastoletni chłopiec strzela do swej koleżanki, bandy młodocianych są postrachem spokojnych obywateli, mnożą się gwałty i morderstwa dokonywane przez młodzieź, która wyrosła z mundurka szkolnego.

W Niemczech Zachodnich rozmyślnie fałszują historię ostatniej wojny światowej, przygotowując „Drang nach Osten” w wiadomym celu: rewanz, rewanz, rewanz... Jak nazwać takie wychowanie? I to wszystko dzieje się pod płaszczykiem najwznioślejszych uczuć ludzkich, jakimi są bez wątpienia miłość do ojczyzny, duma narodowa itd. Oto oblicze innego wychowania, pod którego wpływem znajdują się miliony dzieci w tamtych krajach „wolności i demokracji”. Dodajmy do tego miliony analfabetów w krajach Afryki, które obecnie wyzwalają się z pęt kolonializmu i własnymi siłami rozpoczynają budować nowe, wolne życie, by naprawić zaniedbanie i krzywdy nazwane przez kolonizatorów „niesieniem cywilizacji” narodom czarnego kontynentu i będziemy mieli prawdziwy obraz sfer pragnących narzucić światu swoją władzę.

Zarejestrowane powyżej przykłady nie są plodem propagandy komunistycznej, jak chętnie każdą prawdę nazywają nasi przeciwnicy. Nie! To fakty wyjęte z ich własnej prasy.

Zastanawiając się nad powyższymi zagadnieniami nie wolno popadać w pesymizm. I tam, wśród zakłamania i fałszu wyrastają dążenia postępowe i światłe, które staną potężną przeszkodą na drodze wstecznych i nieludzkich zamiarów dolarowych władców.

Przerzućmy się obecnie do naszego środowiska i zanalizujmy wyniki i poczynania, któ-

rych byliśmy świadkami. Jakże różni się obraz naszej szkoły w stosunku wszystkich zainteresowanych czynników do zagadnień wychowawczych od tego, co skonstatowaliśmy w pierwszej części, niniejszego artykułu. Mamy być z czego dumni. Doniosłe uchwały o ścisłym połączeniu szkoły z życiem oraz o podręcznikach i przyborach szkolnych, które wszystkie dzieci otrzymały gratisowo, stały się historycznymi dokumentami naszych czasów.

Rok 1961 przyniesie nam uchwałę o poszerzeniu obowiązku szkolnego na 9 lat, co przyczyni się do dalszego podniesienia poziomu wychowania i nauczania. Stopniowo otrzymają szkoły nowe programy nauczania i podręczniki. Od klasy 6 zaprowadza się nowy przedmiot — wychowanie obywatelskie, poszerzony zostanie wymiar godzin przedmiotów wychowania politechnicznego. Wszystko zaś zmierza do jednego celu: przygotować naszą młodzież jak najlepiej do życia i obowiązków.

Lecz nie tylko treść wychowania i nauczania jest przedmiotem uwagi czynników odpowiedzialnych. Wiadomo, że na psychikę dziecka oddziałują mocno warunki i środowisko, w którym pracuje i przebywa. Biorąc pod uwagę ten ważny moment państwo nie szczędzi grosza na budowę nowych szkół, by stworzyć dzieciom odpowiednie warunki oraz usunąć zaniechania lat przedwojennych. Rosną więc mury nowych budynków szkolnych, piękne pomniki naszych czasów. W bieżącym roku szkolnym oddano do użytku nowe szkoły w Trzyńcu-Łyżbicach, Trzyńcu-Osówki, Trzyńcu-Podlesie i Orłowej-Łazach. Z nowym rokiem wprowadzą się czeskie i polskie dzieci nydeckich szkół do pięknego gmachu, w którym zgodnie w przyjaźni będą się uczyć i wychowywać. Rozpoczęto budowę nowej szkoły w Mostach koło Jabłonkowa. W III pięciolatce

wałaskim, napadała wraz z nimi przejezdnych na otwartych drogach, brała czynny udział w mordzie na proboszcza w Lesznej, gdzie okrutnie zmasakrowała brzemienią kobietę. Zuzanna WAWRZEK z Cierlicka, jawna grzesznica, która swój nieczyny proceder prowadziła od lat, szkodząc wielu ludziom na zdrowiu i mieniu i czyniąc bydłu szkodę,

w r. 1677, 10 kwietnia Katarzyna GRYGIEREK z Gnojnika i Anna LOREK z Górnego Żukowa, która jako jawna podpalaczka w wielu wsiach pożary wzniesiała, unieszczęśliwiając wielu ludzi.

W kilku tylko wypadkach motywy wyroków są mniej czy więcej szczegółowo podane. Przy większości nazwisk zupełnie ich brak. A może dochodziły się gdzieś w archiwach sądowych? Rzuciłyby one niejedno ciekawe spojrzenie na stosunki prawne i życie obyczajowe w Księstwie Cieszyńskim po śmierci panujących tu Piastów. A może odsłoniłyby oblicze jakiegoś przywódcy ruchu chłopskiego?



Jak długo chcesz i możesz żyć?

Im dłuższa staje się przeciętna życia ludzkiego, im więcej — dzięki postępom cywilizacji medycyny, higieny — żyje na świecie ludzi starszych, tym bardziej aktualne są pytania. Pytania, które dotyczą każdego z nas.

PYTANIE: — Panie doktorze, dlaczego jedni ludzie mogą żyć tak długo, a inni nie?

ODPOWIEDŹ: — Długowieczność jest w o wiele mniejszym stopniu zagadnieniem starzenia się niż sprawą choroby. Zgon z powodu wieku jako takiego, jest wypadkiem stosunkowo rzadkim.

Zmieniamy się mniej niż sądzimy

Uważa pan, że człowiek jest taki sam w wieku lat osiemdziesięciu jak był w pięćdziesiątym roku życia?

Nie, nie taki sam, ale zmiany, które zachodzą nie są śmiertelne, ani gwałtowne. Wiele funkcji słabnie bardzo powoli. Weźmy na przykład zdolność uczenia się. Wybrałem ten przykład, bowiem chłonność umysłu uważana jest za atrybut młodości. Badania wykazały, że zdolność uczenia się osiąga swój szczyt w wieku 22 lat. W 80-tym roku życia jest zaś taka sama jak w 12-tym. Oznacza to, że zwiększenie chłonności umysłu w okresie 10-lecia zostaje utracone w ciągu aż 60-ciu lat.

Słyszysz się często, że ludzie starsi skarżą się na zanik pamięci. Czyżby się mylili?

Pamięć wypadków niedawnych zwykle słabnie, ale nie pamięć ważnych wydarzeń z przeszłości.

Dlaczego?

Na starszych ludziach wydarzenia niedawne nie sprawiają większego wrażenia. Po prostu jeszcze jedno nazwisko, jeszcze jedna twarz, jeszcze jeden obiad. Sprawa pamięci jest sprawą zainteresowania i uwagi.

Czy człowiek może w jakiś sposób osłabić szkodliwe, trwałe skutki przebytej choroby?

Nie ma żadnej magicznej formuły. Wczesne wykrycie choroby, wczesne leczenie i utrzymanie hi-

przewidziana jest budowa dalszych szkół w Jabłonkowie, w Boconowicach, Jabłonkowie-Nawsiu, Śmiłowicach, Bukowcu, Stonawie i w innych gminach powiatów Karwina i Frydek-Mistek.

W akcji „Z” wyrastają nowe warsztaty (polskie ośmiolatki w Trzyńcu i Jabłonkowie) i przedszkola (Ropica). Te konkretne dane są chyba wystarczającymi dowodami troski państwa o szkolnictwo.

Wydaje się, że należy kilka słów poświęcić i naszemu nauczycielstwu, które stoi na ważnym i odpowiedzialnym posterunku. Może nazwie to ktoś pochlebstwem, jeśli stwierdzimy, że nauczycielstwo nasze stoi na wysokości zadania. Świadczą o tym wyniki nauczania i wychowania, świadczy postawa nauczyciela, na barkach którego spoczywa nieraz całokształt pracy kulturalno-oświatowej w gminie. Nauczycieli naszych widzimy przy pracy w PRN, MRN, partii i w innych organizacjach społecznych. Działalność ta zasługuje na wysoką ocenę i uznanie. Nieliczni zaś nauczyciele, którzy nie wykazują gotowości i inicjatywy w tym kierunku, powinni zrozumieć, że nauczyciel stroniący od pracy społecznej — innymi słowy stroniący od życia — nie jest i nie będzie nigdy pełnowartościowym wychowawcą. Tak jak nie można szkoły oderwać od życia — nie może nauczyciel izolować się od tego, co jest żywotne i co stanowi o treści naszych dążeń.

Próbka porównania, którą przeprowadziliśmy pomiędzy wychowaniem dwóch systemów światowych wypadła niechybnie na naszą korzyść. Nasza linia wychowawcza jest jasna i niedwuznaczna, czego nie można powiedzieć o stronie przeciwnej. A jeśli borykamy się jeszcze z niektórymi problemami wychowawczymi, jeśli mylni nie są nieraz takie, jakich byśmy sobie życzyli, to nie należy szukać przyczyny w szkole i systemie wychowania, ale przede wszystkim w rodzinie, zwłaszcza ta-

kiej, która nie widzi potrzeby współpracy ze szkołą, uważając, że wystarczy zwalić odpowiedzialność na nauczyciela. O takich rodziców powinna szkoła stoczyć walkę i za wszelką cenę pozyskać ich zaufanie i gotowość do współpracy. To jest jedyna droga, która zaprowadzi nas do zwycięstwa.

JÓZEF MRÓZEK

XXXXXXXXXXXX

ADOLF DOSTAL

Niekiedy tylko

*powraca
jakiś motyw
światło
i pamięć rozbłyska
jaspisem
świat staje się
bardziej dobry
każde słowo
cieplejsze znienacka
przekuwa nas
zgrzyt tramwaju
nieporadne ucieczki
rozmowy oczu
rozsypują się
z brzękiem
stłuczonej kliszy.*



gieny mogą szkody znacznie zmniejszyć. Jednakże problem zdrowia publicznego zmienił się, ponieważ wraz z przedłużeniem przeciętnej życia, rozprzestrzeniły się choroby niesłusznie zwane degeneratywnymi. Niesłusznie, bowiem rak np. nie ma nic wspólnego z degeneracją, przeciwnie, polega na raptownym rozroście komórek. Są to natomiast choroby postępujące, tzn. że narastają przez wiele lat i zaczynają się o wiele wcześniej niż ich zewnętrzne przejawy. Przykładem jest między innymi arterioskleroza.

Granica wieku

Jak długo człowiek może żyć z biologicznego punktu widzenia? Czy jest jakaś granica wieku? Prawdopodobnie 100—120 lat.

Jak dożyć tej granicy wieku?

Istnieją ogólne zasady higieny rozsądnego trybu życia. Ale nie istnieje żaden środek uniwersalny. Czynnikiem, którego nie potrafimy zmienić jest dziedziczność, która niewątpliwie odgrywa wielką rolę w określaniu długości życia. Kiedy więc pacjent pyta się, jak długo będzie żył, pytanie to jest na ogół spóźnione o jakie 30—40 lat.

Czy człowiek posiada jakiś biologiczny „zegar” określający długość jego życia?

Nie wiem. Jeśli tak, nie znamy zasad jego działania. Różnice w długości życia różnych gatunków sugerują, że coś w tym rodzaju istnieje. Ale fatalistyczne założenie, że długość życia jest z góry wyznaczona, należy do dziedziny filozofii i religii, a nie medycyny.

Czy człowiek powinien mniej pracować, aby przedłużyć swoje życie?

Nie, prawdopodobnie wręcz przeciwnie. Są dwie teorie starzenia się: jedna, że zużywamy się przez działanie; druga, że zdrzewiejemy z bezczynności. Dane popierające każdą z tych koncepcji są tak zrównoważone, że wybór jednej z nich zależy od charakteru danego człowieka. Jednakże moja osobista opinia przychyliła się do drugiego poglądu.

Co pan powie o napięciu nerwowym?

Mamy dziś modę na środki uspokajające. Co chwila przychodzi do mnie pacjent i mówi: „Żle spałem tej nocy, jestem nerwowy, niech pan mi da coś na uspokojenie.” Odpowiadam: „Cieszę się, bo to znaczy, że pan żyje. Pewien stopień niepokoju jest ceną, jaką pan płaci za to, że jest istotą rozumną.” Spokój i pobłażenie sobie są moim zdaniem dzisiaj w zbyt niskim cenie. Powstał mit „bezpieczeństwa”. Bezpieczeństwo nie istnieje dla nikogo. Jeśli ktoś uznaje świadomie margines niepewności, napięcie nerwowe nie niszczy go.

Praca czy spoczynek?

Czy przejście na emeryturę przyspiesza starzenie się?

Tak, u ludzi o jednokierunkowych zainteresowaniach „jeśli interesowali się tylko pracą, utrata jej pozbawia ich aktywności. Dla człowieka o umyśle wielostronnym przejście na emeryturę nie stanowi momentu krytycznego. Opuścić pracę to jedna sprawa, porzucić coś co się chce i lubi robić, to rzecz całkiem inna.”

Czy wiek, w którym się przechodzi na emeryturę ma z tym coś wspólnego? Dlaczego ludzie wybierają 65 rok życia, a nie np. 60-ty, czy 75-ty?

Nie, nie ma nic wspólnego. Wiek jest wybierany przez pracodawców, a nie przez pracowników.

Czy pan myśli, że ta granica wieku jest niesłuszna?

Myślę, że arbitralne ustalenie jakiejkolwiek granicy wieku jest niesłuszne. Pracodawca — czy to będzie przemysłowiec, państwo czy uniwersytet — traci w ten sposób podwójnie: żywą indywidualność traci się często niepotrzebnie przed czasem, martwą trzyma się zbyt długo.

Przejdźmy do odpoczynku. Mówi się, że poobiednia drzemka jest dobrą rzeczą, inni twierdzą, że człowiekowi potrzeba ośmiu godzin snu.

Ilość snu jest moim skromnym zdaniem najlepiej określona tym, czy człowiek budzi się świeży, czy zmęczony. Jeśli ktoś wstaje z łóżka z radością i entuzjazmem i śpiewa przy goleniu, to znaczy, że spał wystarczająco długo. Gdy ociąga się ze wstaniem, to albo spał zbyt krótko, albo nie spodziewa się niczego dobrego po dniu, jaki go czeka. W zasadzie jednak 6 godzin snu zakończone rzeźkim obudzeniem jest wystarczające. Jeśli chodzi o drzemkę poobiednią, senność w czasie trawienia jest rzeczą normalną. Praca bezpośrednio po jedzeniu wymaga podwójnego wysiłku organizmu: na trawienie i na samą pracę.

Najważniejszy: cel życia

Jaką postawę życiową zalecić można osobom starszym?

Uważam, że najważniejszym czynnikiem dojrzałości jest uświadomienie sobie prawdziwie ważnego celu życia: celu, który polega nie tylko na „konsumpcji” życia. Obojętne, jaki to cel, aby tylko miał znaczenie dla danego człowieka. Może on polegać na wychowywaniu lepszych bratków, niż na grządce sąsiada, albo na drukowaniu listów do redakcji lub służeniu społeczeństwu. Inaczej, życie jest bezcelowe. Największą tragedią starych ludzi jest poczucie własnej bezużyteczności.

Czy dla starszych ludzi jest lepiej, jeżeli żyją osobno od swoich dzieci?

Uważam, że przychodzi czas, kiedy dzieci powinny opuścić dom i żyć osobno. Dwa dorosłe po-

To i owo z naszych spraw kobiecych

Główną treścią życia kobiecy jest troska o rodzinę — dzieci i męża. Osia całego domu jest oczywiście kobieta. Na swej głowie ma wychowanie dzieci, troskę o wybredne żołądki domowników, czystość mieszkania i ubrania rodziny. Zawsze musi mieć dobre słowo i uśmiech dla męża i dzieci.

Mamy wspaniałe kobiety. Prócz domu doskonale radzą sobie na najróżniejszych placówkach roboczych, nie raz prześcigając mężczyzn w fachowości czy zręczności. Nie brak ich nawet w pracy społecznej — radach narodowych i organizacjach masowych. Świetnie potrafią sobie ułożyć pracę tak, by pogodzić dom i rodzinę z pracą zawodową czy społeczną. Oczywiście mąż musi mieć do tych spraw pozytywny stosunek, musi kobiecie pomóc w pracy domowej.

Nie mam zamiaru analizować tych wszystkich spraw. W naszym kalendarzu ograniczymy się do rzeczy praktycznych, takich, które pomogą i ułatwią pracę.

*

SPRAWY NASZE

Dbając o siebie kobieta nie potrzebuje zbyt wiele



Ta ozdoba przypominająca bukiet polny, nosi się zamiast welonu ślubnego. Łowiczankom — jak widać — bardzo z tym do twarzy

czasu na kosmetykę, fryzjera czy manicurzystkę. Policzcie: raz względnie dwa razy w miesiącu kosmetyka to 2 godziny czasu, 2 razy w miesiącu fryzjer to 3 godziny (do tego równocześnie manicure). Razem więc pięć godzin. Za dużo? Na pewno nie! Ileż to czasu zmarnuje się niepotrzebnie! A sprawy wyglądu kobiety dzisiaj nie można lekceważyć. Jeśli bowiem ubieramy się porządnie, chcemy wyglądać dobrze, to musimy pilnować swoich włosów, cery i rąk. Bo jakże kobieta wygląda w ładnej sukni, kiedy jest nieuczesana, ma brud za paznokciami czy nieczystą (plamy, pryszcze) twarz? Prawda, że takie kobiety też jeszcze spotykamy?

Nie bierzmy z nich przykładu!

Jeśli mamy na twarzy plęgi i plamy wyszukajmy lekarza-specjalistę, który poradzi nam, w jaki sposób usunąć je. Czasem bowiem plamy na twarzy są też objawami choroby. Plamy żółte i brązowe występują czę-

kolenia rzadko kiedy mogą żyć w zgodzie w tym samym gospodarstwie. Problem ten nabiera ostrości dopiero dzisiaj, w okresie urbanizacji. Niegdyś, na wsi dziadek miał swój pokój i spełniał dziesiątki czynności domowych — czuł się użyteczny, wszyscy sąsiedzi go znali, miał z kim pogadać. Ale dzisiaj w nowoczesnych małych mieszkaniach jego obecność byłaby wprost niemożliwa.

Jest statystycznie stwierdzone, że kobiety żyją dłużej od mężczyzn. Dlaczego?

Zasadnicza przyczyna nie ma nic wspólnego z nowoczesną cywilizacją i naszym trybem życia. Samice, 58 na 59 sklasyfikowanych rodzajów owadów, ptaków, ryb, gadów i ssaków żyją dłużej niż samce. O ile wiem, jeden tylko gatunek jest wyjątkiem.

Choroby starości

Słyszy się ciągle, że palenie powoduje pewne choroby lub skraca życie. Statystyka wskazuje, że istnieje jakiś związek między rakiem płuc i paleniem, jednakże nie ma powodu, aby palenie było bezpośrednią przyczyną tej choroby. Wszystko zależy od podatności jednostki.

Wspomniał pan, że chroniczne choroby są częstszą przyczyną zgonu niż starzenia się.

Tak, choroby te dzielą się na trzy zasadnicze grupy. Najważniejszą są choroby serca i układu krążenia krwi, które powodują około 50% zgonów w Stanach Zjednoczonych. Druga — to zaburzenia przemiany materii, cukrzyca, anemia, artretyzm. Ostatnią grupą są choroby raka. Wszystkie one charakteryzują się tym, że mogą powstać z zupełnie różnych przyczyn, że zaczynają się w sposób utajony oraz że są postępujące, to znaczy, iż rozwijają się powoli, ale stale.

Czy starsi ludzie powinni poddawać się badaniom lekarskim częściej niż młodzi.

Tak, co najmniej raz w roku.

Na zakończenie chciałbym jeszcze powiedzieć, że wiek metrykalny nie jest jedynym określeniem naszego wieku. Każdy z nas żyje miliard lub dwa miliardy lat jako zjawisko nie kończącego się procesu życia. Mamy 1 do 3 milionów lat za sobą jako okazy „homo sapiens”. Dalej, nasz wiek biologiczny nie musi się pokrywać z wiekiem chronologicznym. Umysłowo mamy wiek zupełnie inny, emocjonalnie jeszcze inny. Uważa się, że przeciętny wiek intelektualny dorosłych w Stanach Zjednoczonych nie przekracza lat 12. Dojrzałość emocjonalna jest jeszcze bardziej cofnięta do poziomu 7- lub 8-letniego dziecka.

Powinniśmy troszczyć się bardziej o wydajność, głębie naszego życia niż jego długość.

B

Nie niszczyć witamin

Wiemy już, że szereg rozpowszechnionych chorób jest wynikiem niewłaściwego odżywiania — wymieńmy choćby krzywicę, próchnicę zębów, otyłość, anemię pokarmową. Równocześnie szereg chorób takich, jak zakłócenia układu krążenia, nadciśnienie, niektóre schorzenia skóry, leczy się między innymi odpowiednią dietą.

Witaminy — składniki regulujące cały szereg procesów zachodzących w żywym organizmie dzielimy na dwie grupy: rozpuszczalne w wodzie, do których zaliczamy przede wszystkim witaminę C i witaminy z grupy B oraz rozpuszczalne w tłuszczach, jak witaminy A i D oraz E i K.

Witamina C czyli kwas askorbinowy, jest witaminą przeciwskorbutową, która potrzebna jest do wzrostu młodych organizmów, zapobiega kruchości naczyń krwionośnych, wzmacnia odporność organizmu na choroby infekcyjne. Częściowe niedobory witaminy C, tak często spotykane wczesną wiosną, to uczucie zmęczenia, brak apetytu, bóle głowy i mięśni, mała odporność na choroby infekcyjne oraz skłonność do powstawania sińców niebolesnych.

Źródłem witaminy C są: przede wszystkim owoce, szczególnie o silnym zabarwieniu i kwaśnym smaku, warzywa liściaste oraz ziemniaki.

Z witamin grupy B najważniejsze to witaminy B1, B2 i PP.

Witamina B1, zwana tiaminą, bierze udział w procesach przemiany materii, trawienia, jak również niezbędna jest do normalnego działania systemu nerwowego. Ostry niedobór tej witaminy wywołuje chorobę zwaną Beri-Beri, znaną na Dalekim Wschodzie.

Częściowe niedobory powodują opóźnienie wzrostu, zaburzenia w działaniu systemu nerwowego oraz brak apetytu.

Źródłem tej witaminy są: drożdże suszone, pieczywo z pełnego ziarna, kasza z całego ziarna, mięso wieprzowe, oraz warzywa strączkowe.

Witamina B2 zwana ryboflawiną, prócz tej roli jaką spełnia witamina B1, potrzebna jest do prawidłowego funkcjonowania skóry oraz narządu wzroku. Skutki niedoboru tej witaminy są łatwe do rozpoznania, gdyż charakteryzują się występowaniem zajadów w kącikach ust, zaczerwienieniem języka jak również łatwym łzawieniem

sto w czasie ciąży. Czasem giną same, bądź też usuwają się po użyciu odpowiedniej ilości witaminy C. Plamy mogą powstać również na skutek oparzenia skóry słońcem — w takim wypadku doradzi tylko lekarz. Chcąc ładnie wyglądać pamiętajmy:

- że zdrowie jest niezbędnym warunkiem urody,
- że nie można naświetlać skóry słońcem bez zastosowania odpowiedniego kremu,
- że nie należy opalać twarzy umalowanej i upudrowanej, gdyż róż i szminka naświetlane słońcem wywołują często uczulenia na promienie. Skóra pokrywa się czerwonymi pięknymi plamami,
- że przy użyciu kremów złuszcających należy unikać słońca,
- po naświetleniu słońcem należy myć twarz gotowaną i ostudzoną wodą zmieszaną ze słodkim mlekiem bądź też letnim naparem rumianku. Przy skórkach tłustych kwaśnym a po 10 minutach zmyć letnią wodą.



Uśmiech to witamina numer 1.

Jeśli chodzi o piegi, to te są nieuleczalne. Z biegiem lat znikają same. Po 25 roku życia nowe piegi się nie tworzą.

*

Moja znajoma ma córeczkę. Ma 8 lat i bardzo lubi pomagać w kuchni. Jej matka (moja znajoma) nie lubi tego i zawsze krzyczy: „Haniu, odejdź od stołu i nie kręć mi się po kuchni. I tak nic nie pomożesz.“ Hania odchodzi. Jest smutna i nudzi się.

Oczywiście niesłusznie postępuje matka Hani. Dzieci należy już od najmłodszych lat wdrażać w arkana sztuki kuchennej. Początkowo dziecko nie wiele pomoże, może nawet coś stłuc, zepsuć, ale tym nie należy się zrażać. Na odwrót — trzeba się cieszyć, że dziecko przejawia zainteresowanie o sprawy kulinarne. Dzieckiem trzeba tak pokierować, aby nauczyć je najpierw rzeczy najłatwiejszych. Dziecko pomagając matce w kuchni musi widzieć efekt swej pracy a dobrze będzie, jeśli przed ojcem czy babcią dziecko nawet pochwalimy za wykonaną pracę. Matka nie powinna się też zbyt wtrącać do pracy dziecka. Może powiedzieć, pokazać jak zrobić, ale nie powinna krytykować i krzyczeć, jeśli coś się nie uda. I jeszcze jedna sprawa: wykorzystajmy chwilę, kiedy dziecko się nudzi i wtedy wpręgajmy je do pracy. Powoli dziecko przyzwyczai się (nawet to, które nie lubi w domu pracować) a w przyszłości może niejednokrotnie naprawdę wyręczyć matkę, zwłaszcza jeśli ta pracuje zawodowo.

Spróbujcie — radzę wam — i przekonacie się, że mam rację.

*

oczu oraz „czuciem plasku“ pod powiekami. Częściowe niedobory witaminy B2 są szeroko rozpowszechnione.

Witaminę tę znaleźliśmy w mleku, śmietanie, serach, jajach, podrobach i mięsie.

Podobne działanie ma witamina PP zwana niacyną, potrzebna również dla normalnego funkcjonowania systemu nerwowego, przewodu pokarmowego oraz skóry.

Źródłem tej witaminy są: drożdże, wątroba, chude mięso, warzywa strączkowe, pieczywo z pełnego ziarna, suszone owoce.

Z kolei przejdziemy do omówienia witamin rozpuszczalnych w tłuszczach. Do najważniejszych z tej grupy należą witamina A i D.

Witamina A — akseroftol warunkuje normalny rozwój młodych organizmów, przyczynia się do prawidłowego funkcjonowania skóry i błon śluzowych, zwiększa odporność na choroby zakaźne i ułatwia dostosowanie się wzroku do zmian w natężeniu światła. Niedobory jej powodują kurzą ślepotę, zahamowanie wzrostu, zmiany w skórze i błonach śluzowych, obniżają odporność na choroby infekcyjne.

Witaminę tę znaleźliśmy w tranie, wątrobie, pełnym mleku i produktach z pełnego mleka, oraz znajduje się



Usiadła w oknie i czeka. Czy przyjdzie?

pod postacią prowitaminy A — żółtego barwnika-karotenu, z którego organizm ludzki buduje witaminę A.

Witamina D, zwana przeciwrzywcą, warunkuje prawidłową gospodarkę wapniem i fosforem. Odgrywa ważną rolę przy kształtowaniu się kości i zębów, a więc i przy wzroście młodych organizmów.

Źródłem tej witaminy jest: tran i tłuszcz rybi. Jest to witamina, którą organizm wytwarza (przy udziale światła słonecznego) w skórze. Tym tłumaczymy przeciwrzywcze działanie promieniowania słonecznego dla organizmów rosnących.

Do witamin rozpuszczalnych w tłuszczach należą jeszcze Witamina E i K. Brak witaminy E powoduje zaburzenia w rozmnażaniu i nieprawidłowości ciąży, zaś witamina K posiada działanie przeciwnowotworcze.

Rozważmy teraz czy czynności związane z przyrządzaniem naszego pożywienia nie narażają na zniszczenie tak cennych dla nas składników. Jakie czynniki zagrażają grupie witamin rozpuszczalnych w wodzie w czasie obróbki kulinarnej?

Jednym z głównych niebezpieczeństw jest wypłukiwanie tych składników, bądź to do wody, w której moczymy warzywa, bądź do wywaru, w którym je gotujemy. Stwierdzono, że straty są tym większe im większa jest ilość wody i im dłuższy czas ogrzewania. Jeśli chodzi o wpływ ogrzewania to najbardziej trwałą jest witamina PP, a najbardziej wrażliwą witamina C. Straty tej witaminy mogą dochodzić w czasie procesów przyrządzania potraw do 70%.

Witamina C jest szczególnie wrażliwa na utlenienie tlenem powietrza, co grozi jej przy rozdrabnianiu produktów. Czynnikiem przyspieszającym utlenienie tej witaminy są enzymy zawarte w żywych komórkach produktów roślinnych. W czasie rozdrabniania produktów, na skutek uszkodzenia tanki, wyzwalają się one, przyspieszając proces utlenienia. Zetknięcie z takimi metalami, jak miedź i żelazo wzmacnia działalność enzymatyczną i tym samym przyczynia się do zwiększenia strat witaminy C. Witaminy z omawianej grupy są szczególnie wrażliwe na środowisko zasadowe. Niszczy je np. dodatek sody, której nie wolno używać do zmiękczenia wody (jak to robią niektóre gospodynie) w czasie gotowania warzyw strączkowych. Środowisko kwaśne — zwiększa trwałość witaminy C. Witaminę B2 chronić będziemy przed działaniem światła słonecznego. Jak wykazały badania w czasie lata straty witaminy B2 w mleku nie zabezpieczonym przed światłem dochodzą do 50%.

Z wiadomości podanych wyżej wypływają następujące wskazówki, które powinniśmy stosować w naszym gospodarstwie domowym.

Kupujemy warzywa świeże i chronimy je przed zwiędnięciem, przechowując jak najkrócej w chłodnym i powietrznym miejscu, owinięte w wilgotny papier. Dotyczy to szczególnie warzyw liściastych.



Na zdrowie, piękna pani...

Młode dziewczęta wychodząc za mąż mają wiele kłopotów z urządzeniem mieszkania. Zazwyczaj rodzice wydają się „na wybawę” i meble swoich córek czy synów. U nas jest takie przyzwyczajenie, że meble muszą być porządne — to znaczy ciężkie: ciemne i masywne, duże i drogie. Musi być sypialnia, obowiązkowo już jadalnia. Kuchnie to: duży kredens, stół do mycia, łezanka itp.

Czy takie urządzenie jest dobre?

Miałam takie meble — prawie niejedna czytelniczka starszego pokolenia — i jeszcze mogą służyć moim dzieciom, tylko że one takich mebli nie chcą. I mają rację. Idźcie zobaczyć do sklepów z meblami. Zobaczycie ładne mebelki — jasne i ciemne, niziutkie, zgrabniutkie i niedrogie. Obecnie kiedy większość młodych małżeństw wprowadza się do nowych mieszkań — niewielkich — takie meble jak najbardziej odpowiadają. Najlepiej już kupować meble do mieszkania, do którego się wprowadzimy. Wtedy możemy zaprosić architekta i fachowca, który doradzi w jaki sposób urządzić mieszkanie. W dwu

pokoikach i kuchence można zrobić cuda. Sypialnia jest jak najbardziej niepotrzebna. Są piękne leżaki do składania. W dzień służą do siedzenia, nocą, po rozłożeniu, do spania. I pocóż łóżka? Sypialnia jest najmniejszy wykorzystany pokój.

MÓJ URLOP

Każda kobieta pracująca zawodowo powinna co roku spędzić bez troski urlop. A nie tylko kobieta pracująca zawodowo. Należy się urlop i kobiecie zajmującej się wyłącznie domem.

Żeby wypocząć należy koniecznie wyjechać z domu w góry, nad morze, na wieś — po prostu zmienić środowisko. Najmądrzej będzie jeśli wyjeżdżając na urlop zapewnimy sobie możliwość stołowania się. Absolutnie nie należy samej przygotowywać obiadów — to nie byłby urlop. Wybierając się na wczasy z rodziną, czy samej powinno się trzymać takich reguł:

1. Nie myśleć o sprawach domowych i służbowych — po prostu zapomnieć o wszystkich obowiązkach i zaprzestać planowania obowiązków.

2. Nie ograniczać jedzenia. Po prostu jeść to co smakuje i tyle ile można.

3. Usunąć zmartwienia takie jak np. „Czy też jutro będzie ładna pogoda?” Można wypoczywać i w czasie deszczu czy zimy. Samo opalanie i kąpanie nie jest urlopem.

4. Używać jak najwięcej ruchu. Chodzić na spacer — nawet w deszczu (podobno działa dobrze na cęg), grać w siatkówkę, uprawiać turystykę a zimą narciarstwo czy saneczkarstwo (oczywiście w odpowiednim stosunku do wieku).

5. Zawsze być wesołej myśli, chodzić na imprezy na

Obieramy warzywa jak najcieniej i na krótko przed gotowaniem, gdyż przetrzymywanie ich w wodzie powoduje wypłukanie witamin i innych rozpuszczalnych składników.

Gotujemy warzywa w małej ilości wody, pod przykryciem, wkładając je do osolonej i wrzącej wody. (Wysoka temperatura unieczynnia enzymy przyspieszając utlenienie witamin C). Wyjątek stanowią warzywa kapustne i zielone liściaste, które gotujemy w dużej ilości wody, odkryte.

Przygotowujemy potrawy z warzyw na krótko przed spożyciem i nie pozostawiamy ich w cieple (na płycie lub w piecyku), gdyż jak wykazały badania, powoduje to straty kwasu askorbinowego i in.

Staramy się wykorzystać wywary z warzyw, bogate w składniki mineralne i witaminy, np. wywar z kalafiorów, włoskiej kapusty.

Unikamy zetknięcia produktów zawierających witaminę C ze sprzętem kuchennym rdzewnym, takim jak noże, tarki z uszkodzoną powierzchnią itp.

Surówki z warzyw i owoców przygotowujemy na krótko przed podaniem, a przygotowując je unikamy nadmierne rozdrabnianie. Surówki należy natychmiast połączyć z kwaśną zaprawą. (Straty witaminy C w kwaśnym środowisku są mniejsze.) Produkty takie jak śmietana, oliwa, sól działają ochraniająco na witaminę C. Zaliczamy je do tzw. stabilizatorów witaminy C.

Pamiętajmy, że produkty zawierające witaminę B₂, a szczególnie mleko, należy chronić przed działaniem promieni słonecznych (do kwaszenia mleka należy używać naczyń porcelanowych lub kamiennych).

W odniesieniu do produktów zawierających witaminę rozpuszczalną w tłuszczach będziemy musieli poczynić inne starania, zmierzające do ochrony tłuszczów, będących ich rozpuszczalnikiem. Tłuszcze przechowywane w nieodpowiednich warunkach, na świetle i cieple — jełczeją i ulegają rozkładowi, a produkty ich rozkładu są szkodliwe dla zdrowia. Podczas jełczenia tłuszczów następuje zniszczenie rozpuszczalnych w nich witamin, ogrzewanie, przy dostępie tlenu, produktów zawierających te składniki. Jednak długotrwałe ogrzewanie, przy dostępie tlenu, produktów zawierających te składniki powoduje ich rozkład. Tłuszczem najbardziej wrażliwym na działanie światła i ogrzewanie jest masło.

Jeśli nawet początkowo przestrzeganie omówionych wskazówek może sprawić nam pewne trudności, to pamiętamy o tym, że w dużej mierze zdrowie naszych rodzin zależy od nas — kobiet. Starajmy się więc wyrobić w sobie właściwe przyzwyczajenia w tym zakresie. B.



CZY WIESZ

co znaczy

twoje imię?

Niewiele z pięknych imion słowiańskich dotrwało do naszych czasów. Znikły dźwięczne imiona: Bogna (Bogdana), Boguchna, Bogusława, Borysława, Busława, Bronisława, Czesława czyli Czechna, Dobrogniewa, Dobrosława, Dorślawa, Grzymisława, Jaromira, Ludomiła, Miłoszka, Monesława, Małusza, Mścichna, Mścisława, Nawojka, Odoślawa, Przedziślawa, Przybysława, Piechna, Raclawa, Rzepicha, Radogosta, Radoślawa, Śmiechna, Strzesisława, Świętosława, Swatawa, Świętochna, Wyczesława, Wisława, Witosława, Wolisława, Witomira, Wanda, Wyszomira, Warcisława czyli Warszka, Wolisława, Wisenna, Wichna, Złotosława, Zbysława, Zbychna, Zdzisława, Zdiesza, Zdzimiła. Z tych imion zebranych z doby piastowskiej — jakże mało jest dziś w użyciu.

Na skutek coraz częstszych stosunków z Zachodem i upowszechnienia się kalendarzy a zarazem czci dla świętych Kościoła Powszechnego, zaczęto nadawać dzieciom imiona kalendarza zachodniego. Dziś używa się zaledwie kilkunastu imion słowiańskich. Do imiennictwa żeńskiego napłynęły imiona ze źródeł językowych obcych, z łaciny, z greckiego, z hebrajskiego, ze staroniemieckiego i innych języków. Niektóre z tych imion tak

wolnym powietrzu. Nie poleca się wysiadania w kawiarniach i gospodach. Nie starać się dorównywać młodszemu od siebie jeśli chodzi o sporty, ponieważ starsi wiekiem nie nadążą i mogą się tylko zmęczyć.

6. Jadąc na wczasy na wieś zabierać ze sobą: dwie sukienki z kretonu lub płócienka, wełnianą spódnicę, dwie trykotowe bluzki, swetr zapinany z przodu, wiatrówkę, kostium kąpielowy, lekkie płócienne pantofelki, skórzane pantofle, szorty i opalacz. Przyda się też szlafrok, strojnieszka bluzka, płaszcz popielinowy lub przeciwdeszczowy. Z kosmetyków zaś należy zabrać krem do opalania, szczotkę do zębów, kolońską wodę i inne drobnostki.

Jeśli wybieramy się w góry weźmiemy jeszcze spodnie i porządne buty. W tym wypadku mam na myśli wczasy np. w schronisku na Kozubowej czy Jaworowym albo w Łomnej Dolnej lub Rzece.

Panorama dźwigniętej z gruzów
stolicy Polski Ludowej —
Warszawy



BEZSENNE NOCE

A tak, tak zdarza się, że kobiety czasem nie mogą zasnąć, albo budzą się wcześnie i już za żadne skarby nie mogą zmrużyć oka. W takich wypadkach należy wyszukać lekarza. Jeśli takie wypadki niezaśnięcia spowodowane są troskami lub inną przyczyną wtedy można radzić:

- a) letnią kąpiel lub prysznic,
- b) kompresy z gorącej wody na nogi, kark, czoło, oczy,
- c) nacieranie wewnętrznej strony ud mokrą ręcznicą kąpielową,
- d) wypicie przed snem szklanki wywaru kwiatu lipy, tarniny lub innych ziółek,
- e) wyniesienie z pokoju kwiatów, za wyjątkiem roślin zielonych,
- f) Zwolnienie mięśni karku, zezwalające na swobodne opadanie głowy w przód i w tył,
- g) równomierne i powolne oddychanie, co najmniej 10 razy, zatrzymujące na chwilę oddech przy wdechu i wydechu powietrza,
- h) popijanie małymi łykami wody,
- i) doskonale wpływa też na sen liczenie np. baranów, wyobrażanie sobie czarnego kręgu, tunelu itp.

Nie radzimy używać środków nasennych, przynajmniej nie systematycznie. Przy używaniu środków nasennych najlepiej zasięgnąć rady lekarza. Najlepszym lekarstwem jest higiena życia codziennego:

Pożywienie ubogie w tłuszcze, bogate w sole mineralne i witaminy, codzienne umiarkowane ćwiczenia fizyczne, kąpiele lub letnie prysznice, masaże.

dalece się przyswoiły, że wreszcie uległy spolszczeniu. Imię Aleksandra przemieniono na Oluchnę, Elisabeth na Elżbietę. Podobnie spolszczone mamy imiona: Jadwiga, Zosia, Kasia, Janina, Halina i inne. Sądzę, że wzbogacimy swą wiedzę, gdy będziemy wiedzieli z jakich źródeł dane imię pochodzi i co ono właściwie znaczy. Przytaczam je w porządku alfabetycznym:

AGNIESZKA — imię greckie znaczy: niepokalana.

ALBERTYNA — imię staroniemieckie znaczy: słynna szlachetnością.

ALEKSANDRA — imię greckie znaczy: niosąca pomoc.

ALINA — imię hebrajskie znaczy: wzniosła.

AMELIA — imię staroniemieckie — znaczy: niebiańska.

ANIELA — z łaciny znaczy: anioł.

ANNA — pochodzi z hebrajskiego, znaczy: miła.

ANTONINA — z łaciny znaczy: kwitnąca.

AUGUSTA — z łaciny znaczy: wzniosła.

BARBARA — z łaciny znaczy — cudzoziemka.

BEATA — z łaciny znaczy: błogosławiona.

BERTA — ze staroniemieckiego znaczy: świecąca.

BRYGIDA — ze staroniemieckiego znaczy: promieniąca.

CECYLIA — z łaciny znaczy: niewidoma.

DOROTA — z greckiego znaczy: dar boży.

ELEONORA — z greckiego znaczy: litościwa.

ELŻBIETA — z hebrajskiego znaczy: błogosławiona przez stwórcę.

EMILIA — z łaciny znaczy: grzeczna.

EMMA — ze staroniemieckiego znaczy: domowniczka.

EUGENIA — z greckiego znaczy: dobrze urodzona.

EWA — z hebrajskiego znaczy: dająca życie.

FRANCISZKA — ze staroniemieckiego znaczy: wolność.

GABRIELA — z hebrajskiego: błogosławiona, siła moja w bogu.

HELENA — z greckiego znaczy: pociągająca, blyszcząca.

HILDA — ze staroniemieckiego znaczy: luba.

IRENA — imię greckie znaczy: spokój, spokojna.

IZABELA — z hebrajskiego znaczy: niepokalana.

JANINA — z hebrajskiego znaczy: dziecko łaski.

JADWIGA — ze staroniemieckiego znaczy: waleczna, wojowniczka.

JÓZEFA — z hebrajskiego znaczy: opiekunka.

JULIA — z łaciny znaczy: długowłosa.

KATARZYNA — z greckiego znaczy: uczciwa.

KLARA — z łaciny znaczy: czysta.

KLEMENTYNA — z łaciny znaczy: łagodna.

KONSTANCJA — z łaciny znaczy: wierna.

LAURA — z greckiego znaczy: litościwa.

ŁUCJA — z łaciny: jaśniejąca.

MAŁGORZATA — z łaciny znaczy: perła.

MARIA — z greckiego Miriam znaczy: goręczą napętniona.

MARTA — z hebrajskiego znaczy: rozjaśniona.

MELANIA — z greckiego znaczy: czarna.

NATALIA — z łaciny znaczy: miła.

OTYLIA — z łaciny znaczy: szczęśliwa.
 PAULINA — z łaciny znaczy: mała.
 REBEKA — z hebrajskiego znaczy — dobrze żywiona.
 SABINA — z łaciny znaczy: porwana.
 SARA — z hebrajskiego znaczy: panująca.
 STEFANIA — z greckiego znaczy: myśląca.
 TERESA — z greckiego znaczy: przyjemna.
 URSZULA — z łaciny znaczy: silna.
 WALERIA — z łaciny znaczy: zdrowa.
 ZOFIA — z greckiego znaczy: mądrość.
 ZUZANNA — z hebrajskiego znaczy: czysta jak lilia.

Dość tego, a przecież to zaledwie tylko część tych imion obcego pochodzenia, jakie przeniknęły i przenikają do naszego życia.

Czy dobrze się stało, że naród mając takie bogactwo imion rodzimych — zaprzepaścił je, a w ich miejsce przyjął i spopularyzował kilkaset imion cudzoziemskich? Warto by się jednak nad tą sprawą zastanowić, czy nie należałoby wszcząć akcji wylawiania z istniejących jeszcze źródeł historycznych prastarych imion na wskroś polskich i przywrócenia ich naszej wiedzy, mowie i życiu.



Jeszcze jedno spojrzenie w zwierciadło i można wyjść na miasto

CZY UMIESZ GOTOWAĆ JAJA?

Istnieje taki sobie stary dowcip: Mąż: „Kochanie, kiedy nareszcie będą te jajka na miękko?” Młoda żona: „Złotko, przypuszczam, że już będą ugotowane na miękko, bo prawie godzinę się gotują...”

No, ale dowcip dowcipem. A oto kilka przepisów z książki kucharskiej dla za-kochanych i samotnych:

Jaja na miękko: Jaja należy koniecznie umyć wodą i następnie wytrzeć solą zwilżoną octem, bowiem skorupka jest często istnym rezerwatem groźnych dla zdrowia bakterii, które, zważywszy krótki czas gotowania, mogą nie tylko nie ulec zniszczeniu, lecz przy rozbięciu skorupki przedostać się do wnętrza.

Jaja wkładamy do naczynia z zimną wodą, którą można obficie posolić — zapobiega to pękaniu jaj. Gdy woda zaczyna wrzeć — od-czekujemy 20 sekund i dla tych, którzy lubią „bardzo miękkie jaja” — jajka są gotowe.

Jaja w koszulkach: W dość dużym naczyniu (2—3 litry — zależnie od ilości gotowanych jaj) zagotujemy wodę, którą solimy i zakwaszamy lekko octem (2 łyżki na 1 litr wody). Bardzo ostrożnie rozbijamy jajko (nie wolno uszkodzić żółtka) i trzymając je tuż nad powierzchnią gotującej się wody — wpuszczamy do niej całą zawartość skorupki. Białko ścina się natychmiast, kryjąc białą powłoką żółtko. Po 3 minutach wyjmujemy jaję (łyżką cedzakową), układamy ostrożnie na talerzu i przyprawiamy według jednego z odpowiednich przepisów.

Jaja „sadzone” czyli tzw. „oczka”: Najlepiej smażyć na specjalnej patelni —

MOCNY i słaby

KAROLINA RUSZÓWNA

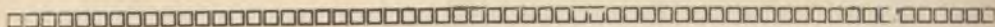
Wieczór był przerażająco widny. Księżyc wytoczył się spoza stalowych gór, pokazując Jurowi łąkę, którą kosił rano z gazdą. Leżała za potokiem, pokryta roztrzęsioną trawą, jak wielka biaława płachta, którą utopiec bieli w świetle księżyca. Drzewa przykucnięte pod brzegiem, rzucały cień na wodę i dalej na kraj łąki. Istne stado upiórów, wynurzające pod światło kłęby srebrnego liścia, niby pierza.

Jura zatrzymał się pod samotnym drzewem. Wyrosło tu przy chodniku, trzymając się jeszcze równiny, ale jego cień zaglądał już w dziurę urwiska, porośniętego zielskiem. Jura szedł do domu, do matki i nie miał dość siły. Musił więc tutaj trochę postać sobie, po-

myśleć i nabrać tchu. Patrzył uparcie na skoszoną łąkę, tam, gdzie się to wszystko zaczęło. Kosili z gazdą, a on nie mógł nadążyć za gazdą, czy to przy koszeniu, czy już przy ścinaniu drzewa, albo czy przy jakiej innej robocie. Gazda był mocny jak smok, a on słaby. Gazda szumny chłop, o czerwonych policzkach, wielki i rozrośnięty w barach, a on lebioda, chuderlawy i cienki. Może byłby też grubszy, ale na tej służbie nie mógł nadążyć, aby nadwyręzać się w pracy i jeszcze utyć.

Kosili więc rano tę łąkę. Gazda musiał na niego czekać za każdym rzędem położonego pokosu i upominać go.

— Spiesz się ty żółciu, ty maśluku, ty niezdaro.



„dołkownicy“. Do zagłębień patelni wkładamy tłuszcz a gdy ten zacznie wrzeć, wbijamy jajka. Gdy białko się zetnie — żółtko lekko posolić. Jaja sadzone, po wbiciu na patelnię, można posypać tartym suchym serem. Na talerzu obficie posypać szczypiorkiem.

Jajecznica: Rozpuścić na patelni masło lub margarynę mleczną (tłuszcz nie rumienić) — po czym wbijać jaja. Można je uprzednio wbić do garnuszka, lekko ubić widelcem, dodając mleka — łyżkę stołową na 1 jajo — i posolić do smaku. Jajecznica będzie wówczas

pulchniejsza i będzie jej więcej. Lekko posolić i smażyć na małym ogniu, miesząc, by równomiernie gęstniała. Wyłożyć na rozgrzany talerz. Zaleca się obficie posypać posiekanym szczypiorkiem.

Do jajecznicy można przed smażeniem dodać suchego tartego sera (1 łyżeczkę na 1 jajo) ugotowany młody groszek, trochę uprzednio podsmażonych pieczarek, posiekaną szynkę lub kielbasę. Jajecznice przyrządzoną z dodatkiem sera, pieczarek i groszku nie posypać szczypiorkiem.

Tak przyrządzona jajecz-

nica podana z ziemniakami oraz zieloną sałatą stanowi pełnowartościowe danie obiadowe.

Jaja w pomidorach: Równym wielkością pomidorom ściąć czubki i ostrożnie wydrążyć łyżeczką. Posolić. Na usmażonych pomidorach ułożyć jajka w koszulkach (gorące), polać sosem powstałym przy smażeniu pomidorów i posypać posiekaną zieloną pietruszką. Podawać gorące wraz z puree z ziemniaków lub z ziemniakami z wody. Danie obiadowe. (W zimie pomidory można zastąpić gęstym sosem pomidorowym z prze-

Czuł, że z tego koszenia wyniknie coś złego, że nim nadejdzie wieczór, coś się jednak stanie.

Przyszedł i stanął przy drzwiach koło bielonego pieca, aby nie zabłócić czystej podłogi. Gazda siedział za stołem. Jego potężny tors wspierał się na całej długości stołu, nie wystrugałbyś go nawet z najgrubszego drzewa. Gazda rozpoczął zaraz.

Jura przycisnął się ku piecu.

To podrażniło gazdę.

— Nie mogę za to żech słaby i żech
sie wywrócił pod ciężarem.

Jura stoi pod drzewem i дума i дума. Myśli o wszystkim, o tym, że sie

— To ci siłacz, oj, siłacz. Jura pokre-
cił z podziwu głową. Taką mieć siłę, to
już nie ciężko być pacholym. Nie cięż-
ko, zawsze lekko, czy to konia zaprzag-
nać, czy to drzewa w lesie naciąć, czy
to kosić i zwozić, oj zawsze nie ciężko.

Księżyc uszedł po niebie spory kawał drogi, zanim Jura ruszył do domu. Droga rozdzielała ogrody i łąki, wciskała się co raz bliżej między płoty, wreszcie wpłynęła jasną smugą na podwórze i przed dom. Jura okrzyknął dom i w tyle zastukał na małe okienko.

Stuknęły drzwi i wyszła stara kobieta w czepcu, który zajaśniał w świetle księżyca. Jura przycisnął się trwożnie do ściany, kryjąc twarz w ramionach, mój ty panie, co to będzie jak ona dowie się, że gazda zwolnił go ze służby?...

Nie poznała go i myśląc, że to żebrak rozpoczęła zdecydowanie i ostro.

— Idźcie se do fojta pytać noclegu. Jest żech tylko kumornica, nie mogę was przenocować w mojej ciasnej kumorzce.

szczotką zwilżoną w wodzie z amoniakiem lub octem (1 łyżka amoniaku na 1,5 l wody).

CZYŚCIMY:

A black leather handbag with a top handle and a pair of white gloves. The handbag is rectangular with a flap closure and a top handle. The gloves are white and appear to be made of a soft material like leather or suede. They are laid out next to the handbag.

niu przetrzeć szczotką zwi-
żoną w wodzie mydlanej.
Spłukać dokładnie i szybko
suszyć. Jeśli są bardzo brud-
ne, po prostu je wyprać, naj-
lepiej w pralce elektrycznej.

Szyby: najłatwiejszy sposób mycia: szyby przetrzeć szmatką zwilżoną w spirytusie denaturowanym, następnie wytrzeć do połysku zmiętymi gazetami. Można również szyby czyścić na sucho, nacierając sproszkowaną kredą zwilżoną spirytusem denaturowanym.

Linoleum: przetrzeć szmatką zwilżoną w letniej wodzie, względnie skropioną naftą. Dobrze jest czyścić

Jura nabrał trochę śmiałości, oderwał się od ściany i podszedł bliżej.

— Mamo!

— Jura, to ty? Teraz w nocy przychodzisz do matki?

— Gazda posłał mnie ze służby.

Stała skamieniała, zduszona nagłym żalem, wreszcie wykrztusiła.

— Co ty se myślisz? Jak my teraz będziemy żyć?

— Nie mogę za to, jestech za słaby.

Wpuściła go do środka i rozpoczęła całą litanię wymówek. Daremnie tłumaczył Jura, że jest niewinny, że tylko brak siły spowodował, że niepodobał się gazdzie. Długo wylewała swój gniew podyktowany żalem, gniew, który w swej właściwej treści nie był wcale gniewem, ale troską zamykającą się w jednakowym okrzyku powracającym uparcie na jej usta.

— I jak my teraz będziemy żyć!?

Jura wyciągnął się na ławie pod oknem, pod strugą księżycowego światła. Uspakał matkę, że znowu jakoś będzie, że może stężeje i nabierze siły. Narazie dała się przekonać, że on jest słaby i że za parobka się nie nadaje.

Gaździna Sikorzyna, u której mieszkał, od razu zaczęła radzić nad Jurowym losem. Koniecznie musi się dostać do lekkiej roboty. I tak co się obie kobiety napotkały w sieni, przystawały i radziły.

— Podobno „sztacyjónszef” prawili niedawno w gospodzie, że przyjął ku kolei jakiego gibczoka. Poradziła wreszcie gaździna Sikorzyna. Że może dostać się nawet za konduktora.

Za konduktora!

Nagła radość, jaka ogarnęła Jurę, wzbudziła w nim od razu podejrzliwość, żeby tej radości zbyt nie dowierzać. On za konduktora? Było to zbyt dobre i wspaniałe, aby można o tym mówić tak całkiem zwyczajnie, bez strachu, bez obaw, że to złuda, która może się rozwiać pod samym brzmieniem zbyt głośniejszych słów.

Trzeba więc dotrzeć Jurowi do „sztacyjónszefa”, a to dla niego nie tak łatwo...

Wybrał się w tym celu już zaraz w następnym dniu. Mama wystroiła go do białej koszuli, związanej pod szyją czerwoną splotką.

Droga na stację kolejową i do mieszkania zawiadowcy stacji nie była wcale daleka. Trzeba tylko minąć parę chat, skrócić potem na prawo, droga ta przebyta marszowym krokiem, trwała tylko parę minut. Lecz dla Jury, który chciałby zająć tam tak, aby nie być odprawiony z niczym, droga ta była niezmiernie długa. Kilka godzin snuła się pod górami do Tyry do Jurowej ciotki. Potem snuła się dalej, aż do Ligotki,



linoleum słodkim mlekiem. Po umyciu przetrzeć miękką ścierką do sucha, natrzeć pastą do podłóg i froterować. Plamy zmyć terpentyną. Aby ustrzec linoleum przed skruszeniem, dobrze jest po wymyciu natrzeć je szmatką zwilżoną w roztworze 5-procentowego octu i oleju (oba płyny w jednakowej ilości).

Zgrabna sukienka i dobre
samopoczucie to pół zdrowia.





gdzie zaprowadziła go ciotka do swego znajomego. Znajomy ciotki, znał się z kucharką zawiadowcy stacji i ona mogła przymówić się za Jurą.

Długi przemarsz pod Oстрыm, Jaworowym i Godulą, dodał Jurowi wiele otuchy, był to trud, a nawet wielki trud, a każdy trud uwieńczony jest w końcu dobrym rezultatem. Zdawało mu się, że pomyślność musi być niejako nagrodą za jego wysiłek, gdyby przez ten czas zbijał baki w ogrodzie Sikorzy-ny, byłby na pewno pełen niepokoju i niepewności. Patrzył teraz z tego ogrodu, na wielkie kopuły gór, jak na swoich świadków, bo pewno zauważyły pod

swymi lesistymi fundamentami, czyżego parobczyne, który okrążał je pośpiewując sobie co chwila na bezludnej ścieżce.

Wrócił do izby i stanął przy drzwiach, która była całkiem napchana ludźmi. Mama i ciotka z Tyry siedziały na skraju łóżka, a znajomy ciotki z kucharką na ławie.

— Nale dlaczego nie miałby być konduktorem? — Mówiła ciotka. — Chodził przecież do ludówki, a po niemiecku też umie trochę szwandrac.

Obrady nad Jurą widocznie dobiegały końca, bo i kucharka i znajoma ciotki przytaknęły.

— Dlaczego nie miałyby być konduktorem?!

— A no, to idziemy — kucharka podniosła się z ławy i skinęła na Jurę. Spojrzał jeszcze po sobie, czy koszula nie straciła swojej białości i czy splatka pod szyją dobrze związana i chwyciwszy czapkę w garść, otworzył drzwi. Uchylił je prawie spod skurczonego palca, który chciał w nie zapukać. Za drzwiami stał gazda Czyż, ojciec Janka, który pomógł Jurowi dźwignąć w młynie worek.

Wszedł do izby i pokazał w świetle szarego dnia, swoją brodatą i czerwoną twarz.

— Witajcie gazdo, cóż was tu do nas sprowadziło? — spytała matka Jury.

— Witajcie. Przyszedł zechcieć się na was podziwiać, na was i na waszego syna, że go Unucka posłał ze służby?

— Posłał, że słaby...

— Ale co tam słaby. — gazda Czyż zamachał kapeluszem.

— Chłop z niego jak buk. Przyszedł go pytać za pacholka.

— Za pacholka! — Wykrzyknął Jura. — Przecież wasz Janek jeździ z końmi, wam nie trzeba pacholka.

— Jeździł, ale już nie będzie jeździć. Został przyjęty ku kolei za konduktora.

— Za konduktora?! — wykrzyknęli wszyscy.

Kucharka siadła na swe dawne miejsce, jej wielki cień pod oknem usunął się w kąt i światło dnia zajaśniało lepiej na unieszczęśliwionej twarzy. Kucharka





pociągnęła nosem. — Aha, toż to od was jest ten kosz z jajkami, masłem i kurczętami?

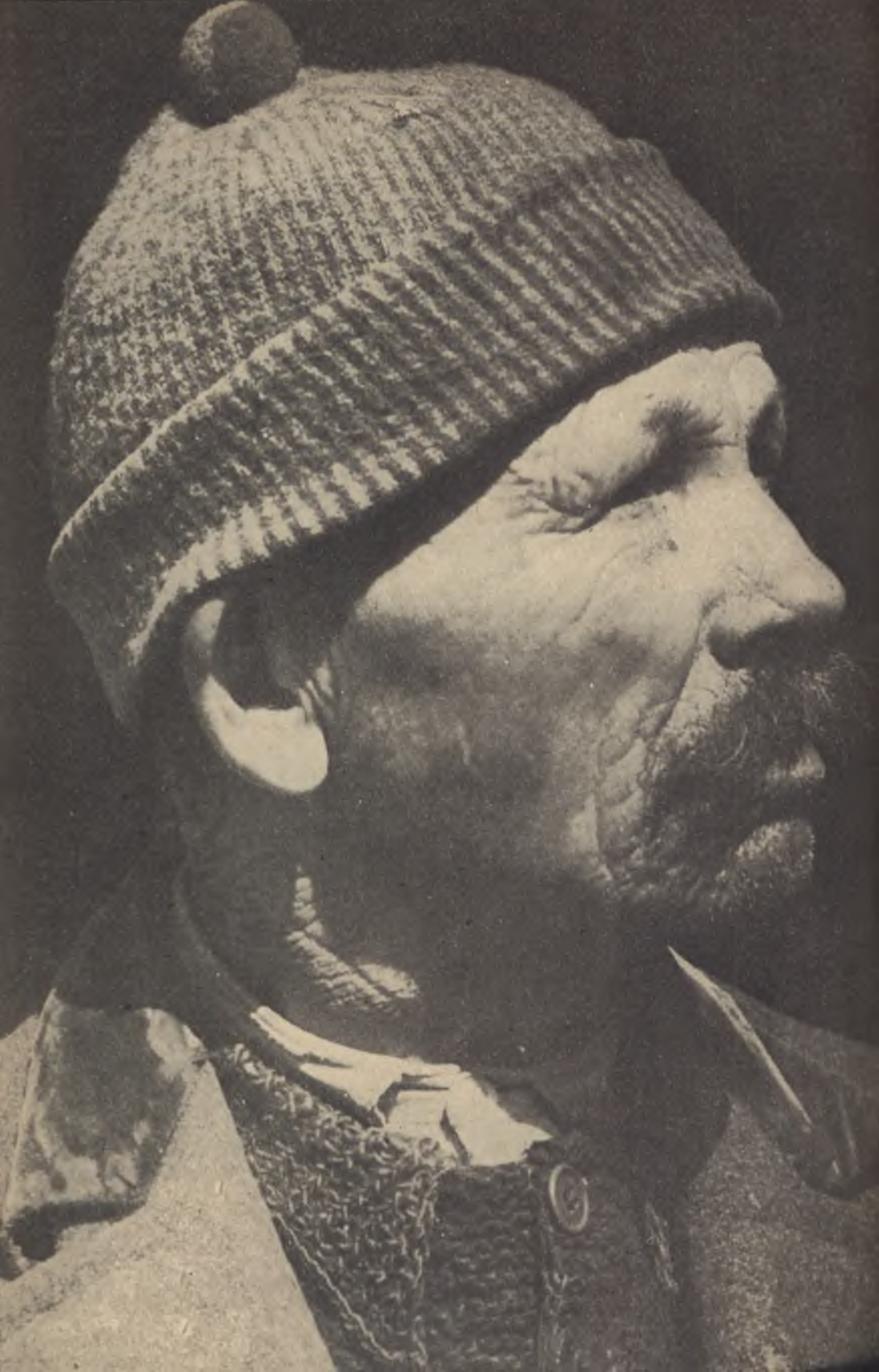
— Ode mnie, a już ci że ode mnie, a jako bych inaczej wprawił syna do roboty? — Gazda pomachał znów kapełuszem, roześmiał się cicho do siebie.

— To mnie będzie kosztowało jeszcze więcej niż kosz jajek, z masłem i kurczętami, cha, cha, toż co Jura, pójdziesz na służbę?

Jurowi zaszczyły oczy mgłą.

— Jestzech słaby...

— Pójdzie, pójdzie, bo co będzie jeść.



Zainteresowała mnie na pewnej wieczornicy, bardzo nastrojowej. W jej zawsze przymrużonych oczach było marzenie. Takie ciche, które rozsiewało ciepło.

Spojrzałem kilkakrotnie w jej stronę. Odczuła je chyba, bo spojrzała na mnie. Spojrzenie było obojętne. Potem nabierało treści zainteresowania. Przez cały wieczór rozmawialiśmy z sobą spojrzeniem. Był to słownik skąpy, a przecież tak bogaty w treść. Dziś dopiero potrafię to zrozumieć.

Wyszliśmy razem. Nie wierzyłem, żeby to było coś więcej, niż przelotna gwiazda, która odrywa się od nieba, przecina się dół i spadając bezpowrotnie gaśnie.

Wiedziałem, że była urzędniczką w dużym mieście, a na wieczorynkę przyszła ze swym wujkiem. Pochodzi z tych stron.

Szliśmy ciemną ulicą przybrzeżną. Było cicho. Ciszy nie przerywał szmer płynącej wody. Ani powiew nie poruszał gałązkami.

Rozmawialiśmy banalnie, tylko że banal w ustach młodych ludzi chowa w sobie nie kłamaną ważkość, świeżość nowego przeżycia.

Po chwili znów przerwała sama milczenie.

GUSTAW PRZECZEK

Węzeł życia

Kilka razy zawróciliśmy, by przedłużyć drogę do domu.

Gdy po raz trzeci szliśmy koło ogródka, skąd nachyliły się nad chodnikiem gęste gałęzie, pocałowałem ją. Nie bronila się.

Po chwili zatrzymała się i spojrzała mi w oczy. Była jakaś inna. Jakby ją spotkała krzywda. Chyba tak to pojąłem.

— Co pan myślał, kiedy poszedł ze mną...

Milczałem. Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Nie łączyłem niczego z tym spotkaniem. Tak zwyczajnie, jak zawsze, kiedy dwaj młodzi się spotkają.

— Słyszałam, że pan jest niedostępny. Przypominałam sobie, kiedy pan spojrzał na mnie. I to mnie zainteresowało.

Znów umikała. Po chwili dodała.

— Czasem można się mylić...

Było mi tak jakoś dziwnie, jak przyłapanemu na gorącym uczynku, kiedy popelni niewypowiedziane głupstwo, idiotyzm.

Uśmiechnęła się jakby do samej siebie.

— Wy wszyscy jesteście jednacy. Bohaterzy bez pokrycia, gołosłowni. Aktorzy pozujący na bohaterów.

Jeden drugiemu zwierza się z nigdy niespełnionych marzeń.

— Miałem tę dziewczynę... albo: Wiesz, bardzo łatwo pada w ramiona...

Widziałem się smarkaczem, którego łąje, nad którym znęca się ktoś z premedytacją.

— A przecież życie jest właśnie takie — szarżowałem pragnąc wyjść z honorem z sytuacji.

Spojrzała na mnie uważnie, a potem roześmiała się.

— Co do joty, tacy-ście wszyscy!

← Drwal beskidzki
Zdjęcie: Fr. Vopat



Wilki z BRENNEJ

Walenty Krzacz



— Czy to na prowde kiejsi ty zimny były taki straszne? — pytał Jura z powątpiewaniem.

— A co myślisz! — oburzył się stary Gawlas, podnosząc głowę. — Dobrze sobie jeszcze przypominam jak my z tatulkim — Boże, dej im radość wieczną — pojechali do Brennej po drzewo. Wczas rano było dobrze, trochę marzło, od wschodu wiał słaby wiatr, ale saniówka była jak na zamówienie.

— Toć nóm to dobrze trefiło — mówił ojciec, zaprzagając Siwka do sani. — Jak nie bydzie padać, to nad wieczorem bydymy nazoć.

Siadłem do sani, odwrócony plecami, i trzymałem się mocno oparcia, by nie wypaść na jakimś zakręcie. Rękawic nie miałem, bo te nosili tylko mieszczuchy.

W gospodzie u Sikory stawiliśmy się z tatulkim na jednego.

— O retы kandy! — zawołał wystraszony Sikora, kiedy nas zobaczył. — Wyście sie jak widzę wybrali do Leśnice po drzewo, a tam pram przedwczorym rozszarpały wilki naszego Karła Grynje.

— Nie plećcie bajdy — powiedział ostro ojciec. — To tak, jak bych jo nigdy w życiu wilka nie widzioł. Dejcie nóm lepi sztwiertke gorącej warzónki.

Ja szcękiałem zębami nie tak z zimna, bo mnie ochraniała owcza gunia, ile ze strachu, gdy gospodzki zaczął opowiadać o wilkach. Wilka w życiu jeszcze nie widziałem. Przychodziły one w nasze góry tylko w tegie zimy, ale słyszałem niejedną straszną historię o nich od naszych starszych sąsiadów, którzy się

do nas wieczorami schodzili na pogawędkę. A to co słyszałem teraz od Sikory, wcale mi odwagi nie dodało. Dlatego prosiłem ojca:

— Tatulku, czy nie byłoby lepiej wrócić dziś do domu? Kto wie, jak się to może skończyć. Zresztą w najbliższych dniach pojedą też nasi sąsiedzi, to zabierzemy razem z nimi.

— Pyr pyr pyr — odezwał się ojciec nagniewany. — Ni miyj jyny tela strachu, bo wilki nie są łase na taki psińco jak ty. Wypij i jadymy, bo ni ma wiela czasu do stracynio!

Widziałem, że bojaźliwością nic nie wskóram. Wypiłem resztę warzonki i ukradkiem się przeżegnawszy, usiadłem do sanek.

Jechaliśmy zwolna. Śnieg zaczął posypywać, a ojciec dla skrócenia czasu zaczął opowiadać wesołe gadki.

Koło południa mineliśmy ostatnie chaty w dolinie i zboczyliśmy w wąski dukt. Niebo zaciągało się ciężkimi chmurami i niedługo zaczął popadywać śnieg, jakby kto pierzynę nad nami wytrzepywał. Każdy płatek kładł się cicho na zasnieżone szczyty i w głąb zamarłych lasów, tylko zgrzyt naszych sań i chrapanie konia mąciło ten ogromny spokój.

Dotarliśmy do wąskiego i stromego przepokup, zwanego przymarznietym śniegiem. Świerkowe chojary zasłaniały nam widok. Stało się mroczno i nieswojo. Znowu strach mię ułapił za serce. Bojaźliwie oglądałem się dokoła w głąb ciemniącego lasu i coś mię każdorazowo kłuło w serce, gdy z gałęzi drzew spadała gruda śniegu. Ojciec też stał się

poważniejszy, nie żartował, a pomagał koniowi wydostać się z coraz głębszych zasp. A śnieg padał coraz gęstszy.

— Bydóm już isto ze dwie godziny, co? — spytał ojciec, by przerwać tę niepokojną ciszę.

— Myślę — odrzekłem cicho, patrząc wylekłe w las.

— Jest żeś, synku, jeszcze strasznie dziecinny — zgañił mię ojciec, nie mogąc mimo żartobliwego tonu zataić w swym głosie niepewności. Tylko nasz Siwek okazywał dobroduszny spokój, człapał zwolna w górę, by jak najprędzej dojść do celu.

Po dobrej pół godzinie doszliśmy do celu, do stosów drzewa, tworzących jakby uliczkę z obu stron drogi.

— Stój stary! stój! — zatrzymał ojciec konia i zaczął się rozglądać. — Tak my dojechali na miejsce. Te dwa stosy należą do nas — wskazał. — Bydziesz mi podowoł po szajcie, a jo bydym ukłodoł na sanie.

Wstałem milcząco, obszedłem stos i zacząłem ojcu podawać polana. Robota szła szybko i lżej nam jakoś było na duszy.

— Jużes se wybił wilki z głowy? — zażartował po chwili ojciec.

— A skądże — odrzekłem weselej, nie zapomniawszy spojrzeć na boki.

— To były bajdy — ciągnął dalej ojciec. — Sikora jest znany z tego.

— Może i były — dorzuciłem bez przekonania. — Ludzie muszą zawsze o czymś albo o kimś mówić.

— Ale poczekaj kapke, Morcinku — przerwał ojciec. — Odpocznij se, bo jo muszę lepi ty szajty ułożyć, aby my ich nie potracili przy zjeździe.

I zaczął je układać wzdłuż i w poprzek, ja zaś nadal troskliwie spoglądałem w koło. Śnieg przestał padać, niebo nad czubkami świerków podniosło się, zsyłając zwolna swe przedwieczne cienie.

— Muszemy sie pośpiechnóć — zachęcał ojciec — bo wieczór sie wyszczyrzo. Podowej hónym reszte!

Ujmowałem resztę polan i rzucałem na sanie. Potem powrozem i łańcuchem obwiązaliśmy całe ułożenie, przygarnęli koniowi resztę siana i zaczęli zajadać, na powalonym pniu usiadłszy, smaczny chleb z wędzonką. Ojciec dojadał pra-

wie ostatni kawałek, kiedy nagle coś go zaniepokoiło.

— Co jest? — zapytał, otwierając usta. — Słyszysz?

— Nic! — skłonił po chwili głowę. — Jedz, bo przed ęmą muszemy z lasu wyjechać.

Zacząłem szybciej dojadać. To mię tylko dziwiło, że ojciec, który zachęcał wpięrow do pośpiechu, dalej siedział zasłuchany.

Aż tu wydawało mi się, że doszedł mię jakiś przytłumiony głos.

— Słyszysz? — spytałem zdziwiony, nie przeczuwając złego.

— Isto jacysi ludzie są niedaleko w lesie. Ale głupstwo — dorzucił nagle. — Już nawracómy sanie i jazda w dół.

Wstał szybko, ujął Siwka za wędzidło i nawrócił sanie z drzewem.

— Stóń se szykownie na zadku, na sanicy — pouczał mnie — chyće dobrze łańcuch i ciągnij mocno ku sobie, jak by sanie za bardzo cisko na Siwka.

Zrobiłem jak ojciec przykazał.

I znowu posłyszałem ten dziwny głos z głębi lasu, ale bardziej już mocny i natarczywszy. Ale skąd?



— Znowu tato, słyszeliście? — zawołałem.

Ale ojciec pociągnął lejce i sanie z miejsca ruszyły naprzód, ja zaś wysiłałem się, ciągnąc coraz mocniej łańcuch hamulcowy.

— Ach, ty niezdaro — gniewał się ojciec widząc, że sanie przystawają. — Nie ciągnij tak mocno łańcucha! Muszmy jechać prędzej, bo noc je na karku.

Rozluźniłem tedy hamulec i sanie przyspieszyły biegu, uderzając czasami o wyrębisko drogi czy pnie drzewne, że aż sanie trzeszczały, ale ojciec gnał naprzód.

Pod małym wzniesieniem sanie zwolniły. Usłyszałem wtedy wyraźnie przeciągłe wycie i wielogłosowe jego echo w lesie.

— Nie bój się, zaraz wyjademy z lasu — uspokajał ojciec.

— Czy to naprawdę wilki? —

— Cóżby miało być inszego? Jyny synku, nie dziwocz!

Dostałem jakby zawrotu głowy. Słaby oddech wydobywał się z drżącego gardła, w uszach zaczęło dzwonić, a odgłos wycia rozsadał mi skronie. Przed oczyma migotały mi i tańczyły jakieś różnokolorowe iskry. Rozwierałem oczy, szukając śladu ojcowskich stóp, coraz bardziej się zacierających z powodu ciemności. Droga zdawała się wieść w nieskończoność. Aż wynurzyła się jednak jaśniejsza plama, coraz wyrazistsza, na której rozróżniłem tylko pojedyncze drzewa.

— Chwała bogu, że my przeca wyjechali z lasu — powiedział zdyszany ojciec, nie mniej przestraszony ode mnie.

Nowe, dreszczem przejmujące wycie odezwało się za nami. Spojrzeliśmy za siebie. W głębi lasu zobaczyłem dziwnie błyszczące ogniki, to gasnące, to się rozegające i ruchliwe.

— Boże, mój boże, racz nóm być na pomocy — westchnął ojciec drżącym głosem. — Żeby my choć do owczarskiej szopy mógli dojechać...

Ciął bezwiednie biczem sapiącego konia. A że droga się zniżała, drzewa migały jedno za drugim. Dojechaliśmy do bardziej otwartej polany. Tu Siwek zwolnił, bo śniegu było więcej i nie dało się przyspieszyć.

— Trzymej się dobrze Morcinku, nie



zostón mi kaj na śniegu — upominał ojciec. — Już niedaleczko do szopy. Wio stary, wio! — śmignął spoconego konia, oglądając się za siebie.

— Wio, wio! — krzyknął przeraźliwie — a ja zobaczyłem cień, mijający nas w podskokach z prawej strony. Był to wilk, który chciał nam zastąpić drogę na zakręcie przed nami. I z lewa zobaczyłem dwa odrażające potwory w pełnym biegu. A w tyle, w śnieżnej zamieci czerniło się całe wyjące stado. Ojciec na ten widok mocno szarpnął lejcam i skierował Siwka ku szopie. Był już czas najwyższy, żeśmy dobili do zbawczego schronienia, bo wściekła zgraja była już tuż tuż za nami.

— Prrr! — krzyknął ojciec, zatrzymując konia, trzęsącego się już też jak osika. Mocno kopnął do drzwi szopy, a kiedy te bez oporu się rozwarły, Siwek sam wjechał z saniami do wnętrza. Ojciec je też zaraz zaparł za sobą.

W tej chwili zerwało się bezładne wycie i skomlenie naokoło szopy. Przy-marznęty śnieg głucho chrząścił pod stopami rozwścieczonej zgrai, która zaczęła wchodzić i gryźć ściany szopy od zewnątrz.

Ja dłuższy czas stałem w ciemności, nogi drżały pode mną, że musiałem się oprzeć o ścianę. Pot ściekał mi ciurkiem ze skroni i czułem bolesne klucie w boku przy każdym oddechu. Byłem bliski omdlenia i myślałem, że nadchodzi ostatnia moja godzina.

— Morcinku, Morcinku — usłyszałem wtedy z ciemności głos ojca. — Jesteś tu? Odezwij się, bo człowiek zwarłuje w tej piekielnej wrzawie.

Odrzekłem coś niewyraźnie urywanymi słowami i zamknąłem zmęczone powieki. Ojciec przystąpił do mnie, objął mnie w swe ramiona i przeniósł na kupę miękkiej słomy.

— Odpocznij se synku — szepnął mi do ucha — a nie bój się.

Ojciec, poklepawszy pieszczotliwie konia po karku, poczłapał omackiem wzdłuż ścian i badał, czy nie ma w nich gdzie dziur, które mogły okazać się niebezpieczne w obecnej chwili. Nie wiele jednak w ciemności mógł zauważyć. Zapalił więc zapałkę i badał od nowa. W jednym rogu natrafił na kupę szczyp. Przeniósł je na środek i zrobił ognisko.

Jasny płomień oświecił wnętrze. Otworzyłem oczy i widziałem ojca, przykucniętego nad ogniem. Zacząłem się rozglądać po szopie. W ścianach nie było żadnego okienka. Na surowych bierwionach spoczywał dach szyndziolowy, ale tak dziurawy, że można było gwiazdy na niebie zobaczyć. Na ubitej glinianej podłodze rozrzucona była słoma i gnój. Na jednej z takich kup było i moje legowisko, na którym już zimno zaczęło mi dokuczać i zęby mi bezwiednie szczękały. Gdy to ojciec dosłyszał, przywołał mię do siebie.

— Siednij se tu Morcinku ku mnie — powiedział serdecznie — ogrzyj się kapke i przyłóż trzosek do gnia, ale szporuj, bo widzisz, że ich nie nadbywo.

Sam zapalił dłuższą szczypę i ogładał ściany, zza których słychać było przytłumione wycie, grzebanie w ziemi i bruszenie o drzewo. W pewnym miejscu ojciec przystanął, zniżył palącą się szczypę i spostrzegł otwór w belce, który się rozszerzał, trzeszcząc.

— Morcinku, Morcinku — zawołał ojciec w przestרחu — przyniś mi honym jeszcze jedno albo dwie szczypy!

Podąłem je zaraz ojcu. Prawie, kiedy nową zapalał, w wydrążony otwór belki wepchnęło się coś ciemnego. Ojciec przybliżył światło i zobaczywszy koniec wilczej mordy i błyszczące zęby, które zajadły wdręły drzewo.

— O, ty kanalio — zaklął ojciec i przytknął gorejącą szczypę do nienawistnej mordy, a ta błyskawicznie cofnęła się z otworu i przeraźliwie poczęła kwiczeć.

Teraz we dwójkę obchodziliśmy ściany z płonącymi szczypami i gdzie w szczelinie pokazała się wilcza mordą, przypiekaliśmy ją ogniem. Początkowo czyniłem to z przestרחem i odrazą, ale kiedy zobaczyłem, że każdy napastnik przed ogniem ucieka, stałem się sam napastliwy. Czynność ta zaczęła mię bawić, ale cóż, kiedy szczypy miały się ku końcowi.

— Mój boże — zaczął narzekać przestרחy ojciec — to może się źle skończyć. Jak nie bydymy mieć ognia, to te bestie staną się tym gorsze. —

Bezradnie obejrzał ściany i spojrzał w górę.

— Hm — powiedział po namyśle. —



Co by było, gdybyś tak Morcinku zerwał pore szyndziółów z dachu?

— Nie byłoby źle — odrzekłem — ale jak się tam dostać?

— Jest żeś przeca takim drzewołażnikiem, a na dach nie umiesz się wydrościć?

Jest trochę niebezpiecznie, ale co zrobić? Żeby mię tylko poprzeczki utrzymały — myślałem z obawą — do góry jakoś się wydrapię.

Ojciec jeszcze raz się schylił i zdawał się liczyć pozostałe szczypy. Nie było ich wiele.

— Pomóżcie mi, tato — poprosiłem, poplułem ręce i zacząłem się wspinać po ścianie, zaś ojciec trzymał mię za stopy. Wnet osiągnąłem pierwszą łatę podszycia dachu i mogłem bez wysiłku oderwać słabsze, przeprochniałe szyndzioly. Ojciec je zaraz złapał i podsycił dogasające ognisko, że znowu wesoło ogień trzaskał.

Ja ostrożnie przesuwalem się do brzegu ściany i wyjrzałem przez powstały ctwór dachu na zewnątrz. Na śniegu kręciły się czatujące cienie, czasem odłączyła się mała grupka i pognęła w pole, aby wrócić po chwili z przeciwnej strony. Mroźny wiatr dął od północy.

Ręce mi niebawem zdrętwiały, że z trudem je prosiłem. Mimo guni przechodziły mię dreszcze i zaczęły szczekać zęby, gdy ojciec grzał się koło ogniska i jakby zapomniiał o mnie.

— No, Morcinku — zawołał, kiedy szyndzioly coraz rzadziej spadać zaczęły, bo skostniałymi rękami nie mogłem nic zerwać — czy już ni ma?

— Ale jest — odrzekłem zmęczony, drżącym głosem — coś jeszcze jest.

— To czemu nie ściepujesz?

— Nie mogę — rozplakałem się i taka słabość mię chwyciła, że byłbym spadł, gdybym się na czas nie był ujął belki oburącz.

— Mój boże, synku — krzyknął przestraszony ojciec — jyny mi nie spadnij! Jak już ni ma co brać, to slazuj na dół!

Zdawało mi się, że w tych słowach był ukryty cichy zarzut i zostałem na swym posterunku. Zacerpnąłem mroźnego powietrza, rozprostowałem zziębnięte ręce i wyrwałem kilka nowych szyndziółów, zrzucając je w dół. Zawiał nowy prąd mroźnego powietrza, który jakoś dziwnie odczułem. Chciałem zejść, ale nie mogłem nogami poruszyć. Jak by przymarzły do belki.

Ojciec podsycił ogień i podniósł głó-

wę w moją stronę. Wyglądał jak jakaś senna zjawia.

— Tóż ślazu przeca synku, bo tam zmarzniesz na wyrchu!

Nie znalazłem już siły na odpowiedź. Ojciec myślał, że się uparłem. Nie odezwał się więcej.

Zaczeło już szarzeć od wschodu. Śnieg na polach i drzewa wokół szopy rozrzucone rysowały się coraz wyraziściej. Sennymi oczyma patrzyłem na wilki, leżące na śnieżnym kożuchu. Wtem — słyszałem to wyraźnie mimo gorączki — odgłos strzału przeszył powietrze, a za nim odezwały się dalsze, po nich przeraźliwy gwizd. Ojciec wołał mnie głośno, ale ja zapadałem już w głęboki sen.

Kiedy po godzinie otwarłem oczy, stało koło mnie kilku barczystych mężczyzn, ciekawie i z zadowoleniem patrzących na mnie.

— No wreszcie! — usłyszałem nad swym uchem metaliczny, dobroduszny głos, w którym rozpoznałem ku memu zdziwieniu głos leśniczego Jedlinki z Małych Górek. — Ale ma naturę, której mu trzeba pozazdrościć. Wisiał smyk cały twardy pod dachem i zdało się, że dusza jego była już niewiadomo w jakim piekle.

Kilku gajowych nacierało mię śniegiem i doprowadziło do przytomności. Popatrzyłem na ojca, który płacząc (nigdy go w życiu takim nie widział), przypadł do mnie i całował z wielkiej radości.

— Mój Morcinku, mój złoty Morcinku — powtarzał płaczliwie bez przerwy, więcej nie mogąc wyrzec.

— Dość tego gazdo — grzmiał leśniczy. — Nie róbcie nam tu żadnego teatru. Posadźcie synka na sanie i pilnujcie mi go do diabła! — Koło ust położył mi butelkę z czymś ciepłym i kazał popijać.

W drodze powrotnej opowiadał mi ojciec, trzymając mię jak dziecko na kolanach, jak leśniczy z gajowymi wybrał się w szczęśliwej chwili na polowanie do Leśnicy.

— Jakech usłyszał strzał — mówił — zaczął wołać o pomoc. Gojnie przylecieli i uwolnili nas z opaszc. Cosi wilków postrzelali, reszta zaś pozuciekała do lasu. Nie chciałem wierzyć, że z tobą aż tak źle jest. Mieli moc kłopotu, nim cie spod dachu spuścili. Dzierżołeś się tam jak klyszcz w żelaznych klamrach. Ale dzięki bogu, że nas wyswobodzili — dokończył ojciec, przytulając mię mocno do piersi.





POWRÓT

St. Wygodzki

Andrzeju!

Przybyły załkał i ciągle stał oparty o drzwi, które zamknął za sobą.

— Andrzeju!

Było skwarne południe, senne i leniwe. Andrzej wstał od stołu i przyglądał się w milczeniu człowiekowi przy drzwiach. Było tam nieco mroczniej, lecz mimo to Andrzej widział wyraźnie pobladłą twarz i białą opaskę na ramieniu przybyłego.

— Dzisiaj, już dzisiaj — powiedział człowiek przy drzwiach. — Po południu.

— Skąd wiesz?

— Już przyjechały ciężarowe samochody.

— Jesteś tego pewien?

— Ktoś dał znać.

— A jeśli nie?

— Cóż ja mogę powiedzieć? Skąd wziąć pewność?

— Gdzie dziecko? — zapytał Andrzej.

— W domu.

— Dlaczego?

— Nie wiedziałem... Przybyły zawahał się. Po chwili rzekł: — Nie wiedziałem, że zechcesz naprawdę.

— Powiedziałem ci, że ją wywiozę.

— A ja się bałem, ciągle się bałem.

— Czego?

— Bałem się, że może w tej decydującej chwili odmówisz, cofniesz się.

— Przyprowadź małą.

Zapanowało milczenie. Przybyły już wiedział, że decyzja zapadła i nagle ser-

cem jego targnęła trwoga. A więc to już? — pomyślał. A więc trzeba będzie naprawdę rozstać się z dzieckiem?

Zapytał:

— Zaopiekujesz się małą?

— Dlaczego pytasz?

Czy miał powiedzieć Andrzejowi, że oczekiwał przeczącej odpowiedzi? Tylko taka odpowiedź przyniosłaby mu w tej chwili ulgę, przywróciłaby mu spokój o dziecko. Uwierzyłby, że wyczerpał wszystkie możliwości i ze spokojem przyjąłby odmowę przyjaciela. Zatrzymałby dziecko, zostałoby przy nim i matce w tej ostatniej godzinie, dla której nie miał nazwy. Jaką ona będzie? Godzina życia czy śmierci?

— Bo gdyby miała cierpieć... — odparł człowiek z opaską na ramieniu.

— Jeśli biorę małą do siebie, to po to, aby się nią zaopiekować.

— Będę ci wdzięczny. Uśmiechnął się gorzko i dodał: — Niedługo.

— Nic nie możesz wiedzieć — odpowiedział Andrzej.

— Wiem — pokiwał głową ze smutkiem. — Wiem, niestety wiem. Nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi od reszty Żydów.

Andrzej nie odpowiadał, pozwolił człowiekowi przy drzwiach skryć się za tarczą milczenia. Dwaj mężczyźni zwróceni twarzami do siebie, pochylili głowy.

— Pójdę już — powiedział ten z opaską.

— A dziecko?

— Zaczekamy na ciebie przy szosie, po co mamy tu przychodzić?

— Masz rację. — Andrzej sięgnął po

pęk kluczy, leżący na stole i powtórzył.
— Masz rację. Zapręgę konie i wyjadę na szosę. Tam wsiądzie na wóz.

— Dziękuję ci, przyjacielu.

Andrzej nie odparł nic.

— Może wrócimy... Może jeszcze kiedyś ujrzę moje dziecko...

Mężczyzna stojący przy drzwiach ukrył twarz w dłoniach.

— Idź po dziecko — powiedział Andrzej łagodnie.

Płaczący człowiek, wsparty o drzwi, drgnął, otarł łzy, wysunął się cicho z mieszkania i ruszył pośpiesznym krokiem ku ghetu. Niebawem ukazał się na przeciwnym krańcu obszaru, który był umownym miejscem zbiorowego wyroku i przedwstępnej śmierci. Szedł szybko, prowadząc za rękę dwunastoletnią dziewczynkę. Była drobna, jasnowłosa. Idąc odwracała ciągle głowę, jakby ktoś tajemniczy wzywał ją głosem, który tylko ona pojmowała! Unosiła wtedy rękę i machała nią ku niewidocznej osobie, odległej, ukrytej. W pewnej chwili idący potknął się, więc pochylił się i szeptem mówił coś dziecku na ucho. Przyśpieszyli kroku, dziewczynka nie odwracała już głowy.

W rzece widocznej z dala odbijało się słońce, wzdłuż szosy spały w upale zakurzone drzewa. Ich cienie zgarnięte wysokim światłem leżały na środku szosy płaskimi plamami mroku. Zaturkotały koła. Od pół zbliżał się ku szosie wóz zaprzężony w dwa konie. Na koźle, z odkrytą głową siedział Andrzej, jasnowłosa, smukły. Konie stanęły w głębokim cieniu.

— Pożegnamy się — powiedział człowiek z opaską na rękawie i ujawszy dziewczynkę pod pachami dźwignął wysoko. W tym krótkim locie zdążył musnąć wargami jej włosy. Pomyślał: nic więcej, żadnych czułości, żadnych pocałunków. Posadził dziewczynkę obok Andrzeja, który patrzył w dal. Tam drzewa zamykały przestrzeń kłębowskiem listowia, pod którym pełzał skrawek upalnej szosy.

— Bądź grzeczna, Rachel — powiedział głucho ojciec.

— Ona będzie grzeczna — odparł Andrzej.

— Dlaczego płaczesz? — zapytała Rachel.

— Nie. Zdaje ci się. Jest straszny upał.

— Jedźmy — powiedział krótko Andrzej.

— Dasz mi znać? — zapytał półgłosem Andrzeja. Chciał jeszcze zapytać: czy zdążysz? Ale to pytanie wymagało zbyt wiele wyjaśnień.

Konie ruszyły. Wtedy dziewczynka odwróciła się i zapytała:

— A kiedy wrócę?

Ojciec biegł za wozem i przekrzykując dudnienie kół, dodał:

— Pan Andrzej przyjedzie po ciebie. Przyjedzie!

— Ja nie chcę — zawołało dziecko i odwróciło się.

Ojciec biegł za wozem. Widział twarz dziewczynki, jej przerażone oczy, otwarte usta.

— Andrzej! — zawołał biegnąc bez tchu — Andrzej!

Zatrzymał konie i czekał, aż ojciec Rachel zbliży się do wozu.

— Rachel — powiedział z wyrzutem. Oddychał z trudem, twarz miał spoconą. — Rachel, przyrzekłaś być grzeczna, przyrzekłaś matce i mnie...

— Przyrzekłam — ...

— I teraz — przerwał jej ojciec.

— Nie chcę.

Mężczyźni milczeli.

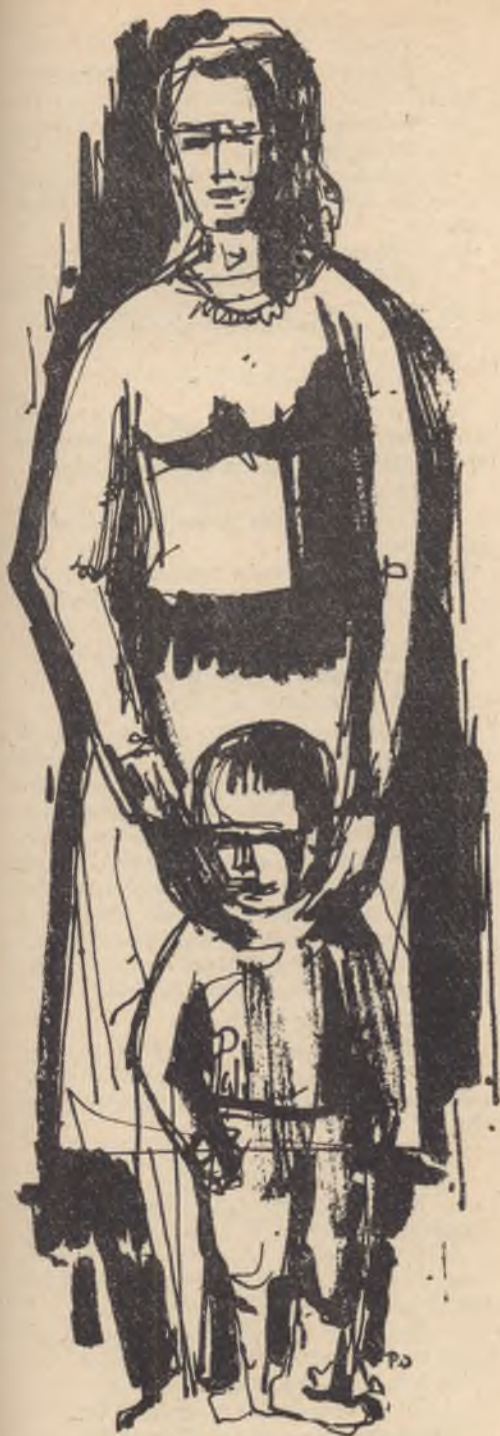
— Tracimy czas — powiedział wreszcie Andrzej, nie podnosząc oczu. — Decydujcie, wiesz jak jest...

— Rachel, moje dziecko — zawołał ojciec. Moje dziecko! Co powiem matce, jeśli cię znów zobaczy? Pomyślałaś o tym, co powiemy matce?

Przez chwilę dziewczynka milczała, potem powiedziała szeptem:

— Powiedz matce, że pojechałam —. Zwróciwszy się do Andrzeja dodała: — Jedźmy. Ojcu powiedziała zbiełymi ustami: do widzenia...

Konie oddalały się. Za wozem snuła się smuga pyłu. Jeszcze raz uniósł dłoń i pojął, że wykonał jakiś obcy nonsensowy gest. Już wiedział, że o zmierzchu wygnają go wraz z innymi do przygotowanych samochodów i wywiozą. Dokąd? Daleko? Stał samotny w zamknię-



tej przestrzeni, osaczony upałem i ciszą. Wóz zniknął w oddali.

Człowiek wracał powoli z ręką złożoną na piersi, na sercu przebitym niewidzialną włócznią. Z oczyma wzniesionymi ku niebu szepnął:

— „Niechże będzie miłosierdzie twoje, Panie! nad nami, jakośmy nadzieję w tobie mieli...”

*

— Daleko jedziemy? — zapytała dziewczynka Andrzeja.

— Nie, niedaleko. Do miasteczka.

— Do kogo?

— Do mojej matki.

— Pan ma matkę?

— Mam.

— Tak, jak ja?

— Tak.

— A dawno pan odjechał od swojej matki?

— Dawno.

— Kiedy?

— Gdy dorosłem.

— Ja nie jestem jeszcze dorosła.

— Ale dorosisz.

— Kiedy?

— O! Kiedy! — krzyknął Andrzej bez troski. — Za kilka lat!

— Ja bym chciała dopiero wtedy odjechać od mojej matki.

Andrzej odwrócił powoli głowę i jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem dziewczynki. Chciał jej powiedzieć: „ja przecież nic nie myślałem”, czy coś w tym rodzaju, ale Rachel patrzyła uporczywie.

— Pana też ktoś zabierał, gdy pan odjeżdżał?

— Mnie?

— Pana.

— Tak, tak — odparł pośpiesznie. — Mnie też ktoś zabierał. A w ogóle, nie mów mi pan, tylko ty. Dobrze? Pamiętaj!

— Dlaczego?

— Tak będzie lepiej. Pamiętaj, mów mi: ty.

— Kto ciebie zabierał?

— Ojciec.

— Ale ty nie jesteś moim ojcem, dlaczego mnie zabierał?

— Dlaczego? — mruknął niepewnie.

— Tak — nalegała dziewczynka.

— Dlaczego?

Jechali zwróceniu do siebie twarzami, oboje pełni podejrzeń. W sercu Andrzeja zjawiała się trwoga. Wydawało mu się, że nie ma nic łatwiejszego nad wynajdywanie kłamstw, które uspokoją dziecko, lecz nagle pojął, że każde słowo, to kłamliwe i to prawdziwe, kompromituje go w jej oczach. W słowach Rachel nie odkrył jeszcze niepokoju, była w nich na razie dociekliwość, uparta ciekawość, jasność przemyśleń, które go zaskakiwały swą szybkością. Chciał za wszelką cenę zyskać jej zaufanie, wprawić ją w stan zapomnienia, odwrócić uwagę. Wręczył jej lejce i zapewniwszy, że to ogromna przyjemność powozić końmi, pouczał, że to nie wymaga wysiłku.

— To takie proste!

Przyjęła lekko parciane pasy lecz po chwili zapytała:

— A ty masz dzieci?

— Mam. Nie, nie — zaprzeczył żywo. I dodał głośno: — nie mam dzieci.

Postanowił mieć się na baczności.

— A gdybyś miał?

Chciał krzyknąć aby zamilkła, gdy na szosie ukazał się ruchomy tuman kurzu, posuwający się ku jadącym. Andrzej odebrał z rąk dziecka lejce i pełen niepokoju wypatrywał, co się posuwa w oddali. Już nie miał wątpliwości. Na szosie huczał motocykl. Dwaj uzbrojeni Niemcy wyprzedzali chmurę pyłu, lecz mimo to dostrzegł ich olbrzymie okulary chroniące oczy, matowe, ceratowe płaszcze... Niemcy zrównali się z wozem i zahamowali gwałtownie motocykl. Andrzej jechał dalej powoli z wzrokiem utkwionym przed siebie. Hitlerowcy odwrócili głowy i w milczeniu spoglądali za mijającym ich wozem. Potem Andrzej usłyszał jak motor zawarczał, prychnął i tamci znów wyskoczyli na drogę. Odjeżdżali trzymając ciągle w grubych, szarych rękawicach jego serce.

— Bałeś się — powiedziała Rachel.

— Ja się nie boję nikogo — odparł.

— Dlaczego pytasz?

— Gdybyś miał dzieci...

— Powiedziałem ci — przerwał jej w połowie zdania — że nie mam dzieci.

— Ale gdybyś miał?

— To co?

— Gdybyś miał dzieci, oddałbyś je komu?

— Pewnie!

— Dlaczego?

— Jak to: dlaczego? A cóż to dziecko?

— To dlaczego mój ojciec oddał mnie ciębie?

— Tobie się mówi, a nie ciębie.

— Dobrze. Więc dlaczego oddał mnie ciębie.

— Bo chciał, żebyś wyjechała.

— Dlaczego?

— Może cię nie kocha?

— To nieprawda! — krzyknęła dziewczynka. — A ty, dlaczego jedziesz do matki. Czy ona ciębie nie kocha?

— Chyba tak.

— I mnie matka mówiła, że kocha, jak całe życie.

— Pewnie mówiła prawdę.

— To dlaczego oddała mnie ciębie.

— Tobie się mówi.

— Tobie.

— Zapytamy ją jak wrócisz.

— To wracajmy.

Na odległym polu, po prawej stronie szosy widniał olbrzymi dół. Czworobok świeżo wykopanego wgłębienia, otoczony był z wszystkich stron usypiskiem ziemi wydartej z głębiny. Żółta, glina naniecka puchła w jaskrawym upale sierpniowego dnia. Spadziłość ścian tego dołu, poorana łopatami, pogłębiła wrażenie zacisza, które się tam zadomowiło. Dziecko wbiło wzrok w tamtą kotlinę i nagle ścisnęło dłoń Andrzeja.

Andrzej powiedział:

— U mojej matki będzie ci dobrze.

— To nieprawda — odparła, nie odwracając głowy od dołu błyszczącego gliną.

— Dlaczego tak mówisz?

— Bo to nie moja matka.

— Powiedziałem ci już: jeśli chcesz wrócimy.

— Boisz się?

— Ja? — zapytał Andrzej i pojął, że głos jego drży.

— Boisz się. A mówiłeś, że ty się nikogo nie boisz.

— Nie boje się.

— To dlaczego nie patrzysz tam?

Wyprostowała ramię. Zamiast spoj-

rzeć we wskazanym kierunku, wzrok Andrzeja spoczął na dłoni dziecka. Ta mała ręka była blada i krucha. Drgnęła. Palce były przejrzyste i słabe, nietrwałością dzieciństwa. „Ręce moich dzieci” — przemknęło mu przez myśl.

— Ja nie chcę — powiedziała.

— Czego?

— Nie chcę jechać dalej.

— Dlaczego? — zapytał, starając się ukryć drżenie.

— Wracajmy! — w jej głosie wzbierał płacz.

— Twój ojciec prosił, żebym cię odwoził.

— Ja chcę zawrócić.

— Wrócimy.

— To wracajmy.

— Ale nie teraz.

— Kiedy?

— Później.

— Nie później, tylko teraz od razu!

— Zaczekamy.

— Ja chcę do mamy.

— Przysięgałeś być grzeczną.

Szosa pięła się pod górę. Konie wlokły wóz z wysiłkiem. Drzewa wsparte o własny milczący cień i upał, szły nieruchomo ku wzgórzu. U szczytu niebo wykrojone wśród koron drzew, pełnych listowia, wyglądało jak uśpione jezioro. Andrzej zeskoczył z wozu, by ulżyć koniom. Spoglądając ku górze widział nikły, dziecinny profil. Ten profil skrzył się milczącym rysunkiem naiwnych ust, ściągniętymi brwiami, tym nietrwałym znakiem, który odczytywał z łatwością. Chciał ją uspokoić więc powiedział:

— Zaraz dojedziemy do miasteczka.

— Kiedy?

— Zaraz. Z góry zobaczysz miasteczko.

— To długo potrwa?

— Nie.

— To dobrze.

Szedł spokojnie. Wydawało mu się, że pozostała już tylko ta krótka podróż odbywająca się w zaciętym milczeniu. Kiedy ono pęknie? Czy zdążą dojechać? Obejrzał się niespokojnie. Z oddali, stamtąd skąd jechali, znów rozległ się warkot motocykla. Był pewien, że ściągają go. Mimo to jechał dalej. Motocykl minął wóz z hukiem. Dwaj uzbrojeni



Taki naszyjnik chcą sprezentować Afryce imperialiści

motocykliści wrywali naprzód, nie obejrzawszy się za nim.

Na górze ukazało się miasteczko. Spoczywało wśród łąk i wyrastało prosto z ziemi jaskrawym kwadratem pełnym światła, błysków słońca, płonących w szybach uchylonych okien. Widać było ludzi snujących się po uliczkach. Na okrągłym rynku, na samym środku czerniała studnia. Ktoś poruszał niedo-słyszalnie, rytmicznie żelazne ramię pompy. Tamten człowiek pochylał się i wyprostowywał; do podstawionego wiaderka ściekał jasny strumień wody.

— Wracajmy — powiedziała nagle Rachel.

— Jesteśmy już blisko — odpadł Andrzej.

— Wracajmy! — rozkazała dziewczynka.

— Dlaczego?

— Ja chcę do domu, do mamy.

— Uspokój się.

— Czy chcesz, żebym tam zaczęła krzyczeć? — Wyciągnęła rękę i wskazała miasteczko spoczywające w dole. — Czy chcesz, żebym tam krzyczała?

Andrzej przystanął, czuł, że podróż kończy się w tym miejscu, gdzie cień wyprzedzający konie, wytyczał granicę szosy. Stał u wozu oniemiały z trwogi i patrzył w twarz dziewczynki.

— Widzisz? — powiedziała — tam ludzie chodzą po ulicy. Czy chcesz, żebym tym ludziom powiedziała, że wiesz Żydówkę?

Andrzej milczał.

— Zawracaj — rozkazała.

— Nie — krzyknął Andrzej rozpaczliwie. — Zginiemy.

— To zawracaj! Ja mogłam już krzyknąć wtedy, kiedy ci Niemcy zatrzymali się przy naszym wozie, ale nie chciałam. Zginąłbyś razem ze mną.

Andrzej przymknął oczy. Jeszcze czekał.

— Zawracaj — powiedziała teraz cicho, błagalnie. — Zawracaj...

Andrzej ściągnął lejce. Koń otarł się o wierzch jego dłoni, lecz mimo to poczuł miękkość sierści, ciepło zwierzęce-

go brzucha, uderzył weń ostry zapach potu. Konie zawracały powoli, posłuszne jego ręce. Droga opadała stromo, jego wzrok pomknął ku czworokątowi gliny, która błyszczała ostro na odległym polu. Na brzegach dołu widział przymy ziemi przygotowanej do zasypiania mogiły po masakrze.

— Dziękuję ci. Nie gniewaj się.

Jechali w ciemnym zaciszu nieruchomych drzew, milczący. Rachel ze wzrokiem utkwionym w oddali milczała, spokojna. Wypatrywała domostwa, które opuściła niedawno. Jeszcze było niewidoczne, ukryte za zakrętem szosy.

Gdy dojechali do miejsca, gdzie rozstała się z ojcem, zeskokczyła z wozu i krzyknęła na Andrzeja:

— Odjedź! Odjedź!

Słyszała gwar, głośny lament. Obejrzała się jeszcze raz. Słońce zachodziło. Andrzej jechał polną drogą ku swemu domostwu, nie odwracając głowy. Rachel ruszyła przed siebie, szła szybko ku gromadzie, która właśnie ukazała się na rogatce. Tam warczały cicho ustawione w czworoboki samochody. Pobiegła idącym naprzeciw, dostrzegła ojca i matkę.



NIEZBITY DOWÓD

K. CAPEK

Wiesz co, Tosiu — mówił sędzia śledczy Mates do swego najbliższego przyjaciela — to jest sprawa doświadczania; ja nie wierzę żadnym wykrętom, żadnemu alibi, żadnej gadaninie; nie wierzę ani oskarżonemu ani świadkom. Człowiek kłamie nawet wtedy, kiedy nie chce kłamać; jakiś świadek na przykład przysięga ci, że w stosunku do oskarżonego nie żywi żadnej wrogości, a sam przy tym nie wie, że w głębi duszy, rozumiesz, w podświadomości nienawidzi go jakąś tłumioną nienawiścią, lub utajoną zazdrością. Wszystko, co mówi ci oskarżony, jest z góry wymyślane i ukartowane; wszystko, co opowiada ci świadek, może być kierowane świadomym lub nieświadomym zamiarem dopomożenia oskarżonemu lub obciążenia go. Ja to znam, przyjacielu: człowiek to kreatura na wskroś zakłamana.

— Czemu zatem wierzę? Przypadkowo, mój Tosiu; takim mimowolnym, odruchowym lub, że tak powiem, niekontrolowanym reakcją, czynom albo słowom, które człowiekowi tu i tam się wymkną. Wszystko można sfałszować albo z góry sobie ukartować, wszystko jest udawaniem albo rezultatem z góry powziętych zamierzeń, tylko jeden przypadek nie; to można poznać na pierwszy rzut oka.

A ja mam następującą metodę: siedzę i pozwalam ludziom paplać, to, co sobie z góry wymyślili i przygotowali; udaję, że im wierzę, jeszcze im pomagam, zachęcam, żeby jeszcze bardziej rozpuszczali język, i czyham, kiedy im się wypowie to jakieś bezwiedne, nie zamierzone słówko; rozumiesz, do tego trzeba być psychologiem. Czasem sędzia śledczy stosuje taktykę zbijania obwinionego z tropu; wciąż mu przerywa i tak go zakułuje, że taki dureń w końcu przyzna się nawet i do tego, że zamor-

dował cesarzową Elżbietę. Ja natomiast chcę mieć absolutną pewność; dlatego też spokojniutko, cierpliwie czekam, aż w tej całej kombinacji kłamstw i wykrętów, która fachowo nazywa się zeznaniem, błysnie mi kawałek mimowolnej prawdy. Rozumiesz mnie, czysta prawda pojawia się na tym padole łez tylko przez niedopatrzenie: tylko wtedy, gdy się stwór ludzki jakoś przejęczy albo zagalopuje.

Słuchaj, Tosiu, ja przed tobą nie mam żadnych tajemnic; jesteśmy przecież kolegami od szkolnych lat... pamiętasz przecież, jak cię sprali, kiedy ja rozbiłem szybę. Nikomu bym tego nie powiedział, ale tak się za pewną rzecz przed tobą wstydzę, że muszę to przed kimś wygarnąć, trudno i darmo, człowiek odczuwa potrzebę spowiedzi. Opowiem ci, jak mi się służyła ta metoda sprawdziła akurat teraz niedawno w moim... w moim najbardziej prywatnym życiu; krótko mówiąc — w moim małżeństwie. A potem możesz mi powiedzieć, że byłem dureń i brutal, zaśłużyłem na to.

Człowieku, ja... no, po prostu podejrzałem swoją żonę Martusię; krótko mówiąc, byłem zadrosny jak wariat. Ubzdurałem sobie, że coś ją łączy z tym... no, z tym młodym... będę go nazwał Arturem. Myślę, że go nawet nie znasz. Czekaj, nie jestem Murzynem, gdybym wiedział na pewno, że go kocha, powiedziałbym — Martusiu, rozejdźmy się. Ale to właśnie było najgorsze, że nie miałem co do tego żadnej pewności; nie masz pojęcia, Tosiu, co to jest za męka. Psiakrew, co to był za paskudny rok dla mnie. Wiesz przecież, jakie głupstwa taki zazdrosny mąż wyczynia; śledzi, czyha, wypytuje służące, urządza sceny... A teraz weź jeszcze pod uwagę, że przypadkiem jestem z zawodu sędzią śledczym; człowieku,



moje życie rodzinne w ostatnim roku to było jedno wielkie przesłuchiwanie z krzyżowym ogniem pytań, od rana aż... aż znowu do łóżka.

Obwiniona, to jest chęć powiedzieć Martusia, trzymała się świetnie; czy płakała, czy milczała obrażona, czy zeznawała gdzie w ciągu całego dnia była i co robiła, na próżno czyhałem, że się w czymś przejęczy, albo jakoś zdradzi. Rozumiesz, okłamywała mnie często, chęć powiedzieć — kłamała normalnie, ale to już jest taki kobiecy zwyczaj; kobieta nawet ci nie powie uczciwie, że była dwie godziny u modystki — zmyśli, że była u dentysty, albo na

commentarzu na grobie matki. Im więcej ją dręczyłem — Tosiek, zazdrosny chłop to gorzej niż wściekły pies — im więcej ją sekowałem, tym mniej miałem pewności. Każde jej słowo, każdy jej wykręt oglądałem z dziesięciu stron i wywracałem na nice; ale nie znajdowałem nic poza tymi zwykłymi, z góry zaplanowanymi półprawdami i półkłamstwami, które składają się na normalne stosunki między ludźmi, a zwłaszcza na małżeństwo, rozumiesz mnie. Wiem, jak ja się przy tym wszystkim czułem, ale jak się tak zastanowię, co przeszła przy tym moja biedna Martusia, to miałbym, człowieku, ochotę prać się po głbie.

Tego lata Martusia pojechała do Franciszkowych Łaźni — rozumiesz, jakieś tam kobiece dolegliwości i tak dalej, krótko mówiąc, wyglądała kiepsko. Ma się rozumieć, że kazałem ją tam śledzić — opłaciłem sobie takie jakieś ciemne indywiduum, gościa, który się tam ostatnio tylko po knajpach włóczył... Dziwna rzecz, jak całe życie ulega skorumpowaniu, gdy tylko jakaś jedna jedyna rzecz nie jest u człowieka w porządku; jeżeli w jednym tylko miejscu masz plamę, już cały jesteś nieczysty. Martusia pisywała do mnie... tak jakoś niepewnie; jakby była zahukana, jakby nie wiedziała, o czym ma pisać; ma się rozumieć, węszyłem w tych listach i doszukiwałem się czegoś między wierszami... Aż pewnego dnia dostałem od niej list, adres był „Franciszek Mates, sędzia śledczy”, tak dalej, ale gdy otwarłem kopertę i wyjąłem list — widzę tytuł: „Drogi Arturze!”

Człowieku, ręce mi opadły. No, mam ją nareszcie. Bo zdarza się tak czasem, że kiedy człowiek pisze więcej listów, to włoży któryś z nich do niewłaściwych kopert. No cóż Martusiu, głupi przypadek, prawda? Aż mi się jej chłopie, żal zrobiło, że tak sama wydała się w moje ręce.

Nie myśl nic złego, Tosiu, pierwszym moim odruchem było nawet tego listu, przeznaczonego dla tego... tego Artura, nie czytać i odesłać go z powrotem Martusi, „byłbym to zrobił w każdym innym wypadku, ale zazdrość to paskudne uczucie i robi z człowieka świnię”, kolego, ja ten list przeczytałem i poka-



No i co powiesz na to, Tosiu? Ja wiem, że to nie jest list pełen polotu; z punktu widzenia stylu i interesującej treści jest to osiągnięcie zupełnie słabe; ale człowieku, jakie to rzuca światło na Martusię i na jej stosunek do tego biedaka Artura! Nigdy bym jej tak nie uwierzył, choć by mi nawet nie wiem co mówiła; ale w tym wypadku miałem w ręku coś tak bezwiednego, tak mimowolnego... No i widzisz z tego, że prawda, nieklamana i niewątpliwa prawda pojawia się tylko przez niedopatrzenie. Omal nie płakałem z radości... a zarazem ze wstydu, że byłem tak głupio zazdrosny.

zę ci go, bo go noszę przy sobie. Popatrz, co tu jest w nim napisane:

Drogi Arturze!

Proszę się nie gniewać, że dotychczas Panu nie odpisałam, ale martwiłam się, że Franuś — to jestem ja, rozumiesz? — tak długo do mnie nie pisał; ja wiem, że ma dużo pracy, ale gdy człowiek jest tak długo bez wiadomości od męża, to chodzi jak ciało bez duszy; ale Pan, Arturku tego nie rozumie. W przyszłym miesiącu Franuś tu przyjedzie, więc i Pan mógłby tu przyjechać. Pisze mi, że ma teraz bardzo ciekawą sprawę, ale nie pisał, co to za sprawa, ja myślę, że to pewnie będzie ten mord popełniony przez Hugona Müllera; mnie by to strasznie interesowało. Tak mi przykro, że Franuś trochę się od Pana odsunął, ale to tylko z tego powodu, że ma tak dużo pracy; gdyby było tak jak dawniej, mógłby go Pan wyciągnąć między ludzi, albo namówić na wycieczkę samochodem. Pan był dla nas zawsze tak uprzejmy i miły i nawet teraz Pan o nas nie zapomina, choć nie jest już tak, jakby między nami być powinno; ale Franuś jest taki nerwowy i dziwny. Nie napisał mi Pan nawet, co porabia Pańska ukochana. Franuś także narzeka, że w Pradze jest strasznie gorąco; powinien przyjechać tutaj i trochę wyprząć się z tej roboty, ale on na pewno przesiaduje w biurze aż do nocy. Kiedy jedzie Pan nad morze? Przypuszczam, że swoją pannę zabierze Pan ze sobą; Pan nie wie, co to jest, jak kobieta tęskni.

Serdecznie Pana pozdrawiam
Marta Matesová.

Co zrobiłem potem? No cóż, związałem sznurkiem akta Hugona Müllera, zamknąłem je w szufladzie i na drugi



Julia 60

dzien byłem już w Frantyszkowych Łą-
niach. Martusia, kiedy mnie zobaczyła,
poczerwieniała i zaniemówiła jak dziew-
czynka; miała taką minę, jakby dopu-
ściła się czegoś okropnego. A ja nic.

Franiu! — odzywa się po chwili —
czy dostałeś mój list?

— Jaki list? — dziwię się. — Diabło
rzadko coś do mnie pisujesz.

Martusia spogląda na mnie wylęknio-
na i wreszcie wzdycha jakby z ulgą.
„To ja go chyba zapomniałam wysłać”
— powiedziała i zaczęła grzebać w to-
rebce, aż wyłowiła stamtąd jakiś trochę
wymięty list. Zaczynał się od słów:
Drogi Franiu! W duchu nie mogłem się
powstrzymać od śmiechu. Widać pan
Artur odwrotną pocztą odesłał to, co
nie było dla niego przeznaczone.

Potem już nie padło między nami na
ten temat ani słówko; oczywiście za-
cząłem jej opowiadać o tym morder-
stwie Hugona Müllera, które ją tak
bardzo interesowało. Myślę, że do dzi-
siejszego dnia jest przekonana, że tego
listu w ogóle nie dostałem.

No, to byłoby wszystko; od tej pory
jest u nas przynajmniej spokój. Po-
wiedz sam, czy nie dureń ze mnie, że

byłem tak ordynarnie zazdrosny? Rozu-
miesz chyba, że staram się to teraz Mar-
tusi wynagrodzić; dopiero z tego listu
się przekonałem, jak się o mnie trosz-
czy, biedactwo. Tak, wygarnąłem jej
wszystko: człowiek więcej wstydzi się
swojej głupoty niż swoich grzechów.

Ale masz oto klasyczny przykład, jak
dokumentarne znaczenie ma tego ro-
dzaju czysty i bezwiedny przypadek,
prawda?

Mniej więcej w tym samym czasie
młody człowiek nazwany tu Arturem,
pytał pani Martusi:

— No i co, maleńka, pomogło?

— Co, kochanie?

— No, ten list, coś wysłała wtedy do
niego niby przez przeoczenie.

— A pomogło — odrzekła pani Mar-
ta i zamyśliła się. — Wiesz, kochany,
aż się wstydzę, że Franek tak strasznie
mi teraz wierzy. Od tego czasu jest dla
mnie taki dobry... Ten list stale nosi
na sercu. — Pani Marta wstrząsnęła się
lekkim dreszczem. — To właściwie
straszne, że... że ja go tak okłamuję.

Ale pan Artur tak nie sądził; przy-
najmniej twierdził stanowczo, że tak nie
sądzi.



Staro Kłapsino łód potoka była już kupa rokóf na wymowie łu syna Pawła, co mu powiadali Łowieziok. Choć była staro, cośka nad łosimdziesiónt rokóf to jeszcze śni była baba przy sobie. Sama se tyn zogónek na zymnioczki pokopała, krowym wydojiła, sama se fuły nawarziła i szruty wyprała. Żodnego tam ło nic nie pytała a jeszcze jak tam w chałupie była pilno robota, to i niewieście pómógła. Łu dochtora nigdy nie była, choć miała dwanościoro dzieci a co to je jakisik choróbsko, też nie wiedziała. Żyła se łu syna pocichutku, nigdzi nie chodziła a ło nic sie też nie starała, bo jak sama mówiła, że ją te dzisiejsze nowości na świecie strasznie

paść a wszecki łowce i barany połuciekają do lasa, kiej takóm kiśniym bez kóni łuwidzóm.

Ani wóm spać nimógła, jyny ło tych łautobusach myślała. Ale nic nie pómógło. Jakosik zaroz po piyrszym zaczn tyn łautobus do Jabłónkowa naprowde jeździć. To wycie, że piyrszy roz to było z wielkóm paradóm. Cały łautobus był łobwieszany czetyną, szofer miał nowóm czopkym i całóm cestóm wiesioło trómbił, aż to było na Kamiynite słychać. Krowy i barany jak to widziały i słyszały, tak ze strachu ryczały i łuciekały ku chałupóm. Pastyrze mieli dość roboty, aby to zaś zegnać do kupy.

Ale niejwiece strachu łuzyla ta staro

KAROL PIEGZA

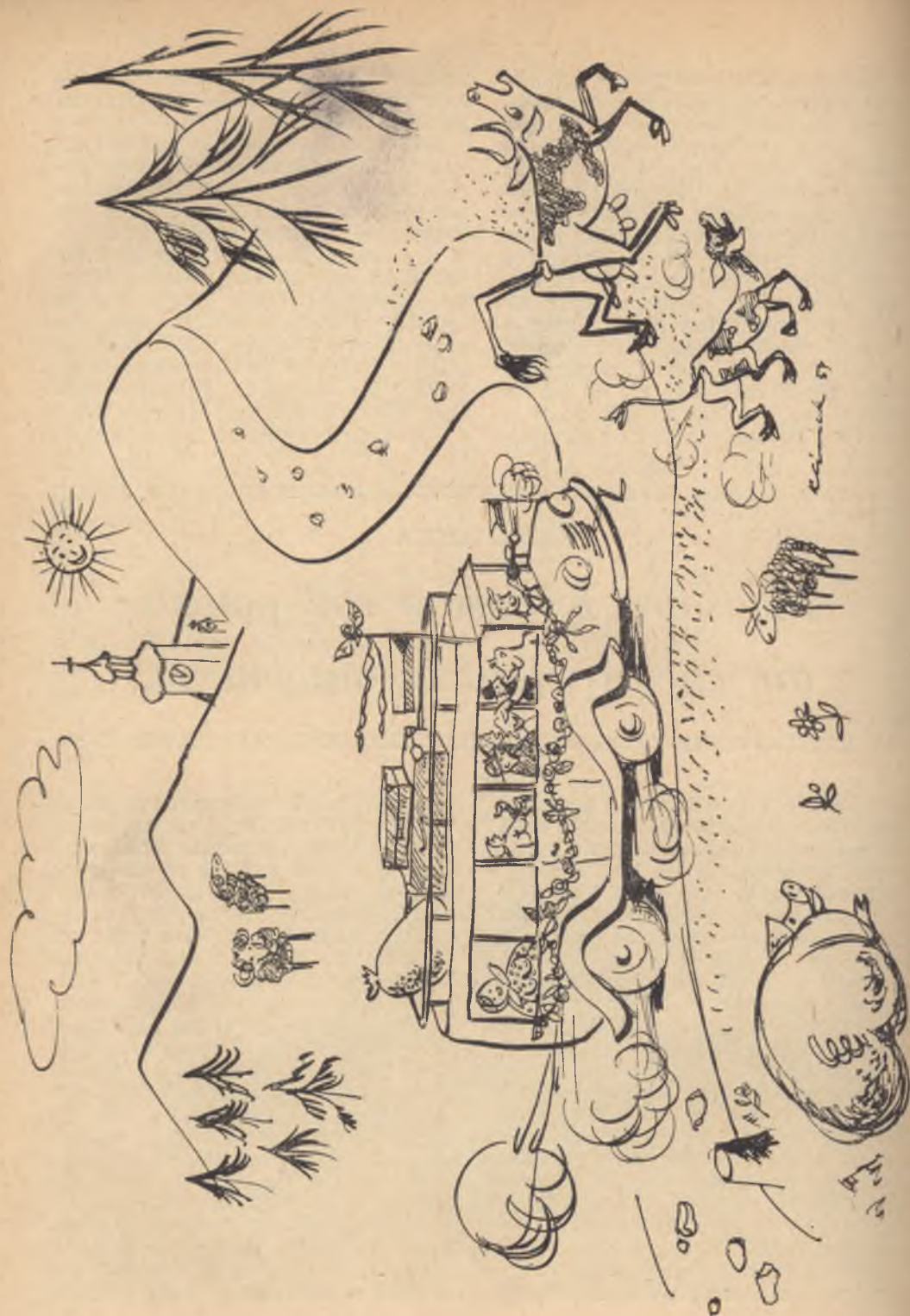
Jak staro Kłapsino łód potoka nie chciała jeździć autobusym

gniywają. W swoji jizbie kaj mieszkała miała jeszcze nolepe a jinszego pieca ani nie chciała. Jak sie ji ludzie pytali, czemu sie w tym dymie dusi, to zowdy łodpowiadała, że dym czyści łozy i że ludzie nie wiedzą, co je dobre na pluca. Ludzie sie tymu śmioli, bo co z taką starą babą namówicie.

I byłaby se tak dali cichutko żyła i na tej nolepie siodywała, gdyby sie naroz nie rozniósło po całej Sałajce, że łód piyrszego zacznie jeździć łautobus do Jabłónkowa.

To wycie, że do starej Kłapsinej jakby łuderziło, kiej sie ło tym dowiedziała. Dwa dni ze żodnym nie mówiła a potym zaczęła nadować, że sie taki bezperactwa na świecie robióm a żodyn tymu nie zakoże. Dyć kto to widzioł, aby porzónndny człowiek, co mo zdrowe nożyska, jeździł takim plugastwym po świecie. Na dyć i krowy stracóm mlyko, bo sie ze strachu nie bydóm mógly

Kłapsino. Ta jak łusłyszala tyn łautobus trómbić, tak jyny sie zegnała i łokno w jizbie zamykała. Może z-tydziyń co ani na pole nie wyszła, jyny dóna w łózkú leżała a pierzinóm głowym zakrywała. Ciągym jyny narzykała, czemu już ji pónbóczek rychli nie wzión z tego świata, aby sie nie musiała staro Kłapsino spod tej pierziny wylyć i iść pómogać na pole. To wycie, że se nieprzód trzóna łoktuszkami głowym łobwiała i do łucha łowczej wełny naciśa a że pole było pod lasym, tak tego łautobusu jakosik tam nie słyszała. I byłoby sie wszecko dobrze skónczyło, gdyby nie ku wieczoru, jak już łowies na niżnim kóncu dożinała a łoktuszki z głowy ściępała,



tyn łautobus tak łoszkliwie nie zatrómbił w dole, że aż łod strachu na zógónie sie przewróciła i siyrpym do ręki dość głęboko nie zajechała. To wyście — jako baba — jak krew łuwidziła, tak hnetka i zymdłała. Jak to syn Paweł łuwidził, prziskoczył i łopaskym łod galot ji rękym ściógnół, dźwignół na ramię i niós ku chałupie. Ale krew porząd ciekła. Staro Zogacino z Uplazu co sie prawie po ceście nacapiła, radziła w chlywie po kątach nazbiyrać starej pajęczyny, rozrobić z chlebym i zatkać ranym aby nie krwawiła. Na szczęści szel po ceście jakisik starszy letniok a tyn poradził, aby zaroz Paweł jechoł z mamóm do dochtora do Jabłónkowa, bo ją jinaczy krew łodyńdzie i może umrzeć. Pawłowi to samymu szło i tuż hnet był za tym. A że prawie jechoł po ceście łautobus ku Jabłónkowu, tak go tyn letnik zastawił i pómóg Pawłowi zymdłaną matkę do łautobusu naladować. Jakosik na Zowodziu sie staro Kłapsino spamiyntała i zaczęła sie dołokoła łogłądać. Łoczy ji ze strachu wylazły na wyrch kiej łuwidziła w czym jedzie. I byłaby z tego łautobusu łoknym wyskoczyła, ale jak sie podziwała na rękym i zakrwawiony fortuch spuściła łoczy na dół i siedziała po cichu. Jak przyjechali do Jabłónkowa na rynek, wysmyczył ją Paweł z łautobusu i zakłudził do dochtora. Tej krwi po ceście dość straciła i tuż była słabo i nic nie mówiła. Dochtór jako dochtór — ranym wymył, rękym zafaczował i posłół do chałupy.

Jak wyszli łod dochtora już sie śmiywało. Staro Kłapsino sie jyny łogłądała po rynku czy kaj jakigo furmana ze Sałajki nie łuwidzi, ale jak na złość nie łuwidziła żodnego. Łobetrzyła fortuchym łoczy i smutno sie spytała: Na Pawełku, jak sie teraz dostanymy do chałupy?

Paweł sie uśmiychnył a prawi:

Na jyny łautobusym, mamó, dyc widzicie, że tu żodnego furmana łod nas nima! A łoto łautobus prawie stoi przy ciściarni.

— Też se tak myślým, Pawełku! — powiedziała staro Kłapsino i wlażła za Powłym do łautobusu.

Za chwily łautobus zatrómbił i po-jechoł ku Sałajce. Po ceście staro Kłap-

sino nic nie mówiła, jyny cośka rozmyślała. Jak już dojyżdżali na Jastrzymb-ski potok łobróciła sie ku Pawłowi i prawi:

— Wiysz Pawełku co?

— No co?

— Że gdyby nie tyn łautobus, tobych była łumrzyła!

— Toć żebyście byli łumrzili! — a po chwili. — Dobry, mamó, jest tyn łautobus!

— Ło dobry, synku... Ani sama żech se nie myślała, że sie może człowiekowi tak przidać! — Pokiwała siwą głową, a że sie ji na płacz zbiyrało, tak tą zdrową rękóm łoczy łobetrzyła, a potym już cicho siedziała.

Za chwile łautobus zóstoł stoć. Paweł podziwoł sie do łokna i prawi:

— Mamó, trzeba nóm wysiodać!

— Na nie prow synku, dyc my są ledwa pod Kamiynitym!

— Kaj też tam pod Kamiynitym, dyc łoto widzicie nasz kościół na kopcu!

Staro Kłapsino nie chciała tymu wierzyć, że już są w Sałajce. Kiej wylazła z łautobusu nimógła sie nachwolić, że tak hónym zajechali i że sie ji tak miękko siedziało. Aji ręka ją przestała troche boleć, jyny że sie ji w głowie toczyło i słabo sie czuła. Ale za tydziyń było już wszystko w porzónдку i było trzeba jechać do dochtora rękym pokozać. Jak sie rano zbiyrała i rękym w szafliku myła prziszeł Paweł z chlywa i prawi:

Tuż co, mamó, pójdziemy pieszo do tego Jabłónkowa, czy pojedziecie łautobusym.

Toście mieli widzieć jak sie na niego szpatnie podziwała spod czepeca.

— Jo ci dóm pieszo — prawi staro Kłapsino — to se myślisz, że ta wygoda jest jyny dło was młodych a dło nas starych ta drzina. Ło ni, synku, teraz i my starzy musimy troche tej dobroci łuzyc.

Potym sie zebrala i hónym leciała ku tymu łautobusu, aby ji nie uciyk.

Paweł już nic nie prawił jyny sie uśmiychnył i za uchym poszkroboł. Łod tego czasu staro Kłapsino na łautobus nie dała nic powiedzieć i często zaczęła do Jabłónkowa jeździć, choć nimiała po co.



Bronisław Firla: *Bukiet*

BOLESŁAW LUBOSZ

Przy źródle

Ptaki, ptaki i ognie,
różę światłem przebite,
szumią wiatry swobodnie
i śpiew przy źródle kwitnie.
A moja miłość jak drzewo,
co szumi w liści deszczu.
Dziewczyno — całujesz wy-
znanie
w rozkołysanym zmierzchu.

— — — — —

Ptaki, ptaki i ognie,
róża milczeniem pieści.
Umarło źródło. Przechodnie
drzewo mijają bez liści.



Franciszek Karpiński

przejeżdżał w 1770 r.

przez Bogumin

Postać Karpińskiego jest jedną z najwznioślejszych w literaturze polskiego oświecenia. Wielki poeta polski, najwybitniejszy przedstawiciel postępowego nurtu nowego kierunku zwanego wówczas sentymentalizmem, jest świadkiem wielkiej tragedii narodu polskiego — utraty niepodległości. Uczuciem rzewnego smutku przepełnione są jego elegie. Przepiękny utwór poetycki — elegia patriotyczna „Żale Sarmaty” napisana już po upadku niepodległości, przejmując bolesnym stwierdzeniem, że po stracie ojczyzny pozostały tylko żale i łzy.

Ale Karpiński pisał nie tylko smętne i rzewne elegie; na jego twórczość składają się także sielanki, wiersze miłosne, dumy i utwory okolicznościowe. „Zabawki wierszem i prozą” napisane w latach 1782—1787, składające się z 7 tomów stanowią zasadniczy trzon twórczości poety. Popularne sielanki, jak „Laura i Filon” czy „Korydon smutny na cześć Palmiry” mogą posłużyć za przykład sielanek konwencjonalnych, to znaczy takich, w których poeta nie maluje obrazu wsi i jej mieszkańców w sposób bezpośredni. Nie mniej jednak, jak to zaznaczył Mickiewicz, „krajobraz, naszczekiwanie psów stanowiące muzykę wieczorną na każdej wsi, ten bór zamykający widnokrąg, wszystkie szczegóły, i te maliny, i ta plecionka, wszystko to wzięte z powszedniego życia w Polsce”.

Bogata i urozmaicona twórczość Franciszka Karpińskiego wniosła do literatury nowe wartości liryczne i, co jeszcze ważniejsze, wzbogaciła ją pierwiastkami realistycznymi.

Naszych czytelników zaciekawili niewątpliwie bardzo interesujący fragment podróży poety do Wiednia, przejeżdżającego przez Bogumin i Morawy, opisany w „Pamiętnikach”. Zatrzymawszy się na pewien okres czasu w Białej koło Bielska poeta pisze: „Jadąc do Niemiec, w Białej, w ostatnim miasteczku polskim, zastaliśmy (poeta podróżował do Wiednia wraz z starostą upickim Puzyną — przyp. własny) wielu marszałków naszych konfederackich, między którymi był sławny pułkownik Paszczowski, już trzymający się umyślnie blisko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można

do cudzej ziemi. Co też niedługo potem nastąpiło. Stąd wyjeżdżając do bliskiego miasteczka szląskiego, Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich wzruszyły we mnie miłość ojczyzny mojej, którą porzucam.

Szląsk kiedyś był polską prowincją i miło mi było, już kilkanaście mil w tym kraju ujechawszy, spytać się moim językiem wieśniaka po drodze idącego o drogę do Oderberga, a on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderberg, a to miasto zowie się Boguminów — po dawnemu.” Tak to dawność i uśiłowanie niemieckie nie mogły wymazać z pamięci pospółstwa nazwisko starożytne miasta tego. A ten mój język, pozostały jeszcze między pospółstwem potwierdził mi wielkość dawną naszych Słowian, którzy tak zmarnieli w czasie teraźniejszym.

Przez Opawę, Ołomuniec, Brno w Morawii przejeżdżając, moim własnym językiem rozmówiłem się, i dopiero do Austrii wjechawszy już chłopci niemieckim tylko odpowiadali...” (włącz)



Gustaw Fierla: Martwa natura

DANUTA SIWKÓWNA

GOŁĄBEK

Łatwo wam powiedzieć: przeprowadzka. Ale spróbujcie się przeprowadzić tuż przed pierwszym maja. Mówicie — przed pierwszym maja, czy przed dwudziestym trzecim sierpnia — czy to nie wszystko jedno?

A właśnie, że nie.

Pomyślcie tylko:

Przyprowadziliście się do nowego mieszkania prawie w samym centrum miasta. Jesteście zadowoleni. Wszędzie blisko a mieszkanie samo? Hm, lepszego nie można sobie nawet wyobrazić. Trzypokojowe z przynależnościami, w łazience ciepła i zimna woda, a wszystkie okna są od słonecznej strony (jak to sobie w jednym wierszu marzył Broniewski) i wszystkie prowadzą na ulicę.

I w tym właśnie sęk.

Bo kiedy wyjrzałam z okna, zobaczyłam, że cała ulica jest obwieszona flagami, transparentami i girlandami, a wszystkie, ale to wszystkie okna są w ten czy inny sposób przystrojone. Wszystko tu szumi, łopocze na wietrze, gra kolorami tęczy. Tylko nasze okna są ślepe, puste, gołe.

Nie, tak tego zostawić nie można.

Że brudne, — nie szkodzi.

Jeszcze je zdążę oczyścić, będą błyszcząć i świecić jak kryształ. Ale ozdobić je trzeba koniecznie.

I tu zaczęły się komplikacje.

Wszystkie ozdoby pierwszomajowe, które jak i ozdoby choinkowe przechowujemy z roku na rok, zostały zapakowane w którąś z licznych paczek z książkami i czasopismami.

W którąś. Ale w którą?

Stoję nad górą paczek i staram się odgadnąć; która z nich zawiera chorągiewki. Wiem, że je wkładałam na sam wierzch, żeby były pod ręką, jak będą potrzebne. I oto są potrzebne jak sól — a nie ma ich.

Podumawszy chwilę nad nieszczęsnymi paczkami, włożyłam palto i nie

tracąc czasu pobiegłam do miasta z niezłomnym postanowieniem zrujnowania się i kupienia nowych pierwszomajówek.

Przeszukałam wszystkie księgarnie i Narpy, ale wszędzie mi bardzo grzecznie oznajmiono, że wszystko już wyprzedane.

Wiadomo: w przeddzień 1 maja!

Tylko w jednym sklepie mieli jeszcze koreańskie chorągiewki, ale ich nie kupiłam, bo po co mi koreańskie skoronie ma innych. Zresztą Korea dziś już nie aktualna. Dziś mamy, prawda, Algier, Kubę i tamte inne rzeczy. A poza tym wpadłam na genialny pomysł:

Gołąbek pokoju!

Tak jest. Tylko gołąbek.

To zawsze najwłaściwsze i zawsze aktualne!

Kupiłam kilka kartek rysunkowych i biegnąc do domu myślałam: wytnę kilka gołąbków, dokładnie tyle ile jest szyb — zaraz — a ile ich właściwie jest? — szybko policzyłam — osiem. Świetnie! Czyli, że wystarczy narysować tylko jednego jedynego gołąbka na przemyślnie złożonych kartkach i wyciąć. A potem nakleić symetrycznie na szyby.

Ucieszyłam się. Toż to jak w bajce „Siedmiu za jednym zamachem”.

Bez tchu prawie dopadłam krzesła przy biurku i od razu zabrałam się do rysowania.

Tylko, że to nie takie proste, jak by się zdawało.

Niby nic — gołąbek pokoju.

Ale spróbujcie go z pamięci narysować! Sądzę, że nawet najbardziej uświadomieni tego nie potrafią!

Mój „gołąbek” wyglądał raz jak kwołka, to znowu jak struś, wreszcie jak galijski kogut. Byłam zrozpaczona. Tego koguta można byłoby powiesić w oknie, gdyby Francuzi nie byli wrzucili atomowej bomby na Saharę. Ale tak!?

W szkole podstawowej i nawet w gimnazjum miałam zawsze z rysunków bardzo dobrze. A dzisiaj gołąbka nie narysuję. Panie profesorze! Co pan na to?

Rezygnuję. Trudno. Picassem nie jestem. Tu trzeba chwycić się innego sposobu.

Rozpakowałam paczkę ze starymi gazetami i zaczęłam się w nich grzebać, spodziewając się, że na pewno znajdę jakiś wzór.

Lecz jak na złość w tygodnikach było wszystko prócz gołąbka. Miałam już żubra, zółwia, nawet papugę a gołąbka jak nie ma, tak nie ma!

W pierwszomajowym numerze dali na okładce jeden jedyny czerwony goździk. Też pomysł!

Zrozpaczona siadam znowu do rysowania z pamięci i znowu bezskutecznie. Czas leci.

Nieocyszczone okna patrzą ślepymi szybami w odświeżone przybraną ulicę. Rzeczy leżą dotąd nierozpakowane, obiad nieugotowany — a gołąbek nienarysowany.

W przedpokoju słysząc dzwonek.

Wraca synek. Przedstawiał się dziś w swej nowej szkole i zapoznawał z nowymi kolegami.

— Mamusiu obiad! — woła już od progu.

— Ach, dziecię nieszczęsne. Weź sobie tymczasem bułkę z szynką, leży w kuchni na stole.

Zajadając bułkę, zagląda mi przez ramię.

— Mamusiu, ty co robisz?

— Ach, synku, wiesz, chciałam narysować gołąbka pokoju, ale jakoś mi się nie udaje...

— Phi! To myśmy w szkole rysowali tyle gołąbków! Pokaż! — i z wielką pewnością siebie bierze mi z ręki ołówek.

Patrzę i własnym oczom nie wierzę.

Tak, tak. Ten smarkacz narysował od razu, za jednym zamachem ślicznego gołąbka. Na wpół z profilu, z rozpostartymi skrzydełkami i małą, kształtną, prawdziwie gołębią główką.

No wiecie!

Narysowano. Wycięto.

Pierwszy Maj był uratowany!

Idąc w pochodzie pierwszomajowym, patrzę w nasze okna, jak ładnie im z tymi gołąbkami i myślę o tym, że jednak czasem jajko może być mądrzejsze od kury.

DANUTA SIWKÓWNA

Kilka notatek o folklorze cieszyńskim

Jak wykazały badania, żaden wytwór, a więc i literatura ludowa nie jest zjawiskiem odosobnionym, ale występuje w związku z innymi elementami kultury, które są uzależnione od całego szeregu czynników a zwłaszcza od podłoża ekonomicznego. Gospodarcze i społeczne warunki były podłożem, na którym wyrastały powieści ludowe. Przypatrzmy się, jak dana sytuacja wyglądała na Śląsku a zwłaszcza w okręgu cieszyńskim.

Już w początkach 16 wieku osadzili się w Beskidzie Śląskim Wołosi, którzy hodowali bydło a zwłaszcza owce. Wołosi wywodzili się częściowo z Rumunii, Polski i Słowacji. W górzystych miejscowościach okręgu cieszyńskiego powstawały nowe osady: Boconowice, Łomna, Koszarzyska, Tyra, Rzeka. Różne zainteresowania gospodarcze, osobliwy sposób życia szczególnie charakteryzował tę właśnie grupę, która pomimo tego, że powoli zaczynała się asymilować z miejscową ludnością, zachowała jednak znaki bardzo charakterystyczne. Osobliwość ta była widoczna tak w kulturze ludowej, jak i w sposobie mieszkania, ubierania się, w opowiadaniach, pieśniach i bajkach. 17 stulecie wytworzyło klimat dla opowiadań i bajek o zbójnikach. W tym właśnie okresie władze zaczęły ograniczać prawa wołoskie, nakładać na Wołochów nowe podatki i rujnować ich gospodarstwa. Przejawem walki stało się wtedy zbójnictwo. Na schyłku 17 wieku notujemy już powolny upadek szałaśnictwa, jako wynik polityki klasy panującej, która ograniczała Wołochów pod względem gospodarczym i prawnym. W połowie 18 w. zwierch-

ność powoli likwidowała szałaśnictwo, ponieważ znalazła nowe i bogate źródło zysku. Były nimi huty, przemysł i lasy, które dostarczały drzewa dla rozwijających się kopalń na całym Śląsku. Różnymi rozporządzeniami władze zabraniały Wołochom wstępu do lasu i odbierały im pastwiska. Tak zniknęły szałaszy. Z Wołochów stali się drwale w lasach pańskich, rolnicy i robotnicy w hutach. Różnica między starą ludnością rolniczą a pasterzami górskimi znikła w przeciągu 18 i 19 wieku, chociaż w kulturze ludowej tego właśnie kraju utrzymały się w niektórych miejscowościach osobliwe cechy kultury góralskiej. Po upadku pasterstwa szałaśniczego decydującym czynnikiem w życiu społeczeństwa i w życiu gospodarczym był rozwój huty w Trzyńcu. Do połowy ub. stulecia był Trzyniec małą wsią bez jakiegokolwiek znaczenia. Kiedy zaś w r. 1839 zapalono tu pierwszy piec, dla okręgu tego nastąpiło nowe życie. W roku 1872 została zbudowana Kolej Koszycko—Bogumińska. Tu właśnie zaczyna się wielki rozwój huty, która usunęła na dalszy plan Ustroń i Frydek. Jest jasne, że zanik szałaśnictwa i rozwój przemysłu wywarł głęboki wpływ na podania ustne, pieśni itd. Źródła, z których czerpały opowiadania, bajki, pieśni i podania szałaśnicze, znikły. A z nimi i szałaśnicze podania ustne. Znikły więc warunki dla opowiadań o zbójnikach, które utrzymały się już tylko jako echo przeszłości. Z takiego właśnie powodu zanikała i poezja obrzędowa. Jeżeli mówimy o zmianach w folklorze, musimy zwrócić uwagę na ważną okoliczność, jaką była na pewno imigracja na przełomie 19 i 20 wieku. Nowi pracownicy hut trzynieckich, którzy przechodzili głównie z Galicji, przynosili z sobą nowe opowiadania, pieśni, podania itp. Niektóre z nich stały się z biegiem czasu własnością całego regionu.

Pieśń ludowa przechodzi z ust do ust, ulega przekształceniom w miarę upływu czasu, lecz czynnikiem hamującym te przemiany jest forma wierszowana, która chroni ją przed zbyt dużą dowolnością śpiewaka. Prozaiczne opowiadania nie narzucają się z taką siłą pamięci opowiadającego. I choćby świadomie pragnął nie odstępować od przekazane-



Mistrz Twardowski na kogucie nie należy co prawda do folkloru cieszyńskiego, jest zato stałym gościem obchodów Dni Tarnogórskich gwarków.

go wzoru, mimo woli dostosuje go do przygodnych słuchaczy, do chęci moralizatorskich itp. Do zasobu opowieści przekazywanych odwiecznie wciskają się nowe, przeczytane w kalendarzach lub w literaturze odpustowej tzw. straganowej.

V. Tille natomiast twierdzi, że wszelkie podania i bajki, które krążą wśród ludu, mają źródło w książkach. Tille pisze: „... straciłem wiarę w osobliwy świat bajki, wytworzony przez lud.”

Wydaje mi się, że twierdzenie to nie jest całkiem słuszne. Faktem nie do zaprzeczenia jest to, że i książki mają wpływ na rozpowszechnianie bajek, podań itd., jak i na ich deformację. Trudno się zgodzić z twierdzeniem, jako by wszelkie podania ustne krążące wśród ludu pochodziły z książek. Lud reaguje na różne wydarzenia, warunki polityczne i gospodarcze, sam wytwarza sobie bohaterów, którzy walczą o jego prawa. A podania te przechodzą z pokolenia na pokolenie. Ze zmianą warunków e-

konomicznych i politycznych zmieniają się i podania.

Ulubionym rodzajem powieści śląskich w ub. stuleciu były anegdoty, opowiadania o sprycie chłopca, o sprycie złodziei, o zbójnikach itd. Należą tu również opowiadania historyczne, jak np. o śpiącym wojsku i ukrytych skarbach. Są również opowiadania o potędze człowieka, który zwyciężył w walce z potworami i istotami nadprzyrodzonymi. Powieści te były reakcją na walki, antagonizmy klasowe oddziaływały na masy chłopskie, mobilizując je przeciw klasom wyzyskującym. Takie opowiadania, jak: „O sprytnym siedloku, jak przed królem spór wygrał”, „Jak chłop pana w łgarstwie przewyższył”, trafiały do chłopów, rozbudzały ich wyobraźnię i zachęcały do walki z panami. W opowiadaniach tych bywa ośmieszony pan, wyprowadzany w pole przez chłopca, który nad nim góruje sprytem.

Na obszarach Beskidu miały przewagę powieści zbójnicze. Zbójnictwo, wynik ucisku i różnic klasowych, było jeszcze w początkach XIX w. kontunacją oporu chłopów przeciwko feudalom, który miał początek już w 17 wieku. Odgłosy tych wystąpień widzimy w opowieściach o Janosiku z Liptowa na Orawie, o Ondraszku z Janowic, którego zabił jego kolega Juraszek w r. 1715, o Proćpaku z Kamesznicy, o Targoliku z Łomnej itd. Do popularnych powieści o miejscowych, bliżej nie określonych wydarzeniach należy zespół wątków o śpiącym wojsku, zaklętych skarbach itd. Dla aktualizacji są powiązane z miejscowymi krajobrazami, które szczególnie zwracają na siebie uwagę kształtem, położeniem, wyniosłością itd. Do nich należy z Beskidu Śląskiego Barania, Łysa Góra, Głowa a przede wszystkim Czantoria. „O śpiącym (zaklętym) wojsku”, popularne zwłaszcza wśród ludów podbitych, przechodziły przez Śląsk na ziemię polskie. Bardzo popularne są tu baśnie fantastyczne, jak podania o królewnie i smoku zabitym przez młodzieńca. Możemy to tłumaczyć jedynie naturalnym dążeniem do zajęcia właściwych pozycji w hierarchii społecznej.

Liczną grupę opowiadań tworzą opowiadania górnicze. Życie górnika obfi-

tuje w różne przeżycia, które wiążą się z podziemnym światem baśni. Pomijając obfity materiał kronikarski nieszcześliwych lub osobliwych wydarzeń, żyją w tych opowieściach istoty demoniczne a zwłaszcza topielec i błędne ogniki. Wątki zbojnickie, które zostały przeniesione z południa, przekształcano. Powieści o Eliaszu, Pistulce, Sobczyku, które były powiązane z walką o ziemię między książętami a chłopem, urosły w powieści o bohaterach mszczących się za krzywdy. Jednak najbardziej charakterystycznymi postaciami tych opowiadań to Skarbnik i Pusteki.

Jeżeli przeprowadzamy analizę podań uстных na Śląsku, to stwierdzamy, że obok wątków rodzinnych spotykamy i inne, które są powszechnie znane. Przywoziły je karawany kupieckie, przejeżdżające przez Śląsk nie tylko z południa ku północy, lecz i z zachodu na wschód. Przychodziły z wędrownymi rzemieślnikami, pasterzami, weteranami wojennymi itp. Były przenoszone i przez chłopów śląskich, którzy wracali z wypraw handlowych nad Morze Czarne, Adriatyk, czy do Niemiec zachodnich. Przede wszystkim przychodziły z sąsiedniej Małopolski, Słowacji, Moraw i Łużyc. Kraje te mają ze Śląskiem wiele wspólnych elementów kultury, a oprócz tego opierają się o pokrewne podłoże etniczne, społeczno-ekonomiczne i geograficzne. Do takich wspólnych opowieści należą podania o topielcach. Ciekawy jest zasięg baśni pt. „Poszukiwanie utraczonego męża” (Amor i Psyche). Na 12 wariantów ogólnopolskich 4 znajdują się na Śląsku. Tutaj są również opowiadania znane prawie wszystkim ludom Europy. Do takich należy np. anegdota „Kucharz i filut”, która jest znana nie tylko w Europie, lecz i w Turcji, Arabii a nawet w Indiach Wschodnich. Niektóre jej wątki spotykamy już u Homera. Bardzo rozpowszechnione jest podanie o Meluzynie, zwłaszcza na Górnym Śląsku i na Morawach. Przedostało się ono na Śląsk z Łużyc, gdzie przeniknęła opowieść o Meluzynie jako bohaterce romansu popularnego w XV wieku z Francji drogą przez Niemcy. Bardzo rozpowszechniona jest i baśń czarodziejska. Stosunkowo niewiele jest bajek o zwierzętach. Najbardziej cha-

rakterystyczne są te utwory, które opowiadają o czynnościach gospodarczych i życiu regionu śląskiego. Krótkich humoresek jest niewiele.

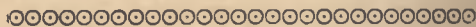
W końcu tej części chciałbym zaznaczyć, że jednym z głównych problemów, który chcieli rozwiązać czescy i polscy badacze, był stosunek folkloru regionu cieszyńskiego do folkloru czeskiego i polskiego. Na niekorzyść całej sprawy badacze ci często podlegali tendencjom nacjonalistycznym i nie zbadali problemu w całej jego rozległości. Wyłania się tu bardzo ważny problem. Należy nawiązać i rozszerzyć współpracę między polskimi i czeskimi folklorystami nad zagadnieniami, które są ważne dla polskiej i czeskiej nauki, a które mogą być rozwiązane jedynie drogą współpracy opartej na obiektywnych i skrupulatnych badaniach.



Trudno sobie wyobrazić współczesny folklor beskidzki bez świetnych gawędziarzy, znanych i bardzo lubianych na naszym terenie: Jury spod gronia (Wł. Niedoby) i Macieja (L. Cieniały).

— Na przyszłość tu taki stwórzyni, kość a skóra, blade jak śmierć, i pyta na smilowani, cobych też spómógła biyde. Wysypałach ji to wszystko z tej półneczochy, kiejeż tak naporeczył. Kupileś mi półneczochy? Bydym mieć dwie pory. jejku kany!

Jónek wziął dukot, pięknie podziękował i prawi:



168



— Pójdym oto na te kępke, tam ste-
la mi będzie bliżej do nieba.

Jakosi w trzeci dziedzinie usłyszał za
sobóm Jónek wartki tapani. Obezdrze
sie, leci kierysi na koniu. Bodej żeby
to był folwalter za mnóm, po dukot i
zygarek. Kaj by sie tu skryć? Darmo,
szyzyre pole, ani losku nijakigo, ani
wadoła, ani nic. Ale go chytrość nie o-
puszczała.

Czępnół, spuścił galaty i zrobił to, co
każdy robi, chyba żeby nie jód nic, jak
żyw nigdy. Potym to co zrobił przykrył
pięknie kłobukym, tym nowym. Strze-
che kłobuka przykleknół i przycis ręk-
mi.

— Hej, ty, óni, nie widzieliście tu
jednego uciekać z mojim złotym zygark-
ym aji z dukotym? — woło na niego
folwalter.

— Widziółech, widziół, panoczku.
Uciekoł teredy, już tymu z pół godzin-
ki. Jobych jim go chycił, bo wiem, kaj
tacy chacharzy majóm kryjówkę.

— Dobrze, chłopieczku, dobrze. Sio-
dejcie na mojigo konia, to go roz dwa
dopadniecie.

— Panoczku, joch je pies na takich
chacharów, ale ni mogym. Móm tu pod
kłobukym ptoka bardzo zocnego, ni mo-
gym go puścić.

— O tela nic. Jo wóm zotył podziyr-
zym kłobuk.

— Tóż dobrze. Jyny też, panoczku,
na ptoka nie zaglądam, bo to je po-
twora, czy może wydziobać!

Folwalter przykleknół strzeche kło-
buka, przychylił obiyma rękami. Jónek
hip i pojechał, aż sie za nim zakurzyło.

Mijo godzina, drugo. Folwalter roz-
ważuje, co sie też móгло stać. Isto sie
złodziyj osadził i trzeja było posłać po
szandarów. Już na śmiiywku, cały
ściyrpły, skolynciały, chętnół sie, że
pójdzie ich doganiać. Ale co z ptokym?
Uchylił opaternalnie strzechy, sięgnół i
łap tego ptoka. Cóż wóm dali bydym
opowiadał, smerdziałoby to. Podziwómy
sie raczy, co z Jónkym.

Tyn wóm już ududniół na koniu ze
dwie mile. Rodby se był roztomiłego
kóniczka zostawił, ale niechże se dowie-
dzóm szandarzy, co potym? Już go
chcioł puścić na łąke, ale jechali Cy-
góni, tóż im go przedoł za co, za to.

Już dobrze na śmiiywku przycupkoł
do chałupy. Prawi babie:

— Staro! Sóm jeszcze na świecie lu-
dzie głupszi od ciebie. Już ci ni móm
za złe, żeś spómógła biyde.

Ale zygarka z dukotym ji ani nie po-
kosoł.

oo

WILHELM PRZECZEK

Czarna noc

Noc przyklejona do gładkich szyb

Czarna i dżdżysta stoi —

Chciałbym swój żal w ramionach Twoich

Stodyczą bliżej Twojej ukość.

Wiem, że mi w dal odeszłaś gdzieś,

Zostałem sam w tym domu.

Mam tylko ten posępny wiersz —

On nie potrzebny już nikomu.

Mogę go zgnieść, wyrzucić precz...

I żyć już nieszczęśliwie. —

Albo też mogę ten smutny wiersz

Przykleić tu na szybie.



Na szybie Głębokim w Karwinie był za downych czasów, bo jeszcze za nieboszczki Austryje jeden szychtmajster, co sie nazywoł Kasperlik.

Chłop to był nienajgorszy, fusa podkręcoł i do swojigo notesa „losónki“ zapisowoł. Losunk to było rozdzielniny górników na miejsca pracy, aby każdy wieszioł, gdzie mo iść.

Były i taki miejsca, gdzie formalnie „losung“ sie odbył, ale górnicy robili tam wciąż jedni i ci sami. Na taki miejsce prawili hawyrze, że jest intabulowane a robotnicy stabilowani.

Podczas wypisowania losungu było też nikiedy kupie uciechy i śmichu. Bo przedstawicie se, że na tablicy wisiało taki rozdzielniny:

Do flectu 16, na wschód, VI horyzont, ku przekłodańiu konwera pójdą następujący górnicy:

Wróbel, Strnadel, Sikora, Szczygieł, Lasztówka, Dzin-dziel, Kafka i Szpok.

Do 17 flectu, na zachód, do ściany fłek 120 w VI horyzencie pójdą następujący hajerzy:

Solarczyk, Kucharczyk, Gospodarczyk, Mynarczyk, Stolarczyk, Masarczyk i Piwo-warczyk.

Do flectu na północ ku przekłodańiu rurek:

Kościelny, Krzyż, Pokuta, Niewola, Kajdan.

Taki „losunek“ to była robota szychtmajstra Kasperlika, kiery sie jyny zpozda-leka dziwoł jak sie chłopie śmieją z jego figli.

Roz też nalosowoł tyn spryciorz do 19 flecta następujących górników: Jan Kunc, Jozef Kunc, Adam Kunc, Karol Kunc i Francek Kunc. Było to prawie akurat wtedy, jak na szachte przy-jęł nowego inżyniera. Był strasznie gibki i w każdy kąt nos wraził. Zjechał na dół i ruszył na 19 flect. Przy-

TEOFIL STOLARZ

Dawniej na szybie Głębokim

szedł aż pod tonlage, gdzie kręcił sie koło wozów.

Uwidzioł tam hawyrza, tóż wołoł z daleka: Glikaufl! Co robicie? Jak sie nazywo-cie?

— Jo sie nazywóm Kunc,

a łoto przepinóm 40 wózków a helfra mi nie chcą dać.

— Glikaufl!

Wyszeł tonlagą na trzeci zaciąg, gdzie zauważył wo-zacza jak pierónuje aż sie jiskrzy. Dźwigoł wóz, kiery mu zjechał z blotni.

— Glikaufl! — prawi inżynier — co sie stało? Jak sie nazywo-cie?

— Na dyć wiela razy prawiłech sztajgrowi aż mi nie-cho sprawić blotnie, a tu do pieróna nic a nic.

— Jak sie nazywo-cie?

— Kunc z Raja.

— Aha, Kunc... Nó do-brze... Glikaufl!

Poszeł dali chodnikym tak niskim, że ledwo tam mógł wóz podjechać. W nikierych miejscach były połómane stropnice. Naroz słyszy krzyk:

— Pozórl!



Václav Beranek: Staruszka

Ledwo odskoczył w bok, a już pełny wóz doleciał na plotnie i wewalił do grubych stympli, aż się drzozgi posuły. Za chwile wyłoz skądsi młody wozacz, mamrocząc pod nosem.

— Glikauf! Co robicie? Jak się nazywacie? — sy-poł jak zwykle inżynier.

— Glikauf. Nazywóm sie Kunc, a tu puszczoń na humach pełne po jagoneli.

— Co?! Zaś Kunc! To ni-ma możne...

Nó i poszeł se dali. Kąsek dali w przodku natrefił na dwóch hajerów, co byli czor-ni jak diobli, jyny zęby sie im bieliły. Rąbali węgiel, który szuścił pod nogami.

— Glikauf, hawirze! Jak sie macie? A jak sie nazy-wacie, chyba żodyn z was nie nazywo sie Kunc?!

— Glikauf, panie inżynier. Mówicie o Kuncach? Tóz my łobo dwo sie nazywómy Kunc. Jyny jo je z kolónije, a kamrat mój z Frysztota.

— Co? zaś Kuncowie!... Tak to nima możne, albo jo je błozyn, albo sie kdosi ro-bi zy mnie błozna.

Obrócił sie na pięcie i jak wiater poleciał do kancna-ryje spytać sie czy na szach-cie mają nęłożaist pięć braci Machabejskich.

Nigdy się nie ożenie! Też przyjemność, co dzień się kłócić.

*

— Mamusiu, a można spać z powrotem?

— Jak to z powrotem?

— Rano zasnąć i obudzić się wczoraj wieczorem...

*

— Ile masz lat?

— Niedługo osiem, a na razie trzy.

*

NASZ TEATR

i jego repertuar

W roku ubiegłym sympatycy obu scen „Těšinskěho divadla” zapoznali się z kilku najnowszymi, bardzo ciekawymi pozycjami współczesnej twórczości dramatycznej. Scena czeska wystawiła dramat Leona Kruczkowskiego: *Pierwszy dzień wolności*. Sztuka ta zawiera wiele problemów pobudzających do dyskusji. Osobliwy klimat tej sztuki nie zawsze został właściwie odczytany przez widzów. Poza tym odnotować należy interesującą sztukę Arbuzowa, Irkutska historia i Zorany ugór, M. Szolochowa, według znakomitej powieści tego pisarza.

Scena polska wystawiła z powodzeniem „Optymistyczną tragedię”, Wiszniewskiego, „Rodzynek w słońcu”, amerykańskiej pisarki L. Hansberry oraz bardzo sugestywną „Noc wigilijną” Piotra Karwaśa. Odnotować również należy prapremierę w języku polskim sztuki o mocnych akcentach psychologicznych, niemieckiego autora J. Simmela pt.: *Kolega*.



Dużym wzięciem w terenie cieszyła się pogodna i bezpretensjonalna komedia V. Cacha: *Rebelia* w Ligocie.



Wanda Spinka i Franek Michalik w jednej z scen: Rodzynek w słońcu.



„Pierwszy dzień wolności” w wykonaniu aktorów Sceny czeskiej.

ZAPACHNIAŁO PORANKIEM

Opowiadanie

— Wio! — rzucił krótko gazda Żytko i mocniej wparłszy się o pług odwałł nową skibę lśniącej ziemi.

Parobek strzelił z bicia nad wygiętymi grzbietami koni.

— Tata jakiś nieswój, lepiej go nie drażnić — pomyślał i w milczeniu trzymając lejce, szedł koło pługa, od czasu do czasu zerkając na ojca.

Robota szła ciężko. Ślinowata ziemia, mokra jeszcze wiosenną wilgocią, stawiała opór. I człowiek nie przyzwyczajony jeszcze do większego wysiłku, męczył się szybko. Wiosna w tym roku przysłała nieoczekiwanie wcześniej, więc nie zdążono jeszcze rozprostować kości i wzmocnić zwiotczałych mięśni. Trzeba wykorzystać pogodę. Wcześniej uporać się z wiosennymi pracami.

Powoli splatały się równiuteńkie sznurki skib w szerokie warkoce zagonów. Niesporo szło. Ile sznurków skib, tyle razy było trzeba deptać głęboką brudą za pługiem.

Pot perlił się na czole. Zmęczenie osiadło na ramionach.

Opodał już na spółdzielczych łąkach terkotały od samego rana traktory. Rozpoczynali wspólnie od między. Traktorzysta pozdrowiwszy gospodarza spojrzął na niego z góry jak kogut z grzędy. Niemile to dotknęło gospodarza. Wyczuwał drwinę.

Przez cały dzień nie potrafił się uwolnić od tego wrażenia.

Tymczasem traktorzysta oddalił się i prychał niebieskawym dymem już daleko pod lasem. Do wieczora chyba skńczi się cały szmat. Za każdym razem, kiedy spojrzął na sylwetkę traktorzysty, który z fantazją wygodnie się

dział na wysokim siodle, jakby tracił siły. Mięśnie wiotczały, czuł przygnębiające zmęczenie. A do wieczora jeszcze daleko.

— Wszystko w tym roku jest na opak, plątało się stale w jego zafrasowanej głowie. Bywało zawsze inaczej. Był najlepszym gospodarzem. Przodował. Gospodarstwo miał wzorowe. Pierwszy w terminowych pracach, pierwszy w dostawach. Patrzano na niego jak na dobrego gospodarza, poważano go. Kiedy Żytko ruszał wiosną w pole, ruszali inni, kiedy zaczynał sianokosy, żniwa, wykopki ziemniaków, zasiewy — zgodnie, jak na nie wydany rozkaz ruszyli wszyscy. Bo kiedy Żytko zaczyna, wtedy jest czas i trzeba zaczynać.

Ilekróć już odpędzał dziś te natrętne myśli... a zawsze powracały, jak wróble odpędzane z zasiewu, nie dając spokoju i wytchnienia. Czasem niedobrze kierowany pług wyżuwał ziemię, łyskając lśniącym żelazkiem do słońca.

Wieczór był niezwykle cichy i ciepły, jaki rzadko się zdarza tak wczesną wiosną. Pojawiły się nawet pierwsze komary, które cięły po twarzy po zachodzie słońca. Niebo pokryło się bladymi smugami, a po zachodzie słońca niebo dziwnie pociemniało.

— Będzie chyba deszcz.

Zajął się końmi, nasypał im obroku, gdy tymczasem jego żona doila, zloszcząc się głośno na niespokojne krowy, które nie ustały przy dojeniu, kopały, biły ogonem. A kiedy trzecia z kolei krowa trafiła w skopek, który wypadł jej spomiędzy kolan, wstała i zaczęła okładać styliskiem wideł krowę, która wierzyła nogami i zaryczała.

Żytko zirytowany stanął w progu i warknął.

— Wariujesz, czy co...

Nieodpowiedziała, ale ponownie ustawiła krzesło i zaczęła doić. Krowa jednak przelekła się i zatrzymała mleko. Pot kroplisty ściekał jej z czoła, garbiła się bardziej pod brzuchem krowy, a mleko tylko cienkimi trzaskami ciurkało do skopka.

— Myrcho jedna! — rzuciła z irytacją, potem wstała i podreptała do kuchni.

Nawinęła jej się pod rękę Anka.

— Co ty okooniosz się, zamiast się chwycić roboty... Jakbyś od parady była w chałupie...

Anka nie odpowiedziała. Przekonała się już wielokrotnie, zwłaszcza w ostatnich czasach, kiedy się zaczął taniec we wsi z tą spółdzielnią, że nie warto, bo nieraz już dostała po głbie... A wszystko z głupoty, bez powodu prawie...

Nie było spokoju w domu. Złość pajeżdżała się w sercu. Wisiała jak chmura w powietrzu.

Gazda Żytka myjąc nogi wylał z szaflika wodę. Zaczął szpetnie kłąć. Wszyscy zamilkli. Bali się by iskry nie rozdmuchać, bo źle było, kiedy gazda wpadał w złość, choć rzadko się to zdarzało.

Ani wieczery nie zjedzono porządnie. Każdy dziobnął zaledwie do miski z kluskami i odłożył łyżkę, a gospodarz nie jadł wcale. Zachmurzony jak niebo łykając odległymi błyskawicami na horyzoncie nieboskłonu wyszedł przed chałupę i bezmyślnie utopił wzrok w ciemności. Nie słyszał śpiewu sąsiadowej córki, ani poszczekiwania psów w opłotkach, nie zauważył Pudełka, który puszczony już z obroży na noc łąsił się do jego nóg, był niemy na wszystko, co się koło niego dzieje.

Pochłonięły go całkowicie zatroskane myśli, z którymi nie mógł sobie poradzić. Odpędzane, natrętne powracały znowu.

Wydawało mu się, że ta wioska, w której urodził się, w której przeżył swą młodość, ożenił się i długie lata pracował, zmieniła się nagle. Zmieniła kolory i twarz. Jakby przeniósł się naraz do innej wioski, obcej. Zdawało mu się, że jest znowu na początku drogi, a nie potrafi pójść tą właściwą. Tak jak kie-

dys. W szkole uczył się dobrze i kierownik szkoły namawiał go, aby poszedł na studia. Kierownik namawiał również jego rodziców. Ale tak jakoś się stało, że wybrał gospodarkę na roli ojca, który o szkole ani słyszeć nie chciał, upatrzywszy na swoim miejscu na gospodarce ojcowskiej swojego pierworodnego syna.

Jego wrodzona ambicja, jego pęd do poznawania zmusiły go do czytania i samokształcenia. Studium swe ograniczał jednak do praktycznych potrzeb. Stał się dobrym rolnikiem. Wkrótce stał się nie zarejestrowanym nigdzie kierownikiem gospodarczym wsi. Był z tego dumny. Udawano się do niego po rady, naśladowano go w pracy.

Przez kilka lat pracował w Komisji Rolnej Miejscowej Rady Narodowej, córka studiowała, syn poszedł śladami ojca, gospodarka szła dobrze, czegoś by mu jeszcze brakować mogło.

Wszystko zmieniło się w ubiegłym roku, kiedy przed jesienią zaraz jakoś po żniwach przyszli do niego z wiejskiej organizacji Partii z wnioskiem o założeniu spółdzielni. Wyjaśniali, tłumaczyli, namawiali, a sąsiedzi dogadywali. Drzwi się codziennie nie zamykały.

Ojciec, stary na wymowie będący, warknął raz tylko, kiedy wrócił z Rady Narodowej:

— Abyś się nie opoważył przystać ku tym kołchozom... Nie potoch harował i mój starzyk... (Panie Boże, dej mu spokojne odpoczywani...)

Żytko wystąpił wtedy z Rady Narodowej. Stanął przeciw...

Na myśl o tym drgnął, popatrzył na niebo ciemne, ciężkie i jakby przebudził się ze snu. Poszedł do domu i zarygłował bramę.

Żona myślała sobie nogi w szafliku, a potem szykowała się do snu. Córki już nie było. Chyba jest już w swej komórcie. Syn, który sypiał od najwcześniejszej wiosny na strychu, zniknął gdzieś.

Żytko zgasił światło i długo stał na środku izby patrząc w ciemne okno, od czasu do czasu jaśniejące niebieskim światłem.

Coś go bolało w piersi, coś zapierało dech, coś parzyło. Odczuwał ból w sercu. Nigdy nie myślał, że serce może boleć.



Kombajny piszą nowe hektary w kronikach naszych wsi

Położył się, ale nie zasnął.

Żona leżała obok. Bez ruchu. Czy spała?

Po każdej błyskawicy rozległa izbę wypełniły nieprzebyte cienie, straszące okropną głębią. Po raz pierwszy chyba w życiu odczuł coś w rodzaju strachu przed burzą.

Gromy przewalały się po kalenicy chałupy, jakby pnie drzew na nią ktoś rzucał. Dudniały głucho. Łomot rozlegał się złowrogo dokoła.

Leżał bezsilny. Gniew już w nim stopniał jak lody wiosenne i nawiedziła go markotność. Coś go chwyciło za gdyrkę. Nagle mu żal było żony, że tak zaharowana, że i on nie ma dla niej dobrego słowa...

Ale cóż on... Sam jest bezsilny. Nie może poradzić sobie.

Dlaczego go los tak nęka! Co komu złego wyrządził?

Znowu się widzi w małym pokoiku w Miejscowej Radzie Narodowej, pełnym dymu i zdenerwowania. Znowu widzi niecierpliwe i natarczywe spojrze-

nia. Słyszy docierające słowa, które jak ciernie wbijały się w jego świadomość.

Poruszył się niespokojnie, jakby ciężar przygniatał i tamował swobodny oddech.

— Lachko sie wóm mówi, wóm co nie ni mocie, ale wyharujcie se ciężką harówką te zagony, a potym inaczy bedziecie mnie sądzić — jątrzył jakiś głos wewnętrzny, ale coraz mniej było w nim przekonania.

Przechylił się i spojrzął obok, gdzie leżała żona. W ciemnościach nie dostrzegł, czy śpi, czy leży tylko spokojnie.

Nagle odczuł potrzebę odezwania się do kogoś, by przerwać straszliwą pustkę i samotność, która stanęła obok jego łóżka i ciemnymi ślepiami patrzała na niego. Gromy przelewały się już nieco dalej. Błyskawice utraciły swą oślepiającą jasność.

— Haneczko, śpisz?...

Nachylił się nad jej łóżkiem.

Nie spała. Dojrzał jej rozszerzone źrenice a w nich smutek.

Przez cały czas patrzała w czarny pupał. Z trudem wstrzymywała dławiący ją płacz.

— Co za psie życie... Harówka od rana, zewsząd warczenie i złość... ani blasku radości... Nie uniesie już ciężaru przyszłych dni. Nie ma już siły... Co z tego mają... Gdzie podziały się dawne lata szczęścia. Wszystko jakby ciemna kotara przysłoniła i zakryła szczelnie... Przed jej oczyma kotłowała się jak wrzątek bolesna rzeczywistość i upokorzenie. Oto ręce urobione po łokcie, gorycz oporu, który nie przynosi żadnych perspektyw jutra... Ona z mężem idą w przeciwnie strony, dzieci oddalają się... A wokół stale ta ciemność i niepewność codziennie, jak ta noc, parna i burzliwa...

Już zapomniała swego zdrobniale brzmiącego imienia. Jakże już dawno temu, kiedy tak do niej się zwracał, kiedy tak do niej mówił...

Fala wielkiej żalości wezbrała. Kiedy powtórzył jeszcze raz, a cieplej jeszcze: „Haneczko” — rozpląkała się rzewnym głosem jak dziecko, któremu stała się krzywda, która bardzo boli.

W uszach jej stale brzmi jego głos, ale inny, bliższy, jak wtedy, kiedy jeszcze we dwoje marzyli podczas najpiękniejszych wieczorów i nocy.

— Haneczko, śpisz... — jak dawniej, bardzo chyba dawno...

Lecz wszystko powracało olbrzymią jasnością, cała daleka przeszłość.

Przysunął się do niej. Chwilę bezradnie trwał nad nią w ciemności. Wyczuła jego obecność. Czuła jego ciepły oddech.

— Nie płacz, Haneczko!...

Przytuliła się do niego, jak wtedy... jak bardzo dawno temu... a może to wszystko było nie dawno, wczoraj jeszcze?...

Długo leżeli przytuleni do siebie. Przestała płakać.

— Ciężko nam ostatnio... — powiedziała cicho.

— To my sobie sami nakładamy ten ciężar na plecy, Stacho — również szepetem odpowiedziała po chwili.

— Sama widzisz, Haneczko, że to tak ciężko...

— Ale kiedy go inni uniosą, to i my uniesiemy.

— Uniesiemy — powtórzył po chwili

i sam nie wierzył swym słowom, że za-
brzmiały przekonująco.

— Chwilę leżeli w milczeniu.

— Ile to już lat jesteśmy razem — nagle przerwał milczenie zmieniając temat.

— Zwróciła się do niego i spojrzała w oczy. Pomimo ciemności widziała jego błyszczące źrenice, które przedzielał lekko orli nos, który jej się tak bardzo zawsze podobał. Dobrze harmonizował z jego podłużną twarzą, osmaganą wiatrem. Dodawał jego twarzy oryginalnego męskiego wdzięku.

— Dwadzieścia pięć lat będzie jutro...

Teraz dopiero uświadomili sobie, że przegapili tę rocznicę, która zawsze przynosi tyle ciepła w późniejszych latach życia...

— Zapomnieliśmy...

— Tak, zapomnieliśmy — przytaknęła w poczuciu winy.

— Dwadzieścia pięć lat ... — powtórzył po chwili milczenia.

Objął ją szerokimi ramionami i pocałował w usta.

Jakże to wszystko było dawno. Jakby przebrzmiało... a przecież powróciło jak słoneczne dni jesienią, ciche i spokojne, które potrafią zmieścić wielkie szczęście.

Powróciło tej nocy kiedy burza przewalała się ponad ich domem, ponad nimi.

Jakaś cicha muzyka uniosła się w pokoju w rzedniejących ciemnościach. Muzyka ciepła, pachnąca.

— Wiesz, burczeliśmy czasem na siebie — szeptał teraz jakimś zażenowanym głosem, — ale... mamy się radzi... prawda? — jakby chciał się upewnić.

Hanka tylko mocniej przylgnęła do niego. Zapomniała już dawnych pieszczot. Tym bardziej działały zniewalająco.

Ciemności rzednąć zaczęły. Nie zauważyli kiedy przeszła burza. Na wschodzie zaczęło świtać.

Długo jeszcze leżeli i marzyli jak pierwszą noc, która otwarła przed nimi życie.

Kiedy otworzył okno, po izbie powiała rzeźkość jak zwykle po burzy. Słońce wychyliło się niebawem spoza zalesionego wzgórza. Napił się mleka i

poszedł zaprzęgać konie. Trzeba dokończyć rozpoczętą orkę.

Kiedy gotował się do wyjazdu, Ewcia stanęła w progu. Podeszedł do niej.

— Dziś mamy z mamą święto... jesteśmy dwadzieścia pięć lat razem...

— Nie daj mamie dziś pracować — dodał po chwili.

Ewcia patrzyła w twarz ojca, w której biła jakowaś nieznana jej dotychczas jasność.

Zauważył jej zdziwione spojrzenie.

— Pójdziemy przeorać stare miedze, które zabrały nam ostatnie miesiące radości i zdrowy rozsądek.

— Tatusiu! — rzuciła się Ewcia na szyję ojcu i pocałowała go w lica.

Słońce szybowало coraz wyżej. Poranek pachniał po nocnej burzy świeżym ozonem. Odurzała woń świeżej zieleności.

Fragment większej całości



Gustaw Fierla: Jesienne kwiaty

Opis krowy

Krowa jest zwierz, kiery stoi na sztyróch nogach. Krowa zaczyna się na samym przodku gębóm, kieróm mo dycki zašlimtanóm. Na wyrchu głowy mo dwa rogi, z kierych sie nejlepszy strzylają gole, czyli bramki. Rogi są szpiczaste, aby krowa nie musiała dwa razy poprawiać. Między gębóm a rogami mo krowa oczy, bardzo smutne, a to tymu, bo sie gañbi, że miyszko w chlywie. Nie każdo krowa miyszko w chlywie. Mama wczora mówiła: Tako krowa a dostała taki szumny kwartyr.

Krowa może być laciato, strokato, gniado, czorno, kupiono i kradziono. Tata prawi, że poćmi jest każdo krowa czorno. Nie wiym, co to znaczy, prawi to sómsiadowi jak mama nie słyszy. Na samym końcu krowy znajduje się ogón, kierym krowa utrzymuje równowagę umysłu oraz przeganio muchy, ślepce, komary, bąki, szwoby, płoszczyce i inny drobiazg domowy.

Pod krową znajduje się mlekiąg, który zakończony jest 4 rurkami, z kiórych ciurczy mlyko, maślónka, śmietónka, kiszka, ka-

HENRYK JASICZEK

Zadanie domowe

Adasia
Wrazigęby

wa, kakao, podle tego czego sie krowa przed dojnym napila. Krowa, która dużo ryczy mało mleka daje. O mnie za mnie, nie musi dawać nic, bo my kupujmy mlyko w mleczarni. Każdo krowa przeżuwo przez co jest podobno do niejednego chuligana, co cumlo gume do żucia.

Chłop od krowy nazywo się byk. Byk nie daje mlyka, tóż nie wiym, czymu takiego bisage żywióm.

Byk, kiery już nie pamięto,

że był bykym, je wół. Wół to nima ani krowa, ani byk. Starzyk mi opowiadał, że za okupacyje woły zaprzęgano do plugów i wozów, a jak to był wielki wół, ten sie aji dostał do becyrku.

Co robią dzisio z wolami, tego mi już starzyk nie powie-dziol. Każdy wół dziwo się na nowe wrota. Czymu sie dziwo; tego my sie w szkole nie uczyli. Nie wiem też czymu się na mięso z krowy prawi wołowina.

Dzieci od krowy nazywają sie cieleta. Jak cosi wymamłaszmy, to mi mama prawi, żech je cie-le, zaś tata, jak żech przynióśł świadectwo, prawił, żech je wół. Wczora, jak od nas odeszła ciotka, to mama prawiła, że zapomniala krowa jak cielęcym byla.

Krowa jest strasznie pożytecz-no, bo dowo nie jyny mlyko, ale owieżine z której je strasznie dobro i zdrowo polywka. Do polywki sie dowo kostka Maggi, aby nie było poznać, że to nima polywka z krowy, jyny z konia. Z krowy są jeszcze flaki. Tata prawi, że flaki sóm ze starego policajta. Wiyncy już nic o krowie nie wiym, panie nauczycielu.

Adaś Wrazigęba.



„Lampa Alladyna” — bajka w wykonaniu zespołu kukiełkowego
„Bajka”, podoba się nie tylko dzieciom, lecz i dorosłym

Dwie gaduły

Ponoć dotąd ziemski padół
Nie znał jeszcze takich gaduł,
Jak dwie panie: Madalińska
Z Gadalińską z miasta Młyńska.
W domu, w sklepie czy na rynku
Językami, tak jak w młynku,
Mielą wciąż bez odpoczynku;
Każda gada — byle długo,
Jedna z drugą i przez drugą,
A gdy zasną, nawet we śnie
Rozmawiają jednocześnie:
O tym, co się z wiatrem dzieje,
Wtedy, kiedy wiatr nie wieje,
Że na poczcie wybuchł pożar,
Że się mydlarz z praczką pożarł,
Że aptekarz dostał pryszczę,
Że sędzinie nos się błyszczę,
Że kokoszka od sąsiadki
Zniosła cztery jajka w kratki,
Że cioteczna spod Piaseczna
Okazała się stryjeczna,
Bo kuzynka z Ciechocina
Zamiast córki miała syna,
Po czym właśnie znikła z Młyńska
Ciechocińska Madalińska.

Madalińska rada gada,
Gadalińskiej opowiada
Kto, dlaczego, jak i kogo,
A sąsiedzi spać nie mogą.

Krzyczy piekarz: — Moje panie,
Czas już skończyć to gadanie!
Doktor także lubi ciszę,
Do milicji skargę pisze.
Przyszła władza, jak to władza,
Upomina i doradza:
— Dość już, pani Madalińska,
Dość już, pani Gadalińska,
Bo wyjadą panie z Młyńska!
Lecz to dla nich rzecz nie nowa,
Niechaj wobec nich się schowa
Cała Rada Narodowa.
Gadalińska rada gada,
Madalińskiej opowiada:
— Mówią w maglu, moja pani,
Że na wiosnę będzie taniej,
A po drugie, że już w lecie
Będzie wojna, a po trzecie,
Że się wszystko jeszcze zmieni,
Jak śnieg spadnie na jesieni.
Tak już 10 lat bez przerwy
Wszystkim w mieście szarpia nerwy
Dwie plotkarki: Gadalińska
z Madalińską z miasta Młyńska.

Fragment z Powrotu taty



„Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
i chuliganów na drodze,
A tato wraca zgłodniały i chory
tomiska dźwiga, nieboże.
Skąd wraca tato, co zniknął przed laty?
Wraca z terenu, z Miesiąca Oświaty!”

Ofiara uprzejmości

— Czy może mi pani wyświadczyć małą przysługę? Powiedziałam do pani Ali, z którą od tygodnia dzieliłam wspólny pokój w domu wczasowym.

— Jutro przyjeżdża do mnie na pół dnia mój mąż...

— O, nie! — przerwała mi stanowczo moja współtowarzyszka, która jak dotąd robiła wrażenie osoby grzecznej i załęcznionej.

— Żadnych przysług, żadnych meżów!

— Ależ pani nie wie, co ja chcę powiedzieć — odparłam urażona.

— I nie chcę wiedzieć! Przez świadczenie uprzejmości złamałam sobie życie. Było to również na wczasach, — ciągnęła dalej pani Ala. — Pani Basia, z którą zajmowałam dwuosobowy pokój, zwróciła się do mnie pewnego wieczoru:

— Czy może mi pani wyświadczyć tę małą przysługę... przyjechał niespodziewanie mój mąż... A tu na wczasach o tym nie pamiętamy, ale akurat wypadają dwa dni świąt. Jest już późno. Kierowniczka już śpi. Co ja z nim zrobię po nocy?

W lot odgadłam jej myśli. Sama jestem, a raczej byłam, troskliwą żoną. No, rzeczywiście. Gdzie go pani podzięje? Nie można przecież całą noc siedzieć w świetlicy...

— Na twardym krześle, — wtrąciła pani Basia.

— Niech go pani kładzie w naszym pokoju. Nie takie niewygody ludzie znosili. A zresztą, to przecież pani będzie z nim spała — nie ja, dodałam wesoło, aby tym nieco rubasznym tonem postawić całą sprawę na koleżeńskiej płaszczyźnie. Nie chciałam, aby moja sąsiadka czuła się skrzepowana tym, że mnie krępuje. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, kim był jej mąż.

Wieczór spędziłam w świetlicy na

grze w brydża. Po raz pierwszy w życiu miałam wtedy karty w ręku, więc już około północy brydżyści mieli mnie dosyć. Sądziłam jednak, że małżonkowie już się nacieszyli chwilami powitania i poszłam do naszego pokoju. I rzeczywiście. Pani Basia i pan Grześ mocno spali.

Rano obudził mnie przerażony krzyk pani Basi.

— Mój mąż! Mój mąż!

Otworzyłam oczy. Pan Grześ spał w lila piżamie na sąsiednim łóżku. Pani Basia, dziwnie pobladła, patrzyła jak zahipnotyzowana na jakiś widok za oknem.

— Przyjechał mój mąż! — zawołała pani Basia.

Myślałam, że pani Basia zwariowała. Pan Grześ widać pomyślał to samo, bo aż usiadł na łóżku i spojrzał na nią z przestachem.

— Musi pani to dla mnie zrobić — zawołała szalona kobieta i nim się spostrzegłam, przetaszczyła pana Grzesia na moje łóżko.

— Niech pani nic nie mówi — błagam panią — od tego zależy nasze życie — powiedział Grześ.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi, które się uchyliły i stanął w nich szczupły, niewysoki blondyn z teczką w ręku i płaszczem powieszonym przez ramie.

— Kochanie! Co za niespodzianka! — zawołała nagle odmieniona, uśmiechnięta pani Basia. — Jak to dobrze, że przyjechałeś — szczebiotała, rzucając się na szyję przybyłemu. — Patrz, do mojej sąsiadki też mąż przyjechał. Tak mi było smutno, że to nie do mnie! Państwo pozwolą, mój mąż — zwróciła się do nas.

— Jeśli państwo pozwolą, to ja tylko rzeczy zostawię, mówił mąż pani Basi, i dopiero pójdę do kancelarii, u kierowniczki taki tłok, oprócz mnie jeszcze kilka osób przyjechało do swoich rodzin na te dwa dni świąt...

Leżałam jak skamieniała obok pana Grzesia. Ze zgrozą myślałam o tym, że po raz pierwszy w życiu leżę w łóżku z obcym mężczyzną.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Drzwi się uchyliły i stanął w nich... mój własny mąż — zakończyła swe opowiadanie pani Ala.

Sprawa zaufania

Czy pan wie, jak trzeba podchodzić do kobiety? — spytał mnie sąsiad z przeciwnika, siadając w fotelu.

Nie chciałem się przyznać, że nie wiem. Kobiety stanowią dla mnie zagadkę, ale sąsiad z przeciwnika nie musi o tym wiedzieć. Co mi z tego przyjdzie, że ja nie wiem, jak należy podchodzić do kobiet. Postanowiłem dać mu odpowiedź wykrętną.

— Do kobiety należy podchodzić z ostrożnością. Próbuję nadać mojemu głosowi ton szczerzego przekonania.

Sąsiad, po chwili zastanowienia rzekł:

— Współczuję panu. Odpowiedź pańska świadczy, że nie miał pan szczęścia trafić na właściwą kobietę. Moje doświadczenie mówi, że do kobiety należy podchodzić z zaufaniem. Zaufanie jest podstawą szczęścia. Weźmy moją żonę. Zgoda?

— Zależy, co pan ma na myśli — odparłem z irytacją.

— Przepraszam — rzekł sąsiad. — Chciałem tylko wykazać na jej przykładzie, czym jest zaufanie dla mojej Jadwigi. Pamięta pan, że mieszkał u nas kiedyś pewien oficer. Otóż przychodząc raz do domu, oficer siedzi w piżama na kanapie...

— No to co? — przerwałem — wiadomo, że oficer nie sypia w mundurze podczas pokoju.

— Słusznie — rzekł sąsiad — siedzi więc w piżama a na kolanach trzyma moją żonę. Inny by narobił krzyku, nastąpiłaby nieprzyjemna wymiana zdań, sfary i niesnaski. Ja nic, i słusznie. Okazało się bowiem, że żona przyszywała mu guzik do piżama.

— Oficer bez guzika, nie wypada! Albo z tym licealistą, który wchodził do nas oknem, gdy nie było mnie w domu i udzielał żonie angielskiego.

— Mógł mu pan kazać wchodzić drzwiami — ludzie nie rozumieją często niektórych spraw i mogą pomyśleć nie wiadomo co.

— Owszem, proszę pana — ciągnął sąsiad — prosiłem go, żeby oknem nie wchodził, a pan wie, jak to jest z młodzieżą. Lubi się bawić w takie różne podchody. Nawet nie wiem, czy naprawdę znał ten angielski, czy też tylko przychodził żeby porozmawiać z żoną. Trzeba mieć zaufanie. Inne żony, proszę pana, to tylko czekają na okazję, strażak przyjdzie i już, pan rozumie! A u mnie widział pan kiedy strażaka?

— Muszę przyznać, że nie — odparłem.

— No proszę? — ucieszył się sąsiad — przychodziło tych dwóch hydrauliczków radia posłuchać. Przychodził taki jeden, wysoki, nawet nie wiem po co, imienia też nie znam, bo co mnie to obchodzi? Czasem to nawet stałem na klatce i czekałem, bo mieszkania teraz budujemy oszczędne, trochę ciasne, a potrzeby, jak pan widzi, stale rosną. Nawet dziś wpadłem do pana, bo u żony jest krawiec. Przymiarka. No, ale już chyba pójdę.

Odprowadziłem sąsiada do drzwi. W tym momencie z mieszkania naprzeciwko wyszedł wysoki, zgrabny strażak i szybko zbiegł na dół. Spojrzałem na sąsiada z niemym zapytaniem w oczach. Zarumienił się.

— Na pewno krawiec — powiedział. — Pan wie, jak trudno znaleźć pracę w swoim zawodzie. Dobranoc!



Pan Ginsberg

Pan Ginsberg jechał do Ameryki luksusowym statkiem. Przy stole zajmował miejsce obok Francuza, który przed każdym posiłkiem zwracał się doń z uprzejmym: Bon appetit! Myśląc, że Francuz mu się przedstawia, nasz podróżnik odpowiadał równie uprzejmie: Ginsberg! Ceremoniał ten powtarzał się wielokrotnie, aż wreszcie ktoś wytłumaczył Ginsbergowi, że „bon appetit” znaczy po prostu: Smacznego. Tego wieczora Ginsberg pierwszy zwrócił się do Francuza: Bon appetit! na co ten odparł z czarującym uśmiechem: Ginsberg!



Z NOTESU Maurycyego Moczygeby

Przychodzi mężczyzna do ogrodnika i zamawia wieniec na pogrzeb. Ogródnik pyta:

A z jakim szarfiem ten wieniec, ze sztyrakom czy wąskom?

Na to odpowiada mężczyzna:

— A czy jest jako różnica?

— No — mówi ogrodnik — jak wóm umrzył ktosi, kieregoście miał rod, to ze sztyrakom, a jak ni, to z wąskom.

Na to mężczyzna:

— Na to może być baji ze sznórkom od bótki.

*

Pijany mężczyzna zataczając się spotyka strażnika i pyta?

— Władzuchno kochana, powiedzcie mi, gdzie to ja właściwie jestem.

Strażnik odpowiada.

— Na rogu ulicy Karwińskiej i Frydeckiej.

— Ale mnie nie chodzi o szczegóły. W jakim mieście?

*

Przez most na Stonawce, jeden z obywateli prowadzi kozę. Spotyką sąsiada.

— Ty, kaj kludzisz tego woła?

— A dyć widzisz pieronie, że to jest koza. —

— Dyć jo se też ciebie nie pytóm, jyny tej kozy. —

W miejscowej gospodzie dyskutuje dwóch rolników.

— Sąsiedzie, a co wyście dowali swymu kóniowi jak był nimocny? —

— A no denaturat — odpowiada drugi.

— Tóz dziynkujym — i zabiera się do wyjścia.

Po tygodniu spotykają się znowu.

— Sąsiedzie a coście mi to poradzili, z tym denaturatym. Joch to doł kóniowi a kón mi zdech.

— No wyście sie mie przeca nie pytali, co sie z moim kóniym stało.

*

Spotyka się dwóch kolegów —

— Ty Francek, jeszcze pracujesz w Czedoku? —

— Nnnnie, od tttego czasu jjjak to pppprzemiannnowali na Tutututuryste jjuż tam nnnnie robimy. Bo kkkaždy kto ttam dzwonił, mmmysłał że jjjest ttte-lefon zzzzajęty.

*

Spotyka się dwóch kolegów, jeden z nich jąkała.

Ty Francek. Ty sie fórt zajynkujesz?

— Nnnni, yyyny jjjjak mmmmmó-wiyyyyym.



Bez podpisu

W szkole

— Chłopcy, jak długo będzie leżała sztaba złota na dworze nim zardzewieje? —

Moczygęba: — Proszym, ani 10 minut, bo jóm gdosi ukradnie.

Powiedzcie mi zdanie, w którym będzie słowo ananas.

— Moja mamusia kupiła wczoraj jeden ananas. —

— Dobrze, kto następny. —

— Ananas jest owocem południowym. —

— Dobrze, kto jeszcze? —

— Proszym. Mój tata kupił wczoraj kilo wórsztu. —

— No, powiedziałem wyraźnie żeby w zdaniu było słowo ananas. —

— Jo jeszcze nie skończył. Kupił kilo wórsztu, zjadł go sóm, a na nas się wysmolił.

Wpadli do rowu, nic im się nie stało, ale z wrażenia mąż kierowca zemdlął. Po chwili wraca do przytomności i jeszcze zamroczony pyta:

— Nie żyje? Czy jestem w niebie?

— Ależ Karolu, skądże w niebie, ja jestem przy tobie — mówi małżonka.

Moja żona powiedziała: „Teraz ja trochę poprowadzę samochód” i to były jej ostatnie słowa, święty Piotrze, jakie słyszałem...

W szkole pyta się nauczyciel chłopców.

— Chłopcy, powiedzcie mi, kiedy była bitwa pod Racławicami?

Na sali grobowa cisza. Wtem z tyłu głosi się Małyszek, najsłabszy uczeń w klasie.

— No, nie wstyd wam, chłopcy, ten najgorszy uczeń się zgłasza a wy tego nie wiecie? No, powiedz Małyszku. —

— Proszym, kiedy była bitwa pod Racławicami tego nie wiem, ale Pietrek się tu tak brzydko zachował, że tu nie można wytrzymać. —

Przy egzaminach ustnych z historii profesor pyta kandydata

— Proszę mi powiedzieć, jak się nazywał jeden z wielkich wodzów francuskich, który zmarł na wygnaniu? —

Kandydat milczy. Profesor stara się mu pomóc. — No, nosił taką czapkę... no... zaszedł nawet do Rosji w swych podbojach... no... Wreszcie zdenerwowany krzyczy: — Bonaparte!

Na te słowa kandydat opuszcza klasę. Profesor woła za nim.

— Dokąd, dokąd? —

— Myślałem, panie profesorze, że pan woła następnego.



Możemy zacząć!...

Wczorajsza gazeta

W pociągu jakiś gość czyta gazetę. Siedzący naprzeciw pyta go:

— Proszę pana, którego mamy dzisiaj?

— Nie wiem — odpowiada drugi.

— Lecz przecież pan ma gazetę, niech pan spojrzy. —

— To jest gazeta wczorajsza, proszę pana. —

Ludożerca w samolocie

Ludożerca wsiada do samolotu i czyta jadłospis.

— Tu mi się nic nie podoba — mówi do stewardessy — proszę mi raczej podać listę pasażerów.

Pytanie

Pięcioletni chłopczyk zgubił się mamusi. Zrozpaczony zapytał przechodnia:

— Czy pan nie widział przypadkiem takiej pani bez chłopczyka mojego wzrostu?

Powitanie

Eisenhower przyjeżdża do Portugalii i na jego cześć oddają salwę. Po ulicy przechodzi starsza kobiecina, zalekniona pyta policjanta:

— Cóż to, wojna, panie policjant? —

— Nie. To Eisenhower przyjechał. —

Kobieta idzie trzy kroki dalej i znowu salwa. Wraca do policjanta i pyta.

— Cóż to, wojna, panie milicjant? —

— Powiedziałem już, że Eisenhower przyjeżdża. —

— Jak to, to go po raz pierwszy nie trafili? —

Kajtuś w sklepie

Do sklepu wchodzi mały Kajtuś.

— Proszę garnuszek marmolady — mówi, podając ekspedientce naczynie.

Ekspedientka napełniła garnuszek marmoladą, wręcza go chłopcu i pyta:

— A gdzie pieniądze?

— W garnuszku, na dnie — brzmiała odpowiedź.

Zagalopował się

— Heńku, czy będziesz mi zawsze wierny. Nie ożenisz się z inną.

— Bądź spokojna, najdroższa... Jesteś moją narzeczoną i pozostaniesz nią na wieki.



Zakochany strażak

Karlus

Po łąskich groblach przechadza się proboszcz i zauważa, że z poza dębu wychodzi dym. Ciekaw zagląda i tu widzi, jak taki mały karlus pali papierosa. Wyciąga go za ucho i mówi.

— Ty smarkaczu jeden, to się w tym wieku już papierosów chwytasz. Co z ciebie będzie za parę lat. Poczekaj, jutro wszystko powiem nauczycielowi.

Na to chłopiec: — Wy mi możecie skoczyć na grzbiet. Jo jesce do szkoły nie chodzym, he. —

U lekarza

Do lekarza przychodzi matka z 6-letnim chłopcem. Lekarz mówi:

— Rozebrać to dziecko —

Matka rozbiera chłopca i mówi doń:

— Karliczku, postow się równo, aby pan dochtór widzieli jakiś je krzywy.



Wyobraź sobie, że za kilka lat będziemy to oglądali w kolorach

Dowody

Przed sądem toczy się sprawa o rozwód. Sędzia pyta oskarżyciela.

— Dlaczego sie chcecie rozwieść z waszą żoną? —

— Na bo ona mie zdradzo panie sędzio i to jeszcze ze sąsiadym. —

— Dowody? —

— Mocie prowde, panie sędzio. Do wody z takim pierónym. Do wody. —

Wspomnienia

Mama-pająk do dzieci:

— O waszym ojcu mam jak najlepsze wspomnienie. Nigdy w życiu nie jadłam nic równie smacznego.

Adaś przegląda zeszyt starszego brata:

— „ $A+b+c$? Taki duży, a rachunki z polskim mu się pomieszały!

Mały Kazio po poważnej rozmowie z ojcem mówi do brata:

— No więc widzisz. Zresztą zawsze uważałem, że bocian ma za małą rozpiętość skrzydeł, aby dźwignąć ciężar powyżej dwóch kilogramów.

Konkurencja

— Co się stało z twoją kapitalną pupą?

— Zdechła biedaczka ze zmartwienia po moim ślubie.

— Była zazdrosna?

— Tak, nie mogła już dojść do słowa.

Pierwszy krok

Pacjent jest już na stole operacyjnym i młody chirurg zbliża się, aby nałożyć maskę z eterem. Chory rzuca się nerwowo.

Niech się pan uspokoi — mówi lekarz.

— Proszę mi wybaczyć, panie doktorze. To moja pierwsza w życiu operacja.

— Zgoda, przyjacielu. Ale niech pan bierze przykład ze mnie: to także moja pierwsza operacja.

Zakazana kąpiel

Brzeg jeziora. Młoda, zgrabna dziewczyna rozbiera się i wchodzi do wody, aby się wykąpać. Stojący opodal dozorca interweniuje:

— Halo, panienko, tu nie wolno się kąpać.

— A czy nie mógł pan mi tego wcześniej powiedzieć?

— Nie. Rozbieranie się nie jest zakazane...



Nasi milusińscy

Nasza babunia zarzęła
gęsi zimą, żeby się nie prze-
ziębiły.

*

— Dzisiaj upadłam i stłu-
kłam kolano.

— Plakałaś?

— Nie.

— Dlaczego?

— A bo nikt nie widział.

*

Rysuje kwiaty, a naokoło
z trzydzieści punktów.

— To muchy?

— Nie, to zapach kwia-
tów.

*

— Czym się tak podrapa-
łeś?

— Kotem.

*

— Mamusiu, kaczkę idą
kaczego!

— Gęsiego.

— Nie, gęsi — gęsiego, a
kaczki kaczego.

*

— Irka kładzie się z ku-
rami.

— Gdzież tam, ja kładę
się sama.

*

Poradzili babci, żeby trzymała język
za zębami.

— Najpierw mi je wstawcie! — od-
powiedziała.

*

Żona do męża: Idę na minutę do są-
siadki. Mieszaj zupę mniej więcej co
pół godziny.

*

Synek do matki: Czy mogę pójść za
tatusiem i posłuchać jak znosi śmiecie

Dlaczego pani nie wychodzi za męża,
panno Kleiu?

— A po co? Mam psa, który warczy
całe rano, mam papugę, która wciąż
klnie i kota, który włoczy się całymi
nocami.



Malarz-dziwak

Też sposób

— Moja żona przez cały dzień chodzi z kąta
w kąt i narzeka na ból głowy.

— No i jak starasz się temu zaradzić?

— Zatykam sobie uszy watą.

Niecierpliwy

Mąż wraca z biura, ale obiad jak zwykle,
jeszcze nie gotowy.

— Czy nigdy nie będzie obiadu na czas?

— Ależ kochanie...

— Dobrze. Idę do restauracji.

— Nie możesz zaczekać pięciu minut? — pyta
żona z uśmiechem.

— Mąż rozpogadza się.

— A więc za pięć minut będziesz gotowa z
obiadem?

— Nie, ale do wyjścia z tobą.

Słusznie

— Nie ożeniłbym się nigdy z mądrą kobietą...

— I słusznie. Małżeństwa powinny być zawsze
dobre.

Też racja

— Ciociu, dlaczego ciocia nie ma dzieci?

— Bocian mi nie przyniósł.

— No, jak ciocia będzie czekać na bociana, to na pewno nic z tego nie będzie...

Ciocia i Janek

Stara ciotka odwiedziła swą rodzinę. Przed wyjściem chciała pocałować dwuletniego Janka. Ten jednak wyrwał się z rąk.

— Ależ Janeczku — zdziwiła się ciocia — co ja cię napięściłam, nacałowałam, kiedy byłeś jeszcze mały...

— Tak, ciociu, ale wtedy ja jeszcze nie mogłem się bronić.

Kochające dziecię

Do jakiegoś pana na ulicy podchodzi chłopczyk.

— Czy mogę prosić pana o pięć koron? Chciałbym się połączyć z moją mamą...

— Biedny chłopcze! A gdzie jest twoja mama?

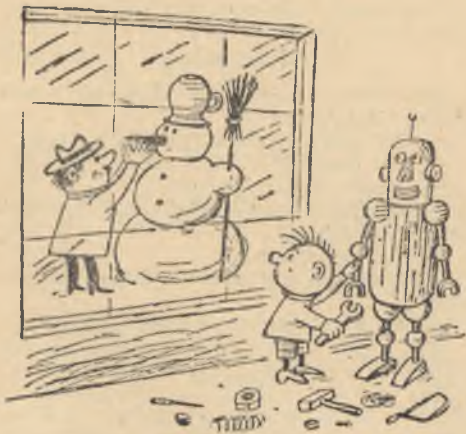
— W kinie...

Zapomniał!

— Jak mama poznała, że się nie myłęś?

— Zapomniałem zamoczyć mydło.

*



Ojciec i syn

Czarownica XX wieku

Rys. Karimierz Głowacki



*

Między przyjaciółmi

Dwaj przyjaciele spotykają się na ulicy.

— Słuchaj, czy mogę się przed tobą zwierzyć?

— Śmiało. Wiesz przecież, że potrafisz milczeć jak grób.

— A więc dobrze. Potrzebuję koniecznie tysiąc koron...

— Masz moją rękę. Pary z ust nie puszczę...

Mniam... mniam...

W dżungli afrykańskiej znajduje się osiedle ludożerców. Kiedyś nad tą wioską przeleciał samolot pasażerski. Przerażone hałasem murzyniátko biegnie do matki i pyta co to za monstrum.

— To po prostu samolot — odpowiada matka.

— A co to takiego „samolot” — pyta dalej kanibalátko.

— Samolot... jakby ci to powiedzieć... To coś w rodzaju kraba. Trzeba odrzucić strasznie dużo skorup, ale to co znajduje się wewnątrz jest rzeczywiście wsmienite.

Winogrona

— Przez cały dzień jadłem winogrona — uskarżał się pewien pacjent u psychiatry.

— A cóż w tym dziwnego — zdziwił się lekarz — mnóstwo ludzi zajada się winogronami.

— Ale nie z tapety — odpowiada pacjent.

Pan Teofil zamówił sznycel. Kelner przyniósł mu coś przypominającego raczej wygarbowaną skórę, niż potrawę mięsną.

— Panie starszy! — woła zdenerwowany pan Teofil. — To przecież okropne. Twarde jak cholewa. Nie mogę tego nawet przekroić!

— Józek! — zwraca się kelner do pikolaka. — Proszę przynieść temu panu inny nóż.

U wróżki

— Radzi mi pani, żebym się strzegł dość tęgiej, młodej blondynki, przystojnej, złośliwej, kłótiwej, o paskudnym charakterze której się usta nie zamykają, głupiej jak gęś, podstępnej jak hiena i wyrzucającej pieniądze przez okno! Ależ za późno, droga pani, za późno, ja się już z nią ożeniłem!

Modelka

Malarz: — Dlaczego się pani tak wstydzi. Czy pani rzeczywiście nigdy nie pozowała do aktu?

Modelka: — Owszem. Ale malarzowi, to jeszcze nie.

W śróde Kapuściński rozbil samochód na tym słupie!

- Jak to możliwe?
- Widzisz ten słup?
- Widzę.
- No a Kapuściński nie widział!

— Matuszek, skąd wiesz, że ziemia jest okrągła?

— Jaś mi o tym powiedział, towarzyszu nauczycielu.

— Bolek, jak nazywał się

Chrobry?

- No, przecież tak jak ty!
- Nowak!

— Mamusiu! Mówiłaś, że wujek siedzi cioci Ani na karaku, a on cały czas siedzi na krześle.

Kelner zwraca się do pikolaka:

— Jasiu, prędzej! Podaj ciemne piwo!

— Komu?

— Temu gościowi z cielecym mózdzkiem.

U okulisty

— A z bliska babko widzicie?

— A widzę panie dochtórz?

— A z daleka?

— Aż spod Sałajki, panie dochtórz!

Dla jedynej

Młody człowiek wchodzi do sklepu i pyta:

- Czy są widokówki z napisem „Dla jedynej“?
- Owszem, są.
- To proszę 10 sztuk.

Nieugięta

Tysiąc razy namawiano mnie już do małżeństwa.

— Kto cię namawiał?

— Mama i ojciec.



Feliksie, wydaje mi się, że w swoich żartach posuwasz się za daleko



Siła przyzwyczajenia

— Mamusiu, pokrzywa gryzie?

— Tak.

— A jak ona szczeka?

— Tatusiu, przyjechali strażacy! To teraz zacznę się pożar?

Matka karmi piersią nowo narodzoną Kasię. Pięcioletni Maksym przygląda się jej uważnie. Wreszcie pyta:

— Mamusiu, a kawa też tam bywa?

— Czy może kogut zapomnieć, że jest kogutem i znieść jajko?

Między zakochanymi

- Każdego ranka jest pani moją pierwszą myślą.
- Pański kolega Jacek mówi mi to samo.
- Tak, ale ja wstaję o dwie godziny wcześniej!

W pociągu

- Mąż do żony:
- Marysiu, czy dobrze ci tam się siedzi?
- Dobrze, dobrze...
- A nie jest ci zimno?
- Nie.
- A z okna nie wieje?
- Skądże!
- No to zamień się ze mną na miejsca!...

Błąd

- Czy nie wie pan, kto to jest ten okropny babsztyl w kapeluszu z piórami?
- To moja żona.
- Przepraszam pana najmocniej, popełniłem straszny błąd.
- Nie, panie — to ja popełniłem błąd.

Psie sprawy

Azorek do swego „kolegi” jamnika z drugiego piętra:

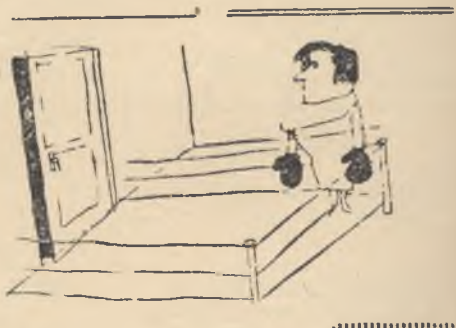
— Nauczyłem mego pana nowej sztuczki. Ile razy podaję mu łapę, musi mi dać czekoladę.

Litościwy

- Jurek przepołowił łopatką dżdżownicę.
- Po coś to zrobił?
- Robak się nudził. We dwójkę jest im weselej.

Wśród dzieci

- Mój tatuś jest szoferem.
- A twój, Witusiu?
- A mój tatuś jest lajdakiem.
- Kto ci to powiedział?
- Mama.



Powrót taty

Kto wie?

Nauczyciel mówi uczniom o ruchu ziemi objaśniając, że ziemia kręci się dookoła słońca.

Wstaje mały Jaś.

— A dookoła czego kręci się w nocy, gdy nie ma słońca?

A jednak

— Pieniądze nie dają szczęścia. Ludzie bogaci też bywają nieszczęśliwi.

— Możliwie, ale zawsze przyjemniej płakać w samochodzie niż w tramwaju.

Przyjacielskie zwierzenie

— Widzisz, mój drogi, zakochałem się w jej oczach, ale zrobiłem ten błąd, że ożeniłem się z nią całą.

Pech

Kowalskiemu urodziły się czworaczki.

— To pech! Jak ja teraz będę wyglądał jako prezes Stowarzyszenia Planowania Rodziny? — rzekł strapiiony.

Babcia

Po jakimś ważnym meczu młody chłopak wraca zmartwiony do domu i zwierza się babci-staruszce:

— Oj, babciu, jakaś ty szczęśliwa, że nie interesujesz się sportem.

Babcia zrywa się na równe nogi:

— A co, przegrali?

W Szkocji

Mały Szkot przybiega do ojca.

— Tatusiu, mam dla ciebie pomyślną nowinę.

— Jaką? — pyta, uśmiechając się ojciec.

— Pamiętasz, obiecałeś mi pięć pensów, jeśli przejdę do następnej klasy...

Na twarzy ojca widać niezadowolenie.

— Nie martw się — pociesza go syn — zaoszczędziłem ci tego wydatku.

Pytanie

— Co to jest bigamia?

— Gdy się ma o jedną żonę za dużo.

— A więc to samo, co monogamia...



— A zawsze byłeś taki nieśmiały...

Mocna głowa

Górale słyną z tego, że mają mocną głowę. Pewien generał przyszedł na posterunek ze skargą, że sąsiad uderzył go kłonicą po głowie.

Po dokładnych oględzinach milicjant mówi:

— Uderzenie nie musiało być ciężkie, skoro na głowie nie widać nawet śladu.

— To niech se panoczek obejrzą kłonicę — mówi góral, całkiem się rozleciała...

„Ici Paris“



— My tu gadu, gadu, a pan na pewno nie ma czasu...

Dyktator

Przed swoim portretem stoi dyktator. Przygląda się dłuższą chwilę swojej podobiznie i mówi:

— No i co z nami będzie?

Na to portret:

— A no nic. Mnie zdejmą a ciebie powieszą.

Odpowiedź

Nauczyciel zadaje pytanie.

— Jeżeli dom ma pięć pięter, na każde piętro wchodzi się po 20 schodach, to po ilu schodach trzeba wejść, żeby się dostać na piąte piętro?

Klasa milczy. Po chwili podnosi rękę Zbyszek i odpowiada:

— Po wszystkich, panie profesorze.

Przy kołysce

— No, Pietrek! Wstawaj i kołysz dziecko! — woła o północy Magda.

— Daj mi święty spokój, kołysz sama!

— Przecież to dziecko należy w połowie do ciebie a w połowie do mnie.

— To kołysz swoją połowę, a moja niech się drze.

Przyjaciele

— Byłem wczoraj na twojej sztuce.

— No i co?

— Interesująca... Owszem, wiesz, nie chcę cię martwić, ale w drugim akcie połowa widowni gwizdała.

— No, jeśli połowa gwizdała, to druga połowa...

— A widzisz, zapomniałem ci powiedzieć, że druga połowa widowni była pusta.



— Rudolffie, przestań już! ...



Spotkanie

Zły argument

Dyrektor prosi do siebie swego podwładnego.

— Obywatelu Kowalski, przyszlście zdaje się dzisiaj do pracy z półgodzinnym opóźnieniem?

— Proszę mi wybaczyć, ale wydarzyła mi się dziwna historia. Wypadłem z okna!

— A na którym piętrze mieszkacie?

— Na szóstym.

— No więc? I to wam zajęło tyle czasu?

Ryba

Restauracja. Stolik. Przy stoliku gość. Właśnie zamówił porcję ryby i wzywa kelnera.

— Wie pan, ja już dużo ryb widziałem w życiu, ale tak mało ryby to jeszcze nigdy nie widziałem.

Miedzy przyjaciółkami

— Mówisz, żeś wyszła za mąż i że zrobiłaś ze swego męża milionera?

— O tak. On był kiedyś multimilionerem.

Duma

Osiemdziesięcioletni starszek, oskarżony jest o uwiedzenie szesnastoletniej dziewczyny. Wyrok skazujący przyjmuje z godnością.

— Ależ, mój stary — mówi mu po rozprawie jeden z przyjaciół — nie broniłeś się nawet. A przecież wiem doskonale, że nie możesz dopuścić się tego czynu.

— To prawda, ale ten wyrok mi pochlebia!

*

Niejeden

Nauczyciel zwraca Piotrusiowi zeszyt z wypracowaniem domowym i powiada:

— Napisałeś strasznie! Nie rozumiem jak jeden człowiek może zrobić tyle błędów w wypracowaniu!

— Bo to wcale nie był jeden człowiek, panie profesorze... Tatuś mi pomagał.

Proszę liczyć

Lekarz bada pacjenta.

— Proszę liczyć — zwraca się doń w pewnej chwili.

Pacjent zaczyna liczyć. Lekarz przykłada ucho do jego piersi. Ale lekarz jest strasznie zmęczony. Nic dziwnego, że przymyka oczy. Gdy je otworzył, usłyszał głos swego pacjenta:

— Cztery tysiące dwieście dwadzieścia cztery... cztery tysiące dwieście dwadzieścia pięć...

Starcie

Wiesz, miałem wczoraj przykre starcie z tym bokserem Drzązgalskim...

— Co się stało?

— A no, powiedział ci — dałem mu tak, że mnie długo popamięta...

— Tyś mu dał? Przecież on by cię zmiażdżył jednym uderzeniem pięści!

— Ale ja się go nie boję! Naurągałem mu i spokojnie odwiesiłem słuchawkę telefoniczną.



I dla nich znajdzie się pokój!

Bagaż

Żona wyjeżdża na urlop. Mąż ją odprowadza na dworzec, uginając się pod ciężarem dwóch waliz i solidnych paków. Sapi jak miech kowalski, ale dźwiga bagaż bez szemrania.

Nareszcie przybyli na dworzec. Mąż odstawia walizy i patrzy, ociera pot z czoła i wzdycha:

— Szkoda, że nie wziąłem również pianina...

— Tylko bez głupich docinków — odpowiada żona.

— Jakie docinki?... twój bilet kolejowy został przecież na pianinie.

Pożegnanie

Pani Lala wyjeżdża na urlop. Na dworcu prosi męża:

— Pisz do mnie najczęściej, kochany! Wiesz przecież, że na odwrocie przekazów pocztowych jest zarezerwowane miejsce dla korespondencji...

Oznaka starości

Pan Grzegorz jest starym kawalerem.

— Co zrobić — utyskuje — człowiek się bardzo zestarzał. Mam na to niezbita dowody...

— Jakież?

— Dawniej kobiety pytały mnie dlaczego pan się właściwie nie żeni. A teraz — dlaczego pan się nie ożenił.

Odpowiedź

Pewien gentleman wysyła przed wakacjami list do znanej oberży Yurkshire z zapytaniem, czy będzie mógł przyjechać wraz ze swoim psem.

Po kilku dniach otrzymuje następującą odpowiedź:

Szanowny Panie. Mam zaszczyt zawiadomić pana, że moją oberżę prowadzę od 30 lat. W ciągu tego czasu nie zdarzyło mi się, bym wezwał policję do psa zachowującego się nie odpowiednio w godzinach rannych. Nigdy jeszcze żaden pies nie usiłował uregulować rachunku przy pomocy czeku bez pokrycia. Nigdy też żaden pies nie wypalił mi papierosem dziury w prześcieradle. Nigdy wreszcie nie znalazłem hotelowego ręcznika w walizce jakiegoś psa. Stąd wniosek, że pański pies będzie u mnie bardzo mile widziany.

P. S.

Jeśli pies pański bierze odpowiedzialność za pańskie zachowanie się, może pan przyjechać również.

Młoda gospoia

Moja kobieto, te jajka są bardzo małeńkie, powiniście kazać kurom dłużej na nich siedzieć.

Micio

Micio wraca ze szkoły.

— Mamusiu, dzisiaj rysowaliśmy portret pana profesora.

— Bardzo ładnie... i kto z was najlepiej narysował?

— Ja... i dlatego pan profesor powiedział, żebym bez rodziców do szkoły nie przychodził.

Wszystko na opak

Czemu jesteś taki przygnębiony.

— Powiadam ci, rozpacz w kratkę. Ożeniłem się z dziewczyną, która pięknie gra na pianinie niestety o gotowaniu pojęcia nie ma. W związku z tym musieliśmy sprowadzić do siebie jej matkę, która fantastycznie gotuje, ale nie umie grać...

— To powinieneś być zadowolony!

— Tak, ale widzisz, moja teściowa całymi dniami siedzi przy pianinie, a żona zajmuje się kuchnią.

Muzyka

Profesor muzyki zwraca się do uczennicy ważącej ponad 100 kg.

— Proszę przycisnąć skrzypce do podbródka!

— Do którego, panie profesorze?





— Mówię ci, złapałem pstrąga wagi 5 kg...
— Straszne rzeczy, ja dawałem na haczyk za przynętę wieloryba...

W autobusie

Do zatłoczonego autobusu usiłuje dostać się jakiś jegomość obarczony potężnym kontrabasem.

— Niestety — mówił konduktor rozkładając ręce. — Taki tłok, że nie mogę pana wpuścić. Co innego jeszcze, gdyby pan bez kontrbasu...

Zmęczony muzyk rezygnuje z westchnieniem a jakiś pasażer powiada doń ze szczerem współczuciem.

— Widzi pan, lepiej gdyby pan nauczył się grać na flecie...

Tematy

Kilku oficerów lotników udało się w towarzystwie pań na wianki. Panowie cały czas rozmawiają o startach, lotach, defektach maszyn, radarze itp. W końcu jedna z pań mówi zirytowana:

— Czy nie macie dość rozmów o lataniu? O czym rozmawiacie, gdy jesteście na lotnisku i w klubie?

— Jakto o czym? O kobietach.

Rozkosze ojcowskie

Pan Franciszek nerwowo biega po korytarzu kliniki tam i z powrotem. Wreszcie otwierają się drzwi i ukazuje się w nich pielęgniarka, która podaje rękę stremowanemu panu Franciszkowi.

— Gratuluję panu, serdecznie gratuluje! Pańska piąta córka przysłała na świat.

— Chciała pani zapewne powiedzieć czwarta.

— Czwarta? A oczywiście, czwarta również.

Scena

Pan Nowak postanowił odnowić mieszkanie. Wzywa malarza i przeprowadza z nim przedwstępne pertraktacje.

— Ile pan weźmie za przemalowanie dwóch pokoi z kuchnią?

— Sześć set koron.

— Hm. A gdybym tak panu pomógł?

— To by kosztowało tysiąc koron.



Teraz chyba nie zapomni...

Poprawa

— Od tygodnia widzę coraz mniej błędów w twoich wypracowaniach domowych — mówi nauczyciel.

— Czy ci ktoś pomaga?

— Nie, panie profesorze. Tatusź jest od tygodnia w podróży służbowej.

Wytłumaczenie

Angielska drużyna protestancka i szkocka katolicka rozgrywały decydujący mecz futbolowy. Reakcje widzów mówiły wyraźnie, że jest podzielona na dwa obozy. Tylko widz w pierwszym rzędzie z jednakowym zapałem oklaskiwał sukcesy obu stron. Wreszcie jeden z jego sąsiadów nie wytrzymał:

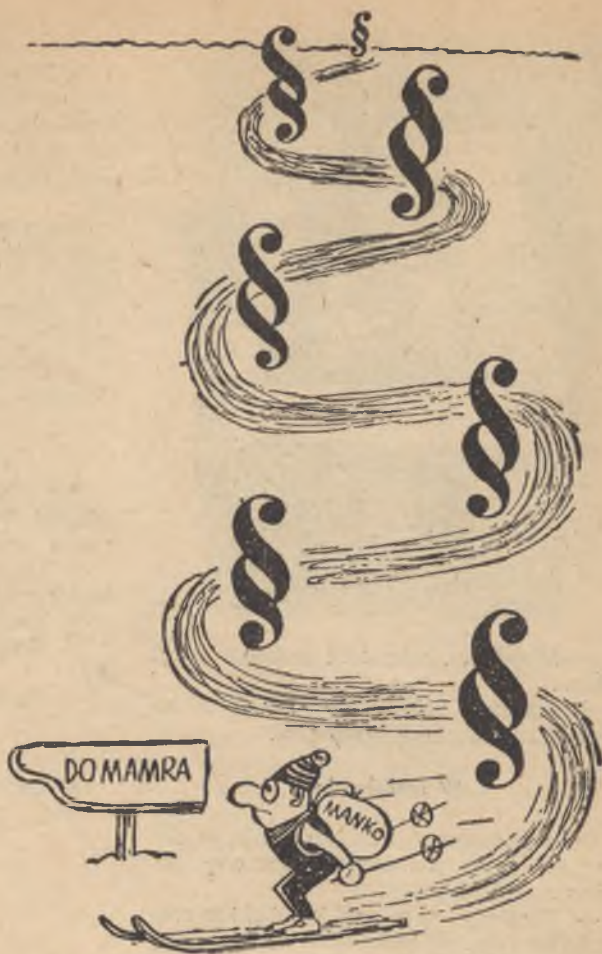
— Przepraszam — zagadnął — pan jest kibicem której drużyny?

— Ja? Żadnej. Po prostu sprawia mi przyjemność przyglądania się grze.

— Ach, więc pan jest ateistą! — zakonkludował z niesmakiem sąsiad.



Bez komentarza



Slalom mankowiczów

Pojedynek

Dwaj panowie poważnie się pokłócili i postanowili spór rozstrzygnąć przy pomocy pojedynku na pistolety.

Na godzinę przed pojedynkiem jeden z nich dzwoni do swego przeciwnika:

— Przepraszam pana, czy to dzisiaj nasz pojedynek?

— Oczywiście! Powinien pan się bardzo pośpieszyć, żeby zdążyć na czas.

— Właśnie w tej sprawie dzwonię. Chciałem panu powiedzieć, że jestem nieco zajęty i trochę się spóźnię. Może pan tymczasem strzeli pierwszy.

Zakochani

Matka wchodzi do pokoju i widzi, że jej 17-letni syn rozmawia z sympatią przez telefon. Po godzinie wchodzi ponownie i zastaje chłopca ze słuchawką przy uchu. Chłopiec milczy i patrzy na program telewizyjny.

— Dlaczego nie odkładasz słuchawki, jeśli skończyłeś rozmawiać?

— Nie przeszkadzaj, mam, oglądamy razem telewizję.

Rozkaz

Dowódca jednostki lotniczej wydaje adiutantowi polecenia w związku z przyjęciem dla oficerów marynarki.

— Ale przede wszystkim pamiętajcie bez wódki i bez kobiet...

— Tak jest, panie pułkowniku, to polecenie otrzymałem już dziś od mojej żony.

Tajemnica powodzenia

— Podziwiam pana. Jak pan przy swej wątłej kondycji może być pogromcą dzikich zwierząt.

— To jest właśnie tajemnica powodzenia. Lwy czekają bowiem, aż trochę utyję.

Nowa stenotypistka

— Przepraszam pana dyrektora, co pan dyktował między „Szanowni panowie” a „pozostajemy z głębokim poważaniem”?



— Na żołądek?

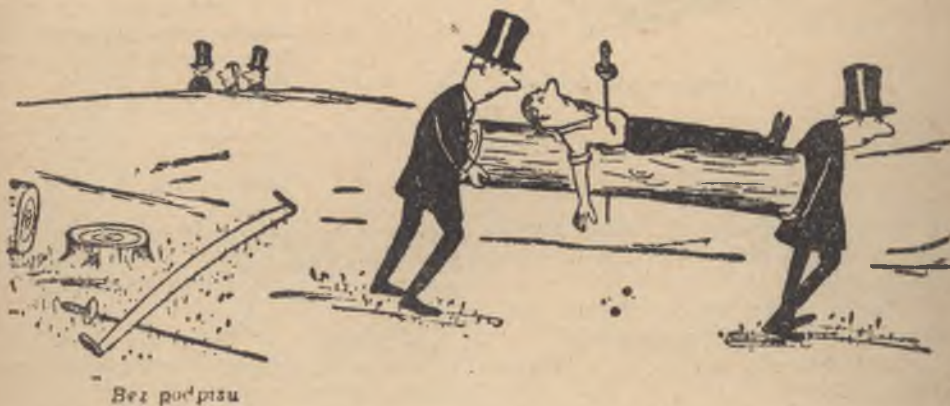
— Nie, na borg...

Kołysanka

— Babciu, dlaczego mama tak długo śpiewa?

— Żeby twoja siostrzyczka zasnęła.

— Gdybym ja był siostrzyczką, to bym już dawno udawał, że śpię.



Bez podpisu



Święto strażaków

Znawca

— Podobno pan twój świetnie się zna na koniach wyścigowych.

— A tak! Przed gonitwą zawsze wie, który koń przyjedzie pierwszy, a po gonitwie potrafi świetnie wytłumaczyć, dlaczego ten koń nie przyszedł.

W restauracji

Młody człowiek: Proszę łososia.

Kelnerka: Proszę bar-dzo. Co jeszcze?

Młody człowiek: Szy-neczkę.

Kelnerka: I chlebek?

Młody człowiek: O nie, stanowczo dziękuję.

Kelnerka (zdziwiona): Dlaczego?

Młody człowiek: Bo na chleb, proszę pani, trzeba ciężko pracować.

Przestroga

Suka do szczeniaka: u-spokój się nareszcie. Jeżeli będziesz latał jak wściekły, to rozbijesz nos o ścianę...

I wskazując na przechodzącego buldoga, dodaje: widzisz, czego on się doigrał?

Uprzejmy

Pewien pan wchodzi do jednej z naj-elegantniejszych restauracji i pyta kier-ownika sali:

— Bardzo przepraszam, czy nie zna-leziono tu przypadkiem parasola?

— Za chwileczkę sprawdzę, a jaki to był parasol?

— O, wie pan, wszystko mi jedno. Nie jestem zbyt wymagający.

Przezorność

Klient w restauracji woła kelnera i zamawia danie z karty. Po chwili kelner podchodzi i przedstawia gościowi rachunek.

— Jak to? — dziwi się klient. — U was w restauracji płacić trzeba przed skonsumowaniem?

— Nie, ale o ile się nie mylę, szanowny pan zamówił grzybki.

Racjonalizator

Pani Kowalska i pani Nowak mieszkają obok siebie. Właśnie wymieniają uwagi na temat zachowania się małego Jasia Kowalskiego, który, zdaniem pani Nowak, przynosi wstyd całej rodzinie.

— Jeśli jeszcze raz zobaczę — denerwuje się pani N — że przywiązuje on naszemu psu garnek do ogona, spiorę go, że mnie popamięta. Ale a propos garnka. Nie otrzymałam jeszcze z powrotem piecyka, który pani pożyczyłam.

— Jasiu! — woła pani Kowalska — czyś ty przywiązał psu pani Nowak garnek do ogona?

— Skądże znowu, mamusiu!

— Widzi pani — z zadowoleniem stwierdza pani K — wiedziałam, że to niemożliwe.

Następnie zaś zwracając się ponownie do swej pociechy, zapytuje:

— A coś, kochanie, zrobił z piecykiem, który miałaś odnieść do pani Nowak?

— Posłałem go przez jej psa, mamusiu.

Nie do wiary

Podczas koncertu wirtuoza-pianisty złodziej kieszonkowy zwraca się do kolegi po fachu:

— Nie rozumiem, jak można marnować tak nadzwyczajną zręczność palców...



Torreador



Na arenie

czyli: 1:1

Przyjaciółki

Niech pani sobie wyobrazi, przed dwoma laty kupiłam papugę i dotychczas jeszcze nie powiedziała ani jednego słowa!

— To straszne! To nieludzkie! Powinna ją pani chociaż dopuścić do głosu.

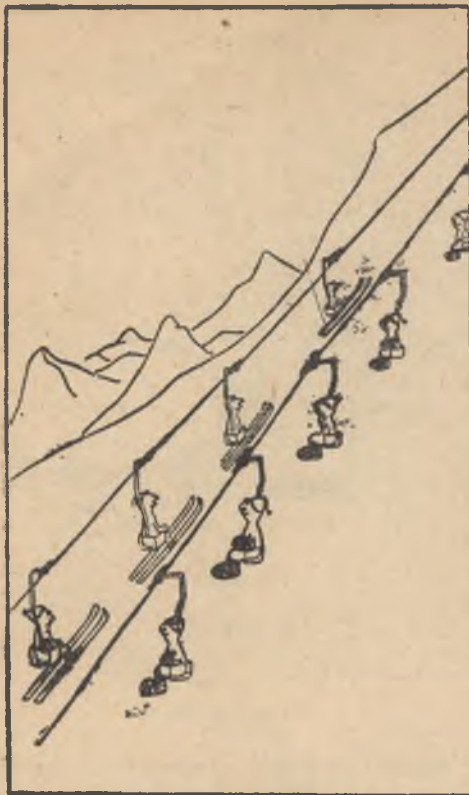
Dojrzałość

Ojciec do piętnastoletniego syna:

— Jesteś już mężczyzną, mój drogi. Doszedłem do wniosku, że trzeba ci pozwolić od czasu do czasu na papierosy. Proszę, możesz zapalić.

— Dziękuję, tatusiu, ale już od roku nie palę.

Kiedy małżonek zwraca uwagę



W góry, w góry, miły bracie...

Wśród literatów

- Co teraz wydajecie, panie kolego?
- Około 50 Kęs miesięcznie na wódkę.

Ostrożnie

Pewien lord stoi na balkonie z przyszłym zięciem.

— Widzisz John, to wszystko, jak daleko sięga mój wzrok, jest moją własnością.

John zwraca się do córki:

— Czy twój ojciec ma dobry wzrok?

Podobieństwo

Pan Teofil odbiera swój portret. Kręci nosem.

— Ten portret nie jest do mnie podobny. Odmawiam zapłaty!

— To do pana bardzo podobne.

*

Najnowszy amerykański dowcip wyborczy: Roosevelt udowodnił, że mamy prezydenta, Truman udowodnił, że każdy może być prezydentem, a Eisenhower udowodnił, że prezydent nie jest nam potrzebny.

Jasne

Na rozprawie sądowej:

— Oskarżony już raz stawał przed sądem?

— Tak, panie sędzio.

— O ile się nie mylę, to o obrazę boksera?

— Tak jest.

— I został pan ukarany?

— Tak, ale nie przez sąd.



Tak mi się wydaje, że ja go już gdzieś widziałem...

W szkole

Uczeń: — Panie profesorze, nie uważam, abym zasługiwał na piątkę.

Nauczyciel: — Ja także nie uważam mój chłopcze. Ale, niestety, to jest najniższy stopień jakim dysponuję.

U dyrektora

— Czy dyrektor jest?

— Pan dyrektor jest zawsze dla pięknych pań.

— Tak. To proszę mu powiedzieć, że przyszła żona.



Coś się tam zawężyło...

Zegarek

Dyktatorowi Truillo zginął w jego letniej rezydencji zegarek. Policja natychmiast aresztowała 25 osób z najbliższego otoczenia. Następnego dnia zegarek znalazł się i Truillo wysłał do prefekta policji depeszę.

Cofnąć wyroki. Zegarek znalazł się.

Nadeszła odpowiedź:

Niemożliwe, wszyscy oskarżeni przyznali się do winy.



BEZ SŁÓW

Żałosne położenie

Pan N. właściciel prywatnego sklepu skarżył się w gronie przyjaciół.

— Obroty mam coraz mniejsze. Jeśli tak dalej pójdzie, to moje zeznanie podatkowe okaże się w końcu zgodne z rzeczywistością.

U lekarza

— Nie wolno panu pić alkoholu. Mówiłem już to panu przed rokiem.

— Pamiętam, panie doktorze, ale myślałem, że przez ten czas medycyna zrobiła już jakieś postępy.



Ładne perspektywy

Muzykant



Różnica

Angielski psycholog pyta przyjaciela:
— Czy wiesz, jaka jest różnica między Angielkami i Francuzkami?

Angielka mówi: 21 czerwca, to najdłuższy dzień w roku. Francuska: 21 czerwca, to najkrótsza noc w roku.

Małżeństwo

Pan Kleofas spotyka siostrzeńca, który niedawno się ożenił.

— Jak ci się powodzi? — pyta.

— Doskonale, wuju. Moja żona pomaga mi gotować i sprzątać, naturalnie, jeżeli ma czas.

Opanowanie

W pewnym domu wypoczynkowym wybuchł pożar. Do grupy pensjonariuszy przyglądających się, jak strażacy gaszą ogień, podszedł jeszcze jeden wczasowicz.

— Zupełnie nie rozumiem, po co państwo wpadli w taką panikę. Proszę spojrzeć na mnie. Usłyszawszy wołanie, że pali się, wstałem spokojnie z łóżka, wypaliłem papierosa i zacząłem się ubierać. Nawiasem mówiąc dwukrotnie zmieniałem krawat, ponieważ nie pasował do koszuli.

— Tak, to zadziwiające, ale dlaczego nie włożył pan spodni.

Dylemat

Mamusiu, kim byłaś, kiedy byłaś jeszcze małą, chłopczykiem czy dziewczynką?



Zemsta



Konkurent

Asekuracja

W amerykańskim szpitalu chirurgicznym pacjent przed operacją wypełnia kwestionariusz.

„Kto zapłaci rachunek”:

- a) żona — mąż
- b) krewni
- c) spadkobiercy.

KOLEJ

Zrazu tośmy się rozzłościli. Nie pozwolimy!... wrzeszczeliśmy. — Nie pozwolimy na przepuszczenie przez naszą wieś pociągu! Po naszych trupach!... I uzbrojeni w widły, kosy i cepy, czekaliśmy na przybycie robotników, gotowi przepędzić ich na cztery wiatry.

Tymczasem zamiast robotników zjawiał się jakiś pan inżynier i dawał stawać nam mowy, że ile korzyści przyniesie kolej mieszkańcom wsi, przez które przebiegać będzie jej szlak, że zamiast wlec się do miasta końmi, będziemy mogli zatrudnić je przy robotach w polu, a nasze baby, nabrawszy w koźbaki: śmietany, masła, jaj, serów — pojadą na targ kolejną. I że w ogóle kolej to wzrost dobrobytu. Tak nam to wszystko ten pan inżynier pięknie wyklarował, że nie tylko nie przepędziliśmy robotników przybyłych budować

linię kolejową, ale sami, z łopatami w garściach, poszliśmy robić nasyp.

I przyszła pamiętna dla wszystkich mieszkańców wsi chwila. Sapiąc głośno i wyrzucając z siebie gęste kłęby pary i dymu, potoczył się nowoułożonym torem pociąg. Nawet nie zdążyliśmy mu się dobrze przyjrzeć, a już, świszcząc przeraźliwie, przepadł w sienie dali...

Sprawdziły się słowa pana inżyniera. We wsi nastąpiła zmiana na lepsze. I to w bardzo krótkim czasie. Już po kilku tygodniach w chałupach pojawiły się telewizory, radia... Co prawda, nie we wszystkich, ale tylko dlatego, że szyn było za mało. Nie starczyło dla wszystkich.

Kto się pierwszy połapał, ten rozkręcił je i zawiózł do miasta — przysparzając hutom cennego złomu, a sobie gotówki. Dla reszty pozostały tylko podkłady na opał. Ale nie krzywdują sobie. Czekają, że może wkrótce zbudują w naszej wsi nową linię kolejową i to dwutorową. Wtenczas szyn starczy dla wszystkich.

ZBIGNIEW ZIOMECKI

Myśli nie myśli

Przyjaciół poznajemy w biedzie...
po ich zadowolonych minach.

Obok czci dla pamięci zmarłych,
przydałoby się trochę szacunku dla
żywych.

Wyrafinowana tortura — łamanie
ludzi kółem szczęścia.

Zostały mu już tylko cztery deski
ratunku.



W Cieszynie na wieży

W Cieszynie na wieży, pozłocano gołka ,
Nie chcę jo mamulko, starego pachółka.
Bo stary pacholek, strasznie zabączany,
Z kóniami lyguje, całować nie umi ,
Koszule zmazaną, wiecznie luślimpany.
A pełno błszysek, mo w tej swoji guni.
Przidzie ku dziełusze, kyrpców nie zezuje,
Na nosie pociągo, fajfke pokurzuje.
A jak go łobłapię, strasznie sie rozgniywo,
Siednie za stodołą, ze złości tam ziywo.
A jak sie wyzyiwo, to tabak posznupie,
Galaty poprawi, idzie ku chałupie.

(Zapomniana śpiewka ludowa)



Spis treści Kalendarza „Zwrotu” na rok 1961

<i>Vítězslav Nezval</i> : Dla ciebie Prago	30
Konstytucja Socjalistycznej Republiki	31
<i>Józef Strzępa</i> : Ile zarobiłby świat na rozbrojeniu	37
<i>Wiktor Raban</i> : Awans naszego rolnictwa	39
<i>Henryk Jasiczek</i> : W naszych Beskidach (wiersz)	41
<i>E. Waszczuk</i> : Cud mózgów, przemysłu i pracy	42
<i>Gustaw Pyszko</i> : Brzask (wiersz)	42
<i>Wanda Górską</i> : Beethoven (wiersz)	42
<i>Wilhelm Przeczek</i> : W czerwcu (wiersz)	43
<i>Gustaw Przeczek</i> : Droga małżeńska	43
Nie żyjemy według zegarów	44
<i>Wanda Pribulowa</i> : Na biały papier (wiersz)	45
<i>Wł. Krumnikłowa</i> : Chleb i róże	46
<i>Henryk Jasiczek</i> : Skrzydlaci przyjaciele (wiersz)	49
<i>Władysław Oszelda</i> : Beskidy — góry przyjaźni	50
<i>František Branislav</i> : Powrót (wiersz)	53
<i>Marian Rozowski</i> : Pisarze polscy w Cieszynie	54
<i>Leszek Mech</i> : Kocham ojczyznę (wiersz)	58
<i>Józef Mazurek</i> : Ojcem chrzestnym był las	60
<i>Władysław Sikora</i> : Na Dolinkach	64
<i>Vladimír Minač</i> : Opowiadanie dla wnuka	68
<i>Helena Bychowska</i> : U wód Karlsbadu	75
<i>Karol Górny</i> : Salwa do górników	82
Zmieniamy oblicze naszej republiki	86
<i>Stanisław Zahradnik</i> : Historia powstania Domu Robotniczego w Trzyńcu	92
<i>Jan Kurzelowski</i> : Zabawy narodowe na Śląsku Cieszyńskim	97
<i>Józef Krzywoń</i> : Wiosna i jesień (wiersz)	105
<i>Oldřich Šuleř</i> : Wielkie wydarzenie	106
<i>Józef Chlebowczyk</i> : Wieś cieszyńska i karczma	110
<i>Władysław Sikora</i> : Znaczenie (wiersz)	115
Michał Szolochow pisarz naszej epoki	116
<i>Władysław Most</i> : Cieszyńskie muzeum osobliwości	116
<i>Józef Mrózek</i> : O problemach wychowania	119
<i>Jan Broda</i> : Kat cieszyński	120
Jak długo chcesz i możesz żyć	123

<i>Adolf Dostał</i> : Niekiedy tylko (wiersz)	124
<i>Łada Rajska</i> : To i owo z naszych spraw kobiecych	125
Nie niszczyć witamin	127
<i>Włodzimierz Gierowski</i> : Czy wiesz co znaczy twoje imię?	131
<i>Karolina Ruszówna</i> : Mocny i słaby	134
<i>Gustaw Przeczek</i> : Węzeł życia	141
<i>Walenty Krzyszczyk</i> : Wilki w Brennej	142
<i>Stanisław Wygodzki</i> : Powrót	149
<i>Karel Čapek</i> : Niezbity dowód	155
<i>Karol Piegza</i> : Jak staro Kłapsino od potoka	159
<i>Bolesław Lubosz</i> : Przy źródle (wiersz)	162
Franciszek Karpiński przejeżdżał przez Bogumin	162
<i>Danuta Siwkówna</i> : Gołębek	163
<i>Daniel Kadłubiec</i> : Kilka notatek o folklorze cieszyńskim	165
<i>Kajetan Ściebło</i> : Chytry Jónek a jego głupio baba	168
<i>Wilhelm Przeczek</i> : Czarna noc (wiersz)	170
<i>Teofil Stolarz</i> : Dawniej na szybie Głębokim	171
Nasz teatr i jego repertuar	172
<i>Gustaw Przeczek</i> : Zapachniało porankiem	174
<i>Henryk Jasiczek</i> : Zadanie domowe	179
Dwie gaduły	180
<i>Krystyna Golańska</i> : Ofiara uprzejmości	181
<i>Andrzej Rumian</i> : Sprawa zaufania	182
Z notesu Maurycego Moczygęby	183
<i>Wiesław Trzaskalski</i> : Kolej	203
W Cieszynie na wieży	204

KALENDARZ „ZWROTU“ NA ROK 1961

Rocznik VIII.

**Krajské nakladatelství v Ostravě
Okresowe Wydawnictwo w Ostrawie**

Zredagowali:

**Henryk Jasiczek — dr Tadeusz Siwek
wraz z kółkiem redakcyjnym**

Okładka: Władysław Cejnar

Ilustracje tekstowe:

**Wł. Cejnar, Bronisław Fírla, Jan Jasiński, Józef Klimek, Oskar Pawlas i inni
Kalendarium zilustrował: Władysław Palowski
Zdjęcia: archiwum Zwrotu, ČTK, V. Bryndáč**

**Tłoczono w drukarni TISK, knižní výroba, n. p., Brno, závod Český Těšín
Nakład: 10.000 egzemplarzy**

**Nr. MSK — čj. 11 989/60 — VIII/V
T — 03*02 032**

Cena 12 Kčs

Chłopcy i dziewczęta

czytają i prenumerują
czasopisma:

Jutrzenka

Praca Szkolna

Gazetka Pioniera

Bajki, przygody, reportaże

O wydarzeniach z kraju
i zagranicą informuje
bieżący Wasz przyjaciel
doradca i informator

Głos Ludu

Czasopismo Okręgowego
Komitetu
Komunistycznej Partii
Czł. w Ostrawie
poświęcone sprawom
polskiej ludności pracu-
jącej w Czechosłowacji

EDYCJA POLSKA KNO W OSTRAWIE

poleca ostatnie nowości książkowe wydane w roku 1960:

Karol Piegza

SĘKACI LUDZIE

opowiadania napisane w gwarze cieszyńskiej
z środowiska góralskiego i górniczego bawią
jędrnym humorem.

Henryk Jasiczek

Czarne Morze jest błękitne

Nastrojowe reportaże z podróży za pięknem
Gruzji, Krymu i Kaukazu.

Do nabycia:

Gustaw Przeczek — Drogi i ścieżki, wiersze.
Pierwszy lot, wybór wierszy 9 autorów.
Józef Krzywoń: Śpiewająca jutrzienka, wiersze.
Książki nabyć można w księgarniach PZKO
w Czeskim Cieszynie i Karwinie-Kopalnie

DO NABYCIA W NASZYCH KSIĘGARNIACH:

HENRYK JASICZEK

HUMORESKI BESKIDZKIE

Barwne, plastyczne a przede wszystkim dowcipne opowiadania gwarowe trafiające w sedno zalet i przywar mieszkańców Podbeskidzia.

Ilustracje Stefana Suberlaka Cena 11.50 Kčs
Wydawnictwo „Śląsk“

JÓZEF ONDRUSZ

PRZYSŁOWIA I POWIEDZENIA LUDOWE

ze Śląska Cieszyńskiego

Zbiór kilku tysięcy przysłów, stanowiących kapitalny przyczynek nie tylko dla językoznawców, lecz dla wszystkich miłośników folkloru naszego regionu.

Wydawnictwo PZKO - SLA Cena 12 Kčs

B. GOJ - K. PIEGZA - M. WĘGLARZY

OPOWIADANIA I WSPOMNIENIA

Opowiadania z przeszłości Śląska Cieszyńskiego są swoistym dokumentem naszej rodzimej twórczości.

Wydawnictwo PZKO - SLA Cena 10 Kčs

ADAM WAWROSZ

NA ŚĆMIYWKU

Opowiadania gwarowe znanego gawędziarza i humorysty napisane stylem żartobliwo-lirycznym, kreślące zmiany w świadomości i obyczajach mieszkańców naszej wsi.

Wydawnictwo PZKO - SLA Cena 10 Kčs

Czytajcie, rozpowszechniajcie i prenumerujcie

Zwrot

MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

wydawany przez

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy

Artykuły problemowe, komentarze polityczne, opowiadania i wiersze, reportaże, przekłady, wskazówki metodyczne, wypowiedzi itp.

Stałe działy tematyczne:

- „Piórem i obiektywem” — wędrowki po CSRS
- „Teatr i sztuka” — recenzje, wywiady, informacje
- „Nasza kolumna” — dział organizacyjny PZKO
- „Godki i pogwarki” — opowiadania gwarowe
- „Kronika” — wydarzenia krajowe, zagraniczne, kronika z życia PZKO
- „Powsinoga” — teatrzyk satyry, humoru i fraszek

Ponadto:

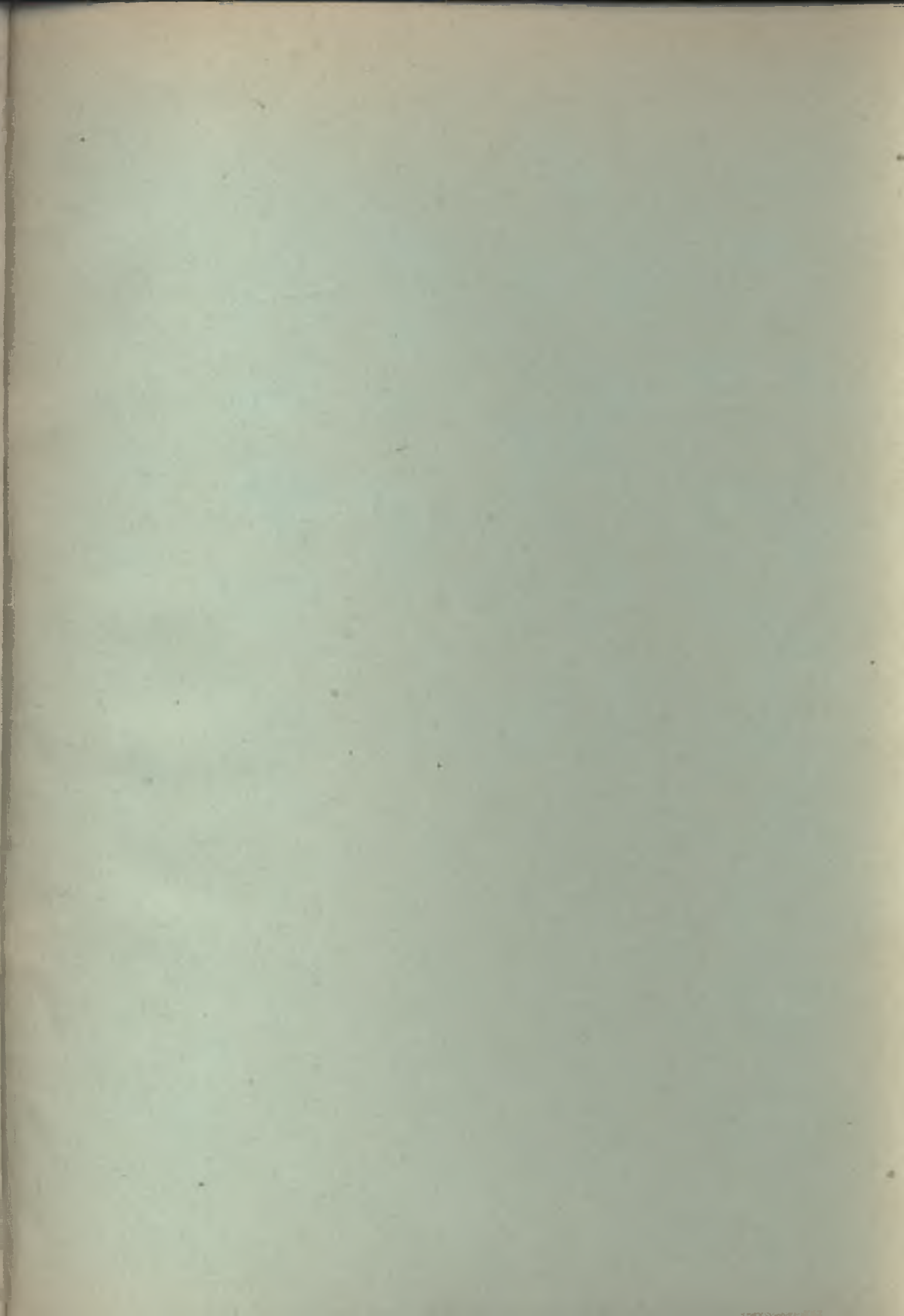
- „Śladami pracy naszych Kół”, „Żywe teksty, żywe pieśni”, „Notatnik Zwrotu”, „Felieton miesiąca” itp.

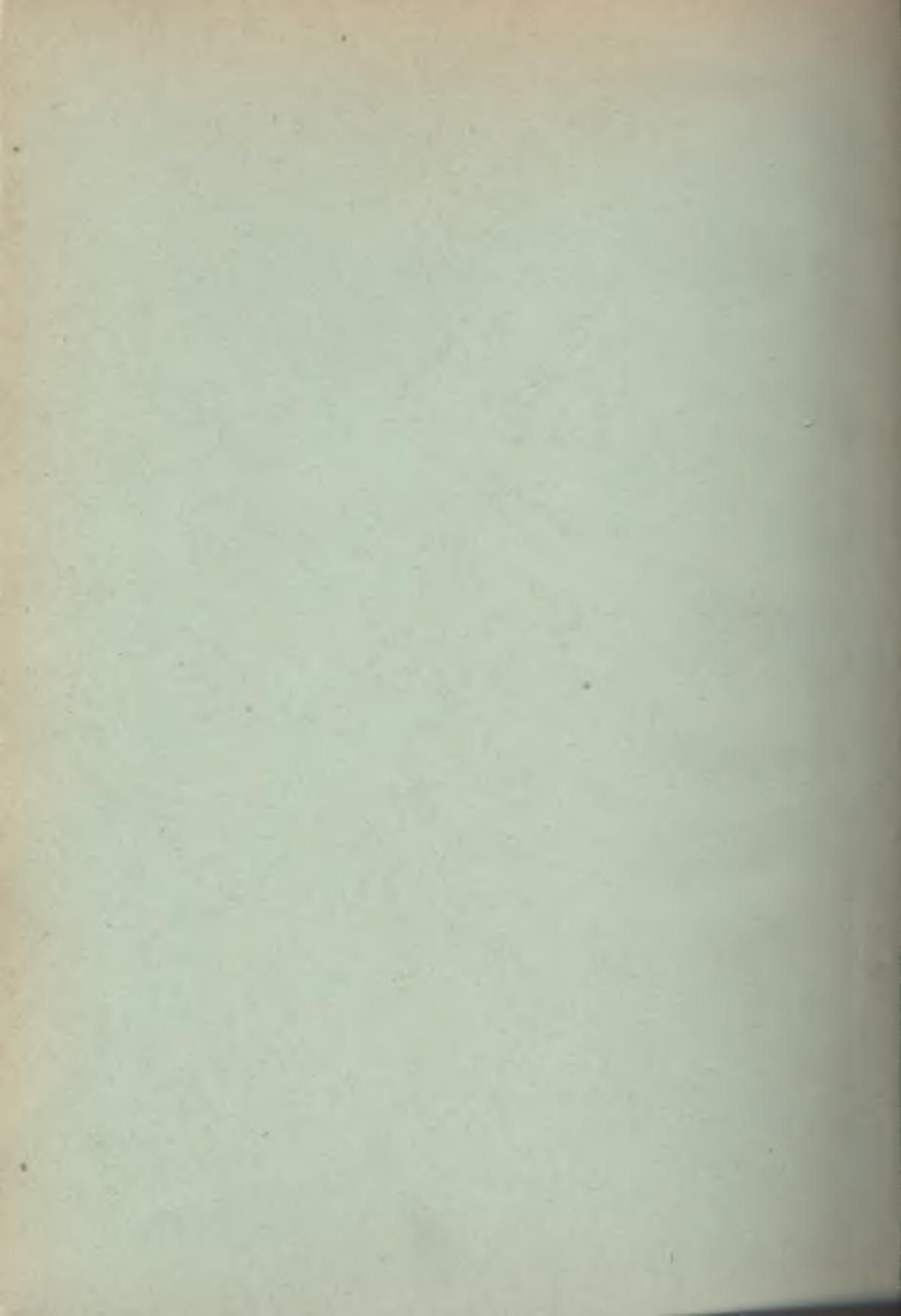
Cena bogato ilustrowanego numeru Kčs 1,— Prenumerata roczna Kčs 12,—

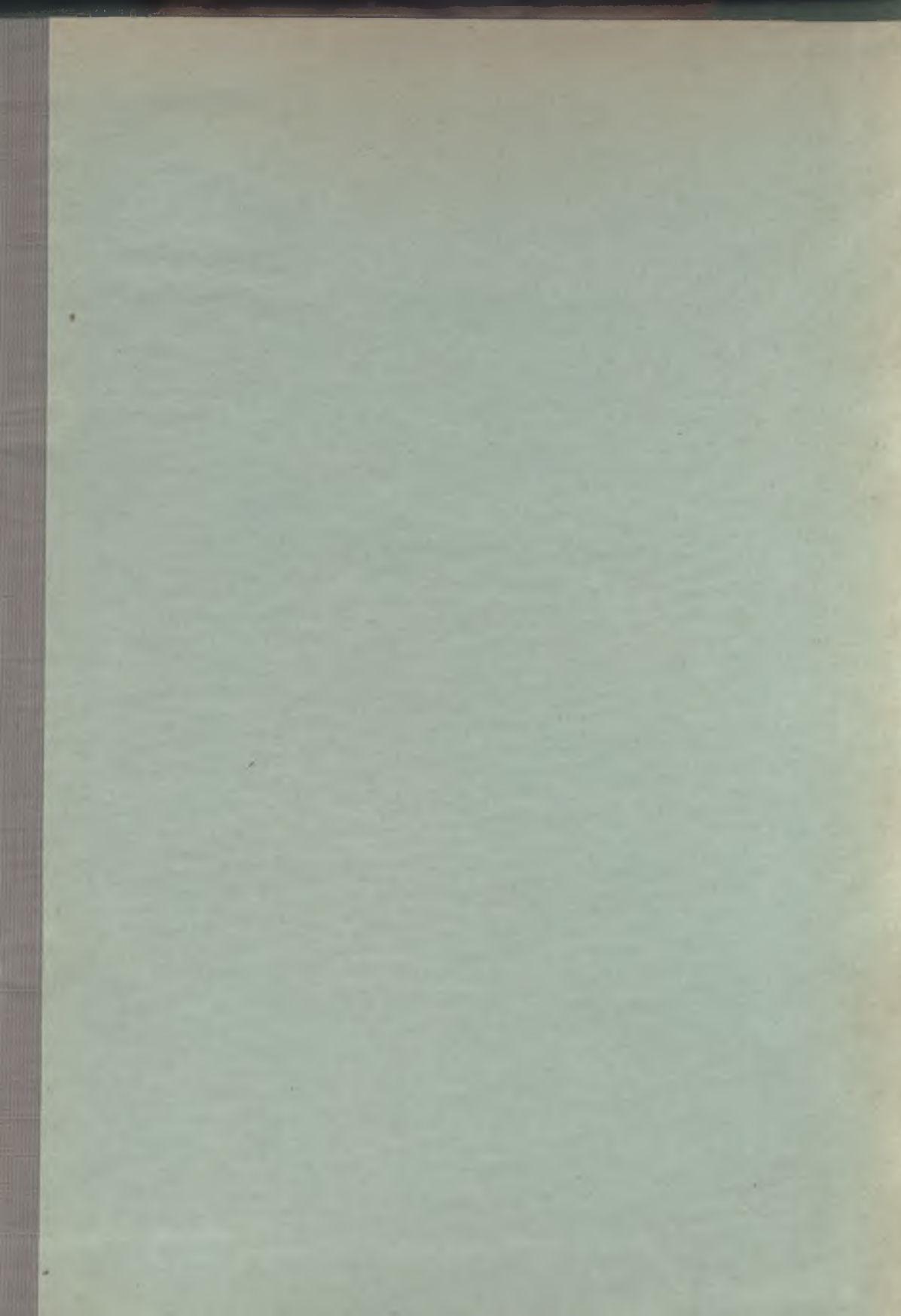
Adres Redakcji i Administracji:

Cz. Cieszyn, ul. Gottwalda 18, hotel „Piaś”, telefon nr 564

Cena 12 Kčs







Książnica Cieszyńska

CZ II 637/ 1961